

DUSZNA ATMOSFERA I BRAK MOŻLIWOŚCI UCIECZKI  
PRZED NIEZNANYM SPRAWIA, ŻE W TEJ POWIEŚCI  
ZAKOCHAJĄ SIĘ FANI TAKICH HITÓW JAK OBCY CZY COŚ

MARCIN  
CISZEWSKI

FANTOM



PRZYSZŁOŚĆ JEST O WIELE MROCZNIEJSZA,  
NIŻ NAM SIĘ WYDAJE...

MARCIN  
CISZEWSKI

FANTOM

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Podziękowania

Redakcja  
*Rafał Bielski*

Korekta  
*Janusz Sigismund*

Skład i łamanie  
*Marcin Labus*

Projekt okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Zdjęcie wykorzystane na okładce  
©Shutterstock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Marcin Ciszewski, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83291-05-5



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)

[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

# ROZDZIAŁ 1

## MAJ 2037 ROKU / ALFA

Planeta przyjęła ich ciemnością, niepokojem, wichrem i ulewą.

Pilot był jednak mistrzem w swoim fachu. Przejście przez atmosferę oraz przyziemienie ciężkiego promu transportowego przebiegły bez przeszkód. Zgodnie z surowymi wymogami procedury bezpieczeństwa, po wylądowaniu odczekał dłuższą chwilę, by upewnić się, że grunt pod sześcioma hydraulicznie stabilizowanymi łapami promu jest stabilny. Następnie wypuścił w powietrze drony zwiadowcze, a zaraz po nich ciężko uzbrojonego, również bezzałogowego Rippera.

Maszyny osiągnęły pułap bojowy, by po kilku minutach zgodnie zameldować o braku widzialnych zagrożeń.

Opuścili prom. Dwunastu uzbrojonych ludzi, z których żaden nie był astronautą. Grupę tworzyli, obok dowódcy, dwaj byli piloci marynarki, ośmiu operatorów sił specjalnych oraz lekarz. Wszyscy byli weteranami wielu operacji na całym świecie; doświadczonymi, otrzaskanymi w boju, doskonale wyszkolonymi, umiejącymi sobie poradzić w każdych warunkach żołnierzami. Przed startem odbyli roczne szkolenie, podczas którego starano się przygotować ich do działania na obcej – i najprawdopodobniej wrogiej – planecie. Byli załogą rezerwową. Mieli lecieć tylko w razie katastrofy poprzedniej wyprawy. Właśnie dlatego teraz stali na pierwszej linii frontu.

Finagan rozejrzał się. Odkąd czternaście dni temu, jeszcze na statku, otworzył oczy – większość dwuipółletniej podróży on i jego podkomendni spędzili, przebywając w płytkiej hibernacji – nie mógł pozbyć się uczucia niepokoju, narastającego w miarę, jak zbliżali się do planety. Nigdy nie bał się nieznanego. Był w stanie poradzić sobie w każdych warunkach. Umiał planować i przewidywać konsekwencje swoich działań. Był też szczęściarzem, udawało mu się tam, gdzie inni wpadali w kłopoty lub ginęli.

A jednak tym razem Finagana dręczyło przecucie nieszczęścia; nie potrafił go stłumić.

Choć fizycznie stał na Alfie po raz pierwszy, w pewnym sensie znał ją jak własną kieszeń – ostatnich kilka miesięcy przed startem spędził na pilnym studiowaniu zdjęć, filmów i opisów panujących na miejscu warunków. Rozzieleniona światłem wbudowanego w hełm noktowizora rzeczywistość okazała się jednak znacznie bardziej przygnębiająca. Ostre, dzikie grzbiety górskiego łańcucha na horyzoncie, piargowe, dość ostro nachylone zbocze porośnięte niskimi, mocno rozgałęzionymi krzaczkami i ostrymi krechami rozpadlin na pierwszym planie, dalej kawałek płaskiej, jałowej równiny i rzeka, jako jedyna podobna nieco do ziemskiej, opalizująca w świetle dwóch księżyców. Silny, zatykający wiatr. Krople deszczu, bębniące o hełm. Wyładowania elektryczne znacznie przewyższające ziemskie gwałtownością.

Finagan wzdrygnął się. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak mocno bije mu serce. Czując mrowienie w dole pleców, obejrzał się, jakby sprawdzając czy nikt go nie obserwuje – czego, ufając swoim ludziom i technice, nigdy wcześniej nie robił.

Czekały ich tu same niespodzianki, był o tym przekonany.

Szli w rozproszonym szyku, powoli, ostrożnie, z bronią gotową do strzału, z latającymi nad głową dronami, obserwującymi perymetr. Spotterzy obu sekcji w napięciu wpatrywali się w ekrany sensorów przekazujących odczyty w czasie rzeczywistym. Teren był nierówny i zdradliwy. Co chwilę któryś z żołnierzy potykał się na luźno leżącym kamieniu lub wpadał w rozpadlinę po czym, klnąc głośno, kontynuował ostrożny, niespieszny marsz. Kapitan raz i drugi syknął ostrzegawczo, uciszając ich, mimo iż doskonale pojmował śmieszność swoich obaw. Jeśli złowroga siła, rządząca planetą, obserwowała ich i miała złe zamiary, stukot kamieni pod butami czy przekleństwa nie miały żadnego znaczenia.

Po pełnym napięcia kwadransie, w ciemności, poprzez strugi deszczu zamajaczyły kostkowane moduły bazy.

– Sekcje stop – powiedział Finagan do zawieszzonego przed ustami mikrofonu. Mimo specjalnie impregnowanego kombinezonu, czuł, że zaczyna doskwierać mu wilgoć. Marzył.

Zatrzymali się, dziobiąc lufami ciemność. Zagrzmiało. Błysnęło. Wiatr chlusnął im w osłonięte goglami oczy kilkoma wiadrami zimnego deszczu.



– Pieprzona pogoda – mruknął, klęczący obok, dowódca pierwszej sekcji.

– Skup się na robocie, Bogart. – Finagan poczuł nieoczekiwany przyływ złości. Wyprawa nagle wydała mu się pozbawiona jakiegokolwiek sensu. Tamci z pewnością nie żyją. Nie po takim czasie i nie po tym, co tu się wydarzyło. Odwrócił się. Dowódca drugiej sekcji pilnie wpatrywał się w ekran. – Wilson, widzisz coś?

– Nic. Żadnego ruchu.

– Podczerwień?

– W podczerwieni to samo – odparł sierżant. – Tam nikogo nie ma, w każdym razie na zewnątrz.

Oczywiście, że nie ma. Finagan wiedział o tym dobrze. Mimo to musiał się trzymać procedur. Było mu coraz zimniej. Wiele dałby za kubek kawy. Co za diabli przywiali go na tę dziką skałę?

– Dobra. Wyłącz Cyklopa.

– Tak jest. – Wilson odłożył ekran, po czym zaczął manipulować przy komunikatorze. Gdy odezwał się ponownie, zdziwienie w jego głosie w nie potrafiło zamaskować głębokiego zaniepokojenia. – System nie był aktywny, panie kapitanie.

– Poważnie? – zapytał Finagan, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku. Pod nazwą Cyklop krył się system zawiadujący ochroną bazy. Wyposażony w liczne, monitorujące bliższe i dalsze otoczenie sensory, miał do dyspozycji potężne, różnorodne uzbrojenie, którego w sytuacjach zagrożenia mógł używać bez konsultacji z człowiekiem. Na Ziemi uważano, że jest niezwyciężony. Zdecydowanie powinien pracować w trybie aktywnym. – Bogart, przełącz mnie na kanał bazy. Już? Baza misji Polaris, tu kapitan Robert Finagan. Zgłoście się. Baza misji Polaris, zgłoście się.

Cisza przerywana trzaskami statycznymi była jedyną odpowiedzią.

– Zdziwiłbym się, gdyby ktoś tam był – zakomunikował Bogart.

Kapitan przez chwilę przypatrywał się zabudowaniom. Rozmazana deszczem zielonkawa szarość. Wycie wiatru, ponuro rezonujące w ciszy. Martwota.

Znów poczuł dreszcz, silniejszy. Miał na koncie wiele zakończonych sukcesem operacji. Wiele zwycięstw. Całą ścianę odznaczeń i pochwał. Żadna z misji nie

odbywała się jednak na skalistej, dzikiej planecie, oddalonej od Ziemi o trudną do wyobrażenia odległość.

Zaczął drętwieć mu kark.

– Dobra – powiedział. – Puszczamy robota. Otworzy drzwi.

Wilson sens polecenia odczytał jako brak zaufania.

– System naprawdę jest nieaktywny, kapitanie – oświadczył z naciskiem.

– Mamy do czynienia z najbardziej zaawansowanym systemem bojowym, jaki został stworzony przez człowieka, sierżancie – odparł spokojnie Finagan. – Jak mu się coś odwidzi, wolę, żeby strzelał do robota niż do mnie.

– To maszyna. Jest wyłączona.

– Dasz za to głowę? – Finagan nie odwracał się. Patrzył w stronę bazy. Miejsce zostało dobrze wybrane. Miało naturalne właściwości obronne. Sierżant odpowiedział milczeniem. – No właśnie.

– Ja tam też wolę iść na pewniaka – Bogart pokiwał głową z aprobatą, zerkając niemal triumfalnie na Wilsona.

Rywalizacja obu dowódców sekcji nieraz przyprawiała Finagana o ból głowy. Coraz częściej dochodził do wniosku, że w kosmos powinni latać wyłącznie idealistycznie nastawieni naukowcy, a nie pełniący rolę astronautów, żołnierze sił specjalnych o osobowościach samców alfa. – Uruchamiam robota.

Chwilę później niewielka gąsienicowa maszyna zaczęła pełznąć w kierunku zabudowań. Podskakując na nierównościach gruntu, kilkukrotnie musiała objeżdżać co większe głazy. Po dwóch minutach, wypełnionych pełnym napięciem milczeniem, dotarła do wejściowych wrót. Chwilę później zameldowała, że wejście jest otwarte.

Finagan przełknął ślinę. Silniejszy od innych podmuch wiatru niemal go wywrócił.

– Pierwsza sekcja, naprzód – zakomenderował, wzdrygając się po raz kolejny.

\*\*\*

Weszli.

Brodząc w pełnej napięcia ciszy, zanurzyli się w ciemnej, ponurej martwocie, w miejsce noktowizorów używając, podczepionych pod lufy, silnych latarek. Baza



powitała ich nieświeżym, zatechłym powietrzem i wilgotnym chłodem. Świetliste ostrza przecinały mrok. Czuli bicie własnych serc. Mimo wytłumiającej hałas syntetycznej podłogi każde klaśnięcie gumowych podeszew wojskowych butów brzmiało niczym wystrzał. Za każdym załomem korytarza, za każdymi ręcznie otwieranymi drzwiami – elektryczne siłowniki, podobnie jak i pozostałe urządzenia bazy, nie działały – spodziewali się ataku, napaści, diabli wiedzą czego.

Sprawdzali pomieszczenie po pomieszczeniu.

Pochylony nad kolimatorem, z kolbą przyklejoną do ramienia, Finagan szedł jako ostatni, modląc się, by ten marsz przez ciemność zakończył się wreszcie. Niepewność wprost go przygniatała. Wolałby od niej choćby najgorszą prawdę. W gruncie rzeczy cały czas czekał, aż coś się wydarzy – znajdą martwą załogę, ktoś ich zaatakuje, baza wyleci w powietrze... Przed wylotem dyrektor Aero Space udostępnił mu wszelkie materiały na temat wydarzeń z udziałem członków misji Polaris. To wystarczyło, by uruchomić wyobraźnię. Może nie powinien był tego czytać.

– Czysto – zadudnił gdzieś z głębi, pełen ulgi, głos Wilsona.

Bogart, przeszukujący część gospodarczą, nie pozostał rywalowi dłużny. Zawsze starał się, by ostatni głos należał do niego.

– Czysto. Nikogo nie ma, kapitanie – krzyknął.

Finagan odetchnął z ulgą. Czuł strużki potu, spływające wzdłuż kręgosłupa, choć w bazie panowała temperatura najwyższej siedmiu stopni Celsjusza.

– Dobra. Bogart, do mnie.

Rosły sierżant wyłonił się z ciemności.

– Nagrywamy – rozkazał kapitan. Po czym poczuł przyływ irytacji. – Wilson, możesz uruchomić to cholerne zasilanie?

– Działam, szefie.

Bogart uśmiechnął się pod nosem, biorąc do ręki kamerę – lubił, jak rywal nie nadaża.

– Dobra, jestem gotowy – powiedział. – Może pan zaczynać.

Finagan chrząknął.

– Mówi kapitan Robert Finagan, dowódca misji ewakuacyjnej. Raport numer dwa. Odbiorca: szef misji Polaris, dyrektor Bill Sherman, Ziemia, Aero Space. Jest

piąty maja dwa tysiące trzydziestego siódmego roku, godzina dziewięta trzydzieści czasu pokładowego. Jesteśmy w bazie głównej misji Polaris na Alfie. Wewnątrz oraz w najbliższym otoczeniu brak śladów załogi. Rozpoczynamy szczegółowe przeszukanie bazy.

Dowódca misji nie zdążył zrobić nawet kroku, gdy nagle, tuż obok, coś huknęło. Finagan zareagował instynktownie: skoczył w bok, przetoczył się przez prawe ramię, po czym zastygł w pozycji klęczącej, z palcem zaciśniętym na spuście karabinu. Starał się uspokoić oddech, w każdej chwili spodziewał się, że wyskoczy na niego z ciemności coś, przed czym nie będzie miał szans się obronić. Omiatając pomieszczenie promieniem latarki, wyłowił z ciemności zafrasowaną twarz Bogarta. Sierżant stał tam, gdzie poprzednio, uśmiechając się przepaszająco.

– To tylko szklanka, szefie. Sorry.

– Jezu, Bogart, nie strasz ludzi.

– Ciasno tu.

– Po prostu się nie spiesz.

Bogart kopnięciem odesłał szklane szczątki pod blat.

– Dziwne, nie? – rzucił. – Porządek, jakby przed chwilą sprzątaczką wyszła. A ile minęło... Dwa i pół roku?

– Nie martw się tym na razie. Skup się na filmowaniu. Musimy mieć każdy detal, rozumiesz?

– Jasne.

Zabrzęczało. Błysnęły zawieszona pod sufitem lampy. Finagan zmrużył oczy. Wyłączył zamocowaną do karabinu latarkę.

– Panie kapitanie, mamy zasilanie – dobiegł ich głos Wilsona. Po chwili dowódca drugiej sekcji wszedł do pomieszczenia. Zignorował obecność Bogarta. Mówił wyłącznie do Finagana. – Komputer powinien pracować.

– Dobra. Bogart, postaw kamerę tak, żeby mnie było widać, a potem przeszukaj bazę jeszcze raz, z detalami.

– Tak jest – odparł Bogart i opuścił pomieszczenie. Finagan odwrócił się w stronę sierżanta.

– Już?

– Tak – potwierdził Wilson. – Można się logować.

– Komputer pokładowy Gilbert. Mówi kapitan Robert Finagan, dowódca misji ewakuacyjnej.

Odpowiedziała mu cisza, zakłócona tylko dalekim burczeniem jakiegoś agregatu.

– On mnie słyszy? – upewnił się kapitan.

Wilson zerknął na zamocowany na lewym przedramieniu czytnik.

– Odczyt wskazuje, że tak.

– Komputer Gilbert. Mówi kapitan Robert Finagan, dowódca misji ewakuacyjnej. Odezwij się.

Nadal słyszeli ciszę. Głos, który ją przerwał, dobiegł z zawieszonych pod sufitem głośników. Był zgrzytliwy, sztuczny, odpychający.

– Informuję, że obowiązuje procedura poziomu czwartego – zakomunikował.

Finagan nawet nie poczuł się zdziwiony. Jeszcze nie.

– Kod autoryzacji: Alfa, Charlie, jeden, siedem, jeden, dwa, Delta, Zulu, Alfa, trzy, pięć, dwa – wyrecytował, starannie oddzielając wyrazy.

– Przyjąłem – odparł głos. – Brak uprawnień do poziomu czwartego.

– Komputer pokładowy Gilbert....

– Słyszałem pana, kapitanie. Obowiązuje czwarty stopień procedury.

Finagan zerknął na sierżanta. Wilson nawet nie starał się ukryć zaskoczenia.

– Są trzy stopnie procedury. – Jego głos nie zdradzał nadmiernej pewności siebie. – Nie ma czegoś takiego jak poziom czwarty.

– No właśnie.

– Procedura poziomu czwartego została utworzona na potrzeby aktualnej sytuacji – wtrącił Gilbert.

– Przedstaw sytuację.

– Nie ma pan uprawnień do otrzymania raportu. – Finagan był niemal pewny, że usłyszał w odpowiedzi satysfakcję.

– Moje uprawnienia są pełne.

– Były. Teraz nie są.

Starał się zachować spokój. Nigdy nie ufał maszynom. Osobiście uważał, że nadanie komputerowi zbyt dużej autonomii może obrócić się przeciw ludziom,

k którzy go stworzyli. Prawdopodobnie czytał w młodości zbyt wiele kiepskiej literatury SF.

– Nie ty o tym decydujesz, Gilbert – oznajmił. – Moje uprawnienia obowiązują również na Alfie.

Słowa zapadły w pustkę. Gilbert milczał.

– Gilbert?

– Nie zadał pan żadnego pytania, kapitanie.

Przemądrzały elektryczny skurwiel, pomyślał dowódca misji.

– Co to jest poziom czwarty procedury?

– Blokada informacyjna. Nie ma pan uprawnień.

– Kto autoryzował poziom czwarty?

– Pan.

To już było więcej niż dziwne. Finagan zerknął na sierżanta. Wilson nieznacznie wzruszył ramionami. Kapitan poczuł się nagle bardzo zmęczony. Spodziewał się większego wsparcia ze strony swojego głównego specjalisty od IT.

– W takim razie, zmień poziom z czwartego na trzeci – polecił bez większej nadziei, mając jednak w pamięci, że wszystko jest rejestrowane i zostanie przekazane na Ziemię.

– Odmawiam, nie ma pan uprawnień... – Sztuczny głos był tak samo zgrzytliwy jak wcześniej, ale tym razem Finagan nie miał wątpliwości: Gilberta cała sytuacja najwyraźniej bawiła.

– Tak się chyba nie da, co, Wilson?

– Raczej nie.

– Wgraj mu fabryczne oprogramowanie.

– Oczywiście. To trochę zajmie.

– To znaczy?

– Kilka godzin. Może więcej.

– Poważnie?

– Musimy mieć synchronizację ze statkiem podczas restartu, poza tym interesują nas dane z pamięci operacyjnej. Nie chcę wyciąć więcej niż trzeba.

– Wilson, muszę jak najszybciej pogadać z tym pieprzonym elektrycznym kretynem. Chcę wiedzieć, co się stało, zanim zrobimy kolejny krok.

– Nie ma pan uprawnień do poziomu czwartego procedury, kapitanie Finagan – ponownie wtrącił się do rozmowy Gilbert. – To pański rozkaz. Mam odciąć wszystkich, łącznie z panem.

– Zamknij się, Gilbert – krzyknął Finagan. Tym razem nie mógł się powstrzymać, choć wiedział, że złoszczenie się na komputer nie ma najmniejszego sensu. Unikał wzroku Wilsona. Sierżant zbyt dobrze go znał, by nie odgadnąć, że dowódcę misji ogarnia frustracja.

Szum otwieranych drzwi zaanonsował wejście Bogarta.

– Szefie, sprawdziliśmy wszystko do końca –zaraportował sierżant. – Czysto. Cisza i spokój. Nikogo nie ma.

– Żadnych śladów? Krew? Cokolwiek? – zapytał Finagan, zadowolony, że choć na chwilę może zająć się czymś innym niż rozmową z przemądrzałą i upartą maszyną.

– Nic. Rzeczy osobiste ułożone, jakby przed chwilą przyjechali, zapas jedzenia, woda, zasilanie i tak dalej. Wszystko gra. Nawet kurzu nie ma.

– Pobraliście próbki osadu z filtrów?

– Tak jest. Wodę ze zbiorników też. Już to badamy. Ale ja tam nie wierzę, że oni się czymś zatruli. Dobrze znam majora Higginsa. On jest za cwany na takie numery.

– Nie prosiłem was o opinię, sierżancie – odparł Finagan głośniejszym głosem niż zamierzał. – Chcę jak najszybciej znać wyniki badań. Dopilnujcie tego.

– Tak jest.

Bogart wyszedł. Kapitan głęboko odetchnął.

– Gilbert, spróbujmy jeszcze raz – powiedział spokojnie. – Posłuchaj mnie uważnie. Dowodzę misją ewakuacyjną załogi Polarisa. Na Ziemi otrzymałem wszelkie uprawnienia decyzyjne. Rozumiem, że tu wydarzyło się coś takiego, co wymusiło stworzenie nowego stopnia procedury. I pewnie uzgodniłeś to z majorem Higginsem. Jednak jego tu nie ma i dopóki się nie znajdzie, ja jestem głównodowodzącym. Moim zadaniem jest odnalezienie załogi i bezpieczne wywiezienie wszystkich na Ziemię. Musisz mi pomóc. Potrzebne mi są dane z ostatnich dwóch tygodni pobytu załogi w bazie.

– Pan jest jednak zabawny, kapitanie – Finagan głowę by dał, że Gilbert się uśmiechnął. Atmosfera absurdu gęstniała. – Nie rozmawia pan z człowiekiem. Mnie nie można przekonać argumentami natury emocjonalnej. Powtarzam: blokada została wprowadzona na pański rozkaz.

– Nie staram się być zabawny i to nie były argumenty emocjonalne. Odwołuję rozkaz o blokadzie.

– Nie ma pan uprawnień.

– To jakaś paranoja – wybuchnął Wilson. – Jeszcze nie widziałem, żeby komputer pokładowy najwyższej kategorii zachowywał się w ten sposób.

Finagan rozejrzał się. Martwe światło. Martwe wnętrze. Martwy w gruncie rzeczy, gadający automat. Jakże daleko było do Ziemi.

– Gilbert, co jest twoim naczelnym celem? – zapytał najspokojniej, jak potrafił.

– Zbieranie danych z sensorów, segregowanie danych, analiza położenia, wariantowanie strategiczne...

– Nie cytuj mi tu instrukcji obsługi, dobrze? – Cierpliwość. I pokora wobec potęgi nieprzewidzianego. Tym musiał się kierować, choć jedyne na co miał ochotę, to podłożyć ładunek wybuchowy pod serwer i zatkać gębę temu przemądrzałemu urządzeniu, któremu ktoś, zapewne w najlepszej wierze, wprogramował zbyt wiele algorytmów. Czuł, że drętwieją mu mięśnie twarzy. – Co jest twoim naczelnym celem?

– Wszechstronna pomoc załodze.

– Otóż to. Przyleciałeś tu jako siódmy członek załogi i twoim głównym zadaniem była pomoc ludziom i chronienie ich. Najwyraźniej zawiodłeś, mimo procedury poziomu czwartego i blokady informacyjnej.

– Szybko pan wyciąga wnioski, kapitanie Finagan. Pytanie czy właściwe.

– Podaj właściwsze.

– Pan myśli, że człowiek poradziłby sobie lepiej?

– Odpowiem ci, jak będę znał sytuację.

– Jednak jest pan zabawny – ciągnął komputer. – Pan już zna odpowiedź. Nie jest w moim interesie, żeby podać dane, które tylko pana utwierdzą w przekonaniu o mojej winie i pomogą w zbudowaniu aktu oskarżenia.

Gadanina o interesie maszyny na dobre przeniosła rozmowę do kategorii fantastycznych.

– Oskarżanie cię nie leży w moich kompetencjach – wycedził, dziwiąc się, że nie krzyczy.

Gilbert nie uznał za stosowne odpowiedzieć.

– Gdzie jest załoga? – drążył Finagan.

– Procedura poziomu czwartego. Przykro mi.

Komputer, któremu przykro. Zapewne szczerze. Finagan coraz łatwiej przechodził od wściekłości do rozbawienia i z powrotem. Może klaustrofobiczna atmosfera martwej bazy zaczynała popychać go w stronę szaleństwa. Co nie byłoby takie złe, pomyślał z przeblyskiem wisielczego humoru.

– Czy oni żyją?

Cisza. Wilson kręcił głową z niedowierzaniem.

– Gdzie ich znajdę?

Nic.

– Gilbert, tu nie chodzi o twoje urażone ego. Rozumiesz to?

Wilson zabębnił palcami po blacie.

– To beznadziejne, kapitanie – rzucił, również wściekły. Z głębi pomieszczeń dochodził szmer rozmów żołnierzy.

– Wilson, czy komputer może oszaleć? – zapytał, do głębi już sfrustrowany Finagan. – Teoretycznie?

– Nie. Nawet teoretycznie. Jest jakoś zainfekowany, to wszystko.

– Przypominam, że nie jestem zwykłym komputerem – odezwał się Gilbert. – I nie jestem zainfekowany.

– Nie odzywaj się niepytany.

– Ostrzegam, że przeprogramowanie mnie jest niemożliwe.

– Działaj, Wilson – syknął Finagan. – Nie ma innego wyjścia. Bądź ostrożny. Chcę odzyskać dane.

Usiłował sam sobie wytłumaczyć, że szydercze tony chropowatego, jakby zardzewiałego głosu maszyny są tylko wytworem jego przemęczonej wyobraźni; nadal jednak w głowie pobrzmiwał pogłos niedawnej myśli, że komputer



naigrawa się z niego. W efekcie Gilbert osiągnął tyle, że szef misji ratunkowej zaczął pokonanie go traktować osobiście.

– Mój system operacyjny i pamięć są niezależne, jednak z przyczyn oczywistych nie jest możliwe udostępnienie jakichkolwiek danych – zgrzytliwie oświadczyła maszyna.

– Wilson, a gdyby odciąć mu zasilanie?

– To nic nie da – wypluł z siebie komputer. – Jestem zasilany niezależnie od otoczenia. Mikrostop, w samym jądrze systemu. Musielibyście użyć ładunku wybuchowego, co jest oczywiście bez sensu, bo utracicie wszystkie dane.

Przez chwilę milczeli.

– Dobra – westchnął Finagan. Miał zadanie do wykonania, niezależnie od swojej urażonej ambicji. – Jak chcesz. Jedno pytanie, a potem się odcepię. Odpowiesz?

– To zależy od jego charakteru.

– Czy grozi nam niebezpieczeństwo?

– Odpowiem pytaniem: jakie niebezpieczeństwo może grozić martwym, kapitanie Finagan?

Dowódca misji nie zdążył jeszcze w pełni zrozumieć znaczenia tych słów, gdy powietrze rozdarł ogłuszający jęk syreny alarmowej. Zaraz potem dołączył do niego ludzki krzyk, potem grzmot długiej serii karabinu maszynowego; równolegle huknęło potężne wyładowanie, jedno, drugie, trzecie. Odgłosy bitwy zlały się w jedną piekielną kakofonię. Baza drżała w posadach. Na moment przygasło światło, potęgując nastrój grozy.

Nagle wszystko ucichło jak ucięte nożem. Echo dudniło przez moment, a potem zapadła kompletna, niemal namacalna cisza, zakłócana jedynie burczeniem agregatu prądotwórczego.

## **LIPIEC 2032 ROKU / ZIEMIA**

Było siedemnaście minut po czasie.

Kilkudziesięciu dziennikarzy, z których tylko niewielka część autentycznie interesowała się kosmosem i możliwościami jego eksploracji, już od dawna otwarcie okazywało zniecierpliwienie. Salę prasową agencji Aero Space wypełniał

coraz głośniejszy zgiełk rozmów, skrzywienia krzeseł i połączeń telefonicznych. Atmosfera święta, o ile była czymkolwiek udziałem przed konferencją, ulotniła się bezpowrotnie.

W odróżnieniu od kolegów po fachu, Susan Montero, pochłonięta przeglądaniem notatek zawierających wszystko to, czego udało jej się – najczęściej nieoficjalnie – dowiedzieć na temat misji Polaris, nie była ani zdenerwowana, ani zniecierpliwiona. Doskonale wiedziała, że konferencje prasowe potrafią opóźnić się znacznie bardziej niż o kilkanaście minut. Jej zawodowe życie w znaczącej mierze składało się z czekania. Nauczyła się być cierpliwa – cierpliwością przyczajonej do skoku mureny.

Miała pięćdziesiąt jeden lat i cieszyła się renomą aroganckiej outsiderki. Zdecydowana większość kolegów po fachu traktowała ją jak powietrze; palców jednej dłoni wystarczyłoby, aby policzyć ludzi, którzy darzyli Susan sympatią. Miała to gdzieś. Opinie środowiska nic jej nie obchodziły – jego przedstawiciele miała zresztą za bandę zakochanych w sobie durniów, a w najlepszym razie, pozbawionych talentu grafomanów. Ona sama uważała się za coraz mniej potrzebnego ostańca dawno przeszłych czasów, niemal dinozaura, tak co do metod, jak i poglądów. Nie umiała jednak niczego innego i już dawno zaakceptowała fakt, że treścią jej życia była i pozostanie praca.

Praca psa tropiącego.

Była rasową dziennikarką śledczą w starym stylu i wolnym strzelcem. Przeszkody tylko ją napędzały. Im większe, tym bardziej. Sprzedawała redakcjom nie artykuły, a wieloodcinkowe cykle, w których ze szczegółami opisywała systemy działania przekrętów, oszustw, skandali, manipulacji, zdrady. Na koniec nieodmiennie wskazywała winnych. Mimo, iż ze znanstwem opisywała mechanizmy, miała pełną świadomość, że zawsze stali za nimi konkretni ludzie. Kochała obdzierać możliwych tego świata ze skóry. W swych publikacjach zawsze przedstawiała mocne, niemal procesowe dowody. Była precyzyjna, nieustępliwa i zabójczo skuteczna; gdy brała kogoś pod lupę, ów ktoś mógł żegnać się z karierą; bywało, że i z wolnością. Nie zdarzyło się, by opisani politycy czy biznesmeni uniknęli mniej czy bardziej dolegliwych konsekwencji.

Od pewnego czasu starała się zrozumieć mechanizmy rządzące przedsięwzięciem zwanym oficjalnie „Misją Polaris”. Przygotowania trwały blisko pięć lat, pochłonęły astronomiczne kwoty i właśnie zostały zakończone.

Zaangażowano najlepszych specjalistów z obu stron Atlantyku. Korzystając ze specjalnie na tę okazję wypracowanych rozwiązań technicznych, na orbicie okołozemskiej zbudowano ogromny statek, który miał ponieść załogę do odległych rejonów kosmosu.

Ta chwila zbliżała się wielkimi krokami.

Susan początkowo niewiele to obeszło. Kosmos nie był jej żywiołem. Nie interesowała się doniesieniami na temat lotów na Marsa czy odkryć astronomów, nie była nawet fanką literatury fantastyczno-naukowej. Zapewne tak by pozostało, gdyby przypadkiem nie natrafiła na którymś z portali na krótką i utrzymaną w sensacyjnym tonie notkę, informującą, że gigantyczne przedsięwzięcie, organizowane wspólnie przez Stany Zjednoczone i Unię Europejską, w dużej mierze finansuje (zyskując tym samym znaczny wpływ na jego przebieg) pewna prywatna korporacja. To ją zaintrygowało. Słyszała o tej firmie. Działalność Real Life była tak odległa od wypraw kosmicznych, jak to tylko możliwe.

Niejako siłą rutyny przeszła od zastanowienia do ciekawości. Zaczęła zadawać pytania. Nikt nie kwapił się do odpowiedzi. Zaczęła drążyć, ale jej wysiłki spełzały na niczym; w zasadzie głównie odbijała się od ściany. Szybko zorientowała się, że czeka ją najtrudniejsze zadanie zawodowego życia. Pojawiła się na dzisiejszej konferencji prasowej, kolejnej już, choć wiedziała, że najpewniej znów straci czas – cennych informacji nie zdobywa się na konferencjach prasowych – ale chciała zobaczyć, czy nie uda się kogoś sprowokować do szczerości. Atmosfera zdenerwowania i irytacji części, pozał się Boże kolegów po fachu, mogła być nawet w tej sytuacji sojusznikiem.

W końcu boczne drzwi otworzyły się i do sali gęsiego weszło osiem osób, prowadzonych przez szpakowatego, barczystego mężczyznę o przenikliwych, szarych oczach. Sześcioro z nich – trzy kobiety i trzech mężczyzn, już z daleka wyglądających na żołnierzy – było ubranych w zielonkawę kombinezony z naszywkami Aero Space. Przybyli zajęli miejsce przy długim stole. Dla ułatwienia pracy dziennikarzom ich funkcje i nazwiska wypisano na niebieskich, dużych tabliczkach.

Rozmowy przycichły.

Szpakowaty chrząknął. Lekkie sprzężenie mikrofonu, mimo iż szybko stłumione przez technika, wywołało na jego twarzy grymas niezadowolenia.

– Dzień dobry, witam państwa na oficjalnej przedstartowej konferencji prasowej misji Polaris – rozpoczął wystąpienie mężczyzna. W jego głosie brzmiała pewność siebie człowieka obdarzonego władzą i robiącego z tej władzy właściwy pożytek. Susan wiedziała, że w dużej mierze jest to poza. – Nazywam się Bill Sherman, pełnię funkcję dyrektora naczelnego agencji Aero Space i koordynatora projektu. Podczas startu, w czasie lotu oraz w trakcie pobytu członków załogi na Alfie, będę szefem misji. Przedstawiam też Janet Lee, dyrektor zarządzającą i największą akcjonariuszkę serwisu Real Life, naszego partnera biznesowego.

Siedząca obok niego kobieta o klasycznych, regularnych rysach, uśmiechnęła się przyjaźnie. Była pewna siebie i całkowicie pozbawiona skrupułów, co zresztą ukrywała. Jej oficjalna biografia głosiła, że obecny status społeczny zawdzięcza wyłącznie ciężkiej pracy i wyrzeczeniom, co z rzeczywistością pozostawało w nader luźnym związku.

– Witam państwa – powiedziała miłym, melodyjnym sopranem.

– Szczegółowe informacje na temat misji zostały państwu przedstawione w materiałach prasowych – ciągnął Sherman. – Mam nadzieję, że wszyscy je dostali?

Sala zareagowała jedynie trzaskiem migawek i kilkoma zdawkowymi gestami. Pytanie było retoryczne. Służba prasowa agencji działała bardzo sprawnie.

– Widzę, że tak. – Sherman również zdobył się na uśmiech, znacznie jednak oszczędniejszy od uśmiechu Janet Lee. – Nie będę zatem powtarzał szczegółów, dla porządku powiem tylko to, co najważniejsze. Osiem lat temu jeden z naszych orbitalnych teleskopów zaobserwował między orbitą Jowisza a Saturna zaburzenie grawitacyjne o nieznanym pochodzeniu i intrygujących właściwościach. Wysłana na rekonesans sonda o nazwie Space Observer One przyniosła odkrycie, które stało się fundamentem zorganizowania misji Polaris. Zaburzenie grawitacyjne okazało się rodzajem tunelu czasoprzestrzennego, obrazowo mówiąc: wrót, prowadzących na skróty do Galaktyki Andromedy. Od razu powiem: nadal nie do końca rozumiemy mechanizm powstania, a także działania tunelu, doskonale natomiast pojęliśmy praktyczne skutki jego zastosowania. Coś, co jeszcze niedawno wydawało się nieosiągalne – czyli podróż nie tylko do innych gwiazd, ale do innej galaktyki – nagle okazało się możliwe do zrealizowania przy naszych obecnych środkach technicznych. Co więcej, wysłana na tamtą stronę tunelu kolejna sonda – Space Observer Two – po znalezieniu się

w nowym układzie gwiazdowym odkryła obecność planet skalistych, z których jedna nadaje się do zamieszkania przez człowieka. Wyniki wstępnych obserwacji są bardzo zachęcające: planeta jest tylko nieznacznie większa od Ziemi, ma atmosferę podobną do ziemskiej i bardzo zbliżoną grawitację. Stwierdzono obecność całkiem pokaźnej ilości znanych z Ziemi pierwiastków, a także, co najważniejsze, wody w płynnej postaci. Planetę na razie nazwaliśmy po prostu Alfa, potem najprawdopodobniej zastanowimy się nad jakąś przyjemniejszą nazwą. Jakby tego było mało i co jest naprawdę szokujące, sonda stwierdziła występowanie rozwiniętych ekosystemów, chociaż, chcę to wyraźnie podkreślić, nie napotkaliśmy na żadne ślady życia rozumnego, co może wynikać z faktu, że to stosunkowo młoda planeta. Krótko mówiąc, Alfa została przez nas oceniona jako warta szczegółowego zbadania, stąd decyzja o organizacji misji Polaris. Jej członkowie, jak wspomniałem, zostali wyselekcjonowani spośród kilku tysięcy kandydatów...

Susan nawet nie próbowała ukryć pogardliwego grymasu. Siedziała w drugim rzędzie, Sherman dobrze ją widział. Może dlatego nie próbowała.

– Blabla, blablabla, a wszyscy byli wspaniali i bardzo szkoda mi tych, którzy odpadli – mruknęła do siebie. Siedząca przed nią dziennikarka, młoda, ostro umalowana pracowniczka jednego z podrzędnych serwisów internetowych, nastawionych na sensację, odwróciła się i spojrzała na nią z naganą. Susan posłała jej beznamiętne spojrzenie; dziewczyna wróciła do słuchania Shermana.

– ... selekcja była najtrudniejszym etapem przygotowań, bo mieliśmy naprawdę znakomitych kandydatów – ciągnął szef agencji. – Szczerze żałuję tych, którzy nie dotarli do finału, no, ale miejsc było tylko sześć.

– No właśnie – ucieszyła się Montero.

– Co tam mruczysz, Susan? – zainteresował się Sherman.

– Zdawało ci się, Bill – odparła z niewinnym uśmiechem.

Sala zarechotała. To nie była pierwsza taka konferencja i nie pierwsza potyczka tych dwojga. W kularach szeptano o ich romansie. Susan nigdy tego nie dementowała; uznała, że głupie plotki ją bawią, poza tym często potrafiła je wykorzystywać do swoich celów.

– Udzielę ci głosu, nie martw się. Dobrze, przejdźmy do najważniejszych szczegółów misji. Po pierwsze: statek. Mogę bez przesady powiedzieć, że Polaris

jest najnowocześniejszym statkiem kosmicznym, jaki zbudowała ludzkość. Zbudowała go na dodatek w przestrzeni kosmicznej, bo jego masa całkowita, po załadowaniu wynosząca prawie sto tysięcy ton metrycznych, stała się zbyt duża, by wystrzelić go z Ziemi. Dzięki tak dużej ładowności możemy załogę wyposażać we wszystko, co potrzebne do wypełnienia misji oraz zapasy, pozwalające na przeżycie dziesięciu lat bez łączności z Ziemią – czego nie przewidujemy, ale staramy się mieć na uwadze każdy scenariusz. Polaris napędzają cztery elektryczne silniki jonowe najnowszej generacji, zasilane energią pochodzącą z reaktora jądrowego, dzięki czemu statek może rozwinąć prędkość pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Lot podzielony został na trzy fazy. Faza pierwsza: dolot za orbitę Jowisza, faza druga: przejście tunelu oraz faza trzecia: docelowy lot na Alfę. Łącznie statek pokona w sposób, że tak powiem tradycyjny, nie licząc odległości skróconej przez tunel grawitacyjny, ponad miliard kilometrów. Samo przejście przez tunel, według naszych obliczeń, zajmie kilka godzin, nie więcej niż pięć, jednak statek pokona w tym czasie odległość blisko dwóch i pół miliona lat świetlnych. Żeby państwu uzmysłwić, jak to daleko: gdyby używać tradycyjnego napędu, lot Polaris potwałby ponad pięćdziesiąt pięć miliardów lat. Dobrze państwo usłyszeliście: to cztery razy dłużej niż istnieje Wszechświat. Dzięki tunelowi podróż zajmie niespełna dwa i pół roku. Członkowie załogi będą znajdowali się przez większość czasu w płytkiej hibernacji. Statek w tym czasie kierowany będzie automatycznie przez komputer najnowszej generacji wykorzystujący technologię sztucznej inteligencji. Załoga zostanie wybudzona tuż przed dotarciem do celu. Po wylądowaniu i zbudowaniu bazy, jej głównym zadaniem będzie przeprowadzenie badań Alfę i przygotowanie szczegółowego raportu, dotyczącego warunków na niej panujących. Raport ten posłuży jako podstawa do decyzji o ewentualnej kolonizacji planety...

Pełną skupienia ciszę przerwał dzwonek telefonu. Ktoś zachichotał nerwowo. Przez twarz Shermana przemknął grymas niezadowolenia.

– Proszę państwa, proszę jednak o wyciszenie połączeń...

Korpulentny, siedzący w czwartym rzędzie facet wyciągnął ku górze dłoń. Nazywał się Williams.

– Przepraszam. To się już nie powtórzy.

– Zawsze pan tak mówi...

– I pan mi zawsze wybacz.

Sala ponownie zareagowała śmiechem. Sherman uznał, że może pozwolić sobie na okazanie odrobiny rozbawienia.

– Jednak proszę o spokój – zawołał.

Susan Montero skrzywiła się z niesmakiem.

– Może weźcie ślub i przestańcie zawracać ludziom głowy – mruknęła. Plecy siedzącej przed nią dziewczyny aż zatrzęsły się z udawanego oburzenia.

– No dobrze. Członkowie załogi są teraz do państwa dyspozycji. Oczywiście pani Lee i ja również. Ponieważ czas nas goni, prosimy, żeby każda redakcja ograniczyła się do jednego pytania. Proszę bardzo, redaktor Williams podniósł rękę jako pierwszy. Do czego już zdążyliśmy się przyzwyczać.

– A więc jednak lecisz na grubych łysoli, Bill – powiedziała Susan pod adresem pleców reporterki.

– Dziękuję – Williams wstał. – Mam pytanie do majora Higginsa...

Sherman wskazał siedzącego po drugiej stronie mężczyznę w ciemnozielonym kombinezonie. Major John Higgins niedawno przekroczył czterdziestkę i był w doskonałej formie fizycznej. Już z daleka wyglądał na operatora sił specjalnych z dużym doświadczeniem bojowym.

– Bardzo proszę.

– Panie komandorze, słyszeliśmy tutaj, że zostaliście państwo wybrani w wyniku starannej selekcji...

– O ja pieprzę... – skomentowała półgłosem Montero. Dziewczyna znów nie zareagowała, choć jej plecy zdradzały, że ma na to coraz większą ochotę.

– ...część z państwa ma doświadczenie z wojska, reszta została starannie przeszkolona, można powiedzieć, że w zasadzie każdy z was jest żołnierzem. Prawda?

– To było pańskie pytanie? – Swobodny głos Higginsa kontrastował z nieruchomymi oczyma, w których czaiło się napięcie.

– Każde z was ma oprócz tego przynajmniej jedną specjalizację w zakresie informatyki, inżynierii lądowej, elektroniki, biologii i tak dalej – ciągnął niezrażony Williams. – I jeszcze jedno: członkowie załogi to trzy pary, trzy starannie dobrane małżeństwa, z co najmniej dziesięcioletnim stażem.



– Panie redaktorze, proszę do rzeczy – zniecierpliwiał się Sherman. – To wszystko już wiemy.

– Ale chętnie posłuchamy jeszcze raz – wtrąciła Susan. Reporterka tym razem odwróciła się i spojrzała z prawdziwym obrzydzeniem na Susan, ale nie zdecydowała się na energiczniejszą reakcję.

– Tak, przepraszam bardzo, już. Otóż szef misji był łaskaw stwierdzić, że takie ustawienie kryterium doboru pozwoli uniknąć konfliktów, że tak powiem, damsko-męskich, co w innym przypadku, przy długim przebywaniu ze sobą w ciasnej przestrzeni, byłoby nieuniknione. Może, nie wnिकam. Jak w takim razie ma się to do faktu, że pan komandor John Higgins, dowódca wyprawy, jeszcze pół roku temu był w separacji ze swoją żoną...

Sherman składał się niemal wyłącznie z niesmaku.

– Panie Williams, może jednak zajmijmy się poważnymi sprawami – wycedził zjadliwie.

Williams miał jednak jasno wytyczony plan i nie zamierzał z niego rezygnować.

– A powodem separacji był fakt – zawołał, starając się przekrzyczeć Shermana – że został przyłapany przez policję na uprawianiu seksu ze swoją kochanką w samochodzie zaparkowanym w ścisłym rezerwacie, do którego, nawiasem mówiąc, nawet nie wolno wchodzić.

Susan aż westchnęła. Co za magiel. Już po wejściu na salę miała obawy, że konferencja okaże się stratą czasu, teraz z każdą minutą upewniała się, że przecucie jej nie zawiodło. Zresztą jak zwykle.

– Rozpoczynamy najważniejszą misję w historii lotów w kosmos, a pan pyta o takie rzeczy... – burknął Sherman. Zawtórowało mu kilka stłumionych pomruków. Zebrany na sali tłum kochał słowne przepychanki. Głównie dla nich zjawił się tak licznie.

– Wydaje mi się, że to ważne, panie Sherman – upierał się przy swoim Williams.

Sherman odwrócił się w stronę wywołanego do tablicy Higginsa.

– Nie musi pan odpowiadać, komandorze – stwierdził dyrektor Aero Space.

Williams zatrzepotał rękoma.

– Ja jednak sądzę, że komandor Higgins powinien odpowiedzieć na to pytanie – zawołał. – Twierdzenie, że od tej wyprawy zależy nasza przyszłość. I że jej

członkowie zostali dobrani w taki sposób, by zminimalizować ryzyko występowania konfliktów między nimi. Żeby działać jak perfekcyjnie zgrany zespół. Jak to się ma do jawnej zdrady małżeńskiej dowódcy?

Higgins chrząknął. Sherman uprzedzał go, że takie pytanie padnie. Wiedział, że nie ma na nie dobrej odpowiedzi.

– Tak. Myślę, że... – bąknął, po czym umilkł, poczuł bowiem na ramieniu dłoń swojej żony.

– Szef misji ma rację, mój mąż nie musi odpowiadać... – powiedziała Karen Higgins.

– Karen...

– Ale ja muszę. I odpowiem. – Trzydziestopięcioletnia blondynka o surowej, jakby nordyckiej urodzie dotknęła dłonią czoła. Gest był bezwiedny; miał ukryć zakłopotanie. John znał go dobrze. – Rzeczywiście, przez ponad rok byliśmy w separacji. Nie ukrywam, myślałam o rozwodzie. To, co zrobił John było straszne, było wielkim rozczarowaniem, bo w naszym małżeństwie zawsze obowiązywała zasada całkowitego zaufania. I lojalności. Zdrada jest pogwałceniem tej zasady.

– No właśnie – ucieszył się nieszczercze Williams. – Nigdy nie wiadomo, czy nie zdarzy się ponownie, na przykład na Alfie i nie myślę tylko o romansie...

– Nie. Nie zdarzy się – odparła Karen z pewnością w głosie.

– Skąd ta pewność?

– Po prostu wiem. Wyjaśniliśmy to sobie. Jestem pewna, że John nigdy więcej nie złamie danego słowa. Że wyciągnął wnioski.

– No... – Williams był w swoim żywiole. Kochał rozprawiać się z ogólnikami i pustosłowiem. Ale Sherman nie zamierzał pozwolić zamienić konferencji w cyrk większy niż to konieczne.

– Dobrze, koniec tematu, panie Williams – oświadczył twardo, po czym spojrzał na mężczyznę w ostatnim rzędzie, uparcie trzymającego rękę w górze. Znał go z kilku poprzednich briefingów. Facet miał niejaki pojęcie o temacie, co wcale nie wróżyło dobrze. – Pan Hardens?

– W sumie szkoda, że płomyczek miłości Shermana i Williamsa został zduszony w zarodku – mruknęła Susan pod adresem pleców. Reporterka odwróciła się ponownie i zmierzyła ją zimnym spojrzeniem. Susan zatrzepotała rzęsami i złożyła usta w dzióbek. Dziewczyna zde gustowana wróciła do słuchania.

– Paul Hardens, Associated Press – powiedział facet z ostatniego rządu, wstając.  
– Wspomniał pan o tunelu czasoprzestrzennym, który stanowi klucz do wyprawy.  
– Zgadza się.

– Prawdą jest także, że nie wiecie zupełnie, na jakiej zasadzie działa tunel. Sami to przyznajecie. Nie znacie jego budowy i skutków, jakie powoduje. Wiecie tylko tyle, że przeleciała przez niego sonda. Ale przypomnę – sonda była bezzałogowa. Nie macie pojęcia, jak przejście przez tunel oddziałuje na ludzki organizm. Czy nie uważacie, że to jednak zbyt duże ryzyko, wysłać załogową misję w podróż, w której jest tak wiele znaków zapytania?

– Wolałbym, aby nie wywoływał pan taniej sensacji – zaproponował Sherman. – Po pierwsze sonda nie tylko przeleciała, ale również, przez cały czas lotu, nadawała informacje. Mamy bardzo dokładną analizę warunków fizycznych, panujących podczas przejścia przez tunel. Nie było tam planetoid ani pyłu kosmicznego, nie odnotowaliśmy skoków grawitacji ani ciśnienia, obecności promieniowania – ani korpuskularnego, ani elektromagnetycznego, generalnie nie wystąpiły żadne czynniki, mogące zagrozić ludzkiemu organizmowi. Używając ziemskiego porównania, mamy trzypasmową, pustą autostradę do innej galaktyki.

– Niemniej nikt żywy tej autostrady nie pokonał. Wysyłacie ich z nieznane.

– Proszę pana, cała ta misja jest lotem w nieznane. Uczestnicy są świadomi ryzyka. Przypomnę, że wszyscy zgłosili się na ochotnika. To chyba wyczerpuje temat. Dziękuję, panie Hardens. Dajmy szansę innym. Na przykład redaktor Montero nie może się doczekać, aż zabierze głos, prawda Susan?

Dziennikarka ukryła zdziwienie. Szczerze mówiąc, spodziewała się, że Sherman ją zignoruje. No cóż, skoro pojawiła się okazja, grzechem byłoby z niej nie skorzystać.

– Oczywiście – przytaknęła. – Chcę wrócić do kwestii załogi, kluczowej w świetle faktu, że głównym sponsorem misji jest korporacja Real Life.

Przez twarz Shermana przemknął cień, co utwierdziło Susan w przekonaniu, że jej intuicja była trafna. Udział Real Life w locie, zaplanowanym z niespotykanym w historii kosmonautyki rozmachem, z pewnością był kwestią, którą warto drążyć na wszelkie możliwe sposoby, oficjalne i nie.

– Nie usłyszałem pytania – wycedził.

– Bardzo śmieszne, panie dyrektorze Billu Sherman. Jeszcze go nie zadałam. Ale proszę bardzo: czy istnieją jakieś niejawne kryteria, którymi kierował się pan przy doborze kandydatów?

– Mamy kolejną osobą, której nie interesuje podróż, tylko życiorysy członków załogi – zaperzył się dyrektor, ale ona zbyt dobrze go znała, by nie odgadnąć prawdziwej przyczyny złości. Sherman nie bał się tego, o co Susan zapyta. Bał się wniosków, do których dojdzie na podstawie odpowiedzi. – No dobrze: wszystkie kryteria były jasno określone i zostały...

– Miałam okazję obejrzeć akta innych kandydatów, którzy odpadli na ostatnim etapie selekcji – przerwała mu obcesowo. Akta były utajnione. Nie zamierzała się tłumaczyć, jakim sposobem zdobyła do nich dostęp. – Twierdzę, że nadawali się oni lepiej do pełnienia swej funkcji, natomiast gorzej wypadali... jak by to ująć... podczas sesji zdjęciowych.

– To insynuacja. – Szef misji poczerwieniał. Siedząca obok niego szefowa Real Life po raz pierwszy zaczęła okazywać nieudawane zainteresowanie przebiegiem konferencji. – Powtarzam: kryteria doboru załogi były ściśle określone. Uroda nie miała nic do rzeczy. Tylko kompetencje i określony stan cywilny.

– Czyli zaprzecza pan? – uśmiechnęła się słodko Susan. – Dobrze, kolejna kwestia. Dlaczego tylko małżeństwa miały szansę w ogóle stanąć do rywalizacji? Dlaczego szans nie mieli na przykład utalentowani i kompetentni single?

– Tłumaczyłem to już, zresztą w materiałach macie państwo obszerną analizę na ten temat. – Sherman wyglądał na człowieka, który w końcu poczuł grunt pod nogami. – Chodzi o psychologię i wewnętrzną dynamikę małych grup społecznych. Nie ma idealnego wyjścia, biorąc pod uwagę niemożność przewidzenia wszystkich czynników, oddziałujących na ludzką psychikę. A więc ze wszystkich wyjść nieidealnych wybraliśmy model załogi, złożonej z trzech zgranych małżeństw. Uznaliśmy, że jest zbliżony do optimum. Tu nie ma nic do ukrycia, Susan. Natomiast wszyscy wiemy o twoim zamiłowaniu do teorii spiskowych. Niedługo powiesz nam, że członkowie misji są rosyjskimi agentami...

– Ma pan na myśli aferę Ruskate, panie dyrektorze? – Susan rozejrzała się. Miała wrodzoną zdolność przykuwania uwagi, niezależnie od składu audytorium. Wszyscy z napiętą uwagą przysłuchiwali się wymianie zdań. – Przypomnę, że dowody, które wówczas zgromadziłam, doprowadziły do wykrycia rosyjskiej agentury i wydalenia jedenastu dyplomatów, którym udowodniono działalność

szpiegowską na rzecz Rosji. Co odczułam na własnej skórze, bo jak pan wie, padłam ofiarą zamachu. Ku zmartwieniu niektórych – nieudanego. Czyli, podsumowując, moje podejrzenia zazwyczaj są trafne...

– Wiem co przeszłaś, Susan, i współczuję ci. – W głosie dyrektora nie było ani grama współczucia, a jedynie z trudem hamowana irytacja. – Jednak w tym wypadku kryteria, o których mówisz, istnieją rzeczywiście tylko w twoich podejrzeniach. Nie dobieraliśmy uczestników misji pod kątem wyglądu zewnętrznego. Punktowaliśmy wyłącznie kompetencje. Wygrali ci, którzy mieli najwięcej punktów. I zostali starannie sprawdzeni, również przez kontrwywiad. Koniec tematu.

– Nie sądzę. Jeszcze sobie pogadamy, panie Sherman.

Usiadła. Była zła na siebie za ostatnią uwagę. Wielokrotnie przekonywała się, że lepiej nie zdradzać ofierze swoich prawdziwych intencji tak długo, jak się da. Dla niej temat wyprawy Polaris dopiero się zaczynał. Czuła, że może on być ukoronowaniem jej zawodowego życia. Nie zwracała uwagi na podniecone szepty dookoła. I trzask migawek, jakby fotografowie bardziej interesowali się nią niż astronautami.

Sherman musiał robić dobrą minę do złej gry.

– Kto z państwa następny?

– Małgorzata Walicka, Polska Agencja Prasowa. – Z krzesła podniosła się wysoka kobieta o słowiańskiej urodzie. – Mam pytanie do kapitana Jana Wagury. Czy spodziewacie się spotkać na Alfie istoty inteligentne?

– Sonda Space Orbiter Two nie odnotowała w układzie gwiazdowym żadnej sygnatury, świadczącej o istnieniu jakiegokolwiek cywilizacji – odparł drugi pilot wyprawy. Był niższy od Higginsa, ale bardziej muskularny. Jego życie składało się niemal wyłącznie z adrenaliny. Nade wszystko uwielbiał latanie i swoją żonę Magdę. Siedziała blisko. Czuł zapach i ciepło jej ciała. Był w swoim żywiole. – Nic nie wskazuje na istnienie istot inteligentnych na Alfie.

Wytłumaczenie oczywiście nie zadowoliło pytającej.

– To wyczytałam w newsletterze – stwierdziła z kwaśną miną Walicka. – Można nie mieć na jakiś temat stuprocentowych informacji, a i tak zakładać pewne rzeczy. Chciałabym wiedzieć czy przewidujecie możliwość spotkania z mieszkańcami planety?

Wagura spochmurniał. Zerknął na Higginsa. Major nieznacznie skinął głową. Spokojnie, zdawał się mówić. Za chwilę kończymy i zajmujemy się poważnymi sprawami.

– Powtarzam: według naszej wiedzy, na Alfie nie są obecne inteligentne formy życia –oznajmił kapitan najbardziej neutralnym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

– Unika pan odpowiedzi. – Dziennikarka nie dała się zbyć. – Zapytam inaczej: dlaczego, w takim razie, wszyscy jesteście żołnierzami z doświadczeniem bojowym i zostaliście wyposażeni w ciężką broń? W zasadzie można was nazwać misją stricte wojskową.

– Bo broń się świetnie sprzedaje – rzuciła na głos Suzan, nie mogąc się powstrzymać – zwłaszcza, gdy podczas transmisji na żywo trzymać ją będzie przy obfitej piersi błękitnooka blondynka.

Siedząca przed nią reporterka odwróciła się po raz kolejny. Tym razem nie zamierzała milczeć.

– Może się pani przymknąć? – syknęła. – Nie jest pani dowcipna.

– Dziecko, gdybyś była kimś więcej, niż głupiutkim berbeciem, wiedziałabyś, że w tym zawodzie bycie dowcipnym nie popłaca.

– Jak... – dziewczyna zapowietrzyła się. Poczzerwieniała, zwłaszcza że kilka siedzących najbliżej osób zachichotało.

Montero przewróciła oczami. Jej cierpliwość właśnie się skończyła. Poczowała, że jeśli opuści konferencję, nie stanie się nic złego. Zresztą, zaczynała być głodna.

– Przemyśl to, a tymczasem się pożegnamy – oświadczyła, po czym wstała i skierowała się do drzwi, odprowadzana nienawistnym spojrzeniem dziewczyny.

Konferencja trwała dalej.

– Charakter misji jest uzgodniony ze wszystkim rządami, uczestniczącymi w projekcie... – kluczył Sherman.

– Będziemy uzbrojeni, ponieważ możemy spotkać się z różnymi zagrożeniami – wtrącił Wagura, nie zważając na poszturchiwania siedzącej obok żony.

– No właśnie o tym mówię. Patrząc z punktu widzenia mieszkańców planety, wystąpienie wspomnianego „zagrożenia” prawdopodobnie będzie tylko odpięciem napaści...

- Nie mamy zamiaru na nikogo napadać.
- Zapytam wprost. Jakie macie wytyczne, gdy napotkacie mieszkańców Alfy i oni nie będą życzyli sobie waszej obecności? Macie wtedy odlecieć? Czy wymusić posłuszeństwo siłą?

\*\*\*

Susan Montero usłyszała za plecami szybkie kroki. A zaraz potem znajomy głos.

– Susan!

Odwróciła się. Perfekcyjna uroda i nienaganna figura, rodem z magazynów lifestyle`owych. Strój kosztował fortunę. W gruncie rzeczy nie spodziewała się, że szefowa Real Life zdecyduje się zaszczyścić ją rozmową. Kilkukrotnie próbowała się umówić z nią na wywiad. Za każdym razem bezskutecznie.

– Opuściła pani konferencję prasową, podsumowującą misję swojego osobistego statku kosmicznego? – zapytała.

Janet Lee zaśmiała się.

– Real Life ma zaledwie dwadzieścia procent udziału w kosztach misji, więc trudno, żebym nazwała Polarisą moim osobistym statkiem – odparła swobodnie.

– Cóż za skromność. Dwadzieścia procent to tylko połowa tego, co ma rząd Stanów Zjednoczonych, ale najwyraźniej wystarczyło, żeby narzuciła pani misji charakter telewizyjnego show.

– Przesada i to ogromna. – Głos życzliwy, bez najmniejszego śladu agresji. Rzeczowa mina. Czysta moc przekonywania. Janet Lee potrafiła być urzekająca, gdy uznała, że jej się to opłaci. – Nie chodzi o show, a o nieupudrowaną prawdę. Przekaz na żywo będzie niezwykle ważną częścią komunikatów z kosmosu. Misja jest nadzieją dla ludzkości. A przecież każdy z nas zasługuje na to, by wiedzieć, co tam się naprawdę dzieje.

– Nieupudrowaną... – kiwnęła głową Susan. – Jak bym słuchała reklamy w pani serwisie. Mnie się wydaje, że przede wszystkim zasługujemy na solidne wyniki badań, które pozwolą podjąć decyzję, co dalej. Tymczasem wysyłacie tam drużynę komandosów z kupą broni, którzy, załóżę się, wkrótce po wylądowaniu zaczną strzelać do wszystkiego, co się rusza; co, dziwnym trafem, okaże się pani firmie bardzo na rękę.



Szefową miliardowej korporacji trudno jest wyprowadzić z równowagi. Niemniej policzki Janet Lee nieco pociemniały.

– To bardzo obraźliwe, co mówisz – stwierdziła. – Sądziłam, że jesteś lepiej przygotowana, by rozmawiać o misji.

– Och, oczywiście, że jestem przygotowana do rozmowy. Chce pani pogadać o szczegółach? O średnicy równikowej Alfy, o promieniach orbit, inklinacji, okresie orbitalnym? O zasoleniu mórz? Rodzaju wiatrów? Składzie atmosfery? Ciężeniu? Pani mina sugeruje, że może kiedy indziej, co?

– Nie zgrywaj się Susan, to jest podręcznikowa wiedza, żywcem wzięta z Wikipedii. Też ją posiadałam. Powtórzę: członkowie załogi mają za zadanie przede wszystkim przetrwać. Dobieraliśmy więc ludzi, którzy temu podoleją. Kompetencje naukowe były oczywiście dla nas ważne, ale miały w gruncie rzeczy znaczenie drugorzędne. Misja będzie w dużej mierze zarządzana przez sztuczną inteligencję. Wyniki badań zostaną przesłane na Ziemię automatycznie, a całym procesem pokieruje Aero Space...

– ...a my będziemy mogli skupić się na show. Miejmy nadzieję, że któryś z nich jest gejem. Wielki coming out wśród gwiazd! Dobry Boże, to się przelicza na miliardy komentarzy.

– Źle nas oceniasz Susan.

Susan miała wielką ochotę zapalić. W tym miejscu było to nielegalne. Między innymi dlatego czuła, że pragnie tego coraz mocniej.

– Czego właściwie pani ode mnie chce?

– Chciałabym zaproponować ci udział w projekcie. Mam wakat na stanowisku szefa biura prasowego...

Susan skrzywiła się z niesmakiem. W gruncie rzeczy miała szefową Real Life za osobę subtelniejszą.

– Łapówka? – zapytała z zaciekawieniem. – Tak ordynarnie, bez owijania w bawełnę? Interesujące.

Janet Lee potrząsnęła głową.

– Składam ci propozycję pracy, w której możesz wykorzystać swoje niemałe kompetencje. I zobaczyc w praktyce, czym się kierujemy.

– Marna byłaby ze mnie pracownica korpo, pani prezes. Działam na własną rękę i jestem za stara na zmiany. Zresztą, nie robię tego, co mi każą, za dużo piję, a do

tego palę i mam sporą nadwagę. Proszę mi wierzyć, nie chce mieć pani na swej liście płac kogoś, kto ma własne zdanie na każdy temat.

– Ależ Susan...

– Powiem więcej, pani prezes – Susan ściszyła głos. – Wiem, że przekształcicie tę wyprawę w cyrk, zrobicie z niej światowy medialny show, jakiego jeszcze nie było, codzienną porcją mydlanej opery kosmicznej w każdym domu. Wam nie zależy na wynikach misji, wam zależy na taniej sensacji, najlepiej upstrzonej krwią, a jak uczestnicy misji wam jej nie dostarczą, spreparujecie ją. Głupota i wulgarność się najlepiej sprzedają, czyż nie? W gruncie rzeczy żal mi załogi, wyglądają na poważnych ludzi, którym na czymś zależy.

Susan podeszła bliżej, patrzyła wprost w ciemne, wyraziste oczy. Ściszyła głos.

– Zamierzam się dowiedzieć, kto i z jakiego powodu wydał zgodę na to, żeby jedną czwartą kosztów wyprawy kosmicznej, w której biorą udział najpotężniejsze rządy i która przedstawiana jest jako najważniejsze przedsięwzięcie w historii ludzkości, pokrył serwis, który zaczynał jako półpornograficzny portal randkowy i który zarobił miliardy na wchodzeniu ludziom do łóżek, narządów rodnych i odbytów. Może być pani pewna, że się dowiem. Żegnam.

Pomyślała, że za bardzo szarżuje i w gruncie rzeczy robi błąd. Nie znosiła teatralnych gestów (i podobnych przemówień), tym razem nie mogła jednak się powstrzymać. Spojrzała rozmówczyni prosto w oczy, po czym odeszła bez słowa. Zanim minęła otwarte drzwi, na chwilę się odwróciła. Janet Lee stała tam gdzie przedtem i obserwowała ją uważnie.

– Aha, jeszcze jedno – oznajmiła słodko Susan. – Nie jesteśmy po imieniu, pani Lee. Niech pani lepiej wraca na tę konferencję.

\*\*\*

Sherman kątem oka dostrzegł powracającą na swe miejsce Janet. Był spocony i wściekły. Miał dość. Nie zwrócił uwagi na jej zaciętą minę.

– Dobrze, następne pytanie – wycodził.

Gdzieś ze środka podniosła się czarnoskóra, wysoka kobieta.

– Margaret Nooran, BBC – przedstawiła się. – Wyprawa jest zorganizowana przez Stany Zjednoczone i Unię Europejską. Powiedzmy, że Polaris bez przeszkód dotrze na Alfę i raport będzie pozytywny. Zapadnie decyzja o kolonizacji planety.

Rozumiem, że będzie to dotyczyło tylko obywateli amerykańskich i Europejczyków z Unii? Tylko oni będą mieli szansę opuścić Ziemię?

Sherman zagotował się. Cholerni politycy. Cholerny szef NASA. Wystawili go na pożarcie tym hienom, a on na to pozwolił. Przez chwilę nie widział co powiedzieć. Poczul na udzie delikatne muśnięcie. Janet Lee starała się dodać mu otuchy.

– To spekulacje zbyt daleko wybiegające w przyszłość – zaprotestował chrypliwie.

– Ale warto zapytać już teraz. Nawet nie mówię, co z nami, Brytyjczykami, ale jak zostaną potraktowani mieszkańcy Azji? Afryki? Ameryki Południowej? Oni nie zasługują na lepszy los? Wszyscy wiemy, jakie są prognozy dla Ziemi.

– Pyta mnie pani o kwestie polityczne. Aero Space jest instytucją, mającą za zadanie zorganizowanie misji. Wybór ewentualnych przyszłych kolonistów nie należy do mnie.

Kobieta pokręciła głową z niesmakiem.

– Jakie to wygodne – stwierdziła. – Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Sherman westchnął. Dopiero ponieważ zorientował się, że stojący naprzeciw mikrofon doskonale to wychwycił i przekazał dalej. Sala już wcześniej zdawała sobie sprawę, że dyrektor Aero Space ma dosyć; teraz uzyskała potwierdzenie.

– Proszę, pani redaktor – powiedział słabo.

– Danielle La Valette, Agence France Presse. – Doświadczona, dobrze mówiąca po angielsku Francuzka, z miny sądząc, najwyraźniej zamierzała zadać cios decydujący. – Chciałabym jednak dowiedzieć się więcej na temat misji. Z waszych materiałów wynika, że w niedalekiej odległości od Alfy znajduje się jeszcze kilka innych planet. Są znacznie starsze od Alf. Z tego, co się orientuję, choć nie nadają się dla człowieka, nie można wykluczyć, że jednak jest na nich życie, może nawet życie rozumne. Jeśli się przyjmie takie założenie, istnieje możliwość, że misja Polaris zostanie zauważona. Co wtedy? Macie przewidziany scenariusz kontaktu z obcą cywilizacją?

Shermanowi zaczęło się kręcić w głowie. Janet Lee bezbłędnie wyczuła jego nastrój.

– Przecież kapitan Wagura już odpowiadał na to pytanie – zakomunikowała, emanując pewnością siebie. – Uczestnicy misji są przygotowani na każdą ewentualność.

– Czyli na kontakt z obcą cywilizacją również?

– Powiedziałam: na każdą ewentualność.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań...

Sala zaczęła szeptać. Sherman uznał, że przedłużanie tego przedstawienia przyniesie tylko dalszy uszczerbek i tak już nadszarpniętego wizerunku zarówno misji, jak i agencji. Oczyma duszy widział jutrzejsze nagłówki serwisów informacyjnych.

– Dobrze, myślę, że na tym skończymy – oświadczył, nie kryjąc zdenerwowania.

– Zapraszam państwa na ceremonię startu. Będzie transmitowana na żywo. Przygotowaliśmy specjalne pomieszczenie, w którym będziecie mogli obserwować wszystko, z najdrobniejszymi detalami.

Przestrzeń wypełniło szuranie odsuwanych krzeseł, prowadzone półgłosem rozmowy, śmiech, kroki. Sala pustoszała.

Janet Lee porzuciła neutralną minę. Nachyliła się do Shermana.

– Bill, ta konferencja to kompletna katastrofa, rozumiesz, prawda? Musimy poważnie porozmawiać o naszej strategii komunikacyjnej – rzuciła półgłosem, a potem, nie czekając na reakcję, odwróciła się szybko. Nie zamierzała na razie dyskutować z Shermanem. Miała ważniejszą sprawę do załatwienia. – Panie majorze, niech pan poczeka.

Higgins spojrział na nią zimno. Odkąd spotkali się po raz pierwszy, ponad rok temu, za każdym razem dawał jej wyraźnie do zrozumienia, że jej władza do niego się nie odnosi. Nie przyjmowała tego do wiadomości, czym on z kolei zupełnie się nie przejmował.

– Tak?

– Podczas występów publicznych musi pan okazywać więcej zdecydowania – oświadczyła. – Ludzie nie mogą widzieć dowódcy, który się waha, który nie okazuje pewności siebie...

Higgins zrobił dwa kroki w jej stronę. Musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Niech pani nawet nie próbuje – powiedział takim tonem, że cofnęła się odruchowo.

– Słucham?

– Od początku byłem przeciwny pomysłowi, żeby misja była transmitowana, zwłaszcza przez taki serwis jak Real Life – ciągnął. – Zgodziłem się, bo uważam, że żeby zrobić coś ważnego, trzeba czasami zapłacić. Ale to się może szybko zmienić.

– Dobrze rozumiem? – Z niesmakiem odnotowała, że straciła nad sobą panowanie. Tak się nie buduje przewagi, doskonale o tym wiedziała. – Pan mi grozi?

– Nie – pokręcił głowę z obojętnością, która ją zmroziła. – Czym może pani grozić człowiek, który ryzykuje życie, żeby pani mogła zarobić pieniądze? Po prostu informuję, co się stanie, gdy pani przekroczy granicę. Żegnam. Mam nadzieję, że się więcej nie zobaczymy.

## **GRUDZIEŃ 2034 ROKU / POLARIS**

Potężny próżniowy żeglarz mknął przez nieprzeniknioną czerń Galaktyki Andromedy z prędkością blisko czternastu kilometrów na sekundę i zbliżał się do celu podróży. Był osiemset dziewięćdziesiąty ósmy dzień lotu.

Przepastne wewnątrz opasłego kadłuba od blisko dwóch i pół roku wypełniała cisza. Zarówno silniki, jak i aparatura, nieustannie monitorująca podzespoły statku, pracowały niemal bezgłośnie. Załoga, spoczywająca w sześciu podłużnych, oszklonych od góry kokonach, spała jeszcze, choć miało się to niebawem zmienić.

Komputer pokładowy Gilbert po raz kolejny sprawdził parametry życiowe członków załogi. Wszystko było w najlepszym porządku. Ani sama podróż, ani przelot przez tunel czasoprzestrzenny nie wywarły negatywnego wpływu na organizmy astronautów.

Wysłał meldunek do dyrektora Aero Space, w którym poinformował, że lot przebiega dokładnie według harmonogramu, a statek znajduje się w odległości około dwudziestu pięciu milionów kilometrów od celu. Obserwacja Alfy nie przyniosła żadnych nowych informacji. Pierwotna ocena wydawała się prawidłowa. Zauważono około czterdziestu niewielkich planetoid, orbitujących wokół planety, a także dwa roje pyłu kosmicznego. Algorytm nie przewidywał

żadnych kłopotów, Gilbert zarządził jednak wypuszczenie osłon balistycznych. Oznajmił na koniec, że parametry fizjologiczne organizmów członków załogi są w normie oraz że włączył kamery streamingowe, które od tej pory miały podpatrywać astronautów dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Tuż po wysłaniu komunikatu komputer rozpoczął procedurę wybudzania. Nie odczuwał niepokoju ani wątpliwości. Wiedział, że cały proces przebiegnie sprawnie.

Była godzina piętnasta czterdzieści trzy czasu pokładowego.

Rozległo się mechaniczne, narastające pikanie. Dziesiąty sygnał był wydłużony, zaraz potem syknęło, uchodzące z hibernatorów, powietrze. Pokrywy uniosły się i zastygły w pozycji pionowej. Pomieszczenie wypełniły ludzkie oddechy, ktoś się przeciągał, ktoś inny ciężko budził się ze snu.

Głos, który rozległ się z zawieszonych pod sufitem głośników w zamierzeniu miał być kojący.

– Dzień dobry, załogo. To ja, Gilbert, wasz pilot, opiekun i doradca podatkowy.  
– Dowcip, elegancja, serdeczność. Nieformalny ton. Po prostu brat lata. – Mam nadzieję, że, zgodnie ze standardami obowiązującymi w naszych liniach, lot przebiegał przyjemnie. Za godzinę zaczniemy przygotowania do lądowania, a ja liczę, że do tej pory obudzicie się na dobre. Informuję też, że wszyscy pasażerowie naszego lotu mogą uczestniczyć w programie „Miles and more”...

– Jezu – jęknął Higgins, walcząc z oszołomieniem i zawrotami głowy. Uparcie próbował uzmysłwić sobie, gdzie jest. Głos maszyny wydał mu się natrętny, zupełnie niepasujący do – nieco rozmazanego jeszcze – otoczenia.

Gilbert nie dostrzegał dezorientacji dowódcy.

– Niezupełnie – oznajmił wesoło. – To tylko ja, Gilbert, panie komandorze. Cieszę się, że pana widzę.

Majorowi udało się skoncentrować wzrok. Powoli odzyskiwał pamięć. Wiedział, kto do niego mówi. Już na Ziemi nie uległ urokowi komputera. Nie miał zamiaru tego robić również w kosmosie.

– Chętnie pogadałbym z programistą, który wymyślił, żeby komputer był takim dowcipnisiem – burknął.

– Pogodne podejście do życia bardzo je ułatwia, prawda?

– On będzie zawsze tak gadał? – Chciał wiedzieć kapitan Jan Wagura. Chrypa w głosie wskazywała, że drugi pilot również nie do końca wyzwolił się z objęć dwuipółletniego snu.

Higgins zręcznie wyskoczył z kapsuły hibernacyjnej i wylądował na pokrytym antypoślizgową wykładziną pokładzie. Kilkukrotnie ugiął kolana. Na statku była grawitacja. Gilbert musiał już rozpocząć procedurę hamowania. Wszystko szło dokładnie według harmonogramu, co ucieszyło Higginsa tym bardziej, że nienawidził stanu nieważkości – do czego oczywiście nie przyznawał się nikomu.

– Obawiam się, że zawsze – mruknął.

– Okej, mogę ograniczyć się tylko do konkretów – stwierdził urażonym tonem komputer. – Proszę bardzo.

Majorowi symulowanie oburzenia przez maszynę wydało się czymś jeszcze głupszym od płaskich żarcików.

– I tego się trzymaj – nakazał. – Załoga?

Karen Higgins jeszcze siedziała w kapsule, ale oczy miała przytomne. Kiwała głową na boki, próbując rozciągnąć zdrętwiałe mięśnie karku.

– Jestem – powiedziała.

Wagura stanął obok dowódcy.

– Jestem.

Niewysoka blondynka, o skorej do uśmiechu twarzy, przeciągnęła się.

– Magda Wagura melduje się gotowa do służby, dowódco.

– Peter Vormann, jestem. – Główny inżynier wyprawy wychylił się z piątego kokonu.

Przez chwilę słuchali odgłosów statku. Higgins spojrzał w stronę ostatniego hibernatora.

– Lori? Lori Vormann?

Słaby, przymglony głos odezwał się dopiero po chwili.

– Jestem.

Komandor poczuł lekkie uklucie niepokoju.

– Wszystko w porządku?

– Tak.



Coś jednak było nie tak, co potwierdzała mina Petera Vormanna, uważnie przyglądającego się Lori.

– Gilbert?

Komputer na szczęście porzucił dowcipkowanie.

– Wszystkie funkcje życiowe porucznik Vormann w normie, jednak odnotowałem spadek poziomu żelaza we krwi o sześć procent.

Higgins pokręcił głową.

– Czy podczas lotu przez tunel zanotowałeś jakiegokolwiek odchylenia od normy?

– Nie, komandorze.

– Zwiększone dawki promieniowania? Anomalie magnetyczne?

– Nie odnotowałem niczego, co mogłoby wpłynąć na stan zdrowia porucznik Vormann.

– Przeprowadź dokładną diagnostykę – nakazał Higgins.

– Tak jest.

Lori usiadła, krzywiąc się niemiłosiernie.

– Nic mi nie jest, mówię – stwierdziła.

– Poleż jeszcze przez chwilę – obstawał przy swoim komandor. – To tylko rutynowe badanie.

Lori nie protestowała więcej. Ułożyła się wygodnie, obserwując wysuwający się z sufitu manipulator zakończony chirurgiczną igłą. Ukłucie było lekkie, właściwie niezauważalne. Manipulator wrócił na swoje miejsce. Aparat diagnostyczny niezwłocznie zaczął przeprowadzać szczegółową morfologię krwi.

Peter pochylił się nad hibernatorem. Spojrzał z czułością na wymizerowaną twarz żony. Gdy dostrzegł w jej oczach znajomą mgiełkę, poczuł ukłucie niepokoju.

– Jak się czujesz? – wyszeptał.

– Trochę mi się kręci w głowie, to wszystko – odparła Lori cicho.

– Może to...

Twarz kobiety zacięła się w krnąbrnym uporze.

– Nie Peter, nie to. Mam zawroty głowy, zaraz mi przejdzie.

Vormann wyprostował się i spojrzął na resztę załogi. Wszyscy zdawali się na coś czekać.

– Zostawmy ją, niech odpoczywa – zarządził Higgins. – Gilbert, status misji?

– Informuję, że dziesięć minut przed pobudką rozpocząłem procedurę hamowania – odparł bez wahania komputer. – Potrwa dziesięć godzin. Mamy na pokładzie ciężenie 1 G, więc możecie korzystać z toalet i prysznic. Polaris zajmie pozycję na orbicie geostacjonarnej, po czym wystrzeli satelity. Przewidziane pokrycie optyczne terenu Alfy: na półkuli północnej osiemdziesiąt procent, na półkuli południowej trzydzieści procent. Dokładnie zgodnie z założeniami. Następnie wystrzelę cztery sondy zwiadowcze, które wylądują w czterech wyznaczonych miejscach na półkuli północnej Alfy. Wstępny raportu spodziewam się około dwóch dób później.

– Dobrze – zgodził się Higgins. – Załoga, macie dwadzieścia minut na prysznic. Spotkamy się w mesie za dwa kwadransy. Lori dołączy do nas, jak odpocznie. Gilbert, przygotujesz kawę?

– Ależ oczywiście – Gilbert jak na zawołanie ponownie zaczął tryskać niezdrowym entuzjazmem. – Nasze linie lotnicze szczycą się najlepszą kawą na trasie Ziemia-Alfa, z przesiadką na Jowiszu, dzisiaj w specjalnej promocji do kawy trzy jagodzianki w cenie dwóch...

Higgins ani myślał się roześmiać.

– Wagura, ty się znasz na komputerach – stwierdził surowo. – Potrafisz go przeprogramować?

– Z przyjemnością – uśmiechnął się drugi pilot.

– Jeśli nie dasz rady, masz pozwolenie na użycie młotka.

– Rozkaz, panie majorze.

Gilbert chrząknął. Programiści nauczyli go również tego.

– Powinienem poczuć się urażony. Dla dobra sprawy puszczyć jednak te nieprzyjemne słowa w niepamięć. Na dowód, że nie chowam urazy przypomnę, że możecie codziennie nagrywać wiadomości dla waszych bliskich, oni również mogą przysyłać wiadomości wam. Należy jednak pamiętać o parogodzinnym opóźnieniu przesyłu w każdą stronę. Dziękuję za uwagę.

\*\*\*

Projektanci Polaris naprawdę postarali się, by załoga czuła się komfortowo. Mesa była przytulna, a kawa dobra, mocna i bardzo aromatyczna. Higgins obrzucił wzrokiem siedzących przy stole ludzi. Dowcipkowali, dogryzali sobie, wyglądali na zrelaksowanych i gotowych do działania. Zastanawiał się, w jakim stopniu dobry humor stanowi zasłonę, przykrywającą niepewność. Byli inteligentni i z pewnością zastanawiali się nad przyszłością. Nikt nigdy nie latał tak daleko, tak głęboko w nieznaną. Ilość niewiadomych była w gruncie rzeczy nieskończona – a zdarzyć się mogło wszystko.

W tkwiącej w prawym uchu słuchawce coś cicho zachrobotowało.

– Komandorze, informacja przeznaczona wyłącznie dla pana – powiedział Gilbert.

– Poczekaj chwilę.

Wstał. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Opuścił mesę, przeciął krótki korytarzyk, machnął kartą przy czytniku, drzwi do prywatnej kabiny rozsunęły się z cichym szumem.

– Mów.

– Porucznik Lori Vormann ma objawy silnej anemii. Poziom hemoglobiny spadł o dwadzieścia procent poniżej normy. Na razie to nie musi być nic groźnego. Przygotowałem specjalną dietę i preparaty witaminowe.

Higgins pokręcił głową. Niezbyt podobało mu się sformułowanie: „nie musi”.

– Zanim położyliśmy się spać, miała wszystkie parametry lepsze od większości z nas.

– Komandorze, czy ponownie pyta pan o wpływ tunelu? – Głos Gilberta brzmiał tym razem sucho, rzeczowo. – Podkreślam: nie odnotowałem żadnego ponadnormatywnego oddziaływania z zewnątrz. Podczas całego lotu warunki na statku były niezmiennie. Może pan przejrzeć odczyty. Wszystkie parametry w normie. Załóżmy niemożliwe: gdybym czegoś nie zauważył lub czujniki podałyby błędne dane, anomalia dotyczyłaby przynajmniej części z was, nie tylko samej porucznik Vormann.

– A więc co?

– Uczciwie będzie powiedzieć: nie wiem. Jestem w trakcie przeprowadzania analiz.

Gilbert czegoś nie wie. Higgins odnotował ten fakt w pamięci.

- Muszę mieć jasny obraz najpóźniej w ciągu doby – oznajmił z naciskiem. – Porucznik Vormann jest przewidziana jako członek załogi promu zwiadowczego.
- Sugeruję wysłanie rezerwowego członka załogi.
- Naprawdę?
- Mamy do czynienia z kilkuprocentową utratą sprawności. Porucznik Vormann może wykonywać obowiązki na Polarisie, jednak zwiadowcy powinni być w optymalnej formie, nie tylko intelektualnej, ale i fizycznej.
- Dobrze. Nie rozpowszechniaj tej informacji, dopóki nie dostaniesz ode mnie wyraźnego polecenia, rozumiesz?
- Tak.
- Na pewno?
- Oczywiście. Czy ograniczenie dotyczy również streamingu?
- Przede wszystkim streamingu.

\*\*\*

Jakiś czas później zebrali się ponownie, tym razem w pomieszczeniu operacyjnym – mózgu i centrum zarządzania statku, w którym zbiegały się końcówki systemów niesłuchanie złożonego organizmu Polaris. Tu mieli najlepsze warunki do obserwacji i analizy danych, stąd mogli zarządzać misją.

Zajęli miejsca w wygodnych, indywidualnie profilowanych fotelach. Przed nimi piętrzyła się ściana złożona z ogromnych, cienkich niczym kartka monitorów o rozdzielczości ośmiu tysięcy pikseli.

– Sondy wylądowały bez przeszkód, komandorze. – Gilbert zaczął od ogólnego przeglądu sytuacji. Zdawał się – najwyraźniej załoga miała porzucić przekonanie, że jakaś ludzka emocja jest mu obca – wręcz podniecony wieściami, które miał do przekazania. – Nadeszły pierwsze filmy. Obraz jest czysty i wyraźny, ale może najpierw przekażę kilka danych podstawowych.

– Raportuj.

– Skład powietrza: azot – siedemdziesiąt dziewięć procent, tlen – dwadzieścia przecinek cztery dziesiąte procent, argon – pięćdziesiąt trzy setne procent, inne – zero, zero siedem... Powietrze w zasadzie nadaje się do oddychania, niedobór tlenu wynosi sześć dziesiątych procenta w stosunku do ziemskiego. Zalecam

w pierwszym okresie stosowanie masek tlenowych ze stopniowo zmienianym składem mieszanki, żeby wasze organizmy płynnie zaadaptowały się do zmiany.

– Sześć dziesiątych. Tyle, co nic – stwierdził Peter Vormann.

Ale Higgins wiedział swoje. Eliminacja zbędnego ryzyka należała do katechizmu sił specjalnych. Zawsze dobrze wychodził na jego stosowaniu.

– Nie chcę żadnych anoksji – powiedział twardo. – Użyjemy masek z regulacją mieszanki. Dalej, Gilbert.

– Ciśnienie tysiąc siedemnaście hektopaskali. Ziemska norma. Grawitacja: jeden i dwie dziesiąte G.

– Czyli grawitacja jest większa od ziemskiej o dwadzieścia procent. – Magda Wagura westchnęła. – A już było tak pięknie...

– Odstępstwo mieści się w założonych ramach – odparł Gilbert.

Karen Higgins sięgnęła po wodę. Odkąd się obudziła, odczuwała wzmożone pragnienie. Ale poza tym czuła się dobrze. Nawet lepiej niż na Ziemi. Może podczas niemal dwuipółletniego snu po prostu odpoczęła. Wniosek, jakkolwiek lekko absurdalny, jakoś napawał ją optymizmem. Co ziemskie, zostało tam, daleko, dwa i pół miliona lat świetlnych stąd.

– Każdy kilogram naszego sprzętu będzie ważył sto dwadzieścia deko – poparła Magdę. – Broń zamiast pięciu kilo będzie ważyła sześć.

Peter Vormann skrzywił się lekko. Uważał, że przez takie dyskusje tracą czas. Nie mieli przecież wpływu na warunki panujące na planecie.

– Nie widzę specjalnego problemu – oznajmił. – Nasze ciała się dostosują. Jedyne pytanie czy sprzęt nie będzie się szybciej zużywał.

Wagura nagle poczuł, że musi zapalić – co było oczywiście surowo zabronione. Dawno tego nie robił, od piętnastu niemal lat, odkąd zaczął latać. Ale teraz dałby wiele, by móc poczuć w płucach papierosowy dym.

– Zawieszenie pojazdów powinno spokojnie wytrzymać, jest obliczone na znacznie większe obciążenia – stwierdził. – Silniki również.

Higgins miał świadomość, że każde słowo jest rejestrowane i przesyłane na Ziemię. Na razie trzymał się procedur. Jedna z nich mówiła, że komputer powinien weryfikować wygłaszane w toku dyskusji wnioski.

– Opinia, Gilbert? – zapytał.

– Według moich obliczeń wasze mięśnie będą potrzebowały około miesiąca, żeby się przystosować. – Mechaniczny głos był ostoją spokoju i rozsądku. – Przez ten czas po prostu będziecie musieli trochę się oszczędzać, mimo wytrenowania. Jeśli chodzi o sprzęt, zgadzam się z kapitanem Wagurą. Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa.

– Dobrze. Będziemy trzymać się tych zaleceń – zdecydował dowódca wyprawy. – Jedźmy dalej.

– Temperatura powietrza w miejscu lądowania od jednego do trzech stopni, wiatr w porywach do dwudziestu pięciu metrów na sekundę – podjął wyjaśnienia Gilbert. – Pobrano próbki wody z jednego z jezior. Skład standardowy, z dużymi domieszkami żelaza, nadaje się do celów użytkowych, po odfiltrowaniu będzie zdatna do picia.

John Higgins obawiał się otwarcie wyrażać zadowolenie, ale na razie szło nieźle.

– Czyli, poza grawitacją, wszystko jak w przewodniku turystycznym – powiedział.

– Pokazać zdjęcia? – zapytał komputer.

– Rzuć na największy ekran.

Stucalowy, centralny monitor rozświetlił się błękitnym blaskiem.

Najpierw zobaczyli dwa pyzate księżycy. Całkiem charakterystyczna reakcja – później w rozmowach okazało się, że wszyscy zareagowali właściwie identycznie – nie powierzchnia planety, nie kolor nieba, nie atakujące z głośników dźwięki; główną rolę, w tej pierwszej, nie dającej się z niczym innym porównać impresji, odegrali dwaj alfiańscy satelici. Mniejszy, granatowy, krążył na dalszej orbicie, większy, fioletowawo-różowy, znajdował się blisko, niemal dwukrotnie bliżej niż ziemski Księżyc. Obaj, rzecz jasna, świecili odbitym blaskiem słońca, typowego karła, o piątej klasie jasności. Różnili się od siebie, niczym młodszy brat od starszego, ale byli też w jakiś sposób podobni – i z pewnością bardzo interesujący, z racji kompletnej odmienności od ziemskiego księżycyca.

Najważniejsza jednak była planeta.

Poszarpana, górzysto-dolinna powierzchnia zdawała się niemal pozbawiona płaskich połąci. Usiana licznymi, ostro strzelającymi w górę szczytami i przypominającymi monstrialne tory bobslejowe wąwozami, nie sprawiała przytulnego wrażenia, przeciwnie – wręcz odstraszała dzikością. Ale była przy tym

niezwykle piękna – surowa, niedostępna; zdobiła ją gęsta, niekiedy wręcz rosnąca w splątaniu roślinność o niezwykle wybujałych formach.

– Wow – westchnęła Magda, bezskutecznie walcząc o ukrycie fascynacji.

– Z danych wynika, że dobowe wahania temperatur są bardzo niewielkie, w zasadzie cały czas temperatura oscyluje nieco powyżej zera – czyli generalnie jest zimno – ciągnął rzeczowo komputer. – Odnotowano duże różnice ciśnień, co powoduje, że na planecie występują bardzo silne wiatry, w porywach dochodzące nawet – o czym już wam mówiłem – do dwudziestu pięciu metrów na sekundę. Wszystko to ma znaczący wpływ na ekosystem, który, akurat w oglądanym fragmencie, można porównać do kanadyjskiej tundry, ale generalnie na Alfie występuje duża różnorodność form roślinnych, drzewa nieznanymi gatunków, na ogół zdecydowanie większe niż ziemskie. Znaczny procent powierzchni jest zalesiony. Skład gleby oczywiście będzie trzeba szczegółowo zbadać. Żeby zakończyć kwestię warunków dodam, że radioaktywność gruntu przypowierzchniowo, jak i w powietrzu, jest bliska zeru, co rzecz jasna, należy traktować jako bardzo pozytywną informację. Głębsze odwierty powiedzą nam czy gdzieś pod ziemią występują pierwiastki radioaktywne, chociaż osobiście bardzo w to wątpię. Mimo generalnie górzystego krajobrazu północnej półkuli, znalazłem kilka lokalizacji nadających się nie tylko do lądowania, ale i pod budowę bazy.

Higgins podniósł dłoń.

– Zanim o bazie, jeszcze chwilę o warunkach – zaordynował – Istoty żywe. Co odkryłeś?

Komputer jakby się zawahał, co nie umknęło uwadze majora.

– To tylko wstępna obserwacja, komandorze. Jest dalece niepełna.

– Wiem. Raportuj.

– Wykryto obecność organizmów żywych, odznaczających się metabolizmem. Bezkęgowce i formy kręgowce, w dość bogatym spektrum rodzajów. Napotkano istoty latające. Największy spotkany osobnik mierzył około metra długości.

Higgins popatrzył prosto w kamerę, jakby chcąc spojrzeć w oczy Gilbertowi.

– Aero Space zakładało, że Alfa będzie kompletnie pusta – powiedział z naciskiem.

– No cóż, rzeczywistość wygląda nieco inaczej – przyznał komputer. Higgins wyczuł w jego głosie nieszczerłość, co było zgoła absurdalne; czy maszyna może być

nieszczera?

Co natychmiast zrodziło pytanie, czy cała załoga (wliczając Gilberta) gra do jednej bramki. – Ale nie ma powodu do obaw. Alfa wydaje się normalną planetą z typową ewolucją fauny i flory na dość wczesnym etapie rozwoju. Nie dostrzegłem niebezpieczeństwa zakłócenia misji.

– Ja uważam, że to dobrze, że są rośliny i zwierzęta. – Magda uważnie przyglądała się krajobrazowi. Higgins pokręcił głową. Nie rozumiała. Może to i lepiej, przynajmniej na razie.

Wagura zachichotał.

– No, faktycznie, mogliśmy wylądować na gołej skale.

Dobry humor drugiego pilota udzielił się wszystkim poza Higginsem. Atmosfera zrobiła się luźniejsza. Wyglądało na to, że nikt nie podzielał obaw dowódcy.

– Czy sonda napotkała drapieżniki? – zapytała Karen.

– Sposoby pozyskiwania pożywienia na razie nieznane – odparł Gilbert. – To jednak tylko wstępny, w dużej mierze orbitalny, zwiad, konieczna jest dalsza szczegółowa analiza fauny i flory tam, na dole. Jaką zarządza pan procedurę lądowania Zwiadowców, komandorze?

– Lądowanie odbędzie się według procedury poziomego trzeciego – odparł po chwili Higgins, będąc jeszcze myślami przy kwestii obecności na Alfie istot żywych. Jeśli zatajono ten fakt przed dowódcą misji, jakie jeszcze niespodzianki ich czekają? – Zamiast porucznik Vormann z kapitanem Wagurą poleci porucznik Magda Wagura.

Magda rozciągnęła twarz w uśmiechu.

– Super – rzuciła z radością.

Higgins, widząc jej entuzjazm, odrobinę się rozluźnił. Podczas rocznych przygotowań do misji miał okazję bliżej poznać tę niebieskooką optymistkę. Lubił takich ludzi. Wyprawa była spełnieniem jej największego marzenia. Parła do przodu, nie zważając na przeszkody i ciesząc się tym, co robi. Miała jasno wytyczony cel – chciała jako pierwsza Ziemianka wylądować na planecie, znajdującej się w innej galaktyce. Po to przeszła morderczą selekcję, po to trenowała całym miesiącami, do znudzenia powtarzając wielorakie scenariusze misji, po to obciążała pamięć niemal do granic możliwości, przyswajając setki



informacji i zaleceń. Z tego powodu, wśród tysięcznych wahań i wątpliwości, porzuciła starzejących się rodziców – czego się wstydziła i za co zapłaciła wieloma nieprzespanymi nocami i wyrzutami sumienia.

Jej mąż nie byłby sobą, gdyby nie miał odmiennej opinii na temat lądowania.

– Przecież tam niczego nie ma – stwierdził. – Poziom drugi wystarczy.

Karen energicznie pokiwała głową.

– Też mi się tak wydaje.

– Lądujemy w całkowicie obcym terenie – zareplikował stanowczo major. – Nie wiemy, co nas czeka. Nie chcę żadnych niespodzianek. Na razie poziom trzeci. Po przeprowadzeniu badań poluzujemy rygory. Gilbert, jaki jest stan promów?

– Zarówno zwiadowcze, jak i transportowe gotowe do lotu, komandorze.

– Dobrze. Przygotuj pierwszego Zwiadowcę do startu. Zapasy na tydzień, broń, amunicja i tak dalej. Za godzinę ruszacie.

## **GRUDZIEŃ 2034 ROKU / ZIEMIA**

Melodyjny głos Gilberta brzmiał rzeczowo.

„To wszystko, jeśli chodzi o dotychczasowy przebieg misji. Szczegółowe dane podpiąłem w załączniku. W mojej opinii każdy członek załogi, z wyjątkiem porucznik Vormann, jest w stanie kontynuować misję. Dalsze działania według harmonogramu. Koniec komunikatu”.

Sherman spojrzał na Janet Lee, która nawet nie starała się ukryć gniewu.

– Jeszcze nie dolecieli do celu i już sabotują ustalenia – syknęła. – Czekaliśmy cholerne dwa i pół roku, żeby w końcu coś zaczęło się dziać i już na dzień dobry są problemy.

Sherman znał ją zbyt dobrze, by nie bać się jej złego humoru. Do bólu konkretna, unosiła się wyłącznie w chwilach, gdy uznała, że jej interesy są zagrożone. Przypominała wtedy kobrę.

– Janet, niepotrzebnie się denerwujesz – zaprotestował bez specjalnego przekonania.

– Denerwuję? – Uniosła głowę. W takich momentach stawała się niezmiernie pociągająca. Sherman, trzykrotny rozwodnik (żadna z jego żon na dłuższą metę

nie była w stanie tolerować bycia w ich związku numerem dwa; pierwsze miejsce nieodmiennie zajmowała praca, najpierw dla NASA, potem w Aero Space) szybko odkrył, że Janet bardzo mu się podoba, czego w swoim dobrze pojętym interesie starał się nie okazywać. Czuł fascynację, złożoną w równych proporcjach z pożądania i strachu. – To niewłaściwe słowo, Bill. Włożyłam w ten projekt dwanaście miliardów dolarów. Zatrudniłam ponad dwieście dodatkowych osób do obsługi programu i płacę im pensje. Użytkownicy czekają cierpliwie przez wiele miesięcy, oglądają fascynujące widoczki wnętrza statku, którego załoga śpi. W końcu Polaris dociera do celu. I u celu, gdy ma się nareszcie coś zacząć dziać, okazuje się, że obraz będzie niepełny, bo dowódca misji ma własne pomysły na życie i na Ziemię prześle to, co uważa za stosowne.

– Na razie nic się nie stało.

Janet usiadła przy biurku i założyła nogę na nogę. Sherman starał się patrzeć tylko na jej twarz.

– Nie sądzę, żebyś był tak naiwny, bo inaczej nie wybraliby cię na szefa tego bajzlu – stwierdziła. Jakże była inna niż podczas oficjalnych wystąpień. – Nie rozumiesz? Jeśli teraz, jeszcze zanim wylądują na planecie, Higgins robi takie numery, co będzie dalej, kiedy zaczną się jakieś kłopoty? Cenzura? Całkowita blokada informacji?

– John chce chronić załogę, to naturalne.

– Podpisał umowę, w której był bardzo obszerny punkt, mówiący o tym, że nie ma prawa wyłączać streamingu. Nie ma również prawa ograniczać informacji, które przekazuje nam komputer.

– Nie wyłączył streamingu. A komputerowi kazał– tylko tymczasowo, jak mniemam – zataić stan zdrowia jednego z członków załogi. Nawisem mówiąc, Gilbert nie wykonał polecenia.

– Powiedz mi – dlaczego mam wrażenie, że udajesz głupszego, niż jesteś? To dopiero początek, prawdziwa akcja zacznie się na Alfie. Nieprzewidzianych zdarzeń będzie bardzo dużo. I one mają być transmitowane bez zmian i cięć, rozumiesz? Na tym to polega, na to ludzie czekają. Komandor Higgins natomiast najwyraźniej uważa, że jego reguły nie obowiązują.

– Dowódca ma za zadanie przed wszystkim wypełnić misję i dbać o bezpieczeństwo załogi.

– Aha. Czyli ty też uważasz, że umowa między nami obowiązuje tylko wtedy, gdy jest to dla was wygodne?

– Niczego takiego nie powiedziałem.

– Umowa, Bill. Umowa. Dlatego jest tak rozbudowana i dlatego zaangażowane w nią były tłumy prawników po obu stronach, żeby nikt dowolnie nie mógł sobie zmieniać jej zapisów, kiedy przyjdzie mu na to ochota.

– Nie mam zamiaru niczego zmieniać. Priorytetem jest bezpieczeństwo członków załogi. Żeby mogli wypełnić misję, muszą przede wszystkim przeżyć.

– Nie wiem, w jaki sposób streaming miałby w tym przeszkadzać.

– Powtarzam: na razie nic się nie stało – uparcie trzymał się swojej wersji Sherman, choć tylko on wiedział, ile go to kosztowało. – Masz piękne obrazki planety. Z tego, co widziałem, twoi użytkownicy są zachwyceni.

Janet Lee wstała.

– Bill, jeśli nie wywiążecie się z umowy, nie tylko zatrzymamy finansowanie – oświadczyła – ale pójdziemy do sądu. I wygramy. Będzie skandal na cały świat, specjalnie się o to postaram. I powiem ci jeszcze jedno. Cieszę się, że uparłam się, by moi informatycy byli przy programowaniu Gilberta. Przynajmniej on jest lojalny wobec nas.

## ALFA

Czterdziestotonowy prom zwiadowczy przebijał się przez atmosferę planety przy akompaniamencie pojękiwania kadłuba i intensywnego kołysania. Nie było to nic nadzwyczajnego; statek został skonstruowany do wytrzymywania wielkich przeciążeń, a Wagura prowadził maszynę pewną ręką.

– Tu Zwiadowca Jeden – powiedział do mikrofonu pilot. – Wejście w atmosferę poszło gładko. Jesteśmy na czterech tysiącach metrów. Szybkość dwieście pięćdziesiąt węzłów. Widoczność dwadzieścia kilometrów. Schodzimy. Mamy silny wiatr boczny.

– Słyszemy was, Zwiadowca Jeden. Macie czystą drogę na dół – dobiegający ze słuchawki głos Higginsa spokojny był tylko pozornie. W rzeczywistości komandor nieco się denerwował.

Łądowanie na planecie stanowiło kluczowy element harmonogramu, wcale zresztą niełatwy. Na razie szło dobrze, ale ogólnie liczba czynników, mogących negatywnie wpłynąć na przebieg lotu i przyziemienia była ogromna. Programy zarządzające lotem z pewnością nie przewidziały wszystkich.

Wagura mocniej ujął joystick sterujący torem lotu promu, co nie miało specjalnego sensu, ale nawyk pozostał mu ze starych czasów, gdy latał jako pilot myśliwca. MiG-29 dał się lubić, wymagał jednak krótkiego trzymania przy pysku. Kiedy kilka lat później, po długim i wyczerpującym szkoleniu, po raz pierwszy usiadł za sterami F-35, długo nie mógł przyzwyczaić się do pewnych rzeczy. Zmiana okazała się fundamentalna. Przesiąć się z samolotu piątej generacji na prom kosmiczny, który pilotował teraz, było znacznie łatwiej, niż z myśliwca stworzonego według koncepcji sowieckich na myśliwiec amerykański, zaprojektowany nie dość, że znacznie później, to jeszcze wedle całkowicie odmiennych założeń.

Tak czy inaczej, z dawnych czasów pozostał mu nawyk mocnego trzymania sterów.

Magda spoglądała przez boczny bulaj. Planeta z tej wysokości nadal wyglądała groźnie, ale jeszcze bardziej jej się podobała.

– Boże... jak ładnie – szepnęła z zachwytem. Wreszcie tu dotarła, dotarła naprawdę. Wysilek, jaki włożyła w pokonanie setek kandydatów w procesie morderczej selekcji, a potem w jeszcze bardziej mordercze szkolenie, podczas którego wiele razy chciała zrezygnować, nabrał wreszcie wymiernego sensu. Za chwilę opuści prom i stanie na planecie. Jako pierwsza Ziemianka w dziejach.

Wagura zerknął w lewo. Przelatywali nad wielkim jeziorem, którego brzegi tonęły w nisko leżącej mgłę. Za wodą piętrzyły się wyniosłe górskie szczyty.

– W tym jeziorze pewnie da się nurkować. A w górach można by pojeździć na nartach.

Magda zaśmiała się cicho.

– Tylko śniegu brak – odparła. – Zresztą, już widzę jak major pozwala ci jeździć.

– O przepraszam! Mam w umowie zagwarantowany czas wolny. Mogę robić, co chcę. Na przykład jeździć na nartach bez śniegu.

Tym razem roześmieli się oboje. Szybko jednak spowaźnieli.

– Dwa tysiące metrów.

– Punkt lądowania w zasięgu.

– Jesteśmy na kursie trzydzieści. Siadamy.

Silniki zmieniły ton na wyższy. Odczuli miękkie uderzenie, któremu akompaniował zgrzyt amortyzatorów. Po chwili szum osłabł do cichego pomruku.

Magda patrzyła na przyrządy.

– Siedzimy. Grunt stabilny.

– Polaris, słyszycie mnie!?! Wylądowaliśmy! Wylądowaliśmy na planecie w Galaktyce Andromedy! – wykrzyczał rozemocjonowany Wagura. – Jesteśmy tu! Możecie w to uwierzyć? Nikt, nigdy nie był dalej niż na Marsie! – Dopiero teraz uświadomił sobie, że jego słowa dotrą także do klientów Janet Lee. – Jesteśmy dwa i pół miliona lat świetlnych od Ziemi i wszyscy mogą nas w dupę pocałować!

W słuchawkach Wagurów rozległ się chóralny śmiech ekipy Polaris.

– Dobra robota, Zwiadowca – pogratulował Higgins.

Kapitan rozejrzał się. Krajobraz nie przypominał ziemskich widoków. Nawet w dobrze wytłumionym wnętrzu promu słyszał wycie wiatru i czuł jak jego napór kołysze ciężką maszyną. Ale Magda nie myliła się – Alfa miała w sobie jakiś magnetyzm, któremu trudno było się oprzeć.

– Przypominam, że obowiązuje procedura poziomego trzeciego – dał o sobie znać Gilbert.

– Przyjąłem, Polaris. Wystrzeliwuję drony obserwacyjne.

Wagura pociągnął ukrytą za osłonką dźwignię. Huknęło dubeltowo. Dwa niewielkie aparaty, o ogromnej sprawności aerodynamicznej i zdolności do utrzymywania się w powietrzu przez blisko dwie ziemskie doby, zostały wyposażone w urządzenia obserwacyjne, pozwalające w dużej rozdzielczości śledzić powierzchnię planety we wszystkich kierunkach naraz. Miały możliwość pobierania próbek powietrza, badania ciśnienia, mierzenia siły wiatru. Silna stacja nadawcza pozwalała na przekazywanie informacji w czasie rzeczywistym.

– W powietrzu – zaraportowała Magda, z uwagą wpatrując się w ekran. – Mam obraz.

– My również – potwierdził Higgins. – Kapitanie Wagura, powtórzę: waszym zadaniem jest zabezpieczenie perymetru i geologiczna analiza gruntu pod budowę bazy. Nic więcej. Żadnych działań na własną rękę. Gilbert dokonuje oceny i planuje kolejne kroki. Jasne?

– Oczywiście. Startuje Ripper.

Kapitan przesunął kolejną dźwignię. Głuchy odgłos był znacznie potężniejszy niż poprzednio. Sześciometrowej długości bezzałogowy statek powietrzny, nazwany dowcipnie Rozpruwaczem, był niemal trzykrotnie większy od dronów obserwacyjnych. Jego uzbrojenie stanowiły rakiety powietrze–powietrze oraz powietrze–ziemia, napędowy, półcałowy karabin maszynowy oraz emiter impulsów elektromagnetycznych, zdolny zakłócić pracę dowolnego układu elektrycznego lub elektronicznego w promieniu kilometra. Ripper mógł działać przez trzydzieści godzin, również w trybie autonomicznym. Jego pokładowy komputer potrafił planować i przeprowadzać operacje, opierając się na zmieniających się danych. Maszyna została zaprojektowana jako obiekt całkowicie niewidzialny dla radaru.

– Przyjąłem. Bez odbioru – odpowiedział mu Higgins.

Dowódca wyłączył się. Zostali sami.

– Strasznie się boją, nie? – stwierdził.

– Może mają rację.

– Rozejrzyj się. Gdzie tu widzisz niebezpieczeństwo? Dobra widoczność po horyzont, jakieś krzaczki i drzewa...

– Jesteśmy na obcej planecie, Jasiu. Tu się wiele rzeczy może okazać innymi niż myślimy. Korona nam z głowy nie spadnie, jak się trochę pomęczymy z trzecim stopniem.

Musiał przyznać jej rację.

– Przygotuję Geparda. Zobaczymy, czy z bliska jest tak samo ładnie – stwierdził i uśmiechnął się ironicznie. – Nawet tylko w obrębie perymetru.

Odpiął pasy i wstał. Cmoknął Magdę w policzek, po czym wyszedł z kabiny pilotów.

Wyjrzała przez bulaj. Planeta przyglądała jej się obojętnie. Teraz wcale nie wydawała się pociągająca.

Nieoczekiwanie poczuła lekkie ukłucie w klatce piersiowej.

Po raz pierwszy dopadł ją strach.

**POLARIS**

Lori Vormann leżała na łóżku w kabinie medycznej i zastanawiała się, gdzie popełniła błąd. Była znakomicie przygotowana do wyprawy – psychicznie, mentalnie, fizycznie. A jednak coś poszło nie tak. Czuła się źle. Jak zwykle w takich wypadkach oskarżała siebie, co nie było zbyt mądre, dobrze o tym wiedziała, wielu specjalistów powtarzało to przy każdej okazji, a Peter im wtórował. Jednak nie była w stanie przewalczyć poczucia winy. Uparcie trzymała się przekonania, że nad organizmem da się zapanować siłą woli.

Pogrążona w ponurych myślach wzdrygnęła się, gdy usłyszała melodyjny głos Gilberta.

– Dzień dobry, porucznik Vormann. Jak się pani czuje?

Zawahała się. Czuła, że musi stąd wyjść. Usiadła, a potem opuściła stopy na podłogę.

– Nie wiem....

– Zalecam, by pani nie wstawiała.

Zignorowała go. Pierwszy krok spowodował koszmarne zawroty głowy.

– Porucznik Vormann?

– Daj mi coś do picia – burknęła, próbując utrzymać równowagę.

– Lepiej będzie, jeśli pani się położy.

– Daj mi coś do picia – krzyknęła. Po trzech krokach miała już pewność, że spacer był fatalnym pomysłem. Gilbert miał rację, co w żadnym stopniu nie zmieniało faktu, że rozmowa z maszyną, która była wszędzie i nigdzie, działała jej na nerwy. Przeklęła w myślach pomysłodawcę takiego rozwiązania.

Ze ściany z lekkim poświstem wysunął się podajnik, podsunął jej pod nos szklankę do połowy wypełnioną zielonkawym, mętym płynem. Napój był cudownie chłodny. Odetchnęła z ulgą. Poczowała lekki przyływ energii. Falowanie pomieszczenia osłabło do akceptowalnego poziomu.

– Gdzie są wszyscy? – zapytała, wkładając puste naczynie w chwytaki podajnika.

– Nalegam, żeby się pani położyła.

– A ja nalegam, żebyś odpowiadał na pytania.

– Pani mąż, komandor Higgins oraz pierwszy pilot – w sterowni. Natomiast kapitan Wagura wraz z porucznik Wagurą polecili na Alfę.

Lori poczuła kolejny, tym razem znacznie silniejszy zawrót głowy. Nieoczekiwanie przed oczyma mignęła seria strasznych, krwawych obrazów. Były hiperrealistyczne i przerażające. Postacie, rakietę, pojazdy – wszystko skłębione w jakimś groteskowym tańcu, otulone przezrzystą, ale dobrze widoczną mgłą (a może dymem po wybuchu?) o barwie szkarłatu. Na drugim planie, w ciemności, czaiło się coś przerażającego, wrażenie raczej niż konkretny kształt. To coś miało mordercze zamiary – tego była pewna. Walka nie miała sensu ani szans powodzenia, ucieczka była jedyną drogą do ocalenia życia.

Skąd to wiedziała? Nie miała pojęcia. Nie rozumiała, co się z nią działo. Przez dłuższą chwilę miała kłopoty z opanowaniem rozbiegających się we wszystkie strony myśli.

Obraz zniknął równie gwałtownie, jak się pojawił.

– Na Alfę? – wydukała w końcu. – Polecieli na Alfę?

– Zgodnie z harmonogramem...

Musiała im powiedzieć. Musiała ich ostrzec. Ruszyła chwiejnie przed siebie.

– Dokąd pani idzie?

Zaczęła naciskać guzik przy drzwiach. Bezskutecznie.

– Otwórz! – zażądała. Czowała, że policzki jej płoną. Nie była w stanie skoncentrować wzroku w jednym punkcie na dłużej niż sekundę.

– Lepiej będzie, jeśli komandor Higgins po prostu tu przyjdzie...

– Otwórz te drzwi, do ciężkiej cholery! – wrzasnęła. Wspomnienie krwawej, przerażającej wizji nie chciało jej opuścić. Nie wiedziała, że obrazy wkrótce staną się bardziej konkretne, ułożone niczym film.

Gilbert milczał.

Była już gotowa poszukać jakieś ciężkiego narzędzia czy sprzętu i próbować wybić dziurę w zbrojonej, lśniącej powierzchni, gdy usłyszała cichy szum elektrycznego silnika, otwierającego drzwi. Wybiegła, niemal na oślep odnalazła właściwą drogę i niczym wichurą wpadła do pomieszczenia operacyjnego.

Higgins odwrócił się.

– Lori? Co tu robisz? Miałaś odpoczywać.

– Odwołaj ich – zażądała.



Zdumiał się, nie tyle jej słowami, co wyglądem. Lori Vormann, którą znał jako rzeczową i spokojną, sprawiała wrażenie osoby dotkniętej atakiem szaleństwa. Miała zmierzwiłone włosy i rozbiegany wzrok. Usta jej drżały.

– Słucham? – Nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Odwołaj lot Zwiadowcy. Teraz!

– Lori, jesteś strasznie blada.

– Odwołaj ich. Oni nie mogą wylądować na planecie.

– Gilbert, dlaczego pozwoliłeś porucznik Vormann opuścić kabinę medyczną?

– Zalecałem porucznik Vormann pozostanie na obserwacji – odparł komputer.

– Nie słuchasz. – Lori zamachała rękoma tuż przed nosem komandora. Może wyglądała jak szalona, ale mówiła składnie. – Oni nie mogą wylądować na planecie. Rozumiesz? Jeśli wylądują, już stamtąd nie wrócą.

– Oni już wylądowali – powiedział spokojnie. – Wszystko poszło gładko. Właśnie ruszyli na zwiad. Mamy obraz z drona. Możesz zobaczyć.

– O Boże! – zakryła usta dłonią.

– Nie ma się czym martwić. Mamy wszystko pod kontrolą. Są zabezpieczeni. Obowiązuje procedura trzeciego stopnia. Zresztą – nie stwierdziliśmy żadnego zagrożenia.

– To nie jest zagrożenie. To pewność śmierci, John.

– Lori, jesteś bardzo osłabiona. Uważam, że powinnaś poddać się zaleceniom Gilberta.

– Nie jestem osłabiona na tyle, by nie wiedzieć, co się dzieje. Oni są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tyle, że...

Karen podeszła bliżej.

– Że co, Lori?

– Oni wylądowali?

– Tak – przytaknął Higgins. – Mówiłem ci.

– I opuścili Zwiadowcę?

– Takie mają zadanie. Jadą na północ. Sama przecież wyznaczałaś kolejność zadań.

– Gepardem?

– Tak.

– To nic nie pomoże.

Peter Vormann był uosobieniem rozsądku.

– Lori, Gepard to system bojowy, który jest w stanie uchronić załogę przed każdym niebezpieczeństwem.

Lori popatrzyła na niego uważnie.

Wiedziała, o czym mówi jej mąż, znała Geparda dobrze. Pojazd miał nieprzebijalny pancerz, pasywne i aktywne środki samoobrony, potężne uzbrojenie oraz multispektralny kamuflaż. Do tego dochodziły systemy obserwacji w każdym paśmie. Pojazd nie operował sam. Zawsze ubezpieczały go dwa drony obserwacyjne i Ripper. W założeniu konstruktorów Gepard miał nie pozwolić zbliżyć się żadnemu przeciwnikowi. Był w pełni zautomatyzowany; w razie gdyby załoga została ranna lub w jakiś inny sposób utraciła możliwości kierowania pojazdem, komputer miał za zadanie doprowadzić go do promu. Prom mógł zostać na Polaris ściągnięty zdalnie.

– To nie wystarczy. – Lori patrzyła na męża, ale Peter miał wrażenie, że go nie poznaje. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo nie wystarczy.

– Lori, naprawdę powinnaś odpocząć i nabrać sił.

– Nie traktuj mnie jak idiotki, Peter.

Higgins nadal miał nadzieję, że da się tę sprawę rozwiązać za pomocą perswazji.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział z naciskiem. – Na planecie nie stwierdzono obecności żadnych form inteligentnego życia, a zwierzęta nie stwarzają zagrożenia. Brak radioaktywności. Nawet gdyby zawiodły systemy uzdatniania powietrza, atmosfera w zasadzie nadaje się do oddychania. Według dostępnych danych, nie ma żadnego niebezpieczeństwa...

Przerwał, zobaczywszy, że jego żona gwałtownie łapie Lori za ramię

– Co ci jest, Lori? Nigdy nie widziałam, żeby ktoś był tak blady...

– Według dostępnych danych... – Lori niemal się zaśmiała, nie zwracając uwagi na słowa Amerykanki. – Nic nie widzicie, bo nie macie prawa widzieć. Tak to już jest. Zobaczycie, kiedy będzie za późno.

Vormann zaniepokoił się nie na żarty, ale nie samymi słowami, co zmianą sposobu mówienia żony. Głos, przed chwilą jeszcze stanowczy i twardy, był teraz jakiś senny, jakby natchniony – a jednocześnie natarczywy, właściwie odpychający.

– Komandorze! – dobiegł z głośników głos maszyny.

– Zaczekaj, Gilbert.

– To ważne, komandorze Higgins. Urwała się łączność z Gepardem. Nie mamy ani dźwięku, ani obrazu. Na wszystkich pasmach cisza.

## ROZDZIAŁ 2

### MAJ 2037 ROKU / ALFA

Czuł, że się dusi.

Gardło miał zaciśnięte lub, co bardziej prawdopodobne, siedziało w nim coś, co uniemożliwiało oddychanie. Wokół niego trwała bitwa, choć nie wiedział, kto walczy i z kim. Huk kanonady ogłuszał. Nie potrafił rozróżnić szczegółów, czuł tylko, że tkwi w samym środku piekła, kule i pociski latały nad głową, co chwilę coś wybuchało, powietrze przeszywały błyski impulsów elektromagnetycznych, ktoś zadawał potężne laserowe ciosy. Walka osiągnęła apogeum, nic nie widział, głuchł. Nie mógł oddychać, nie mógł złapać tchu, w końcu stał się tak słaby, że padł na kolana i już kompletnie przestał zależeć od siebie samego. Przez głowę przebiegła myśl, że miał jeszcze tak wiele do zrobienia. Skóra zaczęła płonąć. Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Został sam, nikt mu już nie był w stanie pomóc. Dusił się. Ostatnie chwile życia mknęły jak szalone.

– Panie kapitanie! Kapitanie Finagan!

Ktoś go wołał. Jakim cudem to słyszał? A jednak był pewien – z oddali dochodził głos, który znał.

– Kapitanie!

Bitwa oddaliła się. Ustały strzały i detonacje. Ucisk w gardle zelżał. Klatka piersiowa poruszała się w normalnym rytmie.

Otworzył oczy.

– Nie musisz tak krzyczeć, Wilson – wymamrotał.

Stojący nad koją sierżant miał zakłopotaną minę.

– Przepraszam. Przyszła wiadomość od szefa misji. Odtworzyć?

Finagan ziewnął, po czym usiadł. Bolał go kark. Spojrzał na postanie. Nic dziwnego. Musiał we śnie strącić poduszkę. Był mokry od potu.

– Streść.

– Po pierwsze, oczywiście, cieszą się, że nie mamy żadnych strat. Generalnie zgadzają się z naszą oceną.

Kapitan spuścił stopy na podłogę i wzdrygnął się. Było mu zimno. Narzucił na ramiona ocieplaną bluzę. Pomogło. Pomyślał, że musi wziąć bardzo gorący prysznic.

Było jasne, że analitycy Aero Space potwierdzą diagnozę ludzi Finagana. Atak był charakterystyczny dla Fantoma. W paśmie widzialnym nie ukazał się żaden obiekt fizyczny. Ani radar, ani systemy optyczne, ani kamery termowizyjne nie zarejestrowały żadnego ruchu. Alarm został uruchomiony na podstawie odczytów detektora drgań cząstek powietrza, które zaczęły przemieszczać się w zorganizowany sposób w stronę bazy, poruszając się z prędkością ponad stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Dwadzieścia metrów przed linią sensorów ruch ustał. Algorytm Cyklopa zinterpretował ruch jako zagrożenie i nakazał efektorom otwarcie ognia. Na tym incydent się skończył, a Fantom rozpląnął w powietrzu.

– Mamy kontynuować przeprogramowywanie Cyklopa, a na wypadek ewentualnych kolejnych incydentów zachować maksymalną ostrożność i utrzymywać trzeci stopień procedury bezpieczeństwa – podsumował Wilson.

– Brawo – mruknął Finagan i ziewnął ponownie. Czuł piasek pod powiekami – nic dziwnego po dwóch godzinach snu. Korzystał z pryczy Higginsa i to też nie poprawiało mu nastroju. Czuł się w tym świecie jak obcy – co zrozumiałe – ale również niepotrzebny, co zrozumiałe było nieco mniej. Tak czy inaczej, nawet o centymetr nie przybliżył się do rozwiązania zagadki zniknięcia załogi Polarisa.

Wilson przestąpił z nogi na nogę.

– Coś jeszcze? – zapytał Finagan.

– Przesłali Gilbertowi polecenie uznania pańskich uprawnień. Gilbert nie zastosował się do komendy. Przeciwdziała próbom zdalnego przeprogramowania go. Ziemia twierdzi, że nie rozumie jego intencji. Gilbert upiera się, że blokada informacyjna została założona dla dobra załogi Polarisa. Ziemia nie wie, co się stało. Nie są pewni czy łączność ponownie się nie urwie. Pracują nad rozwiązaniem. Tym niemniej nasze główne zadanie pozostaje bez zmian: „kontynuujecie poszukiwania załogi majora Higginsa przy utrzymaniu poziomu

trzeciego procedury ochronnej. Łączności z Polarisem w dalszym ciągu nie udało się nawiązać, nie udało się również go zlokalizować”. Koniec komunikatu.

– Nie spodziewałem się niczego innego – burknął Finagan, ziewając ponownie.

Wilson spojrział na dowódcę porozumiewawczo.

– Przekładając na ludzkie: jak sami sobie nie pomożemy, to nikt nam nie pomoże – stwierdził, nie starając się nawet ukryć sarkazmu. Po czym dodał już normalnym tonem: – Obyśmy z tego w ogóle wyszli z życiem.

– Dobra. Idź do operacyjnego. Wezwij Bogarta. Ja zaraz przyjdę.

Po pięciu minutach, odświeżony i z jaśniejszym umysłem, pił kawę w głównym pomieszczeniu bazy. Wszedł Bogart. Wyglądał na zrelaksowanego. On rzadko kiedy czymś się przejmował dłużej niż chwilę.

– Melduję się, kapitanie – powiedział. Ani spojrział na Wilsona.

– Dobrze. Siadaj, Bogart. Obaj siadajcie. Stoicie nade mną jak wyrzut sumienia.

Usiedli. Byli w tym miejscu blisko dobę. Dobrze poznali zarówno samą bazę i jak i najbliższą okolicę. Nie licząc wiatru i wczorajszego incydentu, na planecie panował spokój.

– Panowie, znamy się nie od dziś – zagał Finagan. – Obserwujecie, myślicie, wyciągacie wnioski. Chcę je znać. Szczerze. Polaris powinien krążyć na orbicie Alfę, ale śladu po nim nie ma. Można by pomyśleć, że załoga opuściła Alfę i poleciała statkiem w nieznanym kierunku, tylko jak w takim razie wytłumaczyć obecność w bazie wszystkich promów? Odczytałem z archiwum rejestry lotów z Polaris na planetę. Najpierw przylecieli zwiadowcy, zbudowali bazę, jakiś czas potem na Alfie wylądowała reszta. Nie ma żadnych śladów, by ktokolwiek wrócił na Polaris. Loty transportowe odbyły się zdalnie. Z czego wynika, że załoga jest tu, na planecie, a Polaris oddalił się sam, bez ludzi, na dodatek bez włączonych transponderów.

– Mógł ulec awarii – powiedział Wilson.

– Program zarządzający lotem jest najlepiej zabezpieczonym programem na statku – zaprotestował dowódca.

– Co nie znaczy, że jest w stu procentach odporny na błędy. Lub sabotaż.

– Dobrze. Widzę, że coś jeszcze ci chodzi po głowie.

– Owszem. Atak.

– Finagan pokręcił głową z niedowierzaniem – Polaris nie pozwoliłby żadnemu obiektowi nawet się zbliżyć, nie mówiąc o skutecznym ataku.

– Po tym, co stało się wczoraj, nie byłbym tego taki pewien. Nasz statek jest bliźniakiem Polarisu – odparł Wilson. – Prawda jest taka, że nikt nie zatroszczył się o dokładniejsze zbadanie sytuacji na Alfie, panie kapitanie. Od początku graliśmy w ciemno. Major Higgins grał i my gramy.

– Rozumiem. Bogart?

– Tu się generalnie nic kupy nie trzyma. W bazie wszystko jest w zasadzie nie tknięte – żywność, woda, lekarstwa, ubrania. Sprawdziłem dokładnie, bo to jednak cholernie dziwne. Pojazdy też stoją – i zwiadowcze, i bojowe – z wyjątkiem jednego z Gepardów, którego po prostu nie ma; prawdę powiedziawszy, wygląda tak, jakby coś zmusiło załogę do ucieczki tak jak stali, tylko Gepardem.

– Fantom.

– Okej. Ale dlaczego nie wzięli broni?

– Może nie zdążyli.

– Może. Tylko wie pan, co to znaczy?

– Że prawie trzy lata koczują gdzieś w terenie, bez zapasów. Wiem, co myślicie. Szansa na zalezienie ich żywych jest prawie żadna...

Finagan sięgnął po kawę. Senność nadal trzymała go w objęciach. Miał wrażenie, że odkąd pokonali tunel, jego funkcje życiowe stopniowo się rozregulowały. Co było całkiem możliwe. Znał raporty na temat stanu zdrowia Lori Vormann.

– Jakie powinny być waszym zdaniem nasze następne kroki? – zapytał. Miał w głowie rozmowę odbytą z Shermanem przed wylotem. Dyrektor stawiał przed nimi dwa zadania. Odszukanie załogi było tylko jednym z nich.

Obaj sierżanci spojrzeli po sobie. Oni również byli świadomi celów misji. A także występujących między nimi sprzeczności.

– Myślę, że nie powinniśmy ruszać się z bazy, jeśli naprawdę nie musimy – rzekł po namyśle Wilson. – Sondy latają na razie bez przeszkód. Niech zbiorą więcej danych. Po nich musiały zostać ślady. Coś znajdziemy.

– Możemy wyposażyć sondy w czujniki olfaktometryczne – Bogart miał oczywiście pomysł na modyfikację propozycji kolegi.

– Żaden zapach się nie utrzyma w terenie przez trzy lata – nie zgodził się Wilson. – Zwłaszcza przy tym wietrze.

– To zależy jak skalibrujemy sensor – upierał się przy swoim Bogart. – Śladowe ilości mogły zostać. Zwiększamy szanse w ten sposób.

Finagan zaakceptował pomysł. Sondy można było konfigurować w różny sposób, do różnych zadań.

– Fantom już raz się pojawił – stwierdził. Celowo nie użył terminu „atak”. – Co jeśli pojawi się znowu?

Wilson zrozumiał intencje dowódcy.

– Na razie to mogła być tylko próba czy zwiad – orzekł. – Na pewno musimy być gotowi, że następne podejście będzie inne.

– Na przykład kinetyczne? – chciał wiedzieć kapitan.

Wilson myślał intensywnie.

– Niekoniecznie – powiedział ostrożnie. – Myślmy w ziemski sposób. Działanie podprogowe też może być agresją. Lepiej nastawić się na coś, co nie mieści się w naszej wyobraźni, panie kapitanie.

## **GRUDZIEŃ 2034 ROKU / ALFA**

Gepard zmierzał w kierunku rzeki.

Masywna sylwetka promu już dawno zniknęła z obiektywu kamery obserwującej tylną półsferę pojazdu. Do celu pozostały dwa kilometry. Z pewnością dałoby się znaleźć lądowisko bliżej planowanego miejsca zbudowania bazy, Wagura jednak uznał, że woli zostawić Zwiadowcę nieco dalej, a resztę drogi przebyć Gepardem. Chciał przyjrzeć się planecie z bliska, chciał ją poczuć.

Szybko uznał, że to nie był dobry pomysł. Jazda okazała się wyrafinowaną torturą. Warkot potężnego silnika atakował uszy mimo słuchawek ochronnych. Czterdziestotonowy pojazd skakał na nierównościach terenu jakby był plażową piłką. Gąsienice zgrzytały potępieńczo. Utrzymanie prostego toru jazdy okazało się niemożliwością: głębokie rozpadliny i wyrastające jak spod ziemi wielkie głazy zmuszały Wagurę do nieustannego kluczenia; skupiony, błyskawicznie reagował na zmieniające się jak w kalejdoskopie warunki jazdy.



Magda zerknęła na niego. Mimo koncentracji i marsowej miny wyglądał na szczęśliwego. Zazdrościła mu. Odkąd wysiadła ze Zwiadowcy, jej nastrój tylko się pogarszał. Jakieś nieokreślone zimno ścisnęło klatkę piersiową. Bała się. Nie mogła doszukać się żadnej racjonalnej przyczyny – a jednak dławił ją strach.

– Jasiu zwolnij, co? – poprosiła słabo. – Żołądek mi się wywraca na drugą stronę. Nigdzie nam się nie spieszy.

Posłusznie zmniejszył obroty. Wstrząsy nieco złagodniały. Hałas spadł do akceptowalnego poziomu.

– Gdyby było parę stopni cieplej, moglibyśmy wykąpać się w rzece. A przy tej temperaturze, nici z tego – westchnął.

– Nie narzekaj. Pomyśl, że na Marsie jest teraz sześćdziesiąt stopni poniżej zera.

– Bardzo pocieszające – uśmiechnął się przekornie. – Tak czy inaczej, nie bardzo sobie wyobrażam, jak cokolwiek wyhodować przy plus trzech stopniach.

– Zbudujemy szklarnie – odparła. Gepard opadł w jakąś rozpadlinę, po czym z rykiem silnika zaczął się z niej wydobywać. Magda poczuła mdłości. – Gleba po niewielkiej modyfikacji nadaje się do upraw.

– Tak czy inaczej, długie, romantyczne spacery przy księżycu odpadają – stwierdził z udawaną powagą. – Za zimno i za bardzo wieje.

– Mówi to facet, który nigdy w życiu nie zaprosił mnie na romantyczny spacer – parsknęła. Nawet w takich okolicznościach potrafił ją rozśmieszyć.

– Chciałbym zauważyć, że jesteście na misji – odezwał się kostyczny głos Gilberta.

– Bardzo dziękujemy za przypomnienie – warknął Wagura, patrząc ze złością na głośnik.

– Uważaj! – krzyknęła Magda.

Wcisnął gwałtownie pedał hamulca. Ciężki pojazd jęknął. Gąsienice ślizgały się na bazaltowych złomkach. Przez chwilę sunęli siłą rozpędu. W końcu solidnie opancerzony przód wozu zatrzymał się o kilka centymetrów od wielkiego głazu, który całkowicie blokował drogę.

Wagura odetchnął z ulgą, ocierając pot z czoła.

– Przepraszam.

– Mało brakowało.

Kapitan zerknął przez przednią szybę, a potem na ekran, ukazujący teren widziany z góry, z dronów.

– Dalej nie pojedziemy – zawyrokował.

– Było do przewidzenia.

Wagura wyłączył silnik. Zapadła cisza.

– Nareszcie. Co za ulga – mruknęła Magda.

Wagura roześmiał się, ale żona nie zawtórowała mu.

– Polaris, zgłoś się, tu Gepard – powiedział.

Głośnik zatrzeszczał głosem Higginsa.

– Słyszę was głośno i wyraźnie, Gepard.

– Teren do jazdy nam się skończył – oznajmił Wagura. – Do rzeki mamy jakieś pięćset metrów. Idziemy na piechotę. Sondy geologiczne zamontujemy ręcznie.

– Macie zielone światło, Gepard. Pamiętajcie o maskach tlenowych. Przypominam, że obowiązuje trzeci stopień procedury bezpieczeństwa. Uważajcie na siebie.

– Bez odbioru.

Kapitan kliknął przełącznikiem radia. Magda przyjrzała się jego manipulacjom.

– Co robisz?

– Przełączyłem na kanał prywatny.

– Żartujesz? – powiedziała. Do ucisku w piersiach doszło nieprzyjemne ćmienie żołądka. – To niezgodne z procedurą i nieodpowiedzialne. Przełącz z powrotem.

– Nie będziemy mogli pogadać.

– Pogadamy, jak wrócimy – odparła, znacznie ostrzej niż zwykle. – Przełącz.

Wagura przyjrzał jej się uważnie, a potem wcisnął dźwigienkę przełącznika.

– Prawdziwa szefowa sztabu – mruknął.

Właz otworzył się z sykiem.

\*\*\*

Szli wolno – jakby się umówili, żeby się nie spieszyć – zresztą, kamieniste, pełne zdradliwych uskoków podłoże bardzo utrudniało marsz. Słońce stało w zenicie,

a wiatr zelżał – było niemal ciepło. Po prawej wyrastała wielka, majestatyczna góra zakończona ostrym, jakby sztucznie stworzonym szczytem. Nagie, szarobrazowe stromizny niemal pochylały się nad doliną. Pokonali spiętrzenie głazów, blokujące przejazd Gepardowi i wyszli na stosunkowo płaski, łagodnie opadający teren. Wijąca się nieopodal rzeka miała nie więcej niż trzydzieści metrów szerokości i leniwy nurt. Mimo jaskrawego światła wydawała się czarna. Coraz wyraźniej słyszeli szum wodospadu, skrytego za zakrętem.

Sonda się nie pomyliła – to było dobre miejsce na bazę. Ciężkie promy transportowe z maszynami, modułami mieszkalnymi i zapasami mogły lądować tuż obok.

Magda nie zwracała uwagi na otoczenie, pochłonięta odbiorem sygnałów wysyłanych przez organizm. Czowała, że obręcz na klatce piersiowej zaciska się coraz mocniej. Żołądek ćmił i fikał koziołki. Miała kłopoty z oddychaniem. Zastanawiała się, kiedy Gilbert, monitorujący funkcje życiowe zwiadowców, zacznie analizować przyczyny jej złego samopoczucia, a co gorsza, zadawać pytania.

Co to było? Strach? Nie miała pojęcia, skąd się wziął. Dokładnie natomiast potrafiła umiejscowić moment, w którym się pojawił. To planeta tak na nią działała. Odkąd dotknęła stopą kamienistego gruntu, czuła się coraz gorzej.

Czego się bała? To również wiedziała dokładnie: truchlała, że zawiedzie załogę. Że w kluczowym momencie nawali i ktoś przez nią zginie. Utraciła swój wielki atut: pewność siebie. Czy tak wyglądają podróże do gwiazd?

– Pomyślałabyś jeszcze dwa lata temu, że będziemy chodzić po innej planecie? – zapytał Wagura. Pytanie zostało zadane lekkim tonem, ale i tak przestraszyła się, że usłyszał jej myśli. – Razem? Że w ogóle polecimy w kosmos?

Nie miała ochoty na rozmowę, na pewno nie teraz, ale nie chciała również, by jej mąż zaczął coś podejrzewać. Rozejrzała się. Podczas rocznych przygotowań do lotu dużo czasu poświęcono psychologii. Instruktorzy włożyli wiele wysiłku, by uzmysłwić im, jakie skutki dla psychiki może mieć lądowanie na obcej planecie, stanięcie twarzą w twarz z nowym światem, oddalonym o trudną do wyobrażenia odległość od domu.

– Niesamowite to wszystko... – przyznała. Zawsze potrafiła nazywać rzeczy po imieniu. Teraz wołała ograniczyć się do banałów.

– No. A zwłaszcza czerwono-niebieskie niebo namalowane przez czterolatka...

– To nie jest czerwony, tylko amarantowy – skorygowała odruchowo. – A ten drugi kolor to granat.

Wagura spojrział w niebo. Księżycy patrzyły na nich obojętnie. Oba były niezwykle, w jakiś posępny sposób, piękne.

– Nie uważasz, że mniejszy ma zmęczoną twarz zatroskanego starca? – zapytał kapitan.

Magda spojrzała na męża i uśmiechnęła się mimo woli. Był przy niej. Mogła się na nim oprzeć. To był pewnik, solidne oparcie wśród wzburzonych wód.

– Filozof – bąknęła.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się pobliskim górą pokrytym dziką, nieokiełznaną roślinnością.

– Czujesz się obco? – zapytał.

Spojrziała przelotnie. Wie? Domyśla się? Nie chciała tego drażnić. Strach znów wydobyl się na pierwszy plan.

– Przyzwyczaimy się – zbyła go.

– Właśnie. Przyzwyczaimy się.

Po raz pierwszy wsłuchiwała się nie tylko w słowa, ale w również w ton, jakim zostały wypowiedziane. Jej mąż rzadko bywał do końca poważny. Potrafił żartować nawet za sterami myśliwca.

– O co chodzi, Jasiu?

Wyłączył radiostację, złapał ją za głowę i lekko przyciągnął. Stykali się maskami.

– Co się stało? – zapytał cicho.

Słowa dochodziły do niej zniekształcone, ale rozumiała je aż nadto dobrze. To była ostatnia rzecz, jaką miała ochotę roztrząsać. Nie w tym momencie. Nie w jej stanie.

– Nic.

Powinna wiedzieć, że on nie da się zbyć.

– Na Polarisie skakałaś pod sufit, kiedy dowiedziałaś się, że polecisz jako pierwsza – powiedział półszepem. Higgins za chwilę będzie chciał wiedzieć, dlaczego ich nie słyszy. Mieli może minutę. – Teraz wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Skupiła się. Nie mogła pozwolić strachowi, by nią zawładnął. Ale chciała być również szczerą. Zawsze mówili sobie wszystko.

– Boję się, że nie dam rady – szepnęła.

– Ty? – zdumiał się.

– Jest tyle niewiadomych...

Rozejrzał się. Krajobraz nadal uwodził posępnym wdziękiem i nadal wydawał się obcy.

– Boisz się, że ten kawał skały miliardy kilometrów od Ziemi nie zostanie naszym domem?

– A ty? – odpowiedziała pytaniem. Próbowała sobie przypomnieć, jaka motywacja jej przyświecała, gdy stawiała do selekcji i potem, gdy podczas treningów dzień w dzień miała dość. To było jakby w innym życiu. – Myślisz, że to możliwe?

– Podoba mi się, że jesteśmy tu sami i wszyscy mogą nam nagwizdać – oświadczył z nieoczekiwaną powagą. – I to, co było na Ziemi, na zawsze zostanie na Ziemi. Już nie trzeba będzie jeździć po sto kilometrów, żeby zobaczyć coś poza betonem. Ja chyba nawet nie muszę się przyzwyczajać. Dziko tu. Pusto. Mnie się podoba.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie będziesz tęsknił?

– Za czym? Za smrodem? Pośpiechem? Pogonią za kasą? Strachem, że mnie wyleją z pracy? Czy polityką i kampaniami wyborczymi? Dziękuję. Martwię się tylko o twoich rodziców...

Poczuła silne ukłucie w sercu.

– Oni pogodzili się z tym – powiedziała twardo. – Dadzą sobie radę, Jasiu. Chodź. Musimy iść.

Przytrzymał ją.

– Zawsze możesz na mnie liczyć – szepnął. – Zawsze.

Ucisnęła mu dłoń, wkładając w ten gest całe swoje uczucie i całą swoją wdzięczność.

W końcu doszli do rzeki. Kamienisty brzeg opadał łagodnie, szumiał cicho ukryty za zakrętem wodospad. Wiatr znów się nasilił. Powierzchnia wody pokryła

się drobnymi zmarszczkami. Z ulgą postawili na ziemi długie na blisko metr słupki sond geologicznych.

Wagura klęknął, zdjął rękawicę, zanurzył dłoń w leniwym nurcie rzeki.

– Zimna jak cholera – krzyknął w udawanym przestraszonym.

Spojrzała na niego z czułością, ale nagle jakiś nieokreślony, choć wyraźny impuls kazał jej się odwrócić i spojrzeć ku górze.

Niebo pociemniało.

Dopiero po sekundzie zdała sobie sprawę, że to nie słońce skryło się za alfańskimi chmurami, tylko jego blask został przysłonięty przez, lecącego wprost na nich, potwora. Zbliżał się szybko, machając wielkimi, łukowato wygiętymi skrzydłami. Widziała już wyraźnie przerażający pysk, wypełniony zębami o metaliczno-szarym odcieniu, wystarczająco ogromny, by bez trudu połknąć człowieka, potężne odnóża zakończone szponami, łuskowaty pancerz, chroniący szyję i masywną pierś...

Był wielki i chciał ich zabić. Nurkował niemal pionowo; odległość malała błyskawicznie.

Strach wrócił, znacznie silniejszy niż przedtem. Złapała męża za rękę, myśląc przelotnie, że Ripper, krążący im nad głowami, powinien już dawno zareagować. Niestety, znajdował się w najdalszym fragmencie obszernej pętli, za daleko, by otworzyć skuteczny ogień.

– Na jedenastej – krzyknęła. – Sto metrów.

W odpowiedzi stwór wydał z siebie przeszywający, ochrypły ryk.

Wagura błyskawicznym ruchem zdjął z pleców karabin i złożył się do strzału.

Monstrum rosło w oczach, ukazując coraz więcej detali swej przerażającej fizjonomii. Magda nabrała stuprocentowej pewności, że za chwilę ich zabije. Życie najprawdopodobniej uratował im dron obserwacyjny, którego komputer, zbierający dane w czasie rzeczywistym, właściwie ocenił sytuację i podjął decyzję o poświęceniu nieuzbrojonej maszyny, by dać czas Ripperowi na zajęcie pozycji do strzału.

Silnik zawył na najwyższych obrotach, samolocik momentalnie zmienił kurs.

Stwór wydał kolejny dziki krzyk, tym razem nieco wyższy niż poprzednio; dwadzieścia metrów nad ziemią zrobił zwrot o niewiarygodnie ciasnym promieniu, po czym, machnąwszy potężnymi skrzydłami, ruszył na spotkanie

drona obserwacyjnego. Dopadł go błyskawicznie: pysk otworzył się na całą szerokość, ostrza błysnęły w blasku słońca i wbiły się w ogon maszyny. Powtórny atak pozbawił samolocik połowy kadłuba. Bezwładna masa metalu zaczęła opadać. Wszystko nie trwało nawet dziesięciu sekund.

Potwór ryknął triumfalnie, odwrócił łeb osadzony na teleskopowej, muskularnej szyi – i ponownie runął w dół.

Spanikowana zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu kryjówki: otaczała ją jednak wyłącznie pusta, płaska przestrzeń. Do najbliższych zarośli było nie mniej niż sto metrów. Jak na złość wielkie głązy, z labiryntem niezliczonych tuneli, jaskiń i przejść znajdowały się jeszcze dalej, dobre pół kilometra za plecami.

Prześladowca był tuż. Rozwarta na całą szerokość paszcza zdawała się przesłaniać horyzont.

Pomyślała, że tak właśnie wygląda prawdziwy, mający niemal materialną postać strach. I że awantura, zwana wyprawą kosmiczną, kończy się właśnie, zanim się na dobre zaczęła. Nie dopilnowano dokładnego rozpoznania planety. Popełniono błędy, za które teraz oboje zapłacą życiem.

– Ripper, ognia! – wrzasnął Wagura, zobaczywszy nadlatujący bezzałogowy statek latający, po czym nacisnął spust karabinu szturmowego.

Powietrze rozdarło frenetyczne terkotanie napędowej półcalówki. Seria uderzyła w bok stwora, mniej więcej pół metra od zakończenia szyi. Żadne ziemskie stworzenie nie przeżyłoby serii półcalowych pocisków z wolframowym rdzeniem, oddanej z odległości stu pięćdziesięciu metrów. A jednak stwór, choć ranny (Wagura wyraźnie widział dziury w jego ciele) ryknął rozdzierająco, zmienił kurs – choć nie tak sprawnie, jak za pierwszym razem – i rzucił się w kierunku Rippera. Dron nie uciekał; komputer skorygował koordynaty celu i sześć luf rozkrzyczało się ponownie. Pociski wgryzły się w pierś latającego stworzenia, rozorały ją na całej szerokości. Z ran trysnęła ciemna, niemal granatowa posoka. Olbrzymie cielsko utraciło całą dotychczasową zręczność. Zaczęło spadać jak kamień, po czym z łomotem, od którego zatrzęsł się grunt, uderzyło w powierzchnię planety.

Wszystko na moment zastygło w bezruchu.

Wagura mocniej chwycił karabin. Zaczął iść – ostrożnie, powoli, w pełnej napięcia ciszy. Magda czuła, że powinna mu towarzyszyć, ubezpieczać go, nie

miała jednak nawet siły unieść broni. Słyszała bicie własnego serca. Miała wrażenie, że brakuje jej powietrza.

– Nie podchodź za blisko – poprosiła błagalnie.

Usłyszał ją, mimo wiatru.

– Nie mam zamiaru. To cholera przeżyło serię z pięćdziesiątki i upadek ze stu metrów.

Jakby w odpowiedzi, ciężko ranny stwór podniósł wielki łeb i ryknął. Dźwięk był wyższy i znacznie słabszy niż poprzednio, ale nadal była w nim groźba. Wagura stanął. Bez pośpiechu złożył się, naprowadził czerwoną kropkę kolimatora na jedno z oczu i trzykrotnie pociągnął za spust. Huk wstrząsnął powietrzem. Ryk urwał się jak ucięty nożem. Znow słyhać było tylko szum wiatru i pluskanie niedalekiego wodospadu.

– Nie żyje? – zapytała, nadal nie mogąc ruszyć się z miejsca.

Wagura dokładnie przyjrzał się cielsku.

– Dostał prosto w oko. Jeśli nie ma pancernej czaszki, to nie żyje – orzekł, po czym zawiesił broń na pasku.

Zrobiła jeden niepewny krok w stronę męża. Potem drugi. Wagura klęczał, pochłonięty obserwacją stworza. Ostrożnie dotykał pokrytego łuskami boku. Grube na pięć centymetrów, wyglądające na bardzo twarde tarcze kostne zachodziły na siebie, tworząc elastyczny i piekielnie mocny pancerz. Nie potrafił wyobrazić sobie zwierzęcia, które mogło być równorzędnym przeciwnikiem dla tego latającego pancernika. Być może natura wyposażyła kapitana w zbyt małą wyobraźnię.

– Ma ze trzy metry długości i pewnie cztery rozpiętości – orzekł.

Magda podeszła bliżej. Wyszczzerzone zęby i szeroko otwarte, wodniste oko z pionową kreską źrenicy pośrodku napawało ją niewypowiedzianą odrazą. Przemknęła jej przez głowę absurdalna myśl, że subskrybenci Real Life nareszcie dostaną to, za co zapłacili. Gdy sceny bitwy z tym monstrum dotrą na Ziemię, wywołają prawdziwą sensację. Fantastyczne filmy o potworach staną się rzeczywistością – odległą w przestrzeni, ale prawdziwą.

Wagura wyglądał na podnieconego zarówno niedawnym starciem, jak samą obecnością niezwykłego stworzenia.



– Magda, on ma dwie pary skrzydeł – zawołał. – Może mniejsze działały jak stateczniki poziome... Miałyby sens. Widzisz zęby?

– Przypomina jakiegoś popieprzonego pterozaura z paszczą rekina – mruknęła.

Powinna czuć ulgę, zamiast tego w głowie uparcie kołatała myśl, że wyrok został jedynie odroczoney. Stało się dokładnie tak, jak przewidywała – w decydującym momencie, kiedy trzeba było podejmować błyskawiczne decyzje i działać, zawiodła, bo strach sparaliżował jakiekolwiek działania.

Wagura pokręcił głową z podziwem.

– Nie dziwię się, że dopiero druga seria go załatwiła. Magda, on nie ma trzech metrów długości...

– Cztery co najmniej i to nie licząc ogona...

– Nie zdziwiłbym się, gdyby go zaprojektowano w jakimś laboratorium.

Magda spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Myślisz, że...?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Sądząc po ilości flaków i tego śmierdzącego gówna, które przypuszczalnie jest czymś w rodzaju krwi, to pewnie zwierzę. Ale nie założyłbym się, że powstało w wyniku ewolucji naturalnej.

– Człowiek całe życie czyta książki, ogląda filmy i myśli o tym, jaką bujną trzeba mieć wyobraźnię, żeby wymyślać te wszystkie stwory w innych galaktykach, a tu...

Poprawił karabin na ramieniu i rozejrzał się.

– Chyba musimy się wziąć do solidnych badań ekosystemu Alfy. Czyli... – zamilkł.

Magda znów poczuła ukłucie strachu.

– Co jest, Jasiu?

Wyciągnął rękę.

– Nad rzeką – powiedział cichym, zmienionym głosem.

Spojrzała. I zrozumiała. Musiała włożyć sporo wysiłku, by ustać na nogach.

– Kamień? – zapytała, doskonale wiedząc, że pytanie jest śmieszne, że to nie jest kamień i że dopiero to odkrycie zwiastuje prawdziwe kłopoty.

– Nie – odparł.

Zaczęli iść, jak na komendę. Wagura zdjął broń z ramienia i wysunął lufę do przodu. Magda uznała gest za zbędny – jeśli właściwie oceniła ów, na poły zanurzony w rzece obiekt, ich uzbrojenie nie będzie potrzebne.

Ciemny kształt robił się coraz większy. Gdy zbliżyli się na dwadzieścia metrów, Wagura uniósł dłoń. Stanęli.

Tak, nie myliła się.

Gruby na łokieć, długi na dziesięć, może dwanaście metrów przedmiot sterczał z rzeki, pochylony nieco nad brzegiem, jakby jakaś ogromna siła wbiła go w dno. Miał regularny, lekko wyoblony kształt i mieniącą się w ostrym świetle słońca grafitową, regularną strukturę bez żadnych otworów. Prawy bok urywał się gwałtownie jak ucięty nożem, lewy dla odmiany był poszarpany, być może strzaskany uderzeniem.

– Co widzisz? – zapytał ostrożnie.

Magda walczyła z suchością w gardle.

– Fragment kadłuba.

– Też tak myślę – przytaknął. – Jest jeszcze weselej, niż myśleliśmy.

– Jakoś nie chce mi się śmiać.

– Muszę to sfilmować – powiedział Wagura, wyciągając z kieszeni na udzie maleńką kamerę o rozdzielczości ośmiu tysięcy pikseli. Widział, że obraz z dronów i kamer nahełmowych jest przesyłany przez satelitę na Polarisa i rejestrowany, ale chciał mieć dodatkowy materiał, uznając, że każdy detal jest ważny. Zaczął nagrywać, robiąc zbliżenia. By mieć lepszy kąt, wszedł po kolana do wody. Magda została na brzegu.

– To fragment czegoś większego – oceniła. W końcu udało jej się skupić. – Gwałtownie oderwany od reszty.

– Możliwe – zgodził się Wagura. – Ciekawe, gdzie ta reszta.

– Nie widzę śladów katastrofy.

– Mogła nastąpić wysoko w powietrzu. To coś rozpadło się, ten fragment przyleciał tu i wbił się w dno.

– Czyli gdzieś musi być wrak.

– Zapewne.

– Myślisz, że to mogło być starcie z tym rekinim pterozaurom?

Pokręcił głową. Schował kamerę do kieszeni i wyszedł z wody.

– Niemożliwe – orzekł. – To fragment poszycia statku. Opancerzonego. Nie jestem specjalistą od materiałów, ale wygląda na wielowarstwowy kompozyt. Ptaszysko z zębami byłoby za cienkie. Jeśli miałbym coś obstawiać, to raczej jakiś atak kinetyczny, wystarczająco silny, żeby rozpruć czterdziestocentymetrowe opancerzenie. Dobra, koniec partyzantki. Polaris, widzicie to? – rzucił do mikrofonu.

– Wyłączyłeś radio – zauważyła. – Przed atakiem.

Zerknął na przełącznik, po czym przekręcił go.

– Polaris, zgłoś się.

Odpowiedziała mu cisza zakłócana tylko trzaskami statycznymi.

– Majorze? – powtórzył. – Polaris, zgłoś się. Natrafiliśmy na nieznany obiekt... no, na dwa nieznane obiekty, jeden już martwy...

Magda starała się sobie wytłumaczyć, że zakłócenia łączności nie są niczym nadzwyczajnym, zwłaszcza w obcym, słabo zbadanym terenie, usianym na przykład związkami żelaza. Bezskutecznie. Strach wrócił i ponownie usadowił się piersiach.

– Komandor Higgins, Polaris, zgłoś się – powtórzył wezwanie Wagura.

– Przełącz na zapasowy kanał – zaproponowała.

Wagura posłusznie ustawił przełącznik w kolejnym położeniu.

– Polaris, zgłoś się.

Nadal odpowiadała mu cisza. Wpatrzył się w ekran tabletu.

– Nie widzę satelity.

– Może antena na Gepardzie padła od tych wertepów.

– Antena jest dobra.

Magda zerknęła na niewielki czytnik przymocowany do lewego przedramienia.

– System nie sygnalizuje awarii – oznajmiła. – Powinniśmy móc nadawać i odbierać. Może ten pancierz generuje zakłócenia?

– Czujnik nie rejestruje promieniowania. Pancierz jest martwy, Magda. Zresztą, gdyby zakłócał sygnał radiowy, nie mielibyśmy łączności z dronami. A widzę wszystkie trzy.

Poczuła się jeszcze bardziej zagubiona.

– Pierwszy raz widzę takie ekranowanie, które wybiórczo zakłóca tylko łączność satelitarną – stwierdziła bezradnie.

Spojrzał na żonę czułością. Ujął jej dłoń.

– Pewnie będziemy tu widzieli niejedno – powiedział cicho. – Pamiętaj, poradzimy sobie, ty i ja. Tak było i tak będzie teraz. Nie martw się.

– Bardzo bym chciała, żebyś miał rację – szepnęła.

Poklepał ją czule po kasku.

– Wracajmy do Geparda – poprosiła.

– Nie warto się jeszcze przyjrzeć...?

– Najpierw odzyskajmy łączność z Polarisem. Zawsze możemy tu przyjechać jeszcze raz. Ani ten oderwany kawałek, ani potwór nigdzie się nie wybierają.

Wagura miał wyraźną ochotę zostać dłużej.

– Wyślemy robota.

Była jeszcze bardziej stanowcza.

– Najpierw łączność. Higgins już na pewno ogłosił alarm.

– No to jazda – zgodził się nieoczekiwanie.

Boże, dałaby wszystko, by nie zawieść chociaż jego.

– Grzeczny chłopiec.

Ruszyli w stronę Geparda.

## POLARIS

Zgromadzili się w kabinie operacyjnej. Na palcach jednej ręki dało się policzyć sytuacje, podczas których major Higgins okazywał zdenerwowanie. Teraz po prostu krzyczał na Gilberta, obwiniając go o utratę łączności.

Głos komputera był wprost ostentacyjnie flegmatyczny.

– Nie stwierdziłem żadnej awarii, komandorze.

– Tyle wiem sam. Umiem czytać.

– Domyślam się. Jeśli miałbym przyjąć jakieś założenie, powiedziałbym, że to kapitan Wagura jednak nas odciął.

Higgins uspokoił się o tyle, że przynajmniej stracił ochotę na zgrzytanie zębami.

– Zakładasz niesubordynację?

– Zakładam wolniejsze adaptowanie się do nowego, komandorze.

– To znaczy?

– Pierwotnie jako członek misji wyznaczona była Lori Vormann. Ostatecznie z kapitanem Wagurą poleciała porucznik Wagura. Są małżeństwem. Może uznali, że przyda im się chwila rozmowy bez świadków.

– To jest bardzo zły moment na załatwianie problemów małżeńskich...

Karen potrząsnęła głową.

– Albo najlepszy – oświadczyła, nie zwracając się do nikogo w szczególności, jednak John miał dziwne wrażenie, że jego żona chce mu coś powiedzieć. Przyszło mu do głowy, że być może ich ziemskie sprawy wcale nie zostały zakończone.

Karen nadal patrzyła w przestrzeń.

– W nowym otoczeniu można otworzyć nowy rozdział życia – stwierdziła bezbarwnym tonem. – W końcu są pierwszymi ludźmi na tej planecie, a krajobraz wygląda na bardzo malowniczy. Chcieli pobyc przez chwilę sami. Uznali, że nic im nie grozi.

– Może tak było – zgodził się. Jeśli Karen rzeczywiście chciała mu przesłać jakiś komunikat, wołał publicznie nie wgłębiać się w postępowanie Wagurów (choć oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że okazywanie miękkości w tej sprawie mogło na dłuższą metę zagrozić dyscyplinie). – Gilbert, posłuchaj: mamy zakłócenie obrazu tylko w jednym obszarze. Widzimy Geparda; stoi tam, gdzie go zostawili. Potem poszli w stronę rzeki, gdzie zaatakował ich ten latający koszmar. Następnie obraz się urwał. Dziwnym trafem niewidoczny zrobił się akurat interesujący nas fragment terenu. Kapitan Wagura oczywiście mógł przejść na kanał krótkiej łączności i wyłączyć fonię, dlatego go nie słyszmy, ale na pewno nie był w stanie zakłócić transmisji telewizyjnej tylko w jednym konkretnym miejscu. Chcę znać diagnozę. Chcę wiedzieć, czy coś im grozi. I czy mam wysłać misję ratunkową.

– Będzie to spekulacja, komandorze. Zakładam, że między powierzchnią planety, a satelitą wystąpiło zakłócenie elektromagnetyczne.

– Coś w rodzaju izolatora?

– Tak.

– Dlaczego go nie wykryliśmy? Satelita ma możliwość obserwacji nie tylko w paśmie widzialnym. Zakłócenie elektromagnetyczne tej mocy musiałyby zostać zarejestrowane przez detektory.

– Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. – Głos Gilberta miał obojętne brzmienie, ale Higgins usłyszał w nim przekorną nutę. Jestem lepszy niż wy, ale też nie jestem doskonały. Jestem istotą myślącą i czasami się myślę, zdawał się mówić. A może było mu wszystko jedno. Nie po to zostałeś skonstruowany, żebyś się mylił albo nie był zainteresowany rozwiązaniem problemu, ripostował komandor, po czym zreflektował się. Popadam w paranoję, przemknęło mu przez głowę. Nawet w myślach polemizuję z maszyną.

Zerknął na pozostałych.

– Karen? Peter?

– Jako pilot znam się na łączności tylko z poziomu użytkownika – oświadczyła Karen. John wiedział, że to nieprawda. Było w niej coś, czego nie potrafił rozszyfrować. – Nie mam pojęcia, co się stało.

Peter Vormann okazał się bardziej stanowczy.

– Musimy jak najszybciej przejrzeć ten obszar – oświadczył. – Skonfiguruję nową sondę. Każemy jej latać nisko, może wtedy dowiemy się, z czym mamy do czynienia.

Higgins kiwnął głową z aprobatą.

– Ile ci to zajmie?

– Dwie godziny.

Komandor nie zdążył wyrazić zgody, gdy do rozmowy ponownie włączył się Gilbert.

– Panie komandorze – rzekł. – Jest obraz.

– Nareszcie. Fonia też?

– Na razie tylko obraz.

Ekran pojaśniał. Dwie malutkie, widziane w pionowym skrócie sylwetki maszerowały w stronę Geparda. Zieleń kombinezonów odcinała się od szarzysty skalnego podłoża.

Higgins odetchnął z ulgą. Wysłanie sondy przestało być potrzebne. Napięcie odczuwalnie zelżało.

– Wyglądają na całych – zauważyła Karen.

– Gilbert, przybliź jeszcze bardziej – nakazał Higgins.

Maszerujące sylwetki powiększyły się. Zajmowały prawie cały ekran.

– Niosą z powrotem sondy geologiczne – stwierdził Vormann sucho. – Nie wykonali zadania.

Higgins zerknął na niego z ukosa, nie mogąc zgadnąć czy facet żartuje, czy mówi poważnie. Zwiadowcy odparli atak latającego potwora (który nawet widziany z orbity wyglądał cholernie groźnie), a on gada o sondach. Dowódca skrzywił się z niesmakiem.

– Gilbert, pokaż obszar, w którym byli wcześniej.

Obiektów zmienił kąt patrzenia. W kadrze pojawiła się rzeka.

– Wykryłem dwa obiekty – zaanonsował komputer. – Pierwszy leży dwadzieścia metrów od rzeki, podświetliłem położenie. Drugi jest na wpół zatopiony w wodzie. Wydaje mi się znacznie ważniejszy.

Karen wpatrywała się w leżącego na kamieniach stwora.

– Gilbert, przybliź – zażądała. – Dziękuję.

Mogli podziwiać każdy detal anatomii martwego napastnika. Z całą jasnością docierało do nich, z jak wielkim niebezpieczeństwem zmierzyl się Wagurowie.

– Latający jaszczur z czworgiem oczu. – Karen nie potrafiła ukryć fascynacji.

Higgins podszedł nieco bliżej. Rzeczywiście: stwór miał dwie pary oczu, umieszczone jedna pod drugą. Górne wyglądały na obrotowe; skojarzyły się majorowi z peryskopami okrętu podwodnego. Przyjrzał się uważniej ranom.

– Widzicie te smugi? – zapytał, odwracając się.

– Ślady po rykoszetach – orzekł Vormann.

– Właśnie. Załatwiły go tylko te pociski, które trafiły idealnie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Wszystkie inne zrykoszetowały. Pierwszy raz widzę u zwierzęcia pancerz, który odbija pociski z pięćdziesiątki z wolframowym rdzeniem.

Przez chwilę milczeli, rozważając sens uwagi dowódcy.

– Chyba mamy problem – westchnęła ciężko Karen. – Ewolucja nie jest ślepa, wykształca organizmy dostosowane do warunków, w których przyszło im żyć. Jeśli ten stwór jest tak ciężko opancerzony i ma tak potężne zęby, to jakich ma wrogów? Przed czym musi się bronić?

– Tyranozaur też miał solidne zęby – stwierdził Higgins. – Służyły mu do polowania. Może ten stwór też jest drapieżnikiem.

– Na pewno jest drapieżnikiem – prychnęła Karen. Higginsa zdziwiła postawa żony, wyraźnie nastawiona na konfrontację. – Ale nie nosiłby pancerza bez potrzeby, bo to tylko zbędny wydatek energii.

Nie rozumiał jej. Czyżby obwiniała o niedostateczne rozpoznanie warunków panujących na planecie również jego?

– Mamy trzeci stopień. – Z dużym trudem udało mu się zachować rzeczowość. – Po prostu musimy być ostrożniejsi. Być może na razie trzeba poruszać się wyłącznie Gepardem.

– Jeśli mogę... – włączył się do rozmowy Gilbert. – Wydaje mi się, że jest poważniejszy problem. Zwróćcie uwagę na drugi obiekt. Tutaj.

Higgins z ulgą przyjął zmianę tematu. Kamera przesunęła się w lewo, mając teraz w polu widzenia sterczące z wody, znalezisko zwiadowców.

– Wygląda jak kawałek skały – stwierdziła Karen.

– Tylko dlatego, że patrzymy pod określonym kątem – wyjaśnił Gilbert. – To nie jest skała. Spinoskopia wykazuje duży procent związków metalicznych.

– To jeszcze nic nie znaczy – wzruszyła ramionami. – W glebie jest masa związków żelaza.

– Ale w glebie nie występują złożone polimery syntetyczne. I nie układają się w kompozyt.

– Co ty chcesz powiedzieć, Gilbert? – Higgins poczuł się prawdziwie zaintrygowany. Chyba rzeczywiście mieli znacznie poważniejszy problem niż latający pseudodinozaur.

– Zaraz odpowiem. Na razie zobaczcie. Maksymalnie przybliżyłem obraz. Przepraszam za ostrość, ale atmosfera nie pomaga. Myślę jednak, że można zobaczyć, co trzeba.

Wyraźnie widzieli płytki o ośmiokątnej, regularnej strukturze. Idealnie równe spoiny między nimi. Metaliczny materiał o grafitowym odcieniu. Poszarpany,



postrzępiony bok.

– Fragment kadłuba? – zapytał Higgins. Usłyszał za plecami parsknięcie Karen.

– Bardzo prawdopodobne. – przytaknął Gilbert, zachowując jednak ostrożność w jednoznacznej ocenie. – Mam zbyt mało danych, żeby to precyzyjnie określić. Możemy jednak przyjąć za pewnik, że ten obiekt jest dziełem, przepraszam za antropocentryzm, czyichś rąk. W każdym razie nie powstał w wyniku naturalnych procesów. Został przez kogoś stworzony. Przez kogoś innego niż ludzie, bo o ile wiem, jesteśmy pierwszymi Ziemianami na Alfie.

– Zwłaszcza ty jesteś – mruknął Higgins.

Vormann machnął z niecierpliwością ręką.

– Komandorze, myślę, że powinniśmy darować sobie złośliwości i bardzo poważnie zastanowić się nad rekonfiguracją celów misji – powiedział głośno, patrząc majorowi prosto w oczy.

– Pieprzenie. – Karen wysunęła wojowniczo szczękę.

Tym razem Higgins nie zwrócił uwagi na jej reakcję. W zdumieniu przyglądał się pierwszemu inżynierowi. Vormann nie uciekał ze wzrokiem.

– Rekonfiguracją celów misji? – zapytał powoli dowódca.

– Owszem, John. Mówię zupełnie poważnie.

Zapadło ciężkie milczenie. Sytuację uratował Gilbert.

– Odzyskałem łączność z Gepardem, komandorze – oznajmił.

Higgins odetchnął z ulgą.

– Chwała Bogu. Tu Polaris, Zwiadowca, zgłoś się.

W głośniku przez chwilę trzeszczało, potem rozległ się warkot silnika, w końcu usłyszeli energiczny głos Wagury.

– Zwiadowca, zgłaszam się.

– No, napędziliście nam strachu jak jasna cholera. Podajcie status misji.

– Jesteśmy w Gepardzie, cali i zdrowi, wszystkie systemy sprawne.

– Pierwsze pytanie. Wyłączyliście fonię?

– Były zakłócenia. Mieliśmy łączność z dronami, nie widzieliśmy satelitów.

– Domyślasz się przyczyny?

– Nie mamy jasnego obrazu sytuacji, komandorze. Program diagnostyczny nie wykazał błędów. Podeszliśmy bliżej Geparda i zaczęliśmy widzieć satelitę, a satelita nas. Tak jakby coś ekranowało sygnał w tamtym konkretnym miejscu.

– Trochę dziwne to ekranowanie. Chwilowe i punktowe. A teraz zniknęło zupełnie.

– Nie tylko to jest dziwne... Kiedy zaatakowało nas to latające paskudztwo, Ripper zareagował dopiero na komendę. Jakby mu się wyłączył tryb autonomiczny. A przecież musiał zidentyfikować atak jako zagrożenie.

– Tryb autonomiczny nie może wyłączyć się sam – zauważyła Karen. – Trzeba mieć uprawnienia, żeby w nim cokolwiek zmienić.

Higgins popatrzył w sufit, jakby chcąc spojrzeć w oczy Gilbertowi. Weszło mu to już niemal w nawyk, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że jest śmieszny; były tam tylko głośniki i mikrofony.

– Gilbert, czy anomalia, która zakłóciła obraz satelitarny mogła mieć wpływ na oprogramowanie Rippera?

– Nie wykryłem żadnego oddziaływania elektromagnetycznego, komandorze.

– To nie jest odpowiedź na pytanie.

– Nie bardzo wiem, jak mógłbym inaczej odpowiedzieć.

– To jakoś do ciebie podobne.

– Kapitanie Wagura?

– Tak jest.

– Przejrzyjcie oprogramowanie Rippera.

– Rozumiem.

– Ten obiekt, w rzece. Co to jest, waszym zdaniem?

– Nie przyglądaliśmy się bliżej, bo Magda na wszelki wypadek zarządziła taktyczny odwrót – odparł Wagura. – Ale mam kilka minut filmu, może parę detali się załapało.

– Prześlij. Obejrzymy – pochwalił Higgins. – Wróćcie do Zwiadowcy, zajmijcie się Ripperem i poczekajcie. Damy wam znać. Bez odbioru.

\*\*\*

Dwie godziny później siedział w jednej z ładowni. Był sam. Uciekł. Po prostu uciekł.

Wpatrywał się w kontener z napisem „Maszyny Rolnicze” i myślał. Zażarta dyskusja wywołała migrenę i nie doprowadziła do żadnych wniosków, poza ogólną obserwacją, że z jego towarzyszami działo się coś dziwnego.

Rozdźwięk pojawił się natychmiast, gdy tylko Peter Vormann otworzył usta. Pierwszy inżynier stwierdził, że obiekt znaleziony przez Zwiadowców jest pozostałością po statku kosmicznym (Vormann z niezachwianą pewnością siebie założył, że nie pilotowały go maszyny), czyli niezbitym dowodem obecności przedstawicieli zaawansowanej technicznie obcej cywilizacji. Należy przyjąć, że na Alfie pojawi się kolejny statek z misją zbadania przyczyn katastrofy – bo to, że miała miejsce katastrofa jest chyba oczywiste. Co wtedy? Vormann odpowiedział wprost: odwrót. Misja Polaris przestała mieć sens. Kontakt z obcymi błyskawicznie zamieni się w wojnę, ponieważ członkowie ekspedycji nie mają procedur postępowania i nie zostali przygotowani do podjęcia prób porozumienia.

Karen zareagowała wyjątkowo impulsywnie, już w pierwszym zdaniu zarzucając Peterowi tchórzostwo, co na pewien czas zepchnęło dyskusję w rejony zwykłej awantury. Kiedy atmosfera nieco się uspokoiła, kapitan Higgins, już nieco spokojniej, ciągnęła swoją myśl: rzeczywiście statek kosmiczny obcej cywilizacji podjął próbę lądowania, ale rozbił się, a załoga zginęła. To był jednorazowy incydent, bez dalszego ciągu. Alfa nie została skolonizowana, więcej wypraw nie było. Dotychczasowe obserwacje nie wykazały obecności życia rozumnego. Sondy nie wykryły budowli, sieci komunikacyjnej, źródeł energii, żadnego porządku poza naturalnym. Tak czy nie? Planeta jest niezamieszkana. Misja powinna być kontynuowana.

Vormann odrzucił tę argumentację. Jego zdaniem, prędzej czy później, na Alfę przybędą towarzysze zabitych w katastrofie. Po wylądowaniu i nawiązaniu kontaktu oświadczą – z dziwną pewnością założył, iż ludzie zrozumieją komunikat – że planeta należy do nich. Ponieważ sytuacja ta nie leży w profilu misji, Higgins podejmie decyzję o obronie status quo. Rozpocznie się walka o niemożliwych do przewidzenia skutkach, która, niezależnie od wyniku, pogrzebie misję.

W ostatnim punkcie rozumowania Higgins przyznał mu rację (po cichu, bo nie chciał się z tego tłumaczyć): Polaris nie mógł po prostu odlecieć. Stawka była zbyt duża, rezygnacja z celów wyprawy nie wchodziła w grę.

Gilbert, starannie ważąc słowa, stwierdził, że należy przesłać na pokład Polarisa fragment wraku i dokładnie go zbadać, oczywiście przy zachowaniu wszelkich procedur i maksymalnej ostrożności. Niezależnie od wyniku badań opowiedział się za kontynuacją misji w takim kształcie, w jakim została zaplanowana. Uznał hipotezę o pojawieniu się kolejnego statku obcej cywilizacji za uprawnioną spekulację, ale tylko jedną z wielu. Według niego równie dobrze mógł nie pojawić się nikt.

Waguirowie także opowiedzieli się za pozostaniem na planecie (jak stwierdził drugi pilot: róbmy to, za co nam płacą).

Lori Vormann natomiast pogrążona była w głębokim, niezdrowym śnie, więc jej opinii nie udało się uzyskać.

Chcąc skończyć tę dyskusję, Higgins nakazał zwiadowcom natychmiastowe rozpoczęcie przygotowań do budowy bazy oraz wyznaczenie miejsca lądowania promów, a także wysłanie robota z zadaniem wycięcia fragmentu wraku obcego statku. Odczuwając dojmującą potrzebę choć chwilowego odizolowania się od reszty, po wydaniu dyspozycji, z westchnieniem ulgi (i nie patrząc na Karen) opuścił jak najszybciej pomieszczenie operacyjne.

Nie wiedział, co było tego powodem, ale zmienili się. Każdy w inny sposób. Magda Wagura brzmiała jak osoba przestraszona, wycofana i niepewna. Jej mąż zdawał się niczym nie przejmować. On sam zrobił się ostrożny, właściwie nadmiernie. Peter poszedł jeszcze dalej: prezentował czyste kunktatorstwo. A Karen, dla odmiany, stała się skłoną do brawury i nieskłoną do słuchania argumentów, ryzykantką, jakże inną od rozważnej pragmatyczki, którą znał na Ziemi. Na dodatek wyraźnie wrogo do swego męża nastawioną. Natomiast Lori odjeżdżała coraz dalej – fizycznie i psychicznie.

Martwił się. Nadal przecież krążyli po orbicie wokół Alfy, nawet nie dotknęli stopą powierzchni planety. Czy mógł na nich liczyć? Czy mógł liczyć na siebie? Zawsze ufał nie tylko swym kompetencjom, ale też rozsądkowi i umiejętności prawidłowej oceny sytuacji. Teraz nie był niczego pewien.

Czy zawinił lot przez bezbrzeża kosmosu, wpływ tunelu czy po prostu nieusuwalne wady ludzkiej psychiki? Byli wybranymi z wybranych. Mimo idealnie wytrenowanych, pod względem fizycznym, organizmów, mimo długiego szkolenia, podczas którego kładziono nacisk na przygotowanie psychiczne, każąc im się mierzyć z bezlikiem symulowanych, ale wyglądających na całkowicie realne, trudności – na zmieniającą się sytuację zareagowali w nie dający się przewidzieć sposób.

Zadał sobie pytanie, czy potrafią wypełnić misję. I nie potrafił na nie odpowiedzieć.

Pytanie, czy potrafią przetrwać, na razie nie przyszło mu do głowy.

## ZIEMIA

Jesteś tu po coś, pomyślał Sean Walker.

Wahał się przez chwilę, ale przecież nie mógł niczego zmienić. Westchnął, po czym zapukał do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, wszedł do gabinetu.

Janet Lee siedziała za biurkiem. Pochłonięta pracą, nawet nie oderwała wzroku od laptopa. W kącie niemy, gigantyczny ekran pokazywał widok planety, filmowany z kamery nahałmowej któregoś ze Zwiadowców. Obraz drgał i skakał, ale tchnął autentycznością. Technicy podkreślili kolory i wyostrzyli tło. Alfa była groźna, posępna, pochmurna – i niezmiernie pociągająca. Prezentowała się jak spełnienie marzeń ludzkości o gwiazdnych podbojach.

Walker nie patrzył. Znał na pamięć niemal każdą klatkę. To było (między innymi) jego zadanie: poznać materiał, nim zostanie wyemitowany. A potem odpowiednio zaprezentować go użytkownikom.

– Dzień dobry, szefowo – powiedział. – Wzywała mnie pani?

Skończyła czytać i podniosła głowę.

– Siadaj – poleciła. – Podaj najnowsze dane.

Zajął miejsce naprzeciwko biurka, dotknął ekranu tabletu.

– Raport z dnia piątego maja dwa tysiące trzydziestego piątego roku... – zaczął.

Spojrzała na niego beznamiętnie.

– Przejdź od razu do wyników.

Czuł, że zaczynają drzeć mu ręce. Jesteś tu po coś. Ochłoń.

– Oczywiście – odparł. Dane znał na pamięć, nie musiał zerkać na ekran, robił to jednak, nie chcąc popełnić najdrobniejszego błędu. – Wczorajszy lajf miał średnio dwieście dwadzieścia cztery miliony dwieście tysięcy obserwujących, w piklu dwieście osiemdziesiąt milionów z groszami.

– O której zaczął się pik?

– O dwunastej, trwał przez czterdzieści minut. Potem poziom lekko spadł, ale był o dwadzieścia procent wyższy niż przed dwunastą. Pik w środku dnia, kiedy wszyscy są w pracy to zupełne szaleństwo. Idziemy na rekord, szefowo.

– Trochę nam brakuje do rekordu. Dalej.

Spokojnie. Dobrze ci idzie. Nie zmarnuj tego.

– Pik zaczął się trzy minuty po tym, jak urwała się łączność pomiędzy Wagurą a Polarisem. Dużo podbiła muzyka. To był świetny pomysł z tymi...

– Nie musisz mi wchodzić w tyłek częściej niż zwykle. Wiem, że był dobry. Komentarze?

– Ludzi najbardziej zainteresował latający dinozaur. Największe zasięgi robi określenie „popieprzony pterozaur z paszczą rekina”.

– Właśnie.

Mógł sobie wmawiać do woli, że powinien zachować spokój. Bezskutecznie. Zaczęło ogarniać go prawdziwe zdenerwowanie. Żaden z osobistych asystentów tej kobiety nie utrzymał się na stanowisku dłużej niż trzy miesiące. Po zwolnieniu dwaj leczyli się z głębokiej depresji, trzeci wpadł w narkotykowy ciąg, czwarty, kompletnie pijany, spowodował wypadek samochodowy i do końca życia nie ruszy się z wózka, na dodatek siedząc w więzieniu, bo sąd uznał go winnym nieumyślnego zabójstwa i skazał na trzy lata.

Sean Walker zaczął pracę asystenta sześć tygodni temu. Jeszcze nigdy jego życie nie pędziło tak szybko.

– Nie rozumiem – bąknął.

Janet Lee wstała. Chciał pójść w jej ślady, ale niecierpliwym gestem kazała mu zostać na miejscu. Zaczęła chodzić po gabinecie. Przypominała gotową do ataku modliszkę. Stukot obcasów brzmiał niczym wystrzały karabinowe.

– Jak myślisz, dlaczego kazałam ci nadzorować produkcję lajfu?

– Bo ma pani do mnie zaufanie? – odparł ostrożnie. „Produkcja lajfu (czyli programu idącego na żywo)”. Piękny eufemizm, kryjący wytężone zabiegi, by nadchodzącemu z Alfego materiałowi nadać formę sensacyjnego widowiska.

Zmarszczyła brwi.

– Nie pieprz, bo zacznę myśleć, że jesteś mniej inteligentny, niż mi się wydawało.

– Bo mam nosa do tego, co się sprzedaje? – powiedział z lekką desperacją. Naprawdę potrzebował tej pracy.

– Otóż to. – Tym razem wyglądała na usatysfakcjonowaną. – Najlepiej sprzedaje się krew, seks i skandal. I tajemnica. Myślałam, że to rozumiesz. Seksu i skandalu na razie nie mamy, bo ten świętoszek Sherman upiera się, że oni powinni mieć sferę prywatną. Ale krew, flaki i tajemnicę miałeś. Mogłeś pokazać atak tego latającego gówna. Miałeś obraz z drona. Mogłeś z tego zrobić, kurwa, drugi „Park Jurajski” połączony z „Obcym – ósmym pasażerem Nostromo”. To puściłeś tego palanta Higginsa jak gada z komputerem.

– Ja...

– Nie przerywaj. Jak jeszcze raz powiesz, że idziemy na rekord, dostaniesz takiego kopa w tyłek, że rozbijesz głową sufit. Mogliśmy mieć wczoraj sto milionów nowych abonentów, rozumiesz? I trzy miliardy miesięcznego ekstra przychodu. A ty to spierdoliłeś. Ludzie nie chcą gadania i ładnych widoczków. Chcą oglądać odcięte głowy i rozprute brzuchy, chcą widzieć, jak się wszystko pieprzy. A wiesz dlaczego? Lubią krew, jasne, ale przed wszystkim chcą czuć się bezpiecznie. Chcą myśleć, że na Ziemi nie jest tak źle, że tam gdzieś, na końcu świata jest znacznie gorzej.

– Rozumiem.

– W twoim najlepiej pojętym interesie jest, żebyś rozumiał.

– Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że obraz samego ataku był bardzo zniekształcony.

Spojrzała na niego z pogardą. Wolałby, żeby go uderzyła. Aż się skulił. Coś w nim skowyczało. Był tu po coś. Sam sobie wydał się śmieszny.

– Nie przyszło ci do głowy pytanie, z jakiego powodu? Gilbert ma polecenie puszczania wszystkiego jak leci. Mamy osiem kamer na statku i co najmniej drugie tyle na planecie, nie licząc kamer osobistych. Wszystko najwyższej jakości.

– Załoga podejrzewa anomalie grawitacyjną, która zakłóciła łączność.

– Bzdury. Obraz był dobry do momentu, aż zaczęło się coś dziać. Powinieneś od razu do mnie z tym przyjść, jasne?

– Nasz szef transmisji powiedział, że takie rzeczy się zdarzają.

Zrobiła się nagle nienaturalnie spokojna. Ciemne oczy zmatowiały i zrobiły się kompletnie puste.

– Nie w Real Life – wycedziła. – Pójdiesz teraz do kadr i powiesz, że z mojego polecenia szef transmisji wylatuje ze skutkiem natychmiastowym. Obowiązki na razie przejmuję jego zastępca.

Poderwał się na równe nogi. Był pewien, że Janet Lee słyszy bicie jego serca.

– Masz mnie natychmiast informować, jeśli coś takiego znowu się wydarzy, rozumiesz? – nakazała. – Obojętnie, która będzie godzina, dzwonisz i mówisz, jak jest. Po drugie, nadasz komunikat naszym kanałem łączności i każesz Gilbertowi wyjaśnić, co się stało. Niech informatycy sprawdzą, czy nie doszło do prób zmiany algorytmu. O zbyt dużą stawkę gramy, żeby nam się przydarzały tego typu wypadki. Co tak stoisz? Do roboty. Już cię tu nie ma.

– Tak jest – bąknął, uklonił się niezdarnie i wyszedł.

Dopiero na korytarzu dotarło do niego, że od dłuższego czasu wstrzymywał oddech.

Asystent z najdłuższym stażem pracował trzy miesiące. Sean Walker znajdował się dokładnie w połowie tego dystansu.

## POLARIS

Polaris krążył po orbicie Alfy, utrzymując stały ruch obrotowy wokół własnej osi, dzięki czemu załoga mogła korzystać z dobrodziejstw ciężenia bliskiego ziemskiemu. Peterowi Vormannowi bardzo to odpowiadało, należał bowiem do tej większości ludzi, którzy słabo znosili stan nieważkości.

Kapitan wszedł do kabiny medycznej. Lori leżała na łóżku przykryta cienkim kocem. Z przedramienia wystawał jej wenflon, przez który automat cierpliwie tłoczył do żył preparaty mające zapewnić prawidłowe funkcjonowanie organizmu.



Na dźwięk otwieranych drzwi podniosła powieki. Wyglądała gorzej niż jeszcze kilka godzin temu.

– Cześć, Lori – przywitał ją. Obróciła ku niemu wymizerowaną twarz. Dostrzegł nieuchwytnie niemal zmiany, których natury nie potrafił na razie odgadnąć. To były drobiazgi: wolniejsza mimika, leciutkie skrzywienie ust, inaczej zarysowany kontur policzków. – Może przyjdę później?

– Cześć – odparła. – Nie śpię. Cholerny Gilbert. Nie chce mnie wypuścić.

– Przepraszam, porucznik Vormann – zareagował natychmiast komputer. – Poziom hemoglobiny w pani organizmie spadł od wczoraj o kolejne trzy procent. To jest bardzo niepokojący proces. Dlatego zaleciłem odpoczynek.

Mimo uprzejmego tonu, dobiegający z głośników głos maszyny zabrzmiał w uszach Petera jakoś dziwnie impertynencko. Nie protestował jednak, ponieważ uznał arogancję maszyny za sprawę drugorzędną. Intrygowała go zagadka pogarszającego się stanu zdrowia Lori.

– Gilbert, chcę wiedzieć jakie są przyczyny obniżenia poziomu hemoglobiny – powiedział.

– Fizjologia waszych organizmów nie jest do końca przeczytaną księgą, kapitanie. – Mimo pokory, arogancja, znów. Może mu się wydawało. – Nawet dla mnie.

– Nie filozofuj, dobrze? Zwykła anemia nie daje takich objawów. I nie pojawia się znikąd. Lori była okazem zdrowia.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Tomografia? Rezonans?

– Oczywiście, wykonałem te badania, kapitanie. Nie wychwyciły żadnych zmian.

– Mówicie o mnie jak o przedmiocie – westchnęła Lori.

– Przepraszam! – Spojrzał na nią współczująco. – Martwię się.

– Niepotrzebnie.

– Gilbert, chcemy zostać sami – zażądał Vormann.

– Wyłączam się, kapitanie

Zapadła cisza. Podeszedł bliżej.

– Znam to spojrzenie, Peter – szepnęła Lori. – Nie, nie mam nawrotu depresji. To tylko zakłócenie metabolizmu. Gilbert dobrał dietę. Przejdzie mi.

– W depresji nie ma niczego wstydlwego, Lori.

Jej usta zacisnęły się w wąską kreskę. W takich chwilach przypominała upartą, rozkapryszoną dziewczynkę. W tej kwestii akurat nic się nie zmieniło.

– Poważnie? – zapytała. – Nie mam depresji. Nie wmówisz mi tego.

– Niczego ci nie wmawiam.

Dopiero po dłuższej chwili milczenia zdecydował się zdradzić, z czym przyszedł.

– Dlaczego uważasz, że zwiadowcom grozi niebezpieczeństwo? – zapytał. Jej sugestywna wizja wywarła na nim duże wrażenie. Jeszcze dziś rano był ciekaw szczegółów. Chciał wiedzieć, czy wywołała ją choroba. Teraz najistotniejszy był związek z rzeczywistością. Nie uważał swej dyskusji z Higginsem ani za rozstrzygniętą, ani nawet za zakończoną.

Lori zawahała się. Na ogół byli ze sobą szczerzy. Choć, jak w każdym małżeństwie, pewne rzeczy trzymali tylko dla siebie.

– Miałam... przeczucie – bąknęła.

– Nie brzmiało jak przeczucie. Brzmiało jak pewność.

– Trudno to wytłumaczyć.

– Spróbuj.

– Uznasz mnie za wariatkę.

– Lori, jesteś najbardziej racjonalną osobą, jaką znam. Nie ma w tobie nic z wariatki. Chcę wiedzieć, co się stało. Rozmawiamy bez świadków.

Sięgnęła w głąb pamięci i od razu wrócił tamten strach. Czuła go każdą cząsteczką ciała. Przez chwilę w jej głowie buzowała skłębiona masa kolorów i dźwięków. A potem obraz zaczął biec w konkretnym, krystalicznie wyraźnym porządku. Niemal przeniosła się do innej rzeczywistości.

– Spałam... głęboko... – powiedziała niepewnie. – Gilbert chyba przesadził ze środkami nasennymi. I wyświetlił mi się film... Nie sen, tylko film. Wyraźny, ostry, z dialogami, postaciami i fabułą.

– Są takie sny w fazie REM...

– Czytałam o fizjologii snu, Peter – przerwała mu ze zniecierpliwieniem. Wzdrygnęła się. – Mówię ci, to nie był sen. Sny na ogół zapominasz natychmiast

po przebudzeniu. Oglądałam film, z którego zapamiętałam każdą sekundę. Nadal zresztą pamiętam. Każdy najdrobniejszy szczegół.

– Opowiedz o nich.

– Widziałam ogień... zwłoki ludzi ubranych w zielone kombinezony i kaski z maskami tlenowymi... przeciętego na pół Geparda... maszynę górniczą... I wokół piękny krajobraz... łagodne wzgórza i rzeka płynąca doliną, oświetlane dalekim, zimnym słońcem. Nad głową wisiało granatowo-amarantowe niebo i dwa księżyce, mniejszy i większy.

Peter spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Dokładnie tak wygląda miejsce, w którym wylądował Zwiadowca. Skąd... w jaki sposób... – nie wiedział, co dalej powiedzieć. Lori nie ruszała się z Polaris. Nie widziała ani zdjęć, ani filmów z Alf. – Kim byli ci ludzie?

– Nie byłam w stanie rozpoznać twarzy. Leżeli w dziwnych pozycjach, z ramionami osłaniającymi głowę. Ale...Peter... to był ktoś z nas... ktoś z nas...

Poczuł dreszcz. Groza wizji Lori zaczęła mu się udzielać, być może wydobywając na wierzch jego własne obawy.

– Jesteś pewna?

– Stałam bardzo blisko. I miałam tak wyostrzone zmysły, jak jeszcze nigdy.

– Ile było ofiar?

– Dwie widziałam na pewno. Leżały na ziemi. Może więcej było w Gepardzie.

– Widziałaś, jak to się stało? Kto ich... nas... zaatakował?

– To właśnie było najbardziej przerażające... Czułam wyraźnie, że coś tam jest, bardzo fizyczne, bardzo realne, bardzo namacalne... ale niczego nie mogłam zobaczyć. To coś mi się przyglądało... jakby oceniało, czy mam być następną. Nie mogłam się ruszyć... wiedziałam, że ani walka, ani ucieczka nie mają najmniejszego sensu, bo przed tym czymś uciec się nie da i nie da się z tym walczyć...

– To „coś” poruszało się po ziemi? Latało w powietrzu?

– Miałam wrażenie, że przestrzeń nie jest dla tego czegoś żadnym ograniczeniem. Jakby otaczało mnie ze wszystkich stron. Czułam potężną moc... To bardzo trudno wytłumaczyć.

– Przeciwnie – zaoponował. – Udało ci się nieźle mnie wystraszyć.

– Wierzysz mi?

– Za dobrze cię znam, żeby ci nie wierzyć.

Przez chwilę milczeli, wsłuchani we własne myśli.

– Co było dalej?

– To coś... oddaliło się. Jakby odpuściło, ale wyraźnie dawało do zrozumienia, że wróci. Czułam ulgę, że go nie ma i strach, że wróci. Magda i Jan nadal są na planecie?

– Tak. Działają według harmonogramu i mają oczy dookoła głowy. Obserwujemy ich z satelity w czasie rzeczywistym. Zameldowaliśmy Shermanowi o znalezieniu fragmentu pancierza. Wygląda na to, że się przejął. Zwoła radę mędrców, którzy mają coś uradzić. Na razie zalecił ostrożność.

– Bezpiecznie.

Vormann pokiwał głową z miną człowieka przekonanego o daremności swoich wysiłków.

– To samo powiedziałem Higginsowi. Ale on nie chce zadrażniać stosunków z Ziemią, więc powstrzymał się od komentarza.

Lori prychnęła.

– Peter, uważam, że powinniśmy przerwać misję – stwierdziła. – Ściągnąć Wagurów na Polaris, przebadać ich i wtedy zastanowić się co dalej.

Był tego samego zdania, nie łudził się jednak.

– Higgins się nie zgodzi – odparł. – Ziemia się nie zgodzi.

– Przekonaj ich.

– Lori, ja naprawdę ci wierzę. Wierzę, że miałaś realistyczny sen, który mógł być czymś w rodzaju ostrzeżenia. Ale Higgins nie potraktuje nas poważnie. Nie mówiąc o tych dupkach z Aero Space.

Spojrzała na niego ponuro.

– Wiesz, co to znaczy?

– To samo, co zawsze – odparł. Tu również się zgadzali. – Zaczną nas słuchać dopiero wtedy, gdy wydarzy się nieszczęście.

**ZIEMIA**

Otoczona stłumionymi rozmowami, brzękiem naczyń, sykiem ekspresu do kawy – typowymi odgłosami niewielkiej kawiarni – prawie ich nie słyszała. Facet się spóźniał, ale nie zwracała na to uwagi, wsłuchana we własne, ponure myśli.

Nie szło jej. Po prostu nie szło. Przez ostatnie dwa lata, od startu Polarisa, była głową w mur, złożony z milczenia i uników. A przecież nie straciła nic ze swej intuicji i uporów. Po drodze wydobyła na światło dzienne parę bulwersujących spraw – posłała do więzienia dwóch prominentnych polityków (sprawiedliwie, po jednym z obu głównych partii), spowodowała dymisję kilku innych, a ambasada rosyjska (po tym, jak Susan opublikowała artykuł, ujawniający nazwiska i szczegółowo opisujący działalność sześciu osób, mających ogromne wpływy na Kapitolu) znów, tak jak trzy lata wcześniej, wyraziła bezbrzeżne oburzenie z powodu, jak to ujęto w oficjalnym komunikacie – „bezpodstawnego szkalowania obywateli Federacji Rosyjskiej” (niemniej swoich lobbystów wycofała).

A w kwestii wyprawy na Alfę – wielkie nic. Brak rezultatów. Od owej konferencji prasowej, zamykającej etap przygotowań, nie udało jej się odkryć niczego istotnego. Sherman był niedostępny, a jego pracownicy bali się mówić, nawet anonimowo. Janet Lee równie dobrze mogłaby przebywać na księżycu. Nikt nie chciał rozmawiać na temat Real Life. Biały Dom również nabrał wody w usta. To samo dotyczyło rodzin członków załogi, które dały wyraźnie do zrozumienia, że podpisały zobowiązanie, nakazujące całkowite milczenie w kwestii szczegółów wyprawy. Susan podejrzewała zresztą, że i tak nie wiedzą niczego istotnego. Wybrała się do Polski i do Niemiec – gdzie spotkało ją to samo. Klauzula poufności. W dodatku jej aktywność nie umknęła uwadze służb. W Warszawie, dwie godziny po przylocie, w hotelu pojawił się pracownik kontrwywiadu, który oświadczył, że lepiej będzie dla wszystkich, jeśli Susan jak najszybciej wyjedzie. Wręczył jej bilet – Polacy szarpnęli się nawet na pierwszą klasę – po czym odprowadził na lotnisko. W Niemczech spotkało ją to samo, tyle, że w hotelu pojawiła się policja i nie była tak uprzejma.

Nikt – z dobrze poinformowanych – nie chciał rozmawiać, a ci stojący dalej, karmili ją pogłoskami i informacjami z trzeciej ręki, w których więcej było plotek niż faktów.

W efekcie, po wielu miesiącach pracy, dysponowała jedynie szczegółami, dotyczącymi konstrukcji statku i kilkoma innymi detalami, które z jej punktu widzenia nie miały wielkiego znaczenia. Ze spraw zasadniczych – nic. Co

powodowało frustrację, drażniło zawodową dumę, ale i utwierdzało ją w uporze. Im szczelniejszy mur otaczał projekt, tym bardziej była przekonana, że wyprawa Polarisa ma drugie dno, że chodzi w niej o coś więcej niż o zwykłą eksplorację odległej planety. Ale to była tylko intuicja, której nie da się sprzedać mediom.

I nagle coś się w końcu zmieniło. Pewien naukowiec, nazwiskiem Reese, mający wszelkie powody, by, oględnie mówiąc, nie lubić Shermana, zgodził się z nią spotkać. W sieciowej kawiarni, o dwunastej w południe, przy jednej z bocznych ulic w centrum Waszyngtonu. Musiała go długo namawiać – i nadal nie była pewna, czy facet w ostatniej chwili się nie rozmyśli.

Spojrzała na zegarek. Kwadrans spóźnienia. Podniosła wzrok. Jednak przyszedł – niechlujny, zaniedbany starszy pan, o spojrzeniu zaszczutego zwierzęcia. Poruszał się niezgrabnie, jakby miał kłopoty z utrzymaniem równowagi. Ucieszyła się, bo знаła ten typ ludzi: ich desperacja sięgała tak głęboko, że mimo długiej walki wewnętrznej, w końcu decydowali się opowiedzieć swoją historię, nawet kosztem bezpieczeństwa. Jeśli go nie spłoszy, uchwyci pierwszy trop.

– Pani Montero? – wychrypiał.

Uśmiechnęła się serdecznie. Facet potwornie się bał. Może powinna pomyśleć o innym miejscu spotkania, bardziej dyskretnym.

– Niech pan siada. Proszę mi mówić Susan.

Reese zajął miejsce naprzeciwko. Rozejrzał się nerwowo.

– Przepraszam za spóźnienie – bąknął. Może nie było z nim tak źle, skoro zwracał uwagę na drobiazgi.

– Nic nie szkodzi. Kawa?

– Dziękuję. Chciałbym to mieć jak najszybciej za sobą. W ogóle nie powinienem z panią rozmawiać.

– Niech pan się nie denerwuje. Naprawdę jest pan tu bezpieczny.

W końcu na nią spojrzał. Wodnisty wzrok bladych oczu. Przekrwiony nos. Włosy w strąkach. Niezbyt świeży szalik, byle jak związany na szyi. Skojarzenie ze ściganym zwierzęciem tylko się pogłębiło. Kiedyś, w początkach kariery, Susan czuła niesmak, wykorzystując ludzi w takim stanie. Potem zmądrzała; to często była jedyna szansa, by zacząć. Jej zawód wymagał pozbycia się empatii i wyrzutów sumienia.

– Łatwo pani mówić... – szepnęła. – Ja... podpisałem klauzulę poufności, obwarowaną szczegółowymi zapisami i wysokimi karami finansowymi za ich złamanie. Ta klauzula nadal obowiązuje. A oni nie żartują.

Miała pewną wiedzę, co się stało.

– Wyrzucili pana bez podania powodów i zrobili z pana wariata – oświadczyła. – Oni nie grają fair, pan też nie musi. Nic im pan nie jest winien, panie Reese.

– Mają sposoby, żeby się dowiedzieć. – Reese pochylił się. Mówił jeszcze ciszej. Wionął nieświeżym, kwaśnym oddechem. Susan nie cofnęła się. – Ona jest piekielnie cwana... I bezwzględna...

Dziennikarka przykryła jego dłoń swoją.

– Pozostanie pan anonimowy, niech pan się nie boi. Tak zawsze było i tak będzie tym razem.

– Pani Montero...

– Susan, bardzo proszę. Przecież pan chce mi o wszystkim opowiedzieć. Jest pan uczciwym człowiekiem. Inaczej by pan nie przyszedł. Prawda?

Reese zbył deklarację milczeniem. Jego twarz wyrażała rozpaczliwe wahanie.

– Nigdy żadne moje źródło, które sobie tego nie życzyło, nie zostało ujawnione – dociskała. – To moja żelazna zasada. Ma pan to jak w banku.

Reese westchnął żałośnie. Wewnętrzna walka najwyraźniej dobiegła końca.

– Niech pani pyta.

Po kolei, pomyślała. Spokojnie do celu. Masz go, mała. Jakże miała ochotę zapalić. Cholerne przepisy.

– Z jakiego powodu Aero Space pana zwolniło?

– Byłem w tym projekcie od początku...

– Nie dziwi mnie to – wtrąciła szybko. – Sherman to biurokrata, ale nie jest głupi. W każdym razie inteligencji starczyło mu na tyle, żeby wziąć do zespołu jednego z najwybitniejszych egzobiologów na Ziemi.

Naukowiec poczuł się nieco pewniej.

– Przesadza pani... – bąknął. Susan wiedziała, że nie jest to poza. Czytała o nim. Był nader skromnym człowiekiem. Między innymi dlatego nie zrobił kariery, na jaką, z racji talentu, zasługiwał.

– Czytałam omówienia pańskich odkryć. Może pan z nich być dumny. Problem w tym, że ma pan jedną zasadniczą wadę: wali pan prosto z mostu – czy ktoś chce słuchać, czy nie. Co akurat bardzo dobrze rozumiem.

– Moim obowiązkiem jako naukowca jest mówienie prawdy.

Susan uśmiechnęła się życzliwie. Naiwniak z zasadami. Gatunek na wymarcie.

– Niebezpieczny pogląd w dzisiejszych czasach – stwierdziła. – Pewnie dlatego pana wylali. Dobra, do tematu. Na czym dokładnie polegała pana praca?

Reese poprawił się na krześle. Upiorna bladość policzków nieco zmaląła.

– To w zasadzie ja dokonałem analizy biosfery Alfy, no, miałem zespół kilku osób, ale one zajmowały się pomocniczymi sprawami – powiedział nieco pewniejszym głosem. – Odkryłem, że planeta jest na stosunkowo wczesnym etapie rozwoju ekosystemu, stworzyłem model biocenozy i biotopu, postawiłem tezę o sprzyjających warunkach do kolonizacji i poparłem ją mocnymi dowodami.

– Co dało zielone światło dla misji.

– Co było pierwszym, ale niezbędnym krokiem do zielonego światła dla misji. Wkrótce potem dano mi do zrozumienia, że nikt nie oczekuje od mnie niczego więcej. Miałem po prostu firmować swoim nazwiskiem dalsze prace, formalnie je nadzorując. Rola była czysto dekoracyjna, nie miałem nic do roboty. Dlatego, może trochę z nudów, zainteresowałem się bliżej pozostałymi dwiema planetami układu. Jak pani wie, wokół tamtejszej gwiazdy krążą jeszcze dwie planety skaliste, Beta i Gamma. One odpadły przy wstępnej analizie, jako nienadające się do szerokiej kolonizacji, przede wszystkim z powodu składu atmosfery i zdecydowanie zbyt wysokiego ciężenia, prawie czterokrotnie przekraczającego ziemskie. Było jeszcze kilka innych kwestii, ale nie będę pani zanudzał szczegółami. Krótko mówiąc, Alfa wygrała w przedbiegach konkursu piękności. Nikt nie miał żadnych wątpliwości, co do wyboru celu misji.

– I coś pan odkrył.

– Tak. Wie pani, to z początku było nawet zabawne, czułem się we własnym laboratorium jak konspirator. Nie chciałem, żeby Janet Lee dowiedziała się o tym, mogła mi zabronić dalszych badań, odebrać uprawnienia... Pracowałem po nocach, kasowałem rejestry wejść i wyjść, uzyskane dane kopiowałem na dyski zewnętrzne. Nawet lubiłem ten dreszczyk emocji...

Susan rozśmiała się.



– Coraz bardziej mi się pan podoba, panie Reese.

O dziwo, Reese zawtórował cichutkim chichotem. Na policzki zaczęło wypęłzać coś w rodzaju lekkich rumieńców.

– One są znacznie starsze, oceniam, że o co najmniej miliard lat. Przekierowałem spinoskop...

Wsadziła rękę do kieszeni. Dyktafon był na miejscu. Czuły mikrofon, przypięty do poły zakietu, rejestrował każde słowo.

– Spinoskop?

– Zaawansowane urządzenie do wykrywania związków organicznych na odległość – wyjaśnił naukowiec. – Aero Space umieściła na orbicie Alfę satelitę ze spinoskopem. I odkryłem ciekawe rzeczy na Becie i Gammie. Złożone związki białka...

Poczuła lekki dreszczyk emocji. Intuicja jej nie zawiodła. Do odkrycia prawdy było jeszcze bardzo daleko, ale wiedziała, że znalazła się na właściwym tropie.

– Życie?

– Tak. Każde gremium naukowe ukrzyżowałoby mnie za tak kategoryczne stwierdzenie, oparte na tak wątych danych, ale ja jestem pewien, że zarówno na Gammie jak i Becie istnieje życie. Biorąc pod uwagę wiek obu planet, może nawet życie rozumne! Ewolucja poszła tam znacznie dalej niż na Alfie, bo miała znacznie więcej czasu.

– Może pan coś więcej powiedzieć na ten temat? Na jakim etapie może być to życie rozumne? Cywilizacja technologiczna?

– Można tylko spekulować, pani Montero – ostudził jej entuzjazm. Potem jakby przypomniał sobie gdzie jest. Obejrzał się nerwowo.

– Susan – powtórzyła. – Niech pan pospekuluje. I niech pan się tak nie rozgląda. Naprawdę nic nam nie grozi.

– Łatwo pani mówić. No dobrze... uważam za możliwe, że cywilizacja... czy cywilizacje, bo życie mogło przecież rozwijać się na obu planetach, doszła do etapu technologicznego. Czasu było dość. Na jakim konkretnie poziomie mogą być owe cywilizacje, oczywiście nie wiem. Czy na naszym? Wyższym? Czy latają w kosmos? Czy ich przedstawiciele opanowali użycie energii jądrowej? To są pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. Co nie zmienia faktu, że odpowiedź na nie jest kluczowa dla określenia prawdziwego celu misji Polaris, a także jej

bezpieczeństwa. Co w tej chwili oczywiście jest już, rzecz jasna, płaczem nad rozlanym mlekiem.

– Domyślam się, że nie trzymał pan tych rewelacji przy orderach.

– No właśnie. Sporządziłem raport. W jednym egzemplarzu, bo jednak przecież dane zdobyłem niejako poza moimi obowiązkami. I poszedłem do Shermana. Mimo wszystko uważałem go za przyzwoitego człowieka.

Susan uśmiechnęła się w duchu. Facet naprawdę był naiwny. Przyzwoici ludzie nie zostają dyrektorami agencji kosmicznych, których udziałowcami są rządy o trudnych do pogodzenia interesach oraz prywatna inwestorka o nader podejrzanym reputacji.

– I to był błąd – stwierdziła.

– Początkowo nawet tak nie myślałem. Sherman przyjął temat z zainteresowaniem. Zadeklarował, że przyjrzy się raportowi. Po czym zapadła cisza.

– Na jakim etapie przygotowań była misja?

– Załoga była zrekrutowana, zaczynały się sesje szkoleniowe.

Wszystko układało się w logiczną całość. Tak, miała trop, teraz już to wiedziała.

– Niech zgadnę. Machina propagandowa była zbyt mocno rozkręcona, żeby zmieniać parametry misji. Czy odkładać ją.

– Można to i tak nazwać. Przecież było jasne, że jeżeli mam rację, należy najpierw posłać do układu kolejne bezzałogowe sondy, które zbadają Betę i Gammę. Należy zmienić profil misji na taki, który zakłada kontakt z obcą cywilizacją. Należy przygotować szereg wariantów postępowania, wiele różnych scenariuszy. Od chęci kontaktu tamtych z nami, do całkowitego braku chęci. Od pokoju do wojny. Od przyjaźni do wrogości i agresji. Należało odpowiedzieć sobie na pytanie czy, jeśli choćby jedna z tych cywilizacji okaże się do nas wrogo nastawiona, należy podejmować próby kolonizacji Alfy.

– I nikt nie chciał słuchać.

– Więcej. Nie tylko całkowicie mnie zignorowano, ale wręcz zaczęto traktować jak morowe powietrze. Gdy pytałem Shermana, twierdził, że wyprawa jest na tyle wszechstronnie przygotowana, że jest stanie uporać się z każdą niespodzianką.

Przypomniała sobie atmosferę z konferencji prasowej. Pytania i odpowiedzi. Atmosferę lekkiego absurdu.

– Co za brednie – wydeła usta.

– Nalegałem, argumentowałem... dyrektor Sherman potem już unikał kontaktu ze mną. W końcu odwołałem się do rady naukowej.

– Przecież rada naukowa jest tylko ciałem doradczym – zaprotestowała. Czytała ich komunikaty. Były nudne i napisane tak, by za pomocą okrągłych zdań nie powiedzieć nic konkretnego. – Szacownymi gadającymi głowami.

– Ale uznałem ją za ostatnią deskę ratunku. Nic. Jakbym walił głową w mur. Po cichu kilku kolegów przyznało mi rację, ale oficjalnie rada nie podzieliła mojego zdania.

Susan wypiła łyk ostygłej już kawy.

– Kto przyznał panu rację?

– Nie, nie – pokręcił głową. – Nie zdradzę nazwisk. Oni jeszcze tam pracują.

– No dobrze – westchnęła. – Wtedy pana wylali?

– Najpierw przyszła do mnie Janet Lee.

– No proszę!

– Była bardzo miła, ale z jej słów wynikało jasno, że lepiej będzie, jeśli przestanę się wychylać. Że to się może dla mnie źle skończyć.

Jak najbardziej logiczny krok. Według oficjalnych danych właścicielka Real Life zainwestowała dwanaście miliardów dolarów, które by straciła, gdyby misja została odwołana albo zmieniła swój charakter na bezzałogową.

Susan zachęciła go gestem, by mówił dalej.

– Zagroziłem, że pójde do mediów... – wtedy ona wstała i bez pożegnania wyszła z pokoju. Po godzinie wezwano mnie do kadr i wręczono wypowiedzenie, przypominając o klauzuli poufności i karach umownych. Potem, jak pani wie, zaczęła się kampania oczerniania w mediach. Zrobiono ze mnie wariata. Jacyś ludzie twierdzili, że byli świadkami moich ataków furii, jak z pianą na ustach rwałem się do bicia, potem wyszły na światło dzienne jakieś plugastwa, że rzekomo lubię małych chłopców... To na mnie spadło jak grom z jasnego nieba.

Czytała o tym. Plotkarskie media żyły tematem przez tydzień. Czuła wtedy prawdziwe obrzydzenie na myśl, że ludzie tam pracujący nazywają siebie dziennikarzami. Teraz poznała powód, dla którego to robili. Ów powód nazywał

się płatne zlecenie. Ktoś chciał zdyskredytować Reese`a na wypadek, gdyby zdecydował się mówić.

– Naprawdę panu współczuję, panie profesorze.

Pokiwał głową ze znużeniem. Wyglądał na człowieka, którego nagle opuściła energia.

– Kto stał za decyzją wpuszczenia Real Life jako udziałowca? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Biznes to kompletnie nie moja parafia.

Nie była zaskoczona, wręcz zdziwiłaby się, gdyby było inaczej.

– Nie domyśla się pan? Nie słyszał żadnych plotek?

– Brzydzę się plotkami.

– Szkoda. W plotkach często jest sporo prawdy.

– Niczego sobie nie przypominam.

– Jaką władzę w Aero Space ma Janet Lee? – drążyła niezrażona.

– Moim zdaniem znacznie większą, niżby to wynikało z jej formalnej funkcji. Sherman wyraźnie się jej boi. Miałem wręcz wrażenie, że nie może podjąć żadnej istotniejszej decyzji bez jej zgody.

– Może powinnam przyjąć jej ofertę – mruknęła pod nosem Susan.

– Słucham?

– Nic, nic. Coś jeszcze?

– Właściwie nie. Chociaż...

– Tak?

– Coś sobie przypomniałem... Pewnie to nic ważnego. Kiedyś byłem w gabinecie Shermana. To było już po tym, jak dałem mu raport. Weszła sekretarka i zakomunikowała, że dzwoni senator Kellog. Zostałem wyproszony.

W głowie Susan rozbrzmiały dzwony.

– Matt Kellog dzwonił do Shermana? – zapytała, starając się ukryć podniecenie.

– Takie nazwisko zapamiętałem. Nic mi nie mówiło, nie interesuję się polityką. Potem, po tej rozmowie, spotkałem Shermana na korytarzu. Był bardzo zdenerwowany, dosłownie wściekły. Wyglądał jak człowiek na skraju wylewu. Wrzeszczał na jakiegoś Bogu ducha winnego laboranta...

Przy drzwiach wejściowych powstało małe zamieszanie. Dwóch ludzi zmierzało wprost ku nim. Susan od razu rozpoznała, z kim ma do czynienia. Reese również, bo zeszywniał, a na jego twarz wypełzła rozpacz.

Zatrzymali się przy stoliku.

– Jonathan Reese? – zapytał wysoki, czarnoskóry mężczyzna. Susan nie musiała zaglądać mu w legitymację, by wiedzieć, że to on jest tu szefem.

– O co chodzi? – bąknął naukowiec, choć przecież doskonale znał odpowiedź.

– Agent specjalny Moses, FBI. Jest pan aresztowany.

Susan parsknęła. Znała brudne sztuczki, jakich używała władza, by ukryć swoje grzechy.

– Co to za bzdury? – zapytała zaczepnie. Nie miała nadziei, że odpuszczą. Liczyła, że wysoki coś powie. Dyktafon nadal rejestrował każde słowo.

Ale agent zignorował ją. Był bardzo oficjalny.

– Ma pan prawo do zachowania milczenia – oświadczył, patrząc naukowcowi wprost w oczy. – Jeśli rezygnuje pan z tego prawa, wszystko, co od tej pory pan powie, może zostać użyte w sądzie przeciwko panu. Ma pan prawo do adwokata i do jego obecności podczas przesłuchania. Jeśli nie stać pana na prawnika, przysługuje panu obrońca z urzędu.

Susan wstała gwałtownie. Krzesło odsunęło się z hurgotem, po czym upadło. W kawiarni zapadła całkowita cisza.

– O co go oskarżacie? – krzyknęła, świadoma, że brzmi jednak strasznie sztucznie.

– Proszę się odsunąć, pani Montero. – Moses wbił w nią zimne spojrzenie.

– O co go oskarżacie, skurwysyny? – Jeszcze bardziej podniosła głos. – No, mówże wreszcie, ty nadęty dupku. Znasz moje nazwisko. Muszę wiedzieć, skąd.

Moses jednak nie stracił spokoju. Pozostała trójka także zachowała kamienną twarz.

– Proszę się odsunąć – nakazał agent. – Jeszcze słowo i pójdzie pani z nami.

– Lepiej niech pani da spokój. – Reese uśmiechnął się do niej nieśmiało.

Zawahała się. Tak, chyba zrobiła, co mogła. W ten sposób nie skłoni faceta do mówienia. Cofnęła się. Moses przestał się nią interesować.

– Ręce – zakomenderował.

Reese nieporadnym gestem wysunął przed siebie dłonie. Wzdrygnął się na dźwięk zatrzaskiwanych kajdanek.

– Idziemy.

Grupa ruszyła w kierunku drzwi, odprowadzana ciekawskimi spojrzeniami i podnieconymi szeptami gości kawiarni.

– Niech pan nic nie mówi, Reese – zawołała Susan. Stary człowiek szedł zgarbiony, powłócząc nogami. – Niech pan trzyma buzię na kłódkę. Przyślę panu dobrego prawnika i załatwimy tych drani.

Zgarbione plecy pochyliły się jeszcze bardziej. Reese nawet się nie odwrócił.

## ROZDZIAŁ 3

### MAJ 2037 / ALFA

Usłyszał w słuchawce głos Wilsona.

– Kapitanie, sonda namierzyła Geparda.

Finagan drgnął. Czekał na tę wiadomość. Bał się, jakie skutki przyniesie, lecz wiedział, że musi się z nimi zmierzyć. Nie posunęli się zbyt daleko w rozwikłaniu tajemnicy zniknięcia załogi. Nie miał co zameldować Shermanowi.

– Już idę.

Wyszedł z kabiny, przeciął krótki korytarz, z sykiem rozsuwanych drzwi wszedł do operacyjnej. Wilson siedział przed największym z ekranów. Obraz przedstawiał górzysty i zalesiony fragment planety.

– Pokaż.

Sierżant najechał kursorem na niewielki, znacznie ciemniejszy od otoczenia prostokąt. Znajdował się mniej więcej w centralnej części ekranu.

– Dwanaście mil od bazy, dokładnie na południowy zachód – wyjaśnił sierżant. – Dron w życiu by go nie zauważył, ale wiatr musiał wywalić drzewo, o to, widzi pan? I odsłoniło go.

– Zrób zbliżenie.

Prostokąt znacznie się powiększył. Wieża i szybkostrzelna armata wyglądały na nieuszkodzone. Za to w tylnej części kadłuba widniała gruba, idąca poprzecznie kreska o idealnie równych bokach.

– Przestrzelina? – zapytał Finagan.

– Nie wiem, czy to dobre określenie – zastrzegł Wilson. Był w o tyle lepszej od kapitana sytuacji, że zdążył już przetrwać, co właściwie widzi. – Kadłub jest przecięty na pół.

Kapitan wskazał na rozległą ciemną plamę tuż obok pojazdu.

– Minęło prawie dwa i pół roku, zdążyło zarosnąć... – stwierdził Wilson. –  
Obstawiam, że to ślad po ogniu...

Finagan przez chwilę wpatrywał się w obraz.

– Dobra, sierżancie, powiedzcie Bogartowi, żeby zebrał swoją sekcję – rozkazał.  
– Jedziemy na miejsce.

Wilson wstał. Był wyższy od kapitana. Bardziej barczysty.

– Nasze Gepardy nie są więcej warte niż tamten – zauważył z powagą w głosie. –  
A tamtego szlag trafił.

Finagan całkowicie się z nim zgadzał. Towarzyszące mu od wylądowania  
uczucie niepokoju wcale go nie puściło. Coś w nim krzyczało, by nie opuszczać  
bazy. Musiał jednak postąpić wbrew własnemu instynktowi.

– Wilson, naszym zadaniem jest odnaleźć załogę Polarisa, żywą lub martwą –  
powiedział. – Nie znajdziemy ich, siedząc na tyłku. Zresztą, baza nie ma lepszych  
zabezpieczeń niż Gepard. Fantom może nas dopaść równie dobrze tu, jak i w  
terenie.

\*\*\*

Pokonanie niecałych dwudziestu kilometrów zajęło blisko godzinę. Było ich  
ośmiu: Finagan, Wilson, Bogart i pięciu podkomendnych tego ostatniego. Reszta  
pełniła dyżur w bazie. Przedział desantowy Geparda został zaprojektowany  
z myślą o maksymalnej ochronie balistycznej załogi, komfort stawiając na drugim  
miejscu – czuli więc każdy kamień i każdą nierówność terenu, choć kierowca  
jechał uważnie i starał się omijać większe przeszkody.

Gdy dotarli na miejsce, Finagan wysiadł jako pierwszy. Czekał, aż krew napłynie  
do zdrętwiałych nóg. Maskę uwierała go. Ileż dałby za możliwość zerwania jej  
i oddychania pełną piersią.

– Operatorzy uzbrojenia zostają – polecił. Czuł każdy kilogram oporządzenia,  
które miał na sobie. Zwiększona grawitacja okazywała się bardziej uciążliwa, niż  
zakładały ziemskie prognozy – Jeśli cokolwiek się pojawi, strzelać bez komendy.  
Reszta ze mną.

Pięciu ludzi utworzyło rzadką tyralierę i ruszyło do przodu.



Prawie czterdziestotonowy, barczysty pojazd, na pierwszy rzut oka, zdawał się nietknięty. Zaimpregnowany środkami antykorozyjnymi pancerz lśnił, jakby wczoraj opuścił fabrykę. Kostki gąsienic wyglądały na zupełnie nieużyte. Drzwi przedziału desantowego były zamknięte na głucho, podobnie włązy wieży. Gepard spał.

Wrażenie to zmieniło się diametralnie, gdy Finagan obszedł pojazd i stanął z boku. W istocie, uszkodzenie trudno było nazwać przestrzeliną. Potworny, trudny do wyobrażenia cios niemal odciął tylną część pojazdu, mniej więcej dwa metry od rufy. Cięcie było gładkie, o lekko osmalonych pobrzeżach.

Żołnierze przyglądali się w milczeniu śmiertelnej ranie pancernej maszyny.

Finagan spojrzał na Wilsona.

– Sprawdź środek – nakazał.

Sierżant wdrapał się na dziwnie wiotki i miękki pancerz, po czym zniknął w wieży.

– Wszystko zwęglone – dobiegł z wnętrza nieco przytłumiony głos.

– Komputer też? – zapytał kapitan, bez większej nadziei na przeczącą odpowiedź.

– Wszystko. Nie ma co zbierać.

A więc nie dowiedzą się o przebiegu zdarzenia. Zapisy przepadły wraz z komputerem pokładowym. Oczywiście – dane znajdowały się również w pamięci satelitów i na serwerze w bazie, ale bez dogadania się z Gilbertem dostęp do nich był zamknięty.

– Ciała? – Nerwowo przełknął ślinę.

– Nie.

– Mogły ulec całkowitemu spopieleniu.

– Raczej zostałby jakiś ślad.

– Pobierz próbki popiołu. Zbadamy skład chemiczny, może chociaż w przybliżeniu dowiemy się, co ich poraziło.

– Tak jest.

– Panie kapitanie...

Finagan minął rufę i znalazł się po drugiej stronie pojazdu. Bogart trzymał w rękach kawałek pancerza. Podniósł go nieco wyżej, ujął w obie dłonie i rozerwał

na dwie części. Włożył w to tyle wysiłku, ile kosztowałyby go przedarcie na pół kartki papieru.

– Nawet nie musiałem się wysilać, żeby oderwać kawałek – oświadczył, wskazując niewielką dziurę w kadłubie

– Jezus, przecież to Gepard – jęknął Finagan. Ileż to nasłuchał się o bezpieczeństwie załogi, ukrytej pod pancierzem pojazdu. – Bogart, słyszałeś o czymś, co może wziąć ten kompozyt?

– Wybuch ładunku jądrowego z bliskiej odległości.

Obaj wiedzieli, że w tym wypadku o żadnej eksplozji nuklearnej nie było mowy. Sensory nie wykazały nawet śladu promieniowania.

– Coś jeszcze? Laser? Ładunek elektryczny?

– Mogę wyobrazić sobie laser, potrafiący przeciąć ten pancierz – odparł ostrożnie sierżant. – Ale utrata spoistości...

Właśnie. Finaganowi nie mieściło się w głowie, by wielowarstwowy kompozyt do tego stopnia utracił odporność mechaniczną.

– Weź ludzi i dokładnie przeszukajcie teren – nakazał.

– Tak jest.

Bogart oddalił się. Wilson z kolei, nieco rozpychając powłokę, wyszedł po prostu przez odciętą rufę.

– W środku jest to samo – oświadczył. – Wszystko się rozpada przy byle dotknięciu. Żaden ze mnie chemik, ale szczerze mówiąc to wygląda, jakby cząstki kompozytu utraciły energię wiązań. Wyparował klej, który trzymał w kupie materiał. Niech mnie pan nie pyta jak to możliwe.

Finagan podszedł bliżej. Przez chwilę badawczo przyglądał się zagadkowemu uszkodzeniu.

– Przy przecięciu wyraźnie widać stopione krawędzie – mruknął. – To musiało być kilkanaście tysięcy stopni, może więcej. Przecięcie jestem w stanie zrozumieć; z trudem, ale powiedzmy. Ale przecież kompozyt nie utraciłby właściwości. Przynajmniej nie w całym pojeździe. Tak jest właśnie skonstruowany, żeby nic nie było w stanie go ruszyć.

– Wie pan co myślę, kapitanie? – powiedział Wilson z namysłem. – Że Fantom się tu zabawił. Najpierw zdeintegrował tę strukturę i zrobił z Geparda kartonową

zabawkę. A potem, z punktu widzenia ekonomii sił całkowicie niepotrzebnie, uderzył udarem termicznym. I to niejądrowym, bo nie ma śladów promieniowania.

– Po co miałyby to robić, Wilson?

– Może dla zademonstrowania siły? Pokazał, że ma broń, która jest w stanie nas załatwić w każdej sytuacji. A my nie mamy z nim szans. Nie możemy go dopaść ani nawet zobaczyć, nie jesteśmy w stanie się przed nim obronić.

– Jakiej on do cholery używa technologii?

– Nie mam pojęcia. Co do struktury Fantoma, czytał pan raport Watkinsa. Zgadzam się z nim. Dlatego go nie widzimy. Jeśli chodzi o efektor... Na zdrowy rozum taki cios musiał być zadany przez laser albo pocisk z jakiegoś rodzaju ładunkiem termicznym. Promień lasera idzie po linii prostej, czyli miotacz nie mógł być schowany, bo musiał widzieć cel. Nie ma siły, sensory Geparda musiały go w jakiś sposób zauważyć. To samo z pociskami czy raketami, obojętnie z jaką prędkością by się poruszały. A jednak Gepard się nie obronił.

– Pieprzony Fantom... – warknął Finagan. – Poruszamy się po omacku.

Odczekał chwilę, porządkując narastający w głowie chaos.

– Nasze sondy są wyposażone w czujniki ciepła i olfaktometry – przypomniał, już znacznie spokojniej. – Dlaczego nie natknęły się choćby na ślad załogi?

Wilson nawet nie udawał, że wie.

– Mogę tylko powiedzieć, że musimy szukać dalej.

– Bardzo odkrywczе, sierżancie.

Po chwili jednak się zreflektował.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy, panie kapitanie. Rozumiem. Ma pan rację. Można zgłupieć od tego wszystkiego.

– Szefie – głos Bogarta brzmiał w słuchawce ostro, nieprzyjemnie. – Jestem sto metrów na północ od Geparda. Chyba lepiej, żeby pan tu przyszedł.

– Co jest, sierżancie?

– Zdaje się, że ich znalazłem...

**GRUDZIEŃ 2034 / ZIEMIA**

Salę konferencyjną wyposażono w pierwszorzędą wentylację, mimo to Sherman miał wrażenie, że za chwilę się udusi. Po raz kolejny przeklinał dzień, w którym zgodził się objąć szefostwo agencji. Był zdolnym inżynierem. Powinien trzymać się projektowania systemów napędowych. Na tym się znał. Odnosił sukcesy. Dobrze zarabiał i – mimo burzliwego życia osobistego – czuł się w gruncie rzeczy szczęśliwym człowiekiem. Mógł bez specjalnego stresu dotrzeć do emerytury na poprzednim, wysokim i dobrze płatnym stanowisku.

Uwiodła go jednak wizja pionierskiej wyprawy, przełomu w historii ludzkości. Nie zdawał sobie sprawy na jak wiele kompromisów będzie musiał pójść. I ile rzeczy ukrywać. Dopiero poniewczasie zorientował się, że brakuje mu cynizmu, wyrachowania i, koniecznego w zarządzaniu wielkim projektem, skurwysyństwa.

Drzwi otworzyły się i wszedł doktor Watkins, jak zwykle spóźniony i jak zwykle nie mający z tego powodu wyrzutów sumienia. Zdawał się wyznawać pogląd, że świat nauki (obejmujący w pierwszym rzędzie naukowców) rządzi się innymi prawami, niż te, obowiązujące resztę śmiertelników.

Sherman otarł pot z czoła.

– Widzę, że w końcu jesteśmy w komplecie – warknął. Watkins nie zaszczycił go spojrzeniem, zajęty wyjmowaniem tabletu z pokrowca. Jego spokój doprowadzał Shermana do szału. – Wiem, że jako członkowie kierownictwa misji macie podpisane klauzule poufności, ale chciałbym jeszcze raz podkreślić, że nic, o czym tu mówimy, nie może wyjść poza to pomieszczenie. Będę z całą surowością karał ewentualnych sprawców przecieków. Jasne?

Kilku zgromadzonych na sali uczonych kiwnęło zgodnie głowami. Byli przyzwyczajeni do gróźb.

– No! To mamy jasność! Wszyscy czytali raport Higginsa? Dobrze. Podsumuję. Zwiadowcy natknęli się na obiekt obcego pochodzenia, według zdjęć najprawdopodobniej fragment kadłuba. Symulacje komputerowe nie dają jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o wielkość właściwego obiektu ani jego przeznaczenie. Fragment ten mógł być częścią zarówno statku międzyplanetarnego, jak i jakiegoś rodzaju pojazdu o mniejszych rozmiarach. Więcej będziemy wiedzieli po otrzymaniu szczegółowych wyników badań i testów, jakim zostanie poddany. Polaris pyta o decyzję w sprawie dalszego postępowania. Nawiasem mówiąc, załoga jest za kontynuowaniem misji.

– Jednogłośnie? – zainteresował się Watkins.

Spokojnie, pomyślał Sherman. On cię prowokuje.

– Nie – odparł. – Peter Vormann jest przeciw. Argumentuje, że misja nie jest przygotowana na ewentualność spotkania przedstawicieli obcej cywilizacji.

– Bo nie jest. – Watkins wydał wargi. Położył tablet na blacie i zabrał się do przecierania okularów. Każdą czynność wykonywał ze spokojną, pedantyczną powolnością.

– Już to przerabialiśmy, doktorze. Nie wzięliśmy tego scenariusza pod uwagę, bo nic nie wskazywało na obecność istot rozumnych w tamtym układzie słonecznym...

Watkins spojrzał na dyrektora beznamiętnie.

– O ile sobie przypominam, profesor Reese nie zgadzał się z tym, dowodząc, że jest to całkiem możliwe. Stawiał problem na radzie naukowej – wycedził. Miał nienaganny akcent mieszkańca Nowej Anglii. Pochodził z szacownej, bogatej rodziny, z wielkimi tradycjami uniwersyteckimi. Jego antenami byli profesorami, dziekanami, rektorami. Nie tylko z tego powodu czuł się lepszy do innych. – Twierdzi, że przygotował raport, który pan zlekceważył.

Sherman przeszedł do ataku. Miał pełną świadomość, że Janet Lee siedzi tuż obok i ocenia każde słowo i każdą reakcję.

– Reese został aresztowany – burknął. – Wie pan za co? W jego komputerze zaleziono pół terabajta filmów z dziecięcą pornografią. I cały szereg zamówień na takie filmy, produkowane specjalnie dla niego. Uwielbiał patrzeć na gwałconych pięcioletnich chłopców. Oceny takiego człowieka wydają się panu wartościowe, doktorze?

Na Watkinsie rewelacje Shermana nie zrobiły żadnego wrażenia.

– Jego dorobek naukowy jest niekwestionowany – stwierdził. Mógł sobie pozwolić na okazanie gestu solidarności. Szczycił się równie, co Reese, imponującą listą osiągnięć. Nie znoszono go – co Shermana nie dziwiło, sam za nim nie przepadał, oględnie mówiąc – ale jako naukowiec szanowano i liczono się z jego zdaniem.

– Niemniej wiarygodność jako człowieka jest zerowa – wycedził z obrzydzeniem dyrektor. – Myślę, że na tym skończymy temat. Musimy patrzeć do przodu.

Najważniejsza jest misja Polaris i rekomendacja, dotycząca dalszego postępowania. Słucham.

Siedzący nieco dalej fizyk, Robert Kerber, chrząknął.

– Jeśli mogę... – odezwał się. Sherman odetchnął w duchu. Na Kerbera mógł liczyć. – Utrata łączności była, można powiedzieć, punktowa. Ustała, gdy zwiadowcy zmienili położenie. Mogła mieć przyczyny naturalne, na przykład wyładowania elektryczne w atmosferze lub zakłócenia pochodzenia solarne. Albo kosmicznego.

– Czujniki niczego takiego nie zanotowały... – zaprotestował Watkins.

– Tego pan nie może wiedzieć, kolego – Kerber prezentował uosobienie naukowego sceptycyzmu. – Mamy jedynie fragmentaryczne dane.

Widząc, że Watkins zabiera się do riposty, Sherman uniósł dłoń.

– Panowie, proszę, po kolei. Tak do niczego nie dojdziemy. Proszę, panie Kerber.

– Utrata łączności okazała się chwilowa, jak już mówiłem, ściśle związana z pewnym punktem na mapie i nie niosła ze sobą żadnych skutków – ciągnął naukowiec. – Zakłócenia łączności się zdarzają. Członkowie misji mają procedury na taką okoliczność. To po pierwsze.

– No właśnie – przytaknął dyrektor. Watkins zrobił zdeglustowaną minę. Sherman starał się tego nie dostrzec.

– Po drugie – znaleziony obiekt. Owszem, dopuszczam możliwość, że jest produktem pozaziemskiej cywilizacji. Od początku swej kariery naukowej sądzę, że nie jesteśmy sami w Kosmosie. Możliwe zatem, że załoga napotkała pozostałości po statku kosmicznym. Czy to jednak powód, żeby zaniechać misji? Przy pierwszej, całkiem niewinnej niedogodności, zwijać żagle? Całego tego zdarzenia właściwie nawet nie sposób nazwać niedogodnością. Z raportu komandora Higginsa wynika, że nawet przez chwilę nie było najmniejszego zagrożenia. Gilbert, maszyna ze swej istoty pozbawiona przecież emocji, to potwierdza.

Watkins skrzywił się ironicznie.

– Jeszcze nie było – powiedział, silnie akcentując pierwsze słowo.

– Panie kolego, zgodzi się pan chyba, że wyprawy gwiazdne raczej nie przypominają obozu zuchowego. Niebezpieczeństwo istnieje zawsze i jest

wkalkulowane w to przedsięwzięcie. Nigdzie nie zajdziemy, jeśli będziemy uciekać przed byle cieniem.

Watkins poprawił się na krześle.

– Proszę nie sprowadzać moich zastrzeżeń do absurdu, dobrze? – poprosił ze zwodniczą uprzejmością. – Nie mówiłem o ucieczce. Mówiłem o braku procedur na okoliczność kontaktu.

– Procedury można stworzyć. To powinno być naszym obecnym zadaniem.

Janet Lee obrzuciła Kerbera spojrzeniem pełnym aprobaty.

– Dziękuję, że pan to mówi – powiedziała. – Bałam się, że w tym gronie nie usłyszę takiej deklaracji.

Doktor Watkins od początku pracy w Aero Space traktował Janet Lee jak powietrze. Tak było i tym razem.

– Owszem, możemy stworzyć procedury – przytaknął, patrząc na Kerbera. – Łatwo jest teoretyzować, siedząc w wygodnym fotelu, lata świetlne od niebezpieczeństwa. Oni jednak będą musieli się z nim zmierzyć. I wziąć odpowiedzialność za skutki ewentualnej konfrontacji.

– Ma pan na myśli bezpieczeństwo załogi, doktorze? – Sherman świadomie zignorował obraźliwą treść wypowiedzi naukowca.

– Również. Ale uważam, że powinniśmy rozważać warianty jeszcze gorsze. Na przykład możliwość wrogiego przejęcia naszej technologii przez obcą cywilizację.

Sherman założył nogę na nogę. Było mu coraz bardziej gorąco. Co z tą wentylacją, do ciężkiej cholery?

– Naprawdę? – zapytał. Czuł, że traci grunt pod nogami. Ta rozmowa nie prowadziła do niczego, a przecież jakieś decyzje musiał podjąć. Dyrektor NASA, przewodniczący Rady Dyrektorów Aero Space (w skład której, oprócz Amerykanina, wchodził szef Europejskiej Agencji Kosmicznej oraz Janet Lee), dziś wieczorem oczekiwał raportu.

– Uważa pan to za nieprawdopodobne? – Watkins również wyglądał na człowieka świadomego bezcelowości tej dyskusji. Pewnie dlatego ją ciągnął. – Że na przykład nie znają technologii jądrowej i mogłaby ich ona interesować?

– To jednak bardzo daleko posunięta spekulacja. Zakłada, że warto wszcząć wojnę, by ją pozyskać.

– Naszym zadaniem nie jest klepanie się po plecach, panie Sherman. Moim zdaniem do tej pory byliśmy wystarczająco lekkomyślni.

Sherman zacisnął dłonie na blacie. Udało mu się powstrzymać od riposty.

– Myślę, że idzie pan za daleko w obwinianiu nas, kolego – odparował w jego imieniu Kerber. – Proponuję jednak zacząć od podstaw.

Janet Lee postanowiła przyjść w sukurs Shermanowi.

– A ja myślę, że podstawą powinno być założenie, że misja jest kontynuowana – oświadczyła. – Prawda, panie dyrektorze?

– Tak – westchnął Sherman.

– Zgadzam się. – Kerber spojrzał wyzywająco na Watkinsa. – A więc pierwsze zalecenie: konieczność podjęcia obserwacji Bety i Gammy. Wysłanie bezzałogowych sond i szczegółowe zbadanie biosfery obu planet.

Watkins podniósł dłonie.

– Moment. Skąd założenie, że obcy obiekt pochodzi od cywilizacji, zamieszkującej ten konkretny układ planetarny? Może być pochodzenia pozasystemowego.

– Tym będziemy się martwić później. Najpierw Beta i Gamma.

– Polaris nie ma dwóch dodatkowych sond.

– Może użyć tych, które miały krążyć na orbicie Alfy – stwierdził Kerber.

– Tak, to jest całkowicie możliwe technicznie – przytaknął Sherman. Pomyślał o drinku – solidnym, z lodem, w ciężkiej szklance o grubym dnie. Zdecydowanie, drink mógłby doraźnie poprawić sytuację.

– A nie jest przypadkiem tak, że sondy miały pokryć całą powierzchnię Alfy polem obserwacji i ich wypadnięcie spowoduje zmniejszenie świadomości sytuacyjnej załogi? – drążył Watkins.

– W obecnej sytuacji zmieniamy priorytety. Świadomość sytuacyjna załogi zapewniona przez pozostałą część satelitów i drony będzie wystarczająca – machnął ręką Sherman. Spojrzał pytająco na Kerbera.

– Po drugie, musimy jak najszybciej otrzymać pełne wyniki badań obcego obiektu. – kontynuował myśl fizyk. – Najlepiej w surowej formie. Sami je sobie zinterpretujemy.

– To da się zrobić – ponownie zgodził się szef Aero Space.



– Po trzecie wreszcie, załoga powinna, przy zachowaniu trzeciego stopnia procedury bezpieczeństwa oczywiście, kontynuować eksplorację Alfę, z uwzględnieniem poszukiwań obecności dalszych śladów obcej cywilizacji. Jeśli znaleźliśmy fragment statku, gdzieś powinna być reszta.

– To akurat słuszna uwaga – nieoczekiwanie stwierdził Watkins.

Kerber skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

– Dziękuję, że choć na tym polu pan mnie docenił, kolego.

– Panowie, na litość boską... – Sherman miał naprawdę dość. – Coś jeszcze? Nie? W takim razie na tym skończymy. Zaraz wydam Polarisowi stosowne instrukcje. Dziękuję państwu.

Zgromadzeni przy stole wstali i ruszyli do drzwi. Watkins wyszedł jako ostatni. Znow nie zaszczyił dyrektora – nie wspominając o Janet Lee – spojrzeniem.

Sherman z ulgą opadł na oparcie fotela. Przez chwilę pił wodę. Drink. Chciał jak najszybciej poczuć w żołądku alkohol. Miał w gabinecie butelkę Chivas Royal i kostkarkę do lodu.

– Pieprzeni naukowcy – mruknął. Janet przyglądała mu się w milczeniu. Sherman znow poczuł się jak na egzaminie. Starał się unikać jej wzroku. – Co nie zmienia faktu, że Reese miał cholerną rację ze swoimi obserwacjami. Szkoda, że przy okazji za dużo gadał.

– To już nie jest problem, Bill – powiedziała łagodnie Janet Lee.

Sherman pokręcił głową. Ta sprawa martwiła go, odkąd się dowiedział o aresztowaniu profesora.

– Został zatrzymany podczas spotkania z tą nieznośną Montero... – odparł. – Nie wiesz, ile jej zdążył nagadać.

– Nie martw się o nią.

Nie martw... ona jest w stanie wysmażyć taki akt oskarżenia, że będziemy mieli szczęście, jak tylko wyrzucą nas z pracy, pomyślał. Przepraszam: mnie. Ciebie to nie dotyczy. Myśl o ledwie napoczętej butelce whisky stawiała się pomалу obsesyjna.

– Ta dziennikareczka również nie będzie problemem.

Coś było w jej głosie. Podniósł wzrok. Patrzyła na niego z nieodgadnionym uśmiechem.

– Znowu chcesz...? – jęknął.

– Bardziej martwi mnie – kontynuowała cicho, jakby nie zadał żadnego pytania – że masz tu kolejnego naukowca, który za dużo gada.

– Doktor Watkins? Jest pyskaty, ale nawet w połowie nie tak upierdliwy jak Reese. Nie przejmuj się nim. To, co mówi, nie wyjdzie z tych ścian.

– W twoim, i jego, najlepiej pojętym interesie jest, żebyś się nie mylił.

Jakby chcąc złagodzić wymowę tych słów, wstała i podeszła bliżej. Zbyt blisko. Przełknął ślinę.

– Pamiętaj, że osiągnęliśmy to, co chcieliśmy – powiedziała aksamitnym tonem.

– Przebyliśmy długą drogę, ale wyprawa doszła do skutku. To jest najważniejsze.

– Czasami się zastanawiam, czy to na pewno jest najważniejsze.

– Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Bill.

– Nie wyglądam – skrzywił się. – Jestem.

– Podziwiam cię. – Jej głos był jeszcze łagodniejszy. – Naprawdę. Żyjesz pod ogromną presją. Media otrąbiły tę wyprawę ostatnią nadzieją ludzkości i ciebie uczyniły odpowiedzialnym za jej powodzenie.

– Media żyją z bombastycznych haseł.

– Co nie zmienia faktu, że wytwarzają olbrzymie ciśnienie.

– Masz rację. Co z tego?

– Real Life pokazuje świat inaczej.

Przemknęło mu przez głowę, że ona nie może wierzyć w to, co mówi.

– Oboje wiemy, że podkrećacie przekaz – zaproponował.

Nieoczekiwanie zgodziła się z nim.

– Tylko po to, żeby przeciętny człowiek dostał dokładnie to, czego chce.

Wykręć każdego manipulatora. Miał już dość.

– Niech ci będzie. Janet, muszę popracować.

– Jasne – zgodziła się nadspodziewanie łatwo. – Dzwon, gdyby coś.

Skinęła mu głowę na pożegnanie i wyszła, stukając wysokimi obcasami.

\*\*\*

W korytarzu zabrzmiał dzwonek telefonu.

Walker.

– Coś wiesz? – zapytała.

– Dzień dobry, szefowo – Głos asystenta brzmiał dziarsko. – W jej laptopie nic nie ma.

– To dziennikarka. Dziennikarze trzymają notatki na laptopach. Albo w chmurze.

– No to ona jest wyjątkiem. Sprawdziłem. Złamaliśmy wszystkie jej hasła. Jest dużo różnych rzeczy, ale o rewelacjach profesora nic. W ogóle nie ma niczego o Polarisie.

Janet wyszła na zewnątrz. Samochód stał nieopodal, na przeznaczonym specjalnie dla niej miejscu. Zimny wiatr wionął jej prosto w twarz. Decyzją udziałowców siedziba Aero Space znajdowała się w Waszyngtonie, tuż obok kwatery głównej NASA. Janet Lee od początku uważała to za zły pomysł, nie tylko dlatego, że musiała przenieść swoje główne biuro do stolicy. Wolałaby rezydować gdzieś w cieplejszych okolicach, mniej ludnych; NASA miała przecież centra badawcze w Kalifornii czy Teksasie i sporo terenu, na którym z powodzeniem dało się wybudować siedzibę siostrzanej agencji.

– Ciekawe – mruknęła, wracając do rozmowy. – Musiała wszystko wynieść na zewnątrz.

– Czeka nas wizyta w jej domu.

– Jeśli pomyślała o trzymaniu wszystkiego poza laptopem i siecią, nie jest taka głupia, żeby trzymać w domu dysk – odparła niecierpliwie. – Sprawdź, w którym banku ma konto.

– Sprawdziłem. W Pierwszym Komercyjnym.

Ma refleks, gnojek, pomyślała.

– Wiceprezes wisi mi przysługę – oznajmiła.

Walker odpowiedział uprzejmym śmiechem.

– Chciałbym zobaczyć kogoś ważnego, kto nie wisi szefowej przysługi.

– Skontaktuj się z nim i poproś o dostęp do skrytki.

– Gruby numer.

– Nie tak gruby jak jego dług. Cześć.

Wsiadła do samochodu i z uczuciem ulgi opuściła teren agencji.

## POLARIS

Obie sondy, zgodnie z poleceniem Gilberta, ustawiły się na wyznaczonym kursie. Pierwsza miała osiągnąć orbitę Bety za sześć dni, druga pojawić się w okolicach Gammy dzień później. Higgins z niechęcią myślał o tym, co przyniesie obserwacja. Obecność obcych cywilizacji rozwiąże, co prawda, zagadkę własności rozbitego statku kosmicznego, postawi jednak wiele nowych pytań. Nieobecność – niczego nie rozwiąże, co najwyżej odsunie problemy w czasie.

Bo tego, że problemy się pojawiają, Higgins był pewien.

Gilbert zasygnalizował zakończenie załadunku promów transportowych. Jako pierwsze polecieć na Alfę miały kontenery mieszkalne i maszyny budowlane. A potem załoga.

Higgins pochylił się nad mikrofonem.

– Zwiadowcy, zgłóście się.

Wagura odezwał się natychmiast.

– Tu Zwiadowcy, zgłaszamy się.

– Mówi komandor Higgins

– Cześć, John. Już zaczęliśmy tęsknić.

– Wysyłamy wam pierwszy transport. Dotrze do was za cztery godziny.

– Przyjąłem. Wybraliśmy bardzo ładne miejsce na bazę. Wrzuciłem fotki, możecie sobie obejrzeć.

– Widziałem. Bardzo się podobają mojej żonie.

– I mnie – wtrącił Gilbert.

– O właśnie, i Gilbertowi.

– Tylko od razu mówię, że zarezerwowaliśmy z Magdą pokój z widokiem na rzekę.

– To się jeszcze zobaczy.

– Magda mówi, że obowiązuje zasada pierwszeństwa. Niestety, panie majorze. Możecie wziąć pokój, jak to się mówi, od ogrodu.

– Jesteśmy wyżsi stopniem.

– Akurat w tej spółdzielni hierarchia służbowa nie ma zastosowania. Mogę pokazać regulamin. Naprawdę mi przykro.

– Możemy ten dylemat rozstrzygnąć w drodze losowania – ponownie zabrał głos komputer.

– A ty co się wtrącasz Gilbert? – zaprotestował kapitan. – Zresztą na losowanie się nie zgadzam. Nie ma mowy. Jak znam życie, to tak ustawisz parametry, że przegramy.

– Zarzucanie komputerowi nieuczciwości jest oburzające, kapitanie Wagura – powiedział belferskim tonem Gilbert. – Jest czystym przejawem dyskryminacji, wynikającej z maszynofobii.

Wagura zarechotał. Nawet Higgins nieco się rozchmurzył.

– Dobra. Pożartowaliśmy sobie. Przetransportowaliście obiekt?

– Tak – odparł, poważniejąc, drugi pilot. – Wycięliśmy fragment... mogę powiedzieć, że łatwo nie było. Dwa diamentowe ostrza pękły jak zapałki. Laserem jakoś poszło.

– Udało wam się niczego nie uszkodzić?

– Struktura materiału została zachowana, jeśli o to pytasz. Mamy go już w hermetycznej skrzyni. Poślemy wam odwrotną pocztą, jak rozładujemy transporter.

Higgins wyczuł w jego głosie pewną rezerwę.

– Coś jeszcze?

– No, zanim obiekt poszedł do pojemnika, uruchomiłem spektrometr jonowy – odparł Wagura, a Higgins upewnił się, że przecucie go nie myliło. Kapitan zrobił się nagle bardzo poważny. – Zdalnie, bez obaw. Wyszły ciekawe rzeczy. Ten kawałek został oderwany od reszty w wyniku udaru cieplnego o temperaturze prawie pięćdziesięciu tysięcy stopni Celsjusza. Sprawca musiał mieć niezłe zasoby energetyczne, panie majorze.

Higgins chyba wolałby o tym nie słuchać. Pięćdziesiąt tysięcy stopni. Przez chwilę czuł się bezradny. Jaki powinien być ich następny krok? Czy lądowanie i budowa bazy są na pewno dobrym posunięciem?

Myśli przysłuchującego się rozmowie Petera Vormanna zdawały się iść tym samym torem.

– Miałem rację – oświadczył z naciskiem. – Na Alfie ktoś był. Doszło do konfliktu i wymiany ciosów...

– Za wcześnie na takie wnioski, Peter – zaproponowała Karen.  
– Lepiej być nadto ostrożnym, niż pomylić się w ocenie sytuacji.  
– Gilbert? – zapytał Higgins, mając rozpaczliwą świadomość, że odwołanie się do oceny komputera nie rozwieje jego obaw. Nie ufał mu. Czuł na sobie wzrok Karen. Może był przewrażliwiony, ale miał jakieś dziwne przeświadczenie, że jego żona tylko czeka, aż się potknie.

– Pyta pan o moje zdanie w sprawie dalszego postępowania?

– Zawsze ceniłem twoją domyślność.

– Jest pan złośliwy. Złośliwość wobec komputera jest nieco ekstrawagancka, nie uważa pan?

– Nie filozofuj. Podaj wnioski.

– Hipoteza o starciu jest jedną z kilku możliwych – odparł flegmatycznie Gilbert. – Mamy tylko jeden obiekt nieznanego pochodzenia i wstępną ocenę uszkodzeń. Uważam, że powinniśmy postępować dwutorowo. Poddać znalezisko szczegółowym testom, przede wszystkim pod kątem jego pochodzenia i przeznaczenia oraz podjąć próbę oceny poziomu technologicznego budowniczych. Drugim torem będzie odkrycie przyczyn uszkodzeń. Potwierdzimy albo odrzucimy wniosek kapitana Wagury. Po drugie, należy zorganizować szereg misji poszukiwawczych. Jeśli ktoś rzeczywiście tu był, znaleziony obiekt nie jest jedyną pozostałością po jego obecności na Alfie. Im więcej zgromadzimy danych, tym jaśniejszy obraz sytuacji będziemy mieli.

Higgins westchnął. Rada była rozsądna. Tak czy inaczej muszą przeprowadzić dokładne rozpoznanie.

– W porządku – powiedział.

– Jeśli można – odezwał się z głośnika, słuchający rozmowy na Polarisie, Wagura. – Do lądowania promu mamy cztery godziny. Możemy pojechać na północ i się rozejrzeć.

– Dobry pomysł. – Karen popatrzyła na męża.

– Macie być z powrotem za trzy i pół godziny – zdecydował Higgins. Czuł rosnącą presję.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

Major odwrócił się. Patrzyli na niego badawczo.

– Dobra, mamy chwilę czasu – rzekł, spoglądając na zegar. – To co, lunch?

– Ja dziś zamawiam papkę z łososia – zadeklarował Vormann. – A pan, komandorze?

– Zostanę przy moim ulubionym kleiku warzywnym.

Karen skrzywiła się teatralnie.

– Przestańcie, bo już mi niedobrze – jęknęła. – Śnił mi się dziś średnio wysmażony stek z frytkami. I miska sałaty z sosem winegret.

– Teraz to ty przestań, Karen – udał oburzenie Peter.

Przez chwilę śmiali się wesóło. Śmiech Karen, niezależnie od okoliczności, zawsze dodawał Higginsowi energii; teraz na dodatek cieszył się, że go słyszy, bo po odkryciu przez nią romansu myślał, że już nigdy nie będzie miał ku temu okazji.

Gilbert był jednak zdecydowany popsuć im nawet ten drobny moment beztroski.

– Komandorze, przypominam, że ma pan zaległy videoblog do nagrania – oświadczył.

Higgins spochmurniał. Jego dobry nastrój ulotnił się bezpowrotnie.

– Wiem.

– Nalegam, by pan go nagrał jeszcze przed lunchem. Dostałem już dwa ponaglenia w tej sprawie od kierownictwa misji.

– Nie od kierownictwa misji, tylko od piranii z Real Life.

– Chciałem tylko przypomnieć, że kamery są włączone i rozmowa idzie na Ziemię.

Higgins wzruszył ramionami. Wyrzucił z głowy zasady narzucone przez Real Life już dawno temu.

– Tak czy inaczej, regularne nagrywanie videoblogów należy do obowiązków załogi. Na czele z panem, komandorze. – Gilbert był nieugięty.

Higgins poczuł głuchą złość.

– Czasem się zastanawiam, po której ty jesteś stronie, Gilbert.

– Tu nie ma stron, komandorze. Moim obowiązkiem jest wszechstronna pomoc załodze, co obejmuje również przypominanie o rzeczach, na które nie macie ochoty.

– Dobra – odparł ostro. – Możesz się wyłączyć.

Coś zgrzytnęło w głośniku. A Higgins wyobraził sobie, jak Gilbert uśmiecha się ironicznie.

– On się robi coraz bardziej niezdolny – stwierdziła Karen.

– Też masz takie wrażenie? – zapytał. Do tej pory czuł się osamotniony w przekonaniu, że komputer bawi się z nimi w kotka i myszkę. Dlatego odczuł coś w rodzaju satysfakcji, słysząc że Karen myśli podobnie. Być może uda im się znów zagrać w jednej drużynie.

– Faktem jest, że nagrania mamy w umowie – zauważył Vormann.

– Mamy ważniejsze problemy do rozwiązania niż blablację dla subskrybentów Real Life.

– To tylko kilka minut raz na kilka dni, John. Zgodziłeś się na to.

– Nie o tym mowa, Peter – stwierdziła Karen, obrzucając go uważnym spojrzeniem.

– A o czym?

– Chcemy go traktować na równi z nami, ale on jest tylko maszyną. – Wyręczył ją w odpowiedzi Higgins. – Jemu się wydaje, że czuje i myśli jak my, ale to nieprawda. Kierują nim algorytmy, które ktoś na Ziemi zaprojektował. To, że potrafi się uczyć, jeszcze nie świadczy, że rozumuje jak my.

– O tym rozmawiamy? – Vormann spojrzał na dowódcę wzrokiem naukowca, przyglądającemu się nieznanej bakterii. – O Gilbertcie?

– Rozmawiamy o tym, czy możemy naprawdę na niego liczyć, gdy trzeba będzie odejść od schematu i improwizować opierając się na niepełnych lub fałszywych danych – tłumaczył cierpliwie Higgins. Przyszło mu do głowy, że zmieniające się okoliczności zmuszą ich w końcu do ujawnienia przed opinią publiczną (transmisje szły na Ziemię non stop), co jest prawdziwym celem misji, z jakiego powodu przelecieli przez pół wszechświata, by wylądować na tym nieprzyjaznym kawałku skały. Ludzie (przynajmniej część z nich) są wystarczająco inteligentni, by w końcu zauważyć, że rzeczywistość różni się z oficjalnymi deklaracjami. Ten moment przyjdzie, raczej szybciej niż później. Czy wtedy będą mogli liczyć na Gilberta?

Na razie chciał zakończyć tę dyskusję (na którą Peter miał najwyraźniej ochotę), zmienił więc temat: – Karen, da się ominąć Gilberta przy korespondencji



z Ziemią?

– Mogę utworzyć odseparowany kanał łączności.

– Zrób to, proszę – zarządził. – Muszę pogadać z programistami. Aha, jeszcze jedno. Nie chcę, żeby ta rozmowa dotarła do Janet Lee. Omijamy i Gilberta, i szefową Real Life.

Udał, że nie widzi miny Vormanna.

## ALFA

Gepard trząsał i jęczał, wył silnikiem i dzwonił gąsienicami. Nadal nie mogli się przyzwyczaić do alfiańskich warunków jazdy, choć Wagura robił co mógł, by wybierać najbardziej dogodną trasę. Teren był zróżnicowany, od czasu do czasu zdarzały się łagodniejsze fragmenty, ale na ogół jechali po, nachylonym pod różnymi kątami, skalnym rumowisku, z głazami niejednokrotnie przewyższającymi czteropiętrową kamienicę.

Magda w milczeniu wyglądała przez boczne okienko. Wyglądała krucho i bezbrannie.

– Co jest, żono? – zapytał. – Coś nie tak?

– Nie.

– To jest takie „nie”, o którym chcesz pogadać?

Gepard podskoczył, po czym z opadł hukiem. Gąsienice zadzwoniły rozpaczliwie. Trzymała się mocno bocznego uchwyty i była do fotela przypięta pasami, mimo to zaczynała odczuwać coś w rodzaju choroby morskiej.

– Dostałam wiadomość od mamy – powiedziała cicho. – Ojciec miał zawał... Jest na OIOM-ie. Rokowania są bardzo kiepskie.

Wagura przypomniał sobie dużego, wiecznie roześmianego faceta, o misowatej posturze i rozwichrzonej szopie siwych włosów. Polubił go od pierwszego spotkania.

– Przykro mi – odparł. Naprawdę tak myślał. – Twój ojciec to silny facet, Magda. Wyjdzie z tego.

Nadal patrzyła na ciągnące się po horyzont kamienne usypisko. Ciemne chmury na horyzoncie zwiastowały kolejną burzę. Na Ziemi nie widziała tak

posepnych krajobrazów.

– Mama napisała, że odkąd Real Life zaczęło transmisje, siedział non stop przy telewizorze – ciągnęła myśl po chwili. – Jadł i spał na kanapie w salonie. Kiedy urwała się z nami łączność, zdenerwował się tak, że nie mógł oddychać. Karetka przyjechała podobno w ostatnim momencie.

Wagura zgrzytnął zębami.

– Pieprzone Real Life zrobiło z tego pewnie wielką aferę i podłożyło muzykę rodem z horroru – warknął.

– Gorzej – pokręciła głową. – Dodali komentarz. Powiedzieli otwartym tekstem, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo i będzie cudem, jeśli przeżyjemy.

– Poważnie? Pierdolone skurwysyny.

– Przypominam, że wasza rozmowa może być częścią transmisji – zauważył z głośnika Gilbert.

Wagura zrobił się jeszcze bardziej zły.

– Zamknij się, Gilbert – fuknął. – Jak będę miał do ciebie interes, dam ci znać.

– Obawiam się, że nie spełnię pańskiej prośby, kapitanie. – Głos komputera był wręcz ostentacyjnie rzeczowy. – Do moich zadań nie należy uleganie załodze, tylko pilnowanie, żeby wszystko szło zgodnie z planem.

– Posłuchaj mnie – wycedził Wagura, nagle całkiem spokojny. – Nie chcę cię wyłączać. Ale jeśli się nie przymkniesz, chwilę, po tym gdy tu wylądujecie, przeprogramuję cię i zrobię z ciebie zwykły kalkulator.

– Jestem wystarczająco zabezpieczony przed ingerencją z zewnątrz – stwierdził komputer.

– Nie zakładaj się o to.

– Po prostu się wyłącz, Gilbert – poparła kapitana Magda. – Rozmawiamy o prywatnych sprawach.

Równie dobrze mogli apelować do ściany.

– Jesteście członkami załogi, wykonującymi konkretną misję – odparła maszyna. – Sprawy prywatne mogą wpływać na wasze zachowanie.

– A nasze poglądy nie spodobają się Real Life. – Wydał wargi kapitan. – Jezu, nie mogę słuchać tego pieprzenia.

Dyskusja trwałaby zapewne dalej, gdyby nie Higgins, który postanowił ją zakończyć.

– Gilbert, daj im chwilę – zarządził. Było jasne, czyją trzyma stronę. – To rozkaz.

Tym razem poskutkowało.

– Słucham, komandorze.

– Dzięki, szefie – powiedział Wagura.

– Magda, wyrazy współczucia. Nie wiedziałem.

– Dziękuję.

– Uważajcie na siebie. Bez odbioru.

– Ten pieprzony streaming będzie coraz większym wrzodem na tyłku... – burknął Wagura, ale nie skończył. Zobaczył łzy w oczach żony.

– Jak mogłam im to zrobić? – szepnęła, pokazując, że w gruncie rzeczy sprzeczka z Gilbertem nie miała dla niej większego znaczenia. – Jak mogłam być taką egoistyczną suką?

Wagura znał ją, wiedział, o czym mówi.

– Ojciec cię popierał. Powiedział mi przed odlotem, że jest z nas dumny.

Milczała, wsłuchana we własne myśli. Zapomniała nawet o obecności męża

– On nigdy się nie skarżył – ciągnęła, nie zważając na to, że na Polarisie słyhać każde słowo. – Zawsze uważał, że dopóki ma dwie ręce, da sobie radę. I dojadą z matką do mety i umrą razem, szczęśliwi.

– Niezły plan.

– Powinam być teraz w szpitalu. Powinam siedzieć przy nim i trzymać go za rękę.

– Jak będziesz tak myśleć, zadręczysz się na śmierć.

Nie odpowiedziała.

## POLARIS

Lori Vormann odważyła się usiąść. Potem, powoli i ostrożnie, opuściła stopy na podłogę. Po chwilowym zawrocie głowy, horyzont szybko się ustabilizował. Poczowała, że strach osłabł – a przynajmniej zelżało nieprzyjemne ścisnienie

w żołądku. Od pewnego czasu próbowała bez większego powodzenia odepchnąć od siebie uporczywie powracającą myśl, że jej pobyt tutaj okazał się całkowitą pomyłką. Dlatego zmusiła się do działania.

– Gilbert, chcę nagrać wiadomość i wysłać na Ziemię – oświadczyła. – Wyłącz się.

– Oczywiście, porucznik Vormann – odparł komputer.

Sięgnęła do wieloprzegubowego ramienia, na którym zawieszony był niewielki ekran z wmontowanym mikrofonem. Uruchomiła go dotknięciem, a kolejnym wybrała ikonkę adresatki.

– Cześć, siostró – zaczęła, zadowolona, że pozbyła się chrypy. Jej głos we własnych uszach brzmiał mniej więcej tak jak dawniej. – Przepraszam, że odpowiadam dopiero teraz na twoją ostatnią wiadomość. Sytuacja jest trochę popieprzona. Szczerze mówiąc, nawet bardziej niż trochę... Mieszają mi się pory dnia... Poczekaj chwilę, muszę upewnić się, że nasz wścibski komputer nie słucha.

– Weszła w menu. Przycisk „Gilbert, sala medyczna” jarzył się jaskrawą czerwienią. Odetchnęła. – Wygląda na to, że nie, chociaż diabli wiedzą. Mamy tu Wielkiego Brata, który wszystko wie lepiej. No dobrze. Wiem, że się martwisz. Peter też uważa, że mam nawrót depresji, ale to nieprawda. Czuję się zupełnie inaczej niż wtedy. Mam jakieś zakłócenie metabolizmu. Jestem osłabiona fizycznie, nie mam za grosz energii, ale nic mi więcej nie dolega. Myślę klarownie, jeśli o to pytasz... – roześmiała się smutno. – Na razie kazali mi leżeć, mam się nie przemęczać, chyba mają rację. Jestem bardzo zmęczona, źle śpię i ciągle się zastanawiam... coraz częściej wydaje mi się, że ta misja jest jakąś cholerną pomyłką. Sama nie wiem, co tu robię. Zamiast rozwiązywać problemy na Ziemi, przenosimy je w kosmos. Planeta jest ładna... mówię na podstawie zdjęć i filmów z sond, sama jeszcze nie byłam, mamy polecieć za kilka dni. Tu się pewnie da nie najgorzej urządzić... Czy to nas zmieni? Pozostaniemy tacy sami. Przybędą tu kolejne statki, kolejni ludzie, założymy miasto. Potem drugie, trzecie, czwarte. Pojawią się politycy. Powstaną granice. Spory o terytoria, o zasoby, o wodę, surowce, pewnie wybuchną wojny, bo dlaczego nie? Może za dużo o tym myślę. Zresztą... jest coś jeszcze, gorszego... chociaż nie jestem pewna, czy ci o tym mówić. No, dobrze... powiem... ale musisz zachować to dla siebie. Możliwe, że cała nasza wyprawa, statek, broń, przygotowania, masę włożonych pieniędzy... i tak nie mają sensu, z tego prostego powodu, że nie jesteśmy tu sami. Mam dziwne

przecucie, że ktoś tu jest. Albo był. Ale raczej jest nadal i czasami mnie obserwuje. To dziwne, bo przecież jestem na statku kosmicznym, który krąży na orbicie dookoła Alfy, tysiąc kilometrów nad powierzchnią planety. A jednak właściwie jestem pewna... że ktoś mi się przygląda. Na razie tylko przygląda. Boję się go... Może dlatego boję się zasnąć... Dwoje członków załogi jest na dole, na Alfie. Znaleźli pewien obiekt... jeszcze nie przeprowadziliśmy badań, ale ja wiem, że to znalezisko przyniesie tylko kłopoty. Czasem czuję się jak w więzieniu. Łapię się na tym, że czekam, aż wydarzy się nieszczęście. Myślę, że powinniśmy odlecieć. Wiem, że nikt mnie nie posłucha. Oni i tak chyba uważają mnie za histeryczkę niespełna rozumu. No, może za wyjątkiem Petera, wiesz jaki on jest, do wszystkiego podchodzi strasznie serio... Przepraszam cię, plotę straszne bzdury. Kręci mi się w głowie. Nie martw się, dam sobie radę. Daj znać, co u ciebie, jak dzieciaki... Całuję cię. Mówiła twoja starsza, stuknięta siostra, Lori.

Dotknęła ekranu. Obraz pociemniał.

Położyła się i zamknęła oczy. Czowała kropelki potu, spływające po skroniach. W głowie jej się kręciło, mięśnie bolały jak po dźwiganiu ciężarów. Nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo jest osłabiona.

## ALFA

Teren wyplaszczył się nieco. Zmieniło się także podłoże – nie jechali już po kamieniach, a po zbitym, dość równym piasku o czerwonym odcieniu. Dziki, drażniący wizg gąsienic Geparda zamienił się w przytłumiony hurgot – hydropneumatyczne zawieszenie od razu lepiej zaczęło sobie radzić z nierównościami gruntu.

Wagura przyspieszył. Z łatwością wymijał pojawiające się gdzieś wydmę. Robili prawie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Słońce stało jeszcze wysoko, ale rozpoczęło już swój schyłkowy bieg. Mniejszy księżyc pociemniał. Po prawej burcie pojawiły się zarośla, gęstniejąc stopniowo w zbity, nieprzejrzysty las.

Z głośnika dobiegł cienki, modulowany sygnał.

Wagura wcisnął hamulec. Gepard, wzbudzając wielki obłok pyłu, stanął.

– Trzysta osiemdziesiąt metrów – powiedziała Magda, wpatrzona w ekran radaru. W jej głosie pobrzmiwało zaniepokojenie. – Północ, północny zachód.

Wagura lekko poruszył joystickiem. Siłownik obrócił zamieszczoną na wieży kamerę, kierując ją w stronę drzew. Na monitorze ukazało się, leżące na skraju lasu, monstrualne, wydęte cielsko wieloryba. W pierwszym momencie z tym właśnie skojarzyło się kapitanowi znalezisko – z gigantycznym stworzeniem, którego żywiołem był ocean, a które, jakimś nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu, wylądowało o sto kilometrów od najbliższej wody.

Wiedział oczywiście, że to nieprawda, ale jego umysł bronił się przed nazwaniem po imieniu tego, co zarejestrowały zmysły.

– Namierzam – oświadczył, nie zdając sobie sprawy, jak mocno zaciska szczęki.

Magda oderwała wzrok od ekranu radarowego i spojrzała na monitor, pokazujący obraz z kamery.

– Grubo – stwierdziła słabo.

– Bardzo grubo. Skanuję.

Przez chwilę słyszeli tylko słaby gwizd wiatru.

– Brak radioaktywności.... co jakoś mnie nie dziwi – mruknął Wagura, wpatrując się w migające na monitorze dane. – Brak ruchu. Brak organizmów żywych. Brak emisji promieniowania elektromagnetycznego. ...to jest martwe, Magda.

– Statek?

– Tak wygląda.

Jak urzeczeni wpatrywali się w ekran. Długie, obłe wrzeciono, zakończone czterema długimi rurami, które od razu skojarzyły im się z dyszami wylotowymi ogromnych silników. Na górze – o ile kadłub leżał dnem na ziemi – coś w rodzaju anteny. Spłaszczony, jakby gadzi, pysk. Brak jakichkolwiek otworów. I mozaikowa, regularna struktura poszycia o grafitowym kolorze.

– Ma ze sto metrów długości – stwierdziła Magda. W jej głosie obawa walczyła o lepsze z podziwem.

– Dziewięćdziesiąt jeden – odparł Wagura, odczytując wskazania dalmierza. – Robi się coraz weselej. Polaris, zgłoś się.

– Słyszę was, zwiadowcy – zabrzmiał z głośnika Higgins.

– Widzicie to?!

– Owszem. Jesteśmy pod wrażeniem. Mamy chyba resztę od fragmentu, który znaleźliście w rzece.

– Możliwe. Chcemy przyjrzeć się z bliska.

– Jak oceniacie sytuację?

Wagura zerknął na żonę, która leciutko – wyraźnie wbrew sobie – skinęła głową.

– Nie widzimy ryzyka. Sensory nie wychwyciły ani życia, ani niczego, co by tam działało. Martwy kawał żelastwa, nic więcej.

– Potwierdzam – włączył się do rozmowy Gilbert.

– Dobra, macie zielone światło – zarządził dowódca. – Tylko ostrożnie.

– Jasne. To w końcu nasze tyłki. Bez odbioru. – Spojrzał na Magdę. Siedziała w bezruchu i wpatrywała się w ekran. Kadłub wypełniał go w całości. – Idziemy?

– Zastanawiam się – odparła. Od dłuższego czasu myślała, jak powiedzieć mu, co czuje. Nie wymyśliła nic sensownego.

– Mogę pójść sam. – Wziął jej wahanie za wyraz przezorności. – Nawet lepiej. Będziesz mnie ubezpieczać.

– Nie o to chodzi – nadal się wahała. – Myślę, czy chcę się na pewno dowiedzieć, co to jest.

– To...

– Głupie, wiem. Nic się nie zmieni od mojego chcenia czy niechcenia. Nic nie poradzę.

Przechylił się na jej stronę i objął ramionami. Było im niewygodnie, fotele nie zostały zaprojektowane z myślą o ułatwianiu małżeńskich czułości, grube kombinezony skutecznie izolowały ciała, ale żadne nie miało ochoty przestać. Trwali tak przez dłuższą chwilę.

– Przez ostatnie dwa dni wydarzyło się więcej, niż przez całe nasze życie – powiedział łagodnie, wypuszczając ją z objęć. – Każdy potrzebuje czasu, żeby się przyzwyczaić. Normalka. Zostań, przejdę się, rozejrzę i zaraz wrócę.

Magda kilkakrotnie głęboko odetchnęła.

– Dobra. Koniec jojczenia. Pomóż mi założyć pancierz.

Wagura roześmiał się wesoło.

– Jesteś niezniszczalna, moja droga żono.

\*\*\*

Wyeliminowany przez latającego drapieżnika bezzałogowy statek latający został zastąpiony przez zapasową maszynę, znów więc ubezpieczały ich dwa drony obserwacyjne i Ripper. Wagura, nade wszystko ufając własnym zmysłom, rozglądał się na boki. To też – podobnie jak ściskanie joysticka – zostało mu z czasów pilotowania Miga 29. W F-16, a potem w F-35, na które szybko się przesiadł, awionika była na tyle zaawansowana technicznie, że nie musiał tego robić. Ale robił. Miał sokoli wzrok. Czuł się bezpieczniejszy, gdy sam sprawdzał wszystko.

Kadłub potężniał z każdym krokiem. Nosił wyraźne ślady katastrofy – z bliska dobrze widoczne. Część spłaszczzonego dziobu statku została zmiażdżona jakąś trudną do wyobrażenia siłą. Poszycie roilo się od pęknięć. Blisko rufy ziała kilkumetrowa wyrwa, na pierwszy rzut oka pasująca kształtem do fragmentu znalezionej nad rzeką.

– Przespinuję go – zadeklarował Wagura.

Bez pośpiechu omiół kadłub lufą urządzenia, przypominającego dużą suszarkę do włosów. Spinoskop przekazywał dane do głównego komputera Geparda oraz na Polarisa. Wyniki mogli odczytać na ekranach, zamontowanych na lewych przedramionach

– To samo, co przy tamtym fragmencie – mruknął Wagura. – Związki metali i węgla, dwutlenek krzemu... Wielowarstwowa budowa. Pancierz zewnętrzny o grubości czterdziestu pięciu centymetrów.

Przez chwilę w milczeniu przyglądali się znalezisku. Powoli docierało do nich, co właściwie widzą. Rzeczywistość, znana im dotychczas tylko z literatury i filmów, stała przed oczami – namacalna i prawdziwa. Statek kosmiczny należący do obcej cywilizacji.

– Awaria? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Dziura ma ze cztery metry średnicy – orzekł. – Nie powstała w wyniku upadku. Ten statek został zaatakowany w powietrzu i utracił sterowność. Dlatego spadł.

– Dziwne, że się nie rozpadł przy zderzeniu. Tu jest silna grawitacja.



– Musi być cholernie dobrze skonstruowany. I twardy. Przyjrzymy mu się od środka.

– Jeśli jest tak twardy, żeby nie rozpaść się przy niekontrolowanym przyziemieniu, jakoś trudno mi sobie wyobrazić powstanie takiej dużej przestrzeliny wskutek konwencjonalnego udaru. Sprawdź radioaktywność.

Wagura dotknął ekranu. Dron obserwacyjny obniżył lot i wysłał w stronę kadłuba wiązkę promieniowania.

– Cisza i spokój – oświadczył Wagura. Odczyt potwierdzał jego przewidywania.  
– Poniżej ziemskiej. To nie był ładunek jądrowy... Co jest?

Magda pobladła. Nie widział tego pod maską, zwrócił natomiast uwagę na nienaturalną sztywność jej ciała.

– Czujesz? – zapytała zmienionym głosem.

– Co czuję?

– Ktoś tu jest. – Jej głos wyraźnie drżał.

Szczęknął przeładowywany karabin. Wagura przycisnął kolbę do ramienia.

– W środku? – zapytał prze zaciśnięte zęby, pochylony nad przyrządami celowniczymi.

– Nie. – Była naprawdę przerażona. – Tu. Obok. W górze.

Oderwał wzrok od kolimatora i zerknął na ekran czytnika. Drony latały na pułapie stu metrów. Miał świetny widok z góry. Obraz nie wskazywał niczego szczególnego. Przełączył na termowizję. Dwie ludzkie sylwetki czerwieńiały ciepłem, wielki wrak był czarny, martwy. Poza tym nic.

– Sensory niczego nie widzą – stwierdził. Broni jednak nie opuścił.

Złapała go za rękę.

– Cicho.

Zastygł w bezruchu. Najpierw poczuł w żołądku wibracje. Zaraz potem w monotonne zawrodozenie wiatru wkraść się nowy dźwięk, cichy, niemal niesłyszalny. Po chwili zrobił się wyraźniejszy: niskie, drażniące buczenie, jakby przelatywał im nad głową ospały trzmiel monstrualnej wielkości. Obraz przed oczyma zaczął się rozmywać. Infradźwięki atakowały zmysły, osaczały ich, czyniły bezbronny...

Zjawisko zaczęło słabnąć, po czym znikło tak samo niespodziewanie, jak się pojawiło.

Magda spojrzała na męża.

– Słyszałeś?

Nie tylko słyszałem, pomyślał.

– Wyładowanie elektrostatyczne – stwierdził. Nie chciał jej martwić.

Doskonale to wyczuła.

– To nie było wyładowanie elektrostatyczne – odparła ze zniecierpliwieniem.

– Polaris, widzicie coś?

Gilbert miał już gotową odpowiedź.

– Dron obserwacyjny wykrył zmianę ciśnienia atmosferycznego dwieście metrów na północ od was – oznajmił. – Anomalia trwała trzydzieści sześć sekund i zniknęła.

– Wzięłeś poprawkę na wiatr? – zapytał, starając się nie patrzeć, jak Magda krzywi się z niesmakiem.

– Oczywiście. Przekierowałem satelitę na to miejsce. Zbadamy promieniowanie cieplne. Możliwe, że anomalię wywołała różnica temperatur.

– Daj znać, gdy będzie coś wiadomo. Bez odbioru.

– To nie była żadna anomalia atmosferyczna – zaprotestowała Magda nieco spokojniej.

– Sprawdzimy wszystko dokładnie. Jeśli tu rzeczywiście coś było, nie ma możliwości, żebyśmy tego nie wykryli.

– Żadnego „jeśli” ... Tu na pewno coś było.

## **POLARIS**

– Myślicie, że to przypadek? – zapytał Peter.

Higgins oderwał wzrok od ekranu, na którym rozpierał się olbrzymi wrak.

– To znaczy?

– Lori opowiedziała mi tę samą historię. Że ktoś jej się przygląda. Że jej zagraża. Zagrożenie jest tuż obok, a jednocześnie nie ma go nigdzie.

– To trochę fantastyczne, nie uważasz? – zaproponowała Karen.

– Lori jest konkretna do bólu – stwierdził stanowczo Vormann. – Urodzona racjonalistka. Magda też nie wygląda na fantastkę. Przeszły wszystkie testy psychologiczne, pokonały dziesiątki konkurentek, między innymi dlatego, że umieją odróżnić fikcję od rzeczywistości.

Karen zamyśliła się głęboko.

– Z drugiej strony... Lori nie ruszała się z kabiny... – mruknęła. – Magda nie słyszała jej opowieści. Telepatia?

Higgins był sceptyczny.

– Nie wierzę w telepatię.

– A może Clarke ma rację, mówiąc, że każda wystarczająco zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii? – ciągnęła myśl. – Tu jest inaczej niż na Ziemi. Obie widziały to samo, niezależnie od siebie. A przecież Lori znajduje się tysiąc kilometrów od planety, na litość boską. Jak inaczej to wytłumaczysz?

Nieoczekiwanie poparł ją Peter.

– Kiedy Lori zaczęła mówić, że zwiadowcom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, wszyscy potraktowaliśmy to... trochę niepoważnie. Chyba pora zmienić nastawienie.

Higgins znów spojrział w górę, ku głośnikom, jakby komputer był właśnie tam. Śmieszny nawyk, którego nie mógł się pozbyć.

– Gilbert?

– Podzielam tę opinię. Nie będę wypowiadał się na temat trzeciego prawa Clarke'a, ale faktem jest, że występują w historii dobrze udokumentowane przypadki prekognicji, których nie da się racjonalnie wytłumaczyć. Porucznik Vormann cierpi na zaburzenia metabolizmu i gospodarki hormonalnej. Dopuszczam możliwość, że spowodowały one wyostrenie wrażliwości sensorycznej i reaktywności emocjonalnej, co skutkowało wizjami, które, powiedzmy, mogą być przepowiedniami przyszłości.

– Powiedzmy – skrzywił się Higgins.

– Przypadek porucznik Wagury jest oczywiście inny – rozwijał myśl Gilbert. – Ona doświadczyła obecności, nieznanego nam na razie, organizmu lub zjawiska, była jego bezpośrednim świadkiem. Jego występowanie potwierdziły rejestratory dźwięku i detektory ruchu cząstek powietrza.

– Jeśli Magda słyszała go, musiał być blisko – myślał na głos Higgins. Przyszło mu do głowy, że odczyt sensorów może oznaczać obecność obcego obiektu, na przykład zwiadowczego, wykonującego misję obserwacyjną. Nie podzielił się jednak tym przypuszczeniem z innymi. To było tylko domniemanie. – Jakim cudem nie wykrył go radar ani kamery?

– W tej chwili nie umiem odpowiedzieć na to pytanie – odparł Gilbert z rozbrajającą szczerością. – Zapewne istnieje technologia skonstruowania obiektu o własnościach fizycznych, pozwalających pozostać niewidzialnym dla naszych sensorów.

– Nie wiem, jak to możliwe.

– Ja również nie. Coś jednak wykryliśmy. Obiekt najwyraźniej nie jest do końca bezdźwięczny i swoim przemieszczaniem się wywołuje zmiany ciśnienia. Opracuję algorytm, który pozwoli sterować uzbrojeniem na podstawie tych danych.

– Nie mamy pojęcia o jego intencjach. – Vormann uniósł dłonie. – Chcesz strzelać do czegoś, co być może nie ma żadnych agresywnych zamiarów.

– To „być może” może nas kosztować porażkę. – Komputer nie dał się zbić z tropu. – Przypominam, że Zwiadowcy odkryli wrak obcego statku kosmicznego. Już tylko na podstawie zdjęć można wnioskować, że statek nie uległ katastrofie, tylko został zaatakowany, najprawdopodobniej w powietrzu, i zestrzelony. Co może świadczyć o tym, że Alfa była areną starcia dwóch wrogich sobie sił. Gdy zbadamy szczątki, ocenimy, jak dawno temu starcie miało miejsce. Jednak przecież nie można wykluczyć, że na planecie ktoś pozostał, choćby w celach zwiadowczych. I ten ktoś może nas uznać za intruzów. Dlatego myślę o zmianie algorytmu efektorów. Musimy się zabezpieczyć.

– Zgadza się – zakończył dyskusję dowódca. Ciekawiło go, czy tylko on zauważył, jak radykalnie zmienił zdanie komputer. Gilbert jeszcze wczoraj bagatelizował niebezpieczeństwo, sugerował, że hipoteza o starciu sił kosmicznych jest tylko jedną z wielu. Dziś był w znacznie bardziej wojowniczym nastroju, wręcz sugerował, że zagrożenie jest realne i bliskie.

Zaskoczyło go, że Peter Vormann nie protestował przeciw zaleceniom mechanicznego stratega. Higgins jednak nie podejrzewał, że Niemiec zgodził się z nimi, zapewne raczej postanowił oczekiwać na rozwój sytuacji. Co nie było złe.

Zerknął na Karen. Znał ją. Z pewnością wyciągnęła własne wnioski. Może podzieli się nimi wieczorem, w kabinie.

– Działaj, Gilbert – zarządził.

## ALFA

Weszli ostrożnie, świadomi, że drony zostały na zewnątrz. Zapalili latarki przymocowane do luf. Wagura postawił na podłodze małego gaśnicowego robota. Magda omiatała wnętrzem światła. Blask wydobywał z mroku tylko niewielki fragment statku.

– Polaris, tu Zwiadowcy – zakomunikował kapitan, mimowolnie ścisząc głos. – Jesteśmy wewnątrz wraku. Macie obraz?

– Widzimy i słyszymy wszystko wyraźnie – odparł Higgins.

– Idziemy w stronę dziobu. Uruchamiam robota – powiedział Wagura, dotykając widocznego na ekranie włącznika.

Ożył elektryczny silniczek. Niewielka maszyna żwawo ruszyła do przodu na miękkich, gumowych gaśnicach. Jej czujniki i kamery skanowały każdy fragment ciemnego tunelu.

– Dobra mały, pokaż, co ty tam widzisz – mruknął Wagura. – Ładnie. Brak promieniowania elektromagnetycznego. Materiał ma temperaturę otoczenia. Jeśli tu było jakieś źródło energii, od dawna jest martwe.

– Musiało być – odezwał się dowódca. – To statek kosmiczny.

– Systemy napędowe i zasilanie pewnie są bliżej rufy. Potem tam zajrzemy.

Jak na komendę ruszyli śladem robota. Magda spojrzała w górę.

– Kadłub ma ze siedem metrów średnicy...

Wagura wyjął laserowy dalmierz.

– Siedem i pół.

W jej oczach błysnął podziw. Doskonale go rozumiał. Jako pilot znał się nieco na konstrukcjach statków latających. Kadłub musi odznaczać się niezwykłą sztywnością oraz odpornością na przeciążenia. A ściany wraku były gładkie – żadnych wręg, wsporników, wzmocnień. Po prostu okrągła rura, pusta w środku.

Jak mocny musiał być, tworzący poszycie kompozyt, żeby wytrzymać choćby start i lądowanie?

– Prześlemy na Ziemię wyniki badań, Pentagon stworzy nowy czołg, może chociaż tyle będzie z tej naszej wycieczki – zażartował.

Nie doczekał się reakcji.

Zerknął w bok, ale Magda wyglądała po prostu na skoncentrowaną. Szła ostrożnie, uważnie przyglądała się otoczeniu, zwracała uwagę, gdzie stawia stopy. Nie dostrzegł w jej zachowaniu niczego niepokojącego. Obejrzał się. Plama światła, wpadającego przez wyrwany otwór, była coraz bledsza. Ponownie zerknął na odczyty.

– Dziwne – mruknął. – Brak śladów organizmów, wykazujących metabolizm.

– Żadnych śladów załogi? – chciał wiedzieć Higgins.

– Nic. Pusto.

– Może to bezzałogowiec.

Magda przyjrzała się sceptycznie kadłubowi.

– Sam w to nie wierzysz.

– Nie bardzo – przyznał. Dziwne, ale czułby się lepiej, gdyby odkryli górę trupów.

– Nie ma aparatury, broni, zapasów, pomieszczeń załogi. Pusta skorupa i tyle. Ktoś wybebeszył go do spodu i zniknął.

– Pod sufitem idą jakieś instalacje...

Zamilkł, bo z głębi statku, z ciemności, dobiegło powolne, złowieszcze stukanie, zwielokrotnione pogłosem. Stanęli jak na komendę. Lufa karabinu Magdy wyraźnie drżała.

– Słyszysz? – zapytała.

Wagura zerknął na przyczepiony do przedramienia ekranik.

– Detektor też rejestruje ruch.

W słuchawce zatrzeszczał lekko zniekształcony przez zakłócenia głos Gilberta.

– Najprawdopodobniej słyszycie naprężenia materiału. Burty statku mają ogromną powierzchnię, a tu cały czas wieje silny wiatr...

Magda nie dała mu skończyć.

– Coś się stało z robotem... – zawołała, nagle uświadamiając sobie, że od kilku chwil nie słyszy wizgu silnika i szumu gaśnic elektrycznego zwiadowcy.

Ogłuszający ryk niemal ją sparaliżował.

Z przodu coś się zakotłowało, ryk powtórzył się, głośniejszy, bliższy i jeszcze bardziej przeszywający. Coś wychynęło z ciemności. Magdzie, w pierwszej chwili, w ułamku sekundy, podczas którego w ludzkim mózgu potrafi się wydarzyć tak wiele, widok skojarzył się z planem filmowym. Atakował ją smok. Nie ział, co prawda, ogniem – może jeszcze nie – ale oprócz tego był ludzako podobny do potworów zrodzonych w wyobraźni speców od CGI. Cztery pary odnóży, z których pierwsza zakończona była potężnymi, zakrzywionymi pazurami, zdolnymi rozerwać słonia. Brak wyraźnie wyodrębnionej części głowowej. Półtorametrowy harpun umieszczony na grzbiecie na czymś w rodzaju przegubowego wysięgnika. Łuskowy pancerz, o takiej samej strukturze, jak u latającego stworzenia, zabitego nad rzeką. Brak oczu. Poszostne, szeroko rozchylone nozdrza. Lśniący kilkoma rzędami ostrych jak lancety kłów, otwarty szeroko pysk, z którego wydobywał się ogłuszający ryk...

Monstrum sadziło wielkimi, kilkumetrowymi susami. Było wyjątkowo zręczne; zbliżało się błyskawicznie. Magda krzyczała – co później zobaczyła na nagraniu, jej pamięć tego nie zanotowała. Zaraz potem poczuła zatykający odór, jakby siarkowodoru skrzyżowanego z wonią świeżo rozkopanego grobu.

Potwór skoczył.

W końcu oprzytomniała na tyle, by pozwolić działać wyszkoleniu i pamięci mięśniowej. Wbiła kolbę w ramię, pochyliła się nad przyrządami celowniczymi – minikomputer sam skalibrował światło kolimatora, dostosowując je do panujących ciemności – po czym nacisnęła spust.

Wagura zrobił to sekundę wcześniej. Serie przeszły mrok. Pierwsze trzy pociski wbiły się w pysk stwora, znikając w przepastnej gardzieli. Kolejne trafiły wyżej, w czoło – o ile to było czoło – gdzie nie sięgał łuskowaty pancerz. Długa seria Magdy weszła z kolei w tułów – nie cała, część pocisków dołowała – i w górną część odnóży.

Lecące z prędkością blisko tysiąca metrów na sekundę, wybuchające pociski miały wystarczającą energię, by nieomal zatrzymać ogromne cielsko w locie. Stwór ryknął donośnie i zwałił się na ziemię, brocząc z licznych ran ciemnym,

cuchnącym płynem. Zakończone zakrzywionym szponem odnóże niemal dotknęło buta Magdy. Odskoczyła odruchowo i wystrzelała magazynek do końca, celując tuż powyżej paszczy. Wagura podszedł bliżej i nie zważając na, kołyszący się w niebezpiecznej bliskości, ostro zakończony harpun, niemal z przyłożenia wystrzelił sześć pocisków.

Bestia znieruchomiała. Pogłos wystrzałów dudnił jeszcze przez chwilę w ciemnym, klaustrofobicznym wnętrzu.

– Matko boska! – jęknęła Magda.

– W porządku? – Wagura, nadal celując w nieruchomy tułów, zerknął w bok. Oceniał, że jego żona nie odniosła szwanku.

– Dawno się tak nie spociłam.... – Cóż za słodki eufemizm. Podczas żadnej z misji nie doznała tak dojmującego strachu.

– Zwiadowcy? – zabrzmiał ze słuchawki przepęlniony niepokojem głos dowódcy.

– Jesteśmy cali – odrzekł Wagura.

– Co to było?

– Jakiś zwierzak myślał, że znajdzie tu coś do jedzenia. Całkiem szybko biegał, skubany...

– Niech robot go obejrzy...

– Robot właśnie poległ na polu chwały. Nie martw się, John. To coś jest martwe jak jasna cholera. Rzućcie okiem.

– Poświeć.

Punktowe światło wydobywało z mroku kolejne fragmenty anatomii stwora. Magda nie myliła się: to był smok z baśni. Miał co najmniej pięć metrów długości. Tu, na Alfie, musiał ważyć tonę.

Wagura gwizdnał.

– Przyjemniaczek.

– Powinniśmy przeprowadzić sekcję – mruknęła Magda. – Zobaczyć jak wygląda jego metabolizm, mózg, jak się rozmnaża...

– Zbudujemy bazę, to go zabierzemy – zdecydował kapitan, może dlatego, że smród posoki stawał się nie do wytrzymania. – Chodź już. Chcę zobaczyć, co jest na dziobie. Naprawdę zaraz musimy wracać.



## POLARIS

Lori przebywała w części szpitalnej. Karen pracowała w kabinie.

W pomieszczeniu operacyjnym panowała atmosfera skupienia. Higgins i Vormann w milczeniu oglądali film, nagrany przez najełmowe kamery i słuchali komentarza Wagury. Próbowali przetrwać to, co widzieli i słyszeli.

– Tak to wygląda, szefie – zakończył relację kapitan. – Pusta w środku, bardzo solidnie zrobiona rura z dyszami napędowymi. Niczego nie ma – ani załogi, ani aparatury, ani wspomnienia po tym wszystkim.

– Jakież ślady walki? – zapytał Higgins.

– Poza tą dziurą w kadłubie? Nie.

– Rzeczywiście, wygląda na całkowitą ewakuację – zgodził się Vormann. Był zamyślony.

– Szefowa sztabu uważa podobnie. Statek został zestrzelony, po czym wszystko zabrano, łącznie z ewentualnymi zwłokami.

– Myślicie, że statek miał charakter bojowy?

– Trudno powiedzieć. Tu nic nie ma, mówię wam. Na podłodze, o ile to podłoga, bo statek może być odwrócony do góry nogami, znaleźliśmy ślady mocowań. Takich platform, powiedzmy, z zatrząskami. Mogły być do nich przymocowane kontenery, jakieś zasobniki czy coś. Przy suficie, w kompozytowych peszlach, biegną wiązki kabli z włókna szklanego, trochę podobne do naszych światłowodów. Wziąłem kawałek. Może już nie opłacało się ich wrywać. Poza tym nic. Żadnej sterowni, maszyn, komputerów, obwodów elektrycznych. Może zostały jakieś instalacje w kadłubie, ale trzeba by cały przespinać.

– Zajmiemy się tym potem – zdecydował Higgins. – Najpierw baza. Zaraz ląduje prom transportowy.

– Za pięć minut jesteśmy na miejscu.

– Od razu zabierzcie się do rozładunku i zaczniacie budowę. Chcemy się jak najszybciej do was przenieść.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

Nie zdążył się odwrócić, gdy w słuchawce zabrzmiał głos Karen.

– John, masz chwilę? Możesz przyjść do naszej kabiny?

– Już idę. Peter, zostań i pilnuj interesu.

– Jasne.

Dowódca szybkim krokiem opuścił pomieszczenie operacyjne. Kabina powitała go lekkim zapachem kwiatowego dezodorantu i zamyśloną miną Karen. Najwyraźniej chciała mu coś zakomunikować i nie było to nic przyjemnego. Zaklął w duchu. On również miał jej sporo do powiedzenia.

Pragnął, by wydarzenia zwolniły. Nie miał czasu myśleć.

– Tak?

– Przyszła odpowiedź od informatyków, odpowiedzialnych za oprogramowanie Gilberta.

Odetchnął w duchu. Miał wrażenie, że rozmowa będzie dotyczyła ich prywatnych spraw, a na to nie czuł się gotowy; w pewnym sensie odczuł więc ulgę, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że nie usłyszy niczego pocieszającego. Wskazał oczyma sufit.

– Wyłączony – powiedziała Karen szybko. – Tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się?

Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

– Musisz tego posłuchać, John.

Dotknęła palcem ekranu. Z głośniczka zabrzmiał nieco chropowaty głos szefa programistów Aero Space.

– Informacja dla Karen i Johna Higginsów. Zgodnie z waszą prośbą dokonaliśmy ewaluacji zasobów Gilberta. W jednej z sekcji znaleźliśmy folder o nazwie Fonix, do którego nie ma dostępu żaden z naszych administratorów. Nie możemy go również usunąć. Nie znamy jego funkcji. Pracujemy nad dostępem. Jest niestety jeszcze coś. Głównym wymaganiem użytkownika, czyli zarządu Aero Space, było spięcie Gilberta z systemami obserwacji i uzbrojenia misji Polaris, czyli Cyklopem. To Gilbert jest odpowiedzialny za szybkość obiegu informacji w pętli decyzyjnej. Oczywiście, w system wbudowana jest możliwość odłączenia Gilberta i przejście na sterowanie ręczne. Decyzja miała należeć do dowódcy. Mówię „miała”, bo tak już nie jest. W oprogramowaniu została dokonana modyfikacja. Teraz, jeśli chcielibyście wyłączyć Gilberta, pozbawicie się kontroli nad wszystkimi sensorami i całą bronią, z wyjątkiem ręcznej. Będziecie ślepi, głusi i bezbronni. Nie można go wyłączyć, nie dezaktywując reszty. Nie można go

również przeprogramować. Obie te rzeczy dowodzą wrogiej ingerencji w kluczowy element misji, co wygląda bardzo groźne. Powołałem specjalny zespół kryzysowy i pracujemy nad rozwiązaniem, na razie jednak nie możemy wam zaproponować żadnego konkretnego rozwiązania. Oczywiście powiadomiłem dyrektora Shermana, który zgłosił sprawę do FBI. Raportujcie na bieżąco z pominięciem Gilberta. Koniec komunikatu.

Zapadła cisza. Polaris sunął bezgłośnie przez próżnię. Czas zdawał się stać w miejscu.

Higgins spojrzał na Karen.

– Jak to możliwe? – zapytała z wściekłością. Niebieskie oczy wionęły lodem. – Jakim cudem ktoś włamał się do tak zabezpieczonego programu?

Nie odpowiedział. Oprogramowanie Gilberta otoczone było ścisłą tajemnicą. Myśl o sabotażu nasuwała się sama. A oni mieli swoje cele do zrealizowania – bez względu na wszystko.

Tak czy inaczej, musieli być bardzo ostrożni.

– Z ewaluacją informacji poradzimy sobie sami za pomocą podręcznych komputerów – powiedział powoli Higgins. Zakładał, że są podsłuchiwani. Nie mówił niczego, czego Gilbert nie mógł się domyślić. – Gepardy mają własny system zarządzania obserwacją i walką...

Karen uspokoiła się. Błyskawicznie podchwyciła grę.

– Wszystko za mało... – odparła. – Gepardy nie wystarczą do kompleksowej obrony bazy, zresztą musiałyby być na stałe przykute do osłony, nie mielibyśmy jak prowadzić misji zwiadowczych. A Cyklop jest spięty z Gilbertem i oparty na jego algorytmach. Szlag by to trafił!

Zaczął chodzić po kabinie. Przez chwilę wodziła za nim wzrokiem.

– Usiądź – zażądała. – Strasznie nerwowe to chodzenie.

– Przepraszam – bąknął i usiadł na koi.

Spojrzał jej głęboko w oczy. Musiała go zrozumieć.

– Działajmy według harmonogramu, skoro inaczej się nie da – zaproponował, mając świadomość, że jego głos brzmi strasznie sztucznie.

– Wpakujemy się w kłopoty – odparła w tym samym stylu.

– Ale może dowiemy się, czego chce ten, kto go przeprogramował.

– To ci mogę powiedzieć teraz. Nie chce, żebyśmy zrealizowali cel misji.

Ten prawdziwy, dodała w myśli. Zrozumiał.

– Może.

– Nie jesteś przekonany?

– Co do celu, tak. Co do sposobu, nie bardzo.

– Bo?

– Jeśli ktoś chce naszej porażki, wystarczyło, żeby Gilbert zainicjował na Polarisie reakcję łańcuchową reaktora. Wielkie BUM i nas nie ma. Wygląda jak zwykła katastrofa, nie ma śladu sabotażu. W jednej chwili dziesięć lat przygotowań szlag trafia.

– Czyli co? Czekamy, aż coś się wydarzy?

– Chyba tylko to nam zostaje – zgodził się, pozwalając sobie na oszczędny uśmiech. – Chodź do sterowni, długo nas nie ma, Gilbert robi się podejrzliwy.

W rzeczywistości zakomunikował, że nie ograniczą się do biernego czekania.

## ALFA

Okolica wyglądała jak zwykły, ziemski plac budowy.

Wpierw maszyna, łącząca funkcje koparki, betoniarki i kafara, przygotowała solidne fundamenty z szybkoschnącego betonu. Następnie na plac boju wkroczył gąsienicowy dźwig, układający, wedle ściśle wyrysowanego schematu, szare kostki modułowych kontenerów mieszkalnych, wyładowanych uprzednio ze stojącego nieopodal promu transportowego, mogącego zabrać na pokład blisko sto dwadzieścia ton maszyn, materiałów i zapasów. Inny automat spajał kontenery stalowymi klamrami, a następnie łączył setki biegnących w peszlach przewodów sieci elektrycznych, informatycznych, radarowych i innych. Kolejna maszyna kończyła zakopywać wielkie zbiorniki wody i paliwa; w następnej kolejności miała zabrać się do ustawiania paneli słonecznych i dwóch wydajnych elektrowni wiatrowych.

Wagura śledził postępy prac na monitorach Geparda, tymczasowo przekształconego w siedzibę kierownictwa budowy. Tylko z rzadka coś korygował.

Maszyny płynnie pokonywały kolejne etapy projektu; na Ziemi wielokrotnie ćwiczyły budowę bazy, często w sztucznie pogorszonych warunkach.

Na pulpicie zapaliła się zielona dioda, zwiastująca wykonanie kolejnego punktu harmonogramu.

– Polaris, zgłoś się, tu Alfa – powiedział do mikrofonu.

Gilbert czuwał jak zawsze.

– Tu Polaris, słucham cię, Alfa.

– Fragment kadłuba obcego statku załadowany do ładowni promu. Można startować.

– Przyjąłem, Alfa. Rozpaczynam procedurę.

– Magda, przyjdź do wozu – polecił kapitan. – Prom startuje.

Górna kłapa pojazdu uniosła się. Magda weszła do środka i z ulgą opadła na fotel. Zerknęła na ekran.

Dysze silników startowych buchnęły dymem. Niezgrabna, garbata maszyna zadziwiająco lekko – zważywszy jej masę oraz zwiększoną grawitację planety – oderwała się od powierzchni. W akompaniamencie gromowego huk zagrały silniki główne. Prom przyspieszył i po kilkunastu sekundach zniknął w chmurach.

– Procedura startowa zakończona – zaanonsował Gilbert. – Prom na kursie.

– Dzięki, Gilbert.

Przez chwilę wpatrywali się w ekrany, wsłuchani w hałas wytwarzany przez maszyny budowlane.

– Jak ci się podoba nasz nowy dom? – zapytał.

– Bardziej niż makieta na Ziemi.

Przyznał jej rację.

## ZIEMIA

Janet Lee wyjęła z kieszeni zabezpieczony telefon bez logo producenta i numeru fabrycznego. Z pamięci wybrała numer. Po trzech sygnałach usłyszała znajomy głos. Był w pewien sposób zniekształcony przez system szyfrujący, ale rozpoznała go.

– Tak?

– Linia bezpieczna? – zapytała. Nie chodziło oczywiście o linię. Chciała wiedzieć, czy rozmówca może rozmawiać swobodnie.

– Tak, Janet, linia jest bezpieczna.

A więc wszystko w porządku.

– Odkryto zmianę.

– Wiem. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

– Jak możesz być tego pewien?

– Nadzorowałem prace konstrukcyjne Gilberta.

– Nie wiedziałam.

Głos odrobinę poweselał.

– Dla nas nie ma rzeczy niemożliwych.

Zgadzała się z tym.

– Mimo wszystko... ślad może prowadzić do mnie.

– Żaden ślad nie prowadzi do ciebie.

– Co mam dalej robić?

– Twoje zdanie pozostaje takie samo.

– Myślałam, że po tylu latach macie do mnie zaufanie.

– Gdybyśmy nie mieli, tej rozmowy by nie było, Janet.

– Nie groź mi, dobrze? – Jednak nieco się zdenerwowała. – Sprawą interesuje się FBI i senacka komisja do spraw wywiadu. Muszę być ostrożna.

– FBI kręci się wokół własnego ogona – odparł rozmówca z przekonaniem. – A senatorem Kellogiem się nie przejmuj. Jego zainteresowanie jest... tymczasowe. Rób swoje. Wszystko przebiega zgodnie z planem.

## POLARIS

Higginsowie siedzieli w kabinie operacyjnej i jedli spóźniony lunch.

– Komandorze, mam wyniki badań fragmentu kadłuba obcego statku – odezwał się Gilbert.

Higgins przełknął kęs gliniastej kanapki. Dlaczego głośno nie mówi się, jak głównianym żarciem muszą odżywiać się astronauty?

– Mów – bąknął.

– Po pierwsze budowa. Moja wstępna ocena była trafna. Pancierz kompozytowy, wielowarstwowy, liczne związki żelaza i węgla, bardzo przypominające stopy o dwufazowej strukturze nanokrystaliczno-amorficznej. Wykryto liczne cząstki molibdenu, manganu i chromu, co ma zapewne zwiększyć hartowność materiału. Pancierz jest ogromnie odporny na promieniowanie cieplne oraz zmiany ciśnienia. Oceniam, że fragment został rozerwany eksplozją, której temperatura przekraczała sześćdziesiąt tysięcy stopni Celsjusza.

– Wagura mówił o pięćdziesięciu tysiącach – przypomniała Karen, odstawiając plastikowy pojemnik z czymś, co udawało kefir.

– Zrobiłem dokładniejsze pomiary – odparł spokojnie Gilbert. Higginsowi przemknęła przez głowę absurdalna myśl, że przyczyną dobrego samopoczucia komputera jest fakt, że nie musi jeść tego, co oni. – Kadłub statku kosmicznego znaleziony później jest wykonany z tego samego materiału.

– Czy ten materiał może mieć ziemskie pochodzenie?

– Nie rozumiem pytania.

– Czy mógł być stworzony na Ziemi?

– Nadal nie rozumiem. Jesteśmy pierwszymi przybyszami z Ziemi na Alfie. A kompozyt został wyprodukowany wedle technologii, która na Ziemi jest nieznana.

– Jesteś tego pewien?

– O co chodzi, John? – Karen spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Po prostu chcę się upewnić, na czym stoję.

– Komandorze, mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że mamy do czynienia ze statkiem, który został skonstruowany i wyprodukowany poza Ziemią.

– I który został zniszczony przez trzecią stronę.

– Tak.

– A więc jednak Alfa musiała być polem bitwy.

– Tak.

– Kiedy?

– Możemy przyjąć, że nie dalej niż dwadzieścia lat temu.

– Czy znalazłeś ślady załogi? Albo ślady innych starców?

– Zaprogramowałem nowe parametry poszukiwawcze wszystkim sondom i satelitom. Przyjąłem, że załogę mogły tworzyć zarówno istoty żywe, jak i maszyny. Czekam na wyniki.

– Powiadom mnie, gdy będzie coś nowego. A teraz się wyłącz.

– Oczywiście, komandorze.

Higgins odstawił talerz. Nie miał apetytu. Odkąd się obudzili, stracił na wadze sześć kilogramów. Przyszło mu do głowy, że niechęć do jedzenia może być przyczyną ciągłego rozdrażnienia.

– Cwaniaczek – mruknął.

– On nie jest głupi, zorientuje się, jak będziesz go tak dociskał.

– Nie o to chodzi. Przejrzałem wyniki badań pancierza. Zabezpieczył je hasłem, ale udało mi się wejść.

– Właśnie nam je zreferował.

– Tylko że pominął jeden drobny fakt. Mianowicie taki, że główna warstwa kompozytu tego statku składa się czystego, wysokoprocentowego tytanu.

– Kurwa mać. Więc oni też...

– Nie ująłbym tego lepiej, Karen – przytaknął, patrząc na nią z namysłem. – Oni też.

## ZIEMIA

Susan Montero szła niespiesznie, wystawiając twarz do anemicznego słońca i ciesząc się urodą pogodnego, zimowego dnia. Constitution Avenue, jedna z głównych arterii Waszyngtonu, była jak zwykle zabiegana, nerwowa, wręcz chora. Susan nie przyznawała się do tego nikomu, ale to właśnie ją pociągało. Uwielbiała ten fragment stolicy.

Minęła matkę z rozkrzyczanymi dziećmi. Będąc jeszcze młodą, zaledwie aspirującą dziennikarką postanowiła przejść przez życie jako bezdzietny singiel i pozostała w tej decyzji konsekwentna. Lubiła swoją pracę i niemal wszystko, co się z nią wiązało, lubiła chwile wytchnienia, generalnie – nie narzekała na swój los, wyjąwszy te krótkie momenty (na ogół związane z jesienną, depresyjną pogodą),



kiedy myślała o starości, którą wyobrażała sobie jako samotną i smutną wegetację, nieuchronnie obumierającą każdego dnia.

Na co dzień starała się o tym nie myśleć.

Nagle, tknięta przeczuciem, obejrzała się. Między ludźmi mignęła ciemna sylwetka wysokiego mężczyzny. Dlaczego miała pewność, że jest kimś więcej niż zwykłym pracownikiem jednego z niezliczonych senackich biur, ulokowanych w trzech wielkich, sąsiadujących ze sobą budynkach, jakich tuziny kręciły się w tym popularnym miejscu? Facet był barczysty, miał na sobie dobrze uszyty garnitur, ciemne okulary i chodził sprężystym krokiem. Okej, było stosunkowo ciepło, wielu ludzi nie używało płaszczy, zwłaszcza gdy wyskakiwali z biura tylko na lunch. Jednak, gdy rzuciła na niego okiem ponownie, nabrała pewności, że ma do czynienia z policjantem albo agentem służb specjalnych. Czy ją śledził? Może. A może nie.

Odwróciła się jeszcze raz, z gotowym do użycia aparatem w ręku. Mężczyzna zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.

– Głupiejesz na starość, Montero – mruknęła do siebie. Telefonu już nie chowała. Wybrała znany na pamięć numer. Po kilku sygnałach, ku jej zdziwieniu, połączenie zostało odebrane.

– No proszę. Susan Montero we własnej osobie – powitał ją Matt Kellog.

– Zaskoczony? – odparła, kryjąc ulgę. Nareszcie. Może uda jej się zrobić kolejny krok do przodu. – W ciągu ostatnich dni dzwoniłam ze dwadzieścia razy. Już zaczynałam podejrzewać, że mnie unikasz, Matt.

Odpowiedział jej śmiech, za którym wyczuła napięcie. Życie przewodniczącego senackiej komisji do spraw wywiadu składa się prawie wyłącznie ze stresu i podejmowania ryzykownych decyzji. Kiepskie odżywianie i siedzący tryb pracy są stosunkowo najzdrowszymi aspektami tej ważnej państwowej funkcji.

– Unikanie cię nie ma żadnego sensu – stwierdził senator. – Nawet gdybym zapadł się pod ziemię i tak byś mnie znalazła.

Dziennikarka uśmiechnęła się mimo woli.

– Cieszę się, że tak sądzisz. To bardzo ułatwia mi pracę.

– Po prostu byłem bardzo zajęty. Co mogę dla ciebie zrobić, Susan? – zapytał uprzejmie. – Zaraz mam posiedzenie komisji wywiadu. Mogę ci poświęcić najwyżej kilka minut.

– Posiedzenie masz za pół godziny. A ja stoję po przeciwnej stronie ulicy.

Śmiech tym razem był bardziej spontaniczny.

– No, no, jestem pod wrażeniem. Niech ci będzie. Zapraszam.

– Nie, to ja zapraszam. Odrobina powietrza ci nie zaszkodzi. Po drugiej stronie Constitution Avenue jest bardzo przyjemny park i bardzo wygodne ławeczki.

– Może być – zgodził się Kellog. – Tylko, od razu ostrzegam, że nie będę rozmawiać na tematy zawodowe.

– Jasne. Pogadamy o pogodzie.

Senator parsknął.

– Zaraz przyjdę.

Nie zdążyła wrzucić aparatu do kieszeni, gdy rozbrzmiał dzwonek. Numer nieznany. Nic niezwykłego. Kontaktujący się z nią ludzie niejednokrotnie woleli pozostać anonimowi, co nie znaczy, że nie mieli nic ciekawego do powiedzenia; odwrotnie, często stanowili cenne źródło informacji. Totolotek. Przyzwyczaiała się. Odebrała po drugim sygnale.

– Susan Montero.

– Nie rób tego – zazgrzytał w słuchawce zniekształcony elektronicznie głos. Nie miała pewności czy rozmawia z mężczyzną, czy z kobietą.

– Kto mówi? O co chodzi?

– Nie rozmawiaj z senatorem Kellogiem.

Wysłuchała się uważnie. Słowa odmierzane były miarowo, bez intonacji, jakby mechanicznie.

– Skąd wiesz, że chcę z nim rozmawiać?

– To błąd, który może cię dużo kosztować.

Otrzymała wiele takich telefonów. Poczowała przyływ złości.

– Słuchaj, człowieku, daruj sobie groźby. Nie mam najmniejszego zamiaru...

– Szukasz powiązań, ale patrzysz nie w tę stronę. – Głos nie tracił spokoju. – Słyszysz, że dzwoni, ale nie masz pojęcia gdzie.

Susan odetchnęła głęboko. Mimo wszystko denerwowały ją takie rozmowy. Już raz do niej strzelano, innym razem próbowano przejechać. Za pogrózkami zawsze mogła stać realna siła.

– Czego chcesz? – zapytała spokojnie.

– Dobrze ci życzę. Nie rozmawiaj z senatorem Kellogiem. On jest kartą bitą.

Trzask przerwane połączenia oznajmił koniec rozmowy. Przyjrzała się aparatowi, jakby mógł jej pomóc odgadnąć tożsamość rozmówcy, a przynajmniej jego intencje. A potem wrzuciła go do torebki.

– Kurwa mać – warknęła.

Zbyt późno usłyszała kroki na żwirze.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Susan.

Odwróciła się. Matt Kellog był mniej więcej jej wieku. Wkładał wiele wysiłku w utrzymanie sprawności fizycznej. Susan słyszała, że zdradzał swoją żonę rzadziej niż inni i znacznie mniej pił. A umów nie dotrzymywał tylko wtedy, kiedy naprawdę musiał. Nie lubiano go specjalnie w partii – zbyt często mówił ludziom, co o nich myśli. Był jednak świetnym organizatorem i charakteryzował się lojalnością wobec kierownictwa. Senacką komisją do spraw wywiadu kierował pewną ręką.

– Przepraszam – powiedziała. – To nie do ciebie. Wkurzył mnie głupi telefon.

– Cichy wielbiciel? – Kellog uśmiechnął się krzywo. Piętnaście lat temu mieli romans. Oboje miło go wspominali. Od tej pory senator udawanie zazdrości uważał za gest kurtuazji.

– Raczej kolejny wrzód na tyłku – odparła niedbale. – Nieważne. Siądziemy?

– Siedzę całymi dniami. Chętnie rozprostuję nogi.

– Jak chcesz.

Ruszyli zwirowaną ścieżką. Susan odnotowała, że mimo pozorów luzu, Kellog jest spięty. Co jakiś czas rozglądał się uważnie. Wyraźnie nie tylko ona wpadała w paranoję.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Susan? – zapytał. – Naprawdę mam tylko kilka minut. Muszę jeszcze przejrzeć notatki przed spotkaniem.

Nie bawiła się w dyplomację.

– Dlaczego komisja senacka do spraw wywiadu interesuje się misją Polaris?

Jak na zawodowego polityka, Kellog zadziwiająco nieudolnie udał zaskoczenie.

– Zdumiewasz mnie, Susan – rzucił bez przekonania. – Skąd to przypuszczenie?

Poczuła krew.

– Matt, znamy się nie od dziś. Darujmy sobie pieprzenie i grę wstępą. Sprawa Polaris'a śmierdzi na kilometr. Ludzie mają prawo znać źródło smrodu.

– Źle szukasz, Susan. U nas go nie znajdziesz.

Zerknęła na niego z ukosa. Miał twarz ściągniętą zmęczeniem. Lubili się, ale grali o różne cele. Czasami myślała, że są wręcz po przeciwnych stronach barykady.

– Niczego takiego nie powiedziałam. Chcę wiedzieć, dlaczego się tym interesujecie. Bo zakładam, że nie dzwonisz do Shermana tylko po to, żeby omówić wyniki ostatniego meczu Red Socksów.

– Skąd wiesz o telefonie do Shermana?

– Litości, Matt... – mruknęła, a potem ciągnęła normalnym tonem. Wyjęła z paczki papierosa i zapaliła go. Była jedną z nielicznych osób, które odważyły się to robić publicznie. Miała imponującą kolekcję mandatów. – Myślę tak: wiele rzeczy przepychano kolanem, żeby jak najszybciej wysłać misję w kosmos. Nie chodzi o kwestie biznesowe. Nie zbadano dokładnie planety ani jej otoczenia. Nie wysłano więcej bezzałogowych sond. Tak, jakby komuś bardzo się spieszyło. Mam rację?

Kellog zrobił się jeszcze ostrożniejszy.

– Mów dalej, Susan.

– Zakładam, że misja Polaris'a tylko oficjalnie ma status misji badawczej. Załoga złożona jest wyłącznie z żołnierzy. Jakie oni mają zadanie, Matt?

– Susan, weszłaś na bardzo niebezpieczny grunt... – syknął Kellog i obejrzał się nerwowo.

– Słyszę to od każdego z kim rozmawiam. A więc co? Surowce? Broń? Technologia? – przyciskała.

– Dla własnego dobra ostrzeżenia powinnaś potraktować bardzo poważnie.

– Traktuję. I coraz wyraźniej widzę, że rzeczywistość jest inna od pozorów. Znasz mnie. Zawsze jestem ciekawa, co jest środkiem. Więc jaka jest prawda o misji Polaris'a?

– Muszę iść – rzucił, odwróciwszy się na pięcie i ruszył w stronę ulicy.

– Poczekaj – zawołała. Zatrzymał się. Jej dawny urok jeszcze na niego działał. – Ostatnie pytanie. Kto, konkretnie, po nazwisku, zgodził się na to, żeby Real Life

stało się udziałowcem Aero Space?

Kellog zawahał się.

– Stronę amerykańską oficjalnie reprezentuje NASA.

– Nie rozśmieszaj mnie, Matt, dobrze? Za decyzją biznesową tego kalibru musiała stać decyzja polityczna. NASA ma za krótkie rączki.

– Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

– NASA podlega prezydentowi... Biały Dom? Mam szukać w Białym Domu? Ktoś bardzo lubi Janet Lee? Czy ona ma coś na kogoś?

Po jego minie odgadła, że trafiła.

– Do widzenia, Susan – warknął.

A potem sprawy zaczęły się dziać w szalonym tempie.

Kellog niemal dobiegł do krawędzi jezdni, rozejrzał się i wkroczył na pasy. Podobny do gromu ryk potężnego silnika pojawił się znikąd. Jakaś kobieta zaczęła wrzeszczeć. Wielki samochód uderzył w senatora Kelloga z dziką siłą. Cios był tak silny, że ciało wyleciało w powietrze. Susan miała wrażenie, że wszystko dzieje się bardzo wolno, a każda sekunda rozciąga się niemal w nieskończoność. Coraz więcej ludzi zaczynało krzyczeć, widziała wiele otwartych ust, wiele przerażonych twarzy; sama stała jak sparaliżowana. Samochód zniknął tak szybko, jak się pojawił, ciało upadło na asfalt, przetoczyło się kilkakrotnie i znieruchomiło. Dostrzegła krew: czerwona plama powiększała się z każdą chwilą.

Kellog upadł tak, że widziała jego oczy. Patrzyły wprost na nią, bolesnym, jakby pełnym wyrzutu spojrzeniem, na dnie którego zastygły zdumienie i groza. Była pewna, że nigdy nie zapomni tego widoku.

– Jezus Maria, Matt... – jęknęła.

## ROZDZIAŁ 4

### MAJ 2037 / ALFA

Ziemia była zbita i twarda, gęsto przetykana kamieniami. Kopanie okazało się mordęgą, Bogart jednak nie narzekał. Pracował sam, choć mógł użyć robota; potrzebował wysiłku fizycznego. Nie zwracał uwagi na wiatr, siąpiący bez ustanku deszcz ani grzmoty, znacznie silniejszych niż na Ziemi, wylądowań. Nic go to nie obchodziło. Kopał systematycznie, równo, bez przystanków. Chciał bólem mięśni zabić rodzącą się w nim frustrację. Planeta okazała się wielkim rozczarowaniem. Zimna, jałowa i otwarcie wroga. Gdyby to zależało od niego, sierżanta Johna Bogarta, zabraliby się stąd w pięć minut. Nie miał żadnych wątpliwości, że załoga Polarisa nie żyje. Nikt w tym terenie nie przeżyłby, bez sprzętu i broni, dwóch lat, ba, nawet dwóch tygodni. To po prostu niemożliwe. A zatem tracili czas, narażając się przy tym na ryzyko, bo Fantom, czymkolwiek był, mógł zaatakować w każdej chwili, tym razem skuteczniej niż pierwszego dnia.

Szpadel natrafił na coś miękkiego.

Sierżant zrobił się znacznie uważniejszy. Pracował wolniej, spokojniejszymi ruchami, stopniowo odsłaniając podłużny, pokryty gumowanym płótnem kształt. Szary kokon miał mniej więcej długość człowieka. Bogart spojrzał w górę. Finagan stał na skraju płytkiego wykopu. Maską skrywała wyraz jego twarzy. Obaj doskonale zdawali sobie sprawę, co znajduje się wewnątrz kokonu.

Finagan skinął na stojących obok żołnierzy.

– Pomóżcie mu – nakazał, starając się, by jego głos brzmiał rzeczowo. Znał dobrze wszystkich członków załogi Polarisa. Już dawno wkalkulował ryzyko śmierci (także swojej) w zajęcie, będące treścią jego życia.

Co nie znaczy, że zachowywał obojętność na widok martwego towarzysza broni.

Trzech ludzi wskoczyło do wykopu. Ostrożnie podnieśli kokon i położyli go na kamieniach. Bogart wyjął nóż i ostrożnie przeciął gumowane płótno. Potworny, nie dający się opisać fetor pokonał filtr maski i uderzył w nozdrza z siłą młota

kowalskiego. Sierżant odskoczył instynktownie, łyk zainfekowanego powietrza dostał się jednak do płuc. Poczł mdłości. Ledwo zdążył zdjąć maskę i uklęknąć. Torsje targały nim przez dłuższą chwilę.

Finagan i żołnierze stali nieco dalej, nie odczuli więc uderzenia zapachu tak dotkliwie jak sierżant. Przez chwilę stali w bezruchu, czekając, aż wiatr choć trochę rozwieje nieznosny smród.

Bogart otarł usta, wstał, założył ponownie maskę, chwilowo nie przejmując się faktem, że co najmniej przez minutę oddychał atmosferą planety. Wszystko było lepsze niż trupie toksyny. Zerknął do wnętrza kokonu. Zdeformowane, ludzkie ciało odziane było w zetlały, pozbawiony pierwotnej barwy kombinezon – dokładnie taki sam, jakiego używali ludzie Finagana.

Bogart zerknął na dowódcę.

– Co za syf – wykrztusił chrypliwe.

Finagan uklęknął. Nie zwracając uwagi na dobywający się z wnętrza kokonu zapach, uważnie przypatrywał się zwłokom. Plakietka z nazwiskiem okazała się całkowicie nieczytelna. Kombinezon rozpadał się. Jednak, mimo innych procesów gnilnych niż na Ziemi – a może właśnie dzięki nim – zwłoki zachowały się w stosunkowo niezłym (Jezu, co za sformułowanie, skrzywił się w myślach Finagan) stanie.

– Bogart, pobierz materiał do testu DNA – zarządził, prostując się. Rzeczowy ton zachował wyłącznie dzięki sile woli. Wiedział, że musi uruchomić procedurę identyfikacji ciała, ale wcale nie miał ochoty poznać nazwiska z plakietki.

Sierżant krytycznie przyjrzał się zwłokom.

– Na pewno nie tu – orzekł. – Musimy go zabrać do bazy. I nie gwarantuję, że próbki nie będą zanieczyszczone.

– Obojętne. Musimy go zidentyfikować.

– Albo ją – mruknął Wilson.

Tama puściła w końcu.

– Kurwa mać! – warknął kapitan.

Sierżant spojrział na niego ze zrozumieniem.

– Ja też właściwie nie chcę wiedzieć, kto to jest – oznajmił.

– Znałem ich wszystkich, rozumiesz? – Finagan spojrział na niego rozszerzonymi oczyma. – Z Vormannami pływaliśmy łódką... Z Higginsem się przyjaźniłem od lat, na sześciu misjach był moim dowódcą...

– Może reszta żyje.

– Wierzysz w to? – prychnął Bogart.

Wilson spojrział na niego ostro, ale nie zaszczycił odpowiedzią.

Przez chwilę słyszeli tylko wiatr.

– Dobra – Finagan odwrócił się do Bogarta. – Powiedz chłopakom w bazie, żeby przyjechali z pojemnikiem, zabierzemy zwłoki do laboratorium, poddamy oględzinom. Oprócz tożsamości, chcę znać przyczynę śmierci tego człowieka. I zawijamy się. Rzygać mi się chce od tego smrodu...

Urwał, bo zdał sobie sprawę, że Bogart nie słucha. Podszedł bliżej i podążył za jego spojrzeniem.

Na dnie grobu grunt obsunął się nieco, odsłaniając kolejny obły, podłużny kształt, owinięty w szary, uwalany ziemią, gumowany materiał.

## **GRUDZIEŃ 2034 / ZIEMIA**

Pokój był niewielki i urządzony ze spartańską prostotą. Kawa lurowata. Ogrzewanie – może specjalnie – rozkręcone zbyt mocno.

Patrzyła na niego bez specjalnej niechęci. Facet po prostu wykonywał swoją pracę. Zachowywał się z ostentacyjną kurtuazją. Nie wyglądał na takiego, którego można sprowokować, ona jednak miała swoją pulę do ugrania. Nie zamierzała ułatwiać mu zadania. Na razie stali po przeciwnych stronach barykady.

– Pani Montero, uświadomię pani sytuację – powiedział Moses cierpliwie. – Jest pani ostatnią osobą, która rozmawiała z senatorem Kellogiem. I ostatnią osobą, która widziała go żywego. Pytam po raz kolejny: o czym rozmawialiście?

– Niech mnie pan łaskawie pocałuje w dupę, agencie Moses – odparła uprzejmie. Nie zamierzała na razie schodzić z kursu.

Zachował spokój i obojętną minę.

– Jak pani chce...

Susan roześmiała się perliście.



– Cieszę się, że jest pan otwarty na prośby samotnych kobiet.

– Robi pani wszystko, żebym panią przymknął.

– Pod jakim zarzutem? – zapytała.

– Na początek choćby współudziału w zabójstwie senatora Stanów Zjednoczonych.

Oboje wiedzieli, że to blef. Wydęła wargi.

– Dobrze – powiedziała. – Już się cieszę na widok mojego adwokata, rozbijającego te głupoty w pył.

– Niech pani nie będzie taka pewna siebie. – Moses patrzył jej prosto w oczy. Zaczynał siwieć, ale nie dostrzegała w nim znużenia starego rutyniarza. Nic dziwnego. Do śledztwa tego kalibru wyznaczono najlepszego policjanta, jakiego się udało znaleźć na Wschodnim Wybrzeżu. – Matt Kellog był przewodniczącym senackiej komisji do spraw wywiadu. Zabicie kogoś takiego to bardzo poważna sprawa. Podlega pod ustawę o bezpieczeństwie narodowym.

– Przyjęłam do wiadomości.

– W pani najlepiej pojętym interesie jest ujawnienie treści rozmowy.

– Żyję już na tym świecie ponad pięćdziesiąt lat i do tej pory sama decydowałam, co jest w moim interesie, a co nie.

– Czasy się zmieniają.

– O, tym razem ogromnie mi pan zaimponował – zaśmiała się. – Naprawdę lubię się dowiadywać czegoś nowego.

Westchnął. Spojrzał w stronę weneckiego lustra, jakby oczekując pomocy od, słuchających po tamtej stronie, kolegów. Lustro milczało.

– Widziała pani sam moment wypadku?

Rozluźniła się do tego stopnia, że chciała poprosić go o papierosa. Ciekawe, czy w tym budynku w ogóle można palić.

– Trzeba było tak od razu, nie tracilibyśmy czasu – stwierdziła życzliwie.

– To znaczy?

– To znaczy, że o tym mogę mówić. – Ustawiona w kącie kamera patrzyła na nią szklanym wzrokiem. – Stałam jakies osiem, może dziesięć metrów od ulicy, wszędzie masa ludzi, trochę mi przesłaniali widok. Samego momentu uderzenia nie widziałam... tylko ciało, lecące nad ziemią. I twarz... Matt... senator Kellog

musiał nie zdawać sobie sprawy, co się stało, w życiu nie widziałam jeszcze takiego zaskoczenia. Potem ten samochód... odjechał.

Bez mrugnięcia okiem przyjął pierwsze w tej rozmowie konkrety.

– Jaki to był samochód?

– Z silnikiem spalinowym – stwierdziła.

– Z czego pani to wnosi?

– Bo nawet taki laik jak ja wie, że silniki elektryczne nie ryczą, w każdym razie nie tak.

– Zapamiętała pani markę samochodu? Kolor?

– Na markach się nie znam. Duży, sedan. Ciemnoniebieski, tak zwany navy blue. Odjechał jak wariat.

– Numer rejestracyjny?

Spojrzała na niego z lekka kpina. W innych okolicznościach mogliby się nawet polubić.

– Za dużo pan ode mnie wymaga. Wokół kręcił się tłum ludzi, stali bliżej, niech pan ich zapyta.

– Dostrzegła pani kierowcę?

– Skąd. Może tył głowy, jak odjeżdżał. Wszystko się działo błyskawicznie... Zresztą wokół jest pewnie ze sto kamer...

Nie skomentował. Dopiero teraz dostrzegła, jak bardzo jest spięty. Musiał odczuwać ogromną presję. Susan domyślała się powodów. Jak zawsze w takich sprawach, czysto politycznych – a zabójstwo senatora taką było, niezależnie od motywów sprawcy – siły, którym zależało na rzetelnym wyjaśnieniu okoliczności zabójstwa były, co najwyżej, tak samo liczne jak te, które pragnęły zamieść sprawę pod dywan. Lub puścić śledczych fałszywym tropem.

– Ach tak. Rozumiem – mruknęła.

Stuknął długopisem w blat.

– Co pani rozumie?

– Nic nie macie, prawda? Ktoś się zatroszczył o skasowanie nagrań monitoringu.

– Nie wiem, skąd to przypuszczenie.

– Wystarczy spojrzeć na pańską minę. Waszą jedyną nadzieją są świadkowie.

– Wróćmy do spotkania z senatorem.

Westchnęła.

– Mówiłam panu...

– Moment. – Podniósł dłoń. – Wiem, że pracuje pani nad cyklem artykułów o misji Polaris.

– To akurat żadna tajemnica.

– Jaki ma związek wyprawa w kosmos z wywiadem?

– A, to już pytanie nie do mnie, panie Moses.

– Pytam panią.

– Serio? – zastanawiała się, ile chce mu powiedzieć. Niemal zawsze wyprzedzała policję, stąd (między innymi) brały się jej sukcesy. Z drugiej strony naprawdę lubiła Matta Kelloga i szczerze życzyła jego zabójcom prostej drogi na krzesło elektryczne. – Nie dostrzega pan związku? Chyba poproszę, żeby mi tu przysłali kogoś bystrzejszego.

Nie skomentował złościwości, co skłoniło ją do autorefleksji, że być może ma zbyt niewyparzony język. Facet po prostu robił to, co o niego należało.

– Misja Polaris ma znaczenie militarne – rzekła po chwili. – Konkurencja stanie na głowie, żeby wiedzieć dokładnie, co jest grane.

– To pani powiedział senator Kellog?

– Nic mi nie powiedział. Nie wiem, jaką macie na jego temat wiedzę, ale Matt poważnie traktował swoje obowiązki i nie gadał za dużo, zwłaszcza z dziennikarzami.

– Pani była z nim blisko. Mógł panią traktować inaczej niż innych.

– Owszem, lubiliśmy się. Ale nie robił dla mnie wyjątków.

– Więc skąd przypuszczenie o militarnym charakterze misji?

– Połączyłam kropki. Jestem inteligentna. Wam też by się przydało mieć paru takich.

Moses westchnął ponownie. Nadal zachowywał cierpliwość. Poprawił się na krześle.

– Naprawdę nie ułatwia pani sprawy.

– Może dlatego, że wy nigdy nie ułatwiacie sprawy mnie.

– Naszym zadaniem jest ściganie przestępców i likwidowanie zagrożeń, jakie mogą przynieść krajowi. Nie jesteśmy od ułatwiania ludziom życia, pani Montero.

– I vice versa. Coś jeszcze? Albo stawiacie mi zarzuty, albo wychodzę.

Odpuścił. W gruncie rzeczy nie miał innego wyjścia.

– Proszę bardzo. Ma pani zakaz opuszczania Waszyngtonu. Aha, jeszcze jedno. Dobra rada: niech pani na siebie uważa. Warto przemyśleć, co pani opublikuje i kiedy. Nieopatrzenie ujawniona informacja może mieć niekorzystne skutki.

– Czy ja dobrze rozumiem? – zmarszczyła brwi, wstając. – Pan mi grozi?

– Do widzenia, pani Montero.

## POLARIS

Higgins wszedł do kabiny. Karen leżała na koi i czytała. Mimo ograniczeń, dotyczących wagi prywatnego bagażu, wzięła ze sobą kilkanaście tradycyjnych, wydrukowanych na papierze książek. Nie uznawała czytników. Miała swoje rytuały i nie zamierzała z nich rezygnować, nawet dwa i pół miliona lata świetlnych od domu.

Na dźwięk otwieranych drzwi podniosła wzrok.

– Coś się stało? – zapytała.

John ciężko opadł na fotel. Zerknął na przymocowany do lewego przedramienia ekranik. Czerwona dioda wskazywała, że Gilbert nie słucha, choć oczywiście pewności nie miał.

– Przyszła wiadomość od Shermana.

Karen nie musiała na niego patrzeć, wystarczył sam ton głosu.

– Gówniana.

– Chińska agencja kosmiczna CNSA poradziła sobie w końcu z problemem napędu rakiety LM 5 – zaczął. Nacisnął guzik, ze ściany wyjechał podajnik z puszką napoju energetycznego. Pił małymi łykami. – Ostatnie trzy próby były udane. Chińczykom zaczęło się bardzo spieszyć. Chcą w ciągu najbliższego tygodnia wystrzelić raketę i raczej im się to uda, bo przecież poza silnikiem mieli już wszystko od dawna gotowe. Sherman twierdzi, że załoga będzie złożona z osiemnastu żołnierzy sił specjalnych.

Odłożyła książkę i opuściła stopy na podłogę. Przez okrągły bulaj zagłębiała nieprzenikniona czerń kosmosu. W lewym rogu zieleń się Alfa. Z tej odległości prezentowała się jak dama na balu maskowym, tajemnicza, powściągliwa, pociągająca.

– Potem trochę narzekał. Oczywiście miał satysfakcję – w końcu wyszło na jego – ciągnął Higgins.

Rzeczywiście, podczas długich przygotowań do lotu, Sherman wielokrotnie publicznie opowiadał się za utajnieniem istnienia tunelu czasoprzestrzennego i wykorzystaniem go wyłącznie do celów misji. Twierdził, nie bez racji, że w innym wypadku zacznie się wyścig mocarstw o prawo do kolonizacji Alfy czy, szerzej, całego układu. Przeważały względy polityczne. Uznano, że Chińczycy i inne państwa, aspirujące do miana mocarstw, mogą na własną rękę odnaleźć tunel. A fakt zatajenia tej informacji przez organizatorów misji Polaris wykorzystać do atakowania Ameryki i Unii Europejskiej. Sytuacja polityczna i bez tego była niezwykle napięta, więc pod naciskiem Białego Domu odkrycie podano do publicznej wiadomości. W efekcie Chińczycy zaczęli niezwłocznie przygotowywać konkurencyjną wyprawę.

Higginsowie milczeli przez dłuższą chwilę. Na statku panowała cisza. Peter siedział z Lori w kabinie medycznej. Gilbert zajmował się swoimi sprawami.

– Chińczycy wylądują na Alfie w ciągu dwóch i pół roku – podjął John. Wyglądał jak człowiek śmiertelnie zmęczony. – Według wywiadu, ich zadaniem będzie przejęcie całkowitej kontroli nad Alfą. Chińskie władze ogłoszą, że planeta pozostaje wyłączną chińską domeną i każda próba przeciwdziałania zostanie potraktowana jako akt wojny.

– Przecież było porozumienie – zaprotestowała. – My mamy swoją część, oni swoją.

Patrzył na nią w milczeniu. Oboje byli tylko trybikami w wielkiej maszynie geopolityki.

– Co za pieprzony idiotyzm – burknęła Karen. – Mamy na łbie obcych, to będziemy się napieprzać między sobą.

Oczywiście zdawała sobie sprawę z naiwności oczekiwania, że w obliczu kontaktu z pozaziemską cywilizacją Ziemianie powinni zaprezentować solidarność. Tak byłoby tylko w idealnym, nieistniejącym świecie – co doskonale

wiedziała, ale co nie zmniejszało jej rozgoryczenia. Wewnętrzny konflikt rzeczywiście był w tej sytuacji skrajnym idiotyzmem.

– Jeśli chodzi o Gilberta, Sherman twierdzi, że informatycy nadal pracują nad usunięciem folderu Fonix – ciągnął Higgins. – Tyle ma nam do powiedzenia.

Wyczuła – nie tyle w słowach, co w jego mowie ciała – wahanie, może nawet wątpliwości.

– John, spójrzmy na sprawę realnie – powiedziała twardo. – Wiedzieliśmy, że to się stanie. Gdyby nie kłopoty z napędem, już by tu wylądowali. Ale sprawa jest prosta. My byliśmy pierwsi, oni się spóźnili. My tu, oni tam. Mamy prawo do obrony.

Wzruszył ramionami. Posłała mu spojrzenie niezadowolonej matki, patrzącej na pięcioletnie dziecko, które właśnie ubrudziło obiadem nowe ubranie.

– Myślałeś, że podróże kosmiczne nas zmieniają? – uśmiechnęła się złośliwie. – Halo, Ziemia do Alfę! To cały czas my, homo sapiens! Z naszymi wadami, których się nie chcemy pozbyć!

– Szkoda.

– Trochę spóźniona refleksja.

Wstała i zaczęła chodzić po kabinie. Potem stanęła nad nim. Znała go dobrze. W obliczu niebezpieczeństwa nigdy nie wykazywał miękkości ani nawet wahania. Im gorsza była sytuacja, tym większą stanowczość okazywał major John Higgins.

Dawne podejście musiało wrócić, ponieważ Karen nie zamierzała dopuścić do przegranej.

– John, od początku miałeś pełną świadomość, po co naprawdę przylecieliśmy na Alfę – stwierdziła, po czym nieoczekiwanie dodała tonem zwierzenia: – Miałam mniej punktów niż ty. Jesteśmy tu tylko dlatego, że osiągnąłeś maksimum i starczyło za nas dwoje.

Wyglądało na to, że o tym nie wiedział.

– Bzdury – zachnął się. – Nie znam lepszego pilota od ciebie.

Położyła mu dłoń na ramieniu i zacisnęła palce.

– Sherman dał mi to wyraźnie do zrozumienia – oświadczyła. – Zresztą nieważne. Ważne, co zrobi facet, który pokonał konkurentów i został wybrany, żeby polecieć na Alfę jako dowódca.

– Znaleźliśmy wrak statku kosmicznego. – Higgins westchnął ciężko. – Nie znamy przyczyn katastrofy. Nie mamy pojęcia, co się stało. Może Magda i Lori mają rację i coś lub ktoś nas obserwuje. A może zaczną do nas strzelać. Gilbert został przez kogoś zainfekowany i diabli wiedzą, co zrobi. Same znaki zapytania. Pewne jest natomiast to, że za dwa lata wylądują tu Chińczycy i będą próbowali nas zabić. O czymś zapomniałem?

– O chorobie Lori – odparła Karen, nadal ściskając jego ramię. – O pancernych latających i pełzających drapieżnikach. O większym ciężeniu.

– Właśnie.

Patrzył tępo w ścianę.

– John, ludzie potrzebują lidera – oświadczyła. – Musisz wziąć tę robotę, nawet jeśli nie chcesz.

Spojrzał na nią niepewnie.

– Jak ty to robisz? Po tym wszystkim, co odwaliłem... tam...

– Jak robię, co?

– No... – zawahał się. – Wierzysz we mnie...

Puściła go. Właściwie nigdy o tym nie rozmawiali. Pamiętała dzikie kłótnie, trzaskanie drzwiami, groźby rękoczynów. Rozmowy – nie. Uznała, że teraz jest dobry moment, by uświadomić mu, co tak naprawdę się dzieje.

– Wiem, że to nie był ten jeden raz – wycedziła.

– Co ty...? – Jego zdumienie wyglądało na autentyczne. Poczowała ukłucie dawnych emocji. Znikąd wypełzł dawny gniew i rozsiadł się w niej na dobre. Czego on się właściwie spodziewał?

– Ile ich było – sześć, siedem? – zapytała niemal niedosłyszalnie. – Może więcej, możliwe, że coś przeoczyłam. Czuleś, że się starzejesz, a one udowadniały, że może nie tak szybko. Dodawały ci pewności siebie.

Nie odpowiedział. Być może zaczynał rozumieć, że to dopiero początek, że najgorsze dopiero nastąpi. Nie mylił się.

– Chciałam polecieć w kosmos i dopięłam swego – oświadczyła, wprost przepalając go wzrokiem. – Przeszłam długą drogę, żeby się tu znaleźć. Musiałam starannie przemilczeć, jak bardzo tobą gardzę i udawać dobrą żonę. Ale się

opłaciło. Jestem członkiem wyprawy, która zmieni bieg historii. I nie pozwolę ci tego spieprzyć.

Przez twarz Higginsa przebiegła cała gama emocji. Czytała w nim, jak w otwartej księdze. Wyraźnie coś się w nim przełamało. Wróciło dawne poczucie winy, ostatnio przytłumione przez czas i odległość. Pojawiło się też coś nowego: gorycz. Okazał się naiwny. Wziął pozory za rzeczywistość. Myślał, że naprawdę mu wybaczyła.

Karen czuła tylko satysfakcję.

– Rozczarowany? – szepnęła. – Słusznie. Powiem tak: na pewno nie pomożesz sobie, płacząc. Jeśli nie chcesz schrzanić misji, tak jak naszego związku, przestań się mazgać i po prostu zacznij zachowywać jak major John Higgins, którego znałam kiedyś.

## ZIEMIA

Janet weszła do swojego gabinetu ulokowanego na ostatnim piętrze, należącego do korporacji, piętnastopiętrowego budynku i zamknęła za sobą drzwi. Sekretarka wiedziała, że w takich wypadkach szefowej nie ma dla nikogo, bez żadnych wyjątków.

Siadła za biurkiem, wyjęła z szuflady cienki niczym kartka tablet i włączyła go. Zalogowała się, wpisała z pamięci liczące dziewiętnaście znaków hasło. Zobaczyła plik dźwiękowy. Włożyła słuchawki.

– Witaj, Janet – odezwał się Gilbert. Głos brzmiał czysto, jakby źródło dźwięku znajdowało się tuż obok. – Przyłóż palec wskazujący prawej dłoni do ekranu.

Janet wykonała polecenie. Poczowała leciutkie ukłucie. System szybko dokonał analizy jej DNA.

– Dziękuję Janet. Autoryzacja dokonana.

Czekała cierpliwie.

– Zakładam, że jesteś sama. Przechodzę do sprawozdania. Doszło do wyklarowania stanowisk załogi w przypadku spotkania z Obcymi. Komandor Higgins jest zdania, że należy spróbować porozumienia. Peter Vormann – że należy jak najszybciej przerwać misję, a kontakt nawiązywać tylko w ostateczności, gdy nie będzie innego wyjścia. Natomiast porucznik Karen Higgins oraz Jan



i Magda Wagurowie dopuszczają próby kontaktu, ale nie za wszelką cenę. Są zdania, że w wypadku agresywnych działań należy odpowiedzieć zbrojnie, a może nawet, w zależności od sytuacji, uprzedzić atak. Proszę o instrukcje, jakie mam zająć stanowisko w obliczu realnego zagrożenia. Osobny przypadek stanowi Lori Vormann. Jej stan się pogarsza zgodnie z planem. Staram się, by spała jak najmniej. Zastosowana dieta i preparaty, a także brak snu doprowadzają ją stopniowo do stanu oszołomienia i zaburzeń postrzegania rzeczywistości. Porucznik Vormann już teraz ma wizje, często majaczy, jest bardzo słaba fizycznie. W tym momencie nie można na nią liczyć jako na pełnoprawnego członka załogi. Mam nadzieję, że to dobrze widać w przekazie. Dalej postępuję zgodnie z przyjętym harmonogramem. Koniec wiadomości”.

Głos Gilberta umilkł, ale w jej głowie rezonował jeszcze przez dłuższy moment. Janet odchyliła się na fotelu. Zerknęła na rzędkę cyfr mieniące się na wielkim, zawieszonym w rogu gabinetu ekranie. Wyniki oglądalności podawane w czasie rzeczywistym. Dynamika przyrostu klientów. Dochody. Prognozy. Trendy. Predykcje.

Efekty były imponujące. Odkąd załoga wybudziła się z hibernacji i Real Life rozpoczęło pełnoskalową transmisję, misja Polaris stała się głównym tematem dyskusji praktycznie na całym świecie. Powstawały mniej czy bardziej formalne grupy broniące lub atakujące poszczególnych członków załogi. Całe organizacje tworzyły raporty, dotyczące sposobów eksploracji Alfę. Ruchy ekologiczne organizowały masowe protesty pod hasłem obrony środowiska naturalnego. Gdy znaleziono fragment obcego statku kosmicznego, emocje wystrzeliły w niebo. Błyskawicznie powstały silne i wpływowe partie wojny (żadnych negocjacji z Obcymi) oraz równie liczne, świetnie zorganizowane partie zwolenników pokojowego porozumienia, które szybko weszły w sojusz z ekologami. Ulicami setek miast przechodziły wielotysięczne demonstracje i kontrademonstracje, które niejednokrotnie przeradzały się w zamieszki, często bardzo krwawe. Politycy szybko się zorientowali, że ich agenda musi uwzględniać opowiedzenie się po którejś ze stron, co znacząco zaostrzyło, i tak balansującą na krawędzi wojny domowej, debatę publiczną. Nadchodzące w lawinowym tempie wieści z Alfę polaryzowały społeczeństwa Zachodu w niespotykanej w historii skali.

Janet obserwowała to wszystko z oddali, chłodno, okiem analityka. Mogła odczuwać satysfakcję. Plan był realizowany w tempie o dwadzieścia procent

szybszym od założonego.

Dochody rosły.

## POLARIS

Usnął dopiero nad ranem, płytką, trwającą może dwie godziny, niespokojną drzemką. Pozostałą część pokładowej nocy przeleżał z oczyma wbitymi w sufit, wsłuchany w spokojny oddech Karen, z grzechotem jej słów, dudniącym pod czaszką. Był jak bokser po potężnym ciosie w szczękę. Gdy zabrzmiała melodyjka oznaczająca pobudkę, czuł się bardziej zmęczony niż wieczorem. Karen powitała go zdawkowym kiwnięciem głowy; nie wracała do wczorajszej rozmowy. Miała ochotę jeszcze chwilę poleżeć, on odczuwał potrzebę ruchu. Poszedł do kantyny. Podajnik usłużnie wręczył mu duży kubek kawy, która jednak ani na jotę nie poprawiła mu nastroju. Cisza na statku wydawała się nienaturalna. Zajrzał do kabiny medycznej. Lori, o dziwo, spała, oddychając rzadko i niemal niedosłyszalnie. Skóra jej twarzy wyglądała jakby była zrobiona z papieru. Odnotował, że Petera nie było: zapewne odsypiał w kabynie nocny dyżur przy żonie. Aparatura popiskiwała obojętnie. Miał na końcu języka zapytanie Gilberta o stan zdrowia Lori, ale się powstrzymał. I tak nie będzie pewien czy komputer mówi prawdę.

Poczuł złość. Doświadczenie medyczne członków załogi ograniczało się głównie do ratownictwa pola walki. W zakresie leczenia ogólnego, szkolenie przeszli tylko w podstawowym zakresie. Przypadek porucznik Vormann wyraźnie ukazywał krótkowzroczność owego założenia. W efekcie zdani byli na los lub dobrą wolę Gilberta, której Higgins raczej nie mógł zakładać, bo komputer dużo mówił, ale efektów jego działań trudno się było dopatrzeć. Ziemia również nie miała na ten temat nic mądrego do powiedzenia.

Zniechęcony, poszedł do kabiny operacyjnej. Usiadł w fotelu dowódcy. Obojętnym wzrokiem obrzucił kolumny danych widoczne na ekranach. Musiał się zająć czymś, co pozwoli odciągnąć myśli od wczorajszych słów Karen.

– Dzień dobry, komandorze – odezwał się Gilbert.

– Podaj status misji.

– Status misji Polaris na godzinę ósmą dwadzieścia czasu pokładowego. Ostatnia partia sprzętu przed kwadransem ruszyła na Alfę. Oba nocne lądowania przebiegły bez przeszkód. Na pokładzie zostaliśmy tylko my. Budowa bazy została ukończona. W momencie, gdy wyda pan rozkaz do opuszczenia Polaris, przetransferuję swoje zasoby na Alfę i będę operował stamtąd.

– Dobrze – ziewnął. – Czy nadeszły jakieś rozkazy z Ziemi?

– Nie. Pytali tylko, jaki jest status sond wysłanych na Betę i Gammę. Odpowiedziałem, że zgodny z harmonogramem. Pierwsza, wystrzelona na Betę, zameldowała, że jest już na orbicie i zaczęła obserwację (godzinę temu, notabene, przyszły wyniki), a druga nadal leci na Gammę. Wyników jeszcze nie przekazałem dyrektorowi Shermanowi.

Otworzył szerzej oczy.

– Nie uważasz, że od nich powinieneś zacząć status? Słucham.

– No cóż...

– Nieważne. Mów.

– To tylko pierwsze, niezbyt dokładne mapowanie, bo są kłopoty z łącznością. Najlepiej, jeśli pan sam zobaczy, komandorze. Rzucam na ekran.

Usłyszał za sobą szum otwieranych drzwi. Obejrzał się. Gdy wychodził z kabiny, Karen właśnie się niespiesznie ubierała. Teraz sprawiała wrażenia rześkiej i gotowej do działania.

Tuż za nią pojawił się Vormann.

– Cześć, John – mruknął, sadowiąc się w fotelu z ponurą miną, co ostatnio weszło mu w nawyk.

– Peter – powitał go Higgins.

– Na co patrzymy? – chciała wiedzieć Karen, przyglądając się największemu ekranowi.

– Na Betę, najbliższą sąsiadkę.

Gilbert odczekał chwilę, ale ponieważ nie padło żadne pytanie, podjął wyjaśnienia.

– Sonda podaje następujące dane: skład atmosfery – 90% helu, 6% amoniaku, 1% metanu, 1% siarkowodoru, reszta to śladowe ilości acetylenu, etanu, fosforowodoru i tlenku węgla. Grawitacja – trzy przecinek dwadzieścia trzy setne

G. Rok betański trwa prawie trzydzieści osiem miesięcy, za to doba tylko siedemnaście godzin. Średnica Bety to trzy czwarte średnicy Ziemi. Temperatury umiarkowane. Wykryto ogromne ilości wody w płynnej postaci.

Gilbert wyświetlił kolejne zdjęcie. Karen zerwała się na równe nogi.

– Poczekaj – rozkazała. W jej głosie pobrzmiwało napięcie. Podeszła bliżej ekranu. – Cofnij do zdjęcia siódmego.

– Cofam.

– Lewy dolny róg. Widzicie to samo, co ja?

Przez moment z uwagą przypatrywali się obrazowi.

– Widzę kolejny kamień milowy porażki, wynikającej z błędnych założeń i wadliwych przygotowań – odezwał się Peter. Siedział bez ruchu, z kamienną miną i rękoma założonymi na piersiach. Higgins rzucił mu złe spojrzenie, ale zaraz wrócił do obserwowania planety.

– Przybliż maksymalnie – nakazał Gilbertowi.

– Przybliżam.

Obraz stał się lekko rozmazany. Szczegóły nie dawały się uchwycić.

– Ekstrapoluj na podstawie dostępnych danych – zażądał Higgins. Wolał nie pozostawiać zbyt wielkiego pola do swobodnej interpretacji przeznaczenia widocznych na ekranie obiektów.

– Mogę wykonać polecenie, ale nie będziemy mieć stuprocentowej pewności, w jakim stopniu ekstrapolacja oddaje rzeczywistość – odparł Gilbert.

– Zaryzykujemy – stwierdził niecierpliwie dowódca. – Wykonaj.

Zaufanie do ułożonych na Ziemi algorytmów okazało się niebezpieczne. Obraz stał się wyraźniejszy.

– Miasto – stwierdził Higgins spokojnie, choć powściągliwość w okazywaniu emocji sporo go kosztowała. Sam właściwie nie wiedział, po co się na nią wysiłał. Odkrycie zwiastowało kolejne kłopoty.

Vormann spojrział na dowódcę.

– Właśnie o tym mówiłem. Miasto, które wybudowała obca cywilizacja – stwierdził z naciskiem.

– Całkiem możliwe – odparł szybko Higgins, pokazując, że na razie woli zachować ostrożność w ferowaniu opinii. Wiedział, co Vormann chce powiedzieć

i nie miał ochoty na dyskusję. Nie teraz.

– Raczej baza lotnicza – stwierdziła stanowczo Karen. Wskazała na znajdujące się po prawej stronie ekranu kwadraty. – Zobaczcie. Tu są chyba hangary. Słupy wyglądają na anteny radarowe... a na dole mamy... cóż... chyba... rakiety? Tak, myślę, że to statki kosmiczne.

– To chyba byłoby zbyt proste – zaproponował Higgins.

– Zgadza się – wtrącił swoje trzy grosze Gilbert. – Mamy naturalną skłonność do interpretowania nowych zjawisk w ziemski sposób. Potrzebujemy więcej danych.

– Mamy wystarczającą ilość danych, żeby stwierdzić, że obiekty, czymkolwiek są, nie powstały w wyniku naturalnych procesów – stwierdził niecierpliwie Vormann. – Naprawdę mamy do czynienia z pozaziemską cywilizacją, co logicznie tłumaczy obecność na Alfie wraku statku. Powtarzam: Alfa była lub jest nadal, polem bitwy. A to stawia nas w diametralnie nowym położeniu.

Higgins zerknął na niego przelotnie. Zmienili się, z Vormannem na czele, coraz wyraźniej to widział. Podczas testów i treningów na Ziemi, Peter był uosobieniem dyscypliny i profesjonalnego podejścia do stojących przed załogą zadań. Nigdy nie kwestionował decyzji dowódcy. Teraz sprawiał wrażenie człowieka, który musi postawić na swoim za wszelką cenę.

– Tego nie wiemy – zaproponował komandor. – Poza wrakiem nie znaleźliśmy innych śladów, które mogą potwierdzać teorię o starciu. Nie stwierdziliśmy żadnej aktywności organizmów rozumnych ani nie natknęliśmy się na ich zwłoki.

– Na pewno, John? – Vormann spojrzał na niego zaczepnie.

– Zwiadowcy usłyszeli coś... faktycznie – przyznał Higgins ugodowym tonem. Nie chciał, tak długo jak to możliwe, dopuścić do otwartego konfliktu. Co było trudne, bo właściwie się gotował. – Ale nie wyjaśniliśmy, co konkretnie.

– Nie tylko Zwiadowcy. Lori również.

Higgins spojrzał na głównego inżyniera, którego twarz wyrażała stanowczość i upór.

– Okej, Lori również – przyznał.

Vormann nie zamierzał się zatrzymywać.

– Wskutek czego zleciłeś Gilbertowi opracowanie nowego algorytmu obronnego.

– Ten algorytm, nawiasem mówiąc, jest gotowy – dodał komputer.

– No właśnie.

Higgins poczerwieniał.

– Co – właśnie? – warknął.

– Po co wdrazasz nową strategię obronną, jeśli nie wierzysz w zagrożenie? Trochę to się ze sobą kłóci.

Stało się, co się miało stać.

– Bzdury – wybuchnął major. – Niczego nie lekceważę. Fakty są takie, że nie notujemy militarnej aktywności na Alfie, poza jednorazową anomalią i wizją Lori. Statek, którego wrak znaleźliśmy, mógł mieć różne przeznaczenie, niekoniecznie wojskowe. Ale ja nie będę miał problemu, żeby przyznać, że trafiliśmy w środek kosmicznej wojny. Jeśli to okaże się faktem.

– Wtedy może być za późno.

– O co ci chodzi, Peter? – zapytała Karen.

– Sądzę, że ryzyko kontynuowania misji jest zbyt duże.

– Poważnie? – warknął Higgins, choć miał pełną świadomość, że ta dyskusja nie prowadzi do niczego. Zrozumiał. Zrozumiał wszystko. To nie tunel był przyczyną zmiany nastawienia Vormanna. Peter będzie kontestował jego zarządzenia dotąd, aż wymusi decyzję, która, jego zdaniem, odpowie powadze sytuacji.

– Całkowicie poważnie – Główny inżynier nadal zachowywał spokój. – Mamy w perspektywie kosmiczną wojnę, tak czy inaczej. Jak nie dziś, to jutro. A uważam, że w bezpośrednim starciu nie mamy żadnych szans.

– Czyżby? – zapytała Karen, patrząc na niego zaczepnie. – Jesteśmy żołnierzami z doświadczeniem bojowym. Dysponujemy systemami uzbrojenia, które są w stanie odeprzeć każdy atak. Cyklop został specjalnie zaprojektowany na tę okoliczność.

– Cyklop został zaprojektowany do odparcia każdego rodzaju ataku, wymyślnego na Ziemi – powiedział z naciskiem Peter. – Weźcie pod uwagę samo trzykrotne ciężenie na Becie. Pomyślcie o obciążeniu ichniejszego sprzętu. Z dziewięćdziesięciu kilogramów własnej masy ciała na Ziemi, na Becie nagle robi się trzysta do udźwignięcia. Dla nich to bazowa sytuacja. Nie mamy pojęcia jakimi technologiami dysponują. Nasz system obronny może okazać się nieskuteczny.

W natłoku złych myśli Higginsowi przemknęło przez głowę, że w obiekcjach kapitana tkwi racjonalne jądro. Argumenty miały jednak pewną logikę. Poruszali się po niepewnym gruncie. Mina Karen uświadomiła mu, że jego żona myśli podobnie. Odetchnął głęboko. Kosmos działał również na niego. Może zaczął zbyt pochopnie oceniać sytuacje i ludzi.

– Możliwe – zgodził się. – W takim razie, co proponujesz?

– Rezygnację z misji i odwrót.

No jasne, pomyślał Higgins. Przynajmniej się z tym nie kryje. Na swój sposób uczciwie.

– Tak od razu? Bez głębszego rekonesansu?

– Pozostanie jest zbyt wielkim ryzykiem.

– Ciekawe, że nie bierzesz pod uwagę nawiązania kontaktu z przybyszami – stwierdziła zjadliwie Karen. – I pokojowego ułożenia relacji.

Vormann pokręcił głową.

– Tego akurat jestem pewien. Nie jesteśmy przygotowani do nawiązania kontaktu. Próba zakończy się walką i porażką.

– To tylko jeden ze scenariuszy.

– Musimy zakładać najgorsze. Wtedy wyjdziemy z tego cało.

– I uciekać, bo sobie założyliśmy najgorsze? – zapytał Higgins zwodniczo neutralnym głosem.

– To się nazywa rozsądek.

– To się nazywa tchórzostwo. Może mające związek z wizjami twojej żony.

Vormann poczerwieniał, a Higgins wiedział, że trafił. Vormann miał jednak luki w swoim pancerzu.

– Znajdź w moim życiorysie choć jeden dowód tchórzostwa – syknął Niemiec. – Proszę. Poszukaj. A Lori do tego nie mieszaj.

– Zawsze kiedyś musi być pierwszy raz.

Patrzyli na siebie jak dwa rozjuszone byki.

– Uspokójcie się! – krzyknęła Karen. – Obaj!

Higgins postanowił podjąć jeszcze jedną próbę. Byli na siebie skazani.

– Przepraszam – powiedział, patrząc na Petera. – Ale w obecnej sytuacji nie ma podstaw do podjęcia decyzji o odwrocie. Zresztą Ziemia się nie zgodzi.

– Procedura przewiduje autonomię decyzyjną dowódcy misji w razie kryzysu.

– Właśnie – przytaknął major. – W razie kryzysu.

– Może po prostu nasze marzenie o lotach do gwiazd i kolonizacji obcych planet jest mrzonką, komandorze. – Vormann również się uspokoił. Gładko wrócił do rzeczowego tonu. – Świat jest bardziej złożony niż nam się wydaje.

Higgins nie miał ochoty na filozofowanie.

– No dobrze, przypuśćmy, że ktoś tu był – przyznał. – Załóżmy, że to mieszkańcy Bety. Zastanówmy się, co z tego dla nas wynika.

Peter przytaknął, jakby doceniając – a może tylko akceptując – że dowódca nie zbywa go.

– Mieszkańcy Bety, którzy ze sobą konkurują – podkreślił. – I zestrzeliwują sobie statki kosmiczne. Przepraszam John, ale nie wierzę w możliwość nawiązania kontaktu z cywilizacją, która jest w stanie wojny. To niemożliwe. Każda ze stron albo potraktuje nas jak sojusznika drugiej i zaatakuje, albo będzie chciała, żebyśmy ją poparli. Albo jeszcze inaczej: tymczasowo się dogadają i solidarnie wystąpią przeciw nam, kalkulując, że najpierw trzeba pozbyć się zewnętrznego zagrożenia. W każdej sytuacji będziemy stroną konfliktu.

– Zgadza się – wtrącił się komputer. – To niestety logiczne, komandorze.

– Okej – zgodził się Higgins. – Jakie rozwiązanie, Gilbert, rekomendujesz?

– Dopuszczam możliwość, że scenariusz wojny przedstawiony przez kapitana Vormanna może się zrealizować. Jest to prawdopodobne. Jednak nie ma podstaw, by zakładać, że wydarzy się na pewno. W mojej opinii powinniśmy wylądować na Alfie zgodnie z planem...

Peter zacisnął usta w wąską kreskę.

– ... i uważnie monitorować orbitę wokół planety. Być może warto rozproszyć niektóre zasoby, utworzyć rezerwową bazę i magazyn zapasów. Na pewno warto pracować nad poszerzeniem percepcji sensorów.

Higgins spojrzął na Karen. Ona również była tego zdania.

– Przyjąłem do wiadomości. – Dowódca ucieszył się, że komputer nie poparł Vormanna. Nadal mieli zadanie do wykonania. – Gilbert, jeśli nadejdą kolejne



dane z Bety, dajesz natychmiast znać. Rozumiesz? Natychmiast. Bez upiększania, surowe dane. Przygotowujemy się do opuszczenia Polaris i przeniesienia na Alfę. Złożę meldunek Shermanowi. Według planu Polaris za miesiąc ma wrócić na Ziemię. Peter, zarekomenduję Shermanowi wydanie pozwolenia dla ciebie i Lori na powrót.

– Źle mnie zrozumiałeś – zaczerwienił się lekko kapitan. – Nie proszę o to.

– Wiem. To moja decyzja. Kończymy dyskusję. Proszę o rozpoczęcie przygotowań do lądowania. Gilbert, wprowadź Polaris na orbitę stacjonarną. Czy porucznik Vormann jest w stanie poruszać się samodzielnie?

– Jeśli nie będzie to zbyt duży wysiłek, tak – odparł komputer.

– Peter, pomożesz żonie założyć skafander?

## ALFA

Lot był krótki i pozbawiony emocji. Prom gładko wszedł w atmosferę, bez specjalnego wysiłku odparł ataki wiatru, po czym zawisł nad lądowiskiem. Karen wpatrywała się w przyrządy, jednocześnie zmniejszając ciąg napędu głównego. Zagrały silniki pomocnicze. Prom opadał pionowo, kołysany przez wiatr. Ze zgrzytem wysunęło się sześcioramienne podwozie.

Statek usiadł miękko. Przez chwilę kołysał się na amortyzatorach, po czym zastygł.

– Przyziemienie zakończone – oznajmiła Karen, przetykając ślinę. – Wyłączam zapłon.

Huk silników stopniowo zmniejszył się do zera.

– Stoimy. Grunt stabilny.

Przez chwilę słuchali tylko popiskiwania aparatury pokładowej.

– Dzięki, Karen – powiedział John. – Wzorowe lądowanie.

Karen spojrzała z satysfakcją na męża.

– Moje pierwsze planetarne lądowanie.

Jak na komendę odpięli pasy i wstali. Właz główny otworzył się z szumem. Magda i Jan, wcześniej obserwujący ich przybycie z bezpiecznej odległości, szli ku nim szybkim krokiem.

– Witamy na Alfie – powiedział Wagura. – Spóźniliście się. Magda dwa razy odgrzewała obiad.

Wszyscy roześmiali się serdecznie i uściskali jak starzy znajomi – z wyjątkiem Lori, która zdawała się być pogrążona w letargu.

– Chodźmy – rzucił wesoło John. – Niech pan prowadzi, panie kapitanie. A ty, Karen zacznij rozpakowywać nasze bagaże.

Karen dotknęła ekranu tabletu na przedramieniu, uruchamiając maszyny, które z miejsca zabrały się do wyładowywania zapasów.

– Gotowe – oznajmiła.

Grupa ruszyła w stronę bazy. Już po kilku krokach Higgins poczuł oddziaływanie silniejszej grawitacji. Niby nie było w tym nic nadzwyczajnego, żaden wysiłek w gruncie rzeczy, ale zdał sobie sprawę, że przy marszu na dalszy dystans, zwłaszcza z obciążeniem, zmęczenie przyjdzie znacznie szybciej niż na Ziemi.

Wciągnął głęboko powietrze do płuc.

– Szkoda, że nie możemy tego wiatru poczuć na twarzy – mruknął, a jego dobry humor gdzieś się ulotnił.

– Dostosujemy się – odparła Magda. – Jeszcze będziemy chodzić bez masek.

– Oby.

Przyspieszył kroku i dogonił Wagurę. Kapitan zerknął na niego z ukosa.

– Ciężko? – zapytał z uśmiechem.

– Ujdzie. Nie było kłopotów z transferem Gilberta?

– Przeciwnie. Odkąd się przetransferował z Polaris, gada jak najęty.

Dowódca nie odpowiedział. Wagura bezbłędnie odgadł jego nastrój. Kliknął w tablet.

– Przełączyłem na kanał prywatny – rzucił półgłosem. – O czymś powinienem wiedzieć?

– Nie teraz. Chcę obejrzeć wrak. Zawieziecie mnie, ty i Magda. Wtedy pogadamy.

– Okej. Powiedz tylko jedno: jak bardzo mamy przesrane? Pięc na dziesięć? Siedem?

– Przy dobrych wiatrach może dziewięć i pół. Ale raczej sam środek tarczy. Dziesięć na dziesięć.

– Kurwa.

\*\*\*

Mimo chwilowej poprawy samopoczucia Lori była jednak bardzo osłabiona, co wraz ze zwiększonym ciężeniem spowodowało, że szybko, mimo pomocy Petera, została z tyłu.

Vormann podtrzymywał żonę, a jednocześnie z ponurą miną rozglądał się wokół. Lądowisko znajdowało się pośrodku płaskiego terenu (dodatkowo wyrównanego przez maszyny), ale tuż poza nim krajobraz niemal natychmiast nabierał dzikiego charakteru. Oszlifowane przez wiatr wiejący od milionów lat, podobne do widowni jakiegoś monstrualnego amfiteatru, skalne wypiętrzenia otaczały półkolem niewielką kamienistą równinę. Dalej, jeszcze przed granicą horyzontu, w pochmurne i ciemne niebo strzelały ostre, nieregularne szczyty. Roślinność, silnie wrośnięta w jałową, kamienistą glebę, zieleniła się wieloma odcieniami. Blade słońce, jakże inne od ziemskiego, rzucało brudne, zamglone światło. Tylko bliższy amarantowy księżyc, choć różny od trabanta Ziemi, sprawiał odrobinę swojskie wrażenie.

Przeszedł go dreszcz. Z całą wyrazistością stanął przed oczyma rozbity Gepard, ogień, trupy w kosmicznych kombinezonach... Na planecie wizja Lori stała się jeszcze bardziej sugestywna.

– To... stało się gdzieś tutaj? – zapytał szeptem. Nie sprecyzował, o co mu chodzi. Nie musiał.

Patrzyła przed siebie.

– Nie – odrzekła. – Daleko stąd. Dopiero się stanie. Niedługo.

Wierzył jej, oczywiście, że wierzył. Wizja się spełni – uświadomił to sobie z całą ostrością w momencie, gdy zobaczył planetę z bliska. Jeszcze nigdy, w swym niemal czterdziestoletnim życiu, nie czuł się tak bezradny. Podążali drogą w przepaść, a on nie potrafił temu zapobiec. Był niczym głębinowy nurek, któremu właśnie kończy się tlen. Czuł pod butami kamienisty, nierówny grunt, widział poszarpane, czarne skały, ciężkie niebo i dwa absurdalnie bliskie księżyce, aparatura skafandra, podtrzymująca życie pracowała prawidłowo, powietrze

docierało do płuc w wystarczającej dawce – a mimo tego miał wrażenie, że tonie. Alfa nie była jego miejscem. Nie była ich miejscem. Nie nadawali się na eksploratora obcych światów. Kto, na litość boską, uwierzył, że grupa żołnierzy może latać w kosmos?

Jednak był tu. Mógł liczyć tylko na siebie. Musiał ochronić Lori.

## ZIEMIA

Jesteś tu po coś. Masz konkretny mecz do rozegrania.

Stał przed drzwiami gabinetu i powtarzał tych kilka słów jak mantrę. Musiał wyglądać na energicznego młodego człowieka, któremu mózg rozsądza nadmiar pomysłów. Który jest kreatywny, ma bogatą wyobraźnię i koci refleks. Tylko on wiedział, jak daleki jest od tego stanu. W gruncie rzeczy nie potrafił kłamać. Uważał się za złego aktora.

Jednak jesteś tu po coś.

Wszedł.

Siedziała za biurkiem i pisała szybko. Nie podniosła głowy. Wszystko odbywało się jak zwykle.

– Dzień dobry – przywitał się.

– Siadaj – mruknęła. Natarczywy stukot klawiszy wprost wwiercał się w mózg. Przyzwyczał się, że bardzo często robiła jednocześnie kilka rzeczy, z których sprawozdanie asystenta nie miało priorytetu. – Streszczaj się. Za dziesięć minut muszę jechać do Shermana.

– Po pierwsze, skontaktowałem się wiceprezesem Pierwszego Komercyjnego. Był chętny do współpracy...

– Oczywiście, że był – rzuciła zimno, nie przerywając pisania. – Konkrety.

– Faktycznie, Susan Montero ma u nich skrytkę. Ale pustą.

Trzaskanie klawiatury.

– Do przewidzenia.

– Ostatni raz pojawiła się tam sześć dni temu.

– Dzień po aresztowaniu Reese`a.

– Dokładnie – przytaknął. – Musiała gdzieś przenieść zasoby. Pogadałem ze znajomym z zarządu miasta. Udostępnił mi zapis kamer. Udało się ustalić, gdzie poszła.

Podniosła głowę. Nie dostrzegł w jej oczach nagany czy pochwały. Tylko chłód.

– No?

– Henry J. Daly Building, Indiana Avenue, numer 300 – oznajmił.

Oboje doskonale wiedzieli, że pod tym adresem znajduje się siedziba Komendy Głównej Policji Metropolitalnej. Janet Lee zachowała kamienną twarz.

– Jeśli ukryła tam dane, jest sprytniejsza, niż nam się wydawało – skonstatowała.

Nie odważył się na komentarz.

– Zna tam pani kogoś? – zapytał.

– Pomyślę. Masz ostatni raport?

– Tak.

– Zaczynij od trendów.

Znał dane na pamięć, ale i tak zerkał na tablet. W rogu gabinetu migaly linie wykresów, kolumny statystyk, wycena akcji. Miała wszystko pod ręką, tylko spojrzeć. Mimo to wołała, by asystent opowiadał o najważniejszych sprawach. Początkowo myślał, że jest to forma egzaminu, sprawdzenia poziomu zaangażowania, weryfikacja umiejętności syntetycznego myślenia. Potem doszedł do wniosku, że się mylił. Janet Lee chciała usłyszeć, jak ktoś ogłasza jej sukces.

– Najwyżej jest choroba Lori Vormann – rozpoczął. – Wykreowaliśmy środowisko „Pomóż Lori”, które błyskawicznie zyskuje popularność. Już ma ponad dwa miliony aktywnych użytkowników, domagających się ściągnięcia jej natychmiast na Ziemię. Postulat poparły liczne autorytety z zakresu psychiatrii, w tym Charles Jr Tuscon, stały ekspert i najjaśniejsza gwiazda CNN.

Przemilczał, że pomysł zorganizowania poparcia powstał wyłącznie z jego inicjatywy, a także trudności, jakie napotkał. Wiedział, że spisał się na medal. Janet Lee nie miała w zwyczaju nikogo chwalić, liczył jednak, że swoimi kanałami dowie się o jego skuteczności, co znajdzie odzwierciedlenie w wysokości nadchodzącej premii.

– Skontaktuj się z nim i zaproponuj honorarium – nakazała. – Niech podkreśli przekaz. Chcę mieć kompletną wariatkę.

Zebrał się na odwagę.

– Nie sądzi pani, że to co jest, wystarczy?

Spojrzała na niego. Jej oczy naprawdę były puste. Beznamiętne.

– Sean, ile dostałeś premii w zeszłym miesiącu? – zapytała łagodnie.

Poczuł wstyd. Na twarz wypełził rumieniec, a on nic nie mógł na to poradzić.

Wstydział za świat, w którym żył, ale też za siebie. Wstydział się swoich wyborów, a przede wszystkim cholernie wstydział się swojej obecności w tym gabinecie.

– Pięć tysięcy – odparł cicho.

– Właśnie. – Klasnęła w dłonie. – Pięć. Tysięcy. Dolarów. Poza kolejką. Stało się tak dlatego, że nasi subskrybenci dostali dokładnie to, czego chcą, a ty się w jakiś sposób do tego przyczyniłeś.

– Oczywiście, proszę pani – skapitulował. Wstyd płynnie przeszedł w pogardę do samego siebie. – Podkreść przekaz.

– Tak, podkreścisz – powiedziała, ponieważ było to najzupełniej oczywiste. – Co dalej?

– Bardzo mocny jest – i cały czas rośnie – trend, dotyczący spotkania z obcą cywilizacją. Ponad osiemdziesiąt pięć procent jest zdania, że spotkanie powinno nastąpić w sposób pokojowy. Przemoc dopuszcza tylko jedenaście procent. Reszta nie ma zdania. Co jeszcze ważniejsze, zdecydowana większość, blisko siedemdziesiąt osiem procent respondentów uważa, że jeśli do starcia dojdzie, będzie to wina Higginsa i jego ludzi. Większość obstawia zwycięstwo Obcych.

– Nagłośnij to.

– Już to zrobiłem – oznajmił, starając się brzmieć rzeczowo. – Za dwa tygodnie odbędzie się festiwal „Daj pokojowi szansę”. Akces zgłosiły wszystkie najważniejsze gwiazdy. Przekaz będzie jednoznaczny i bardzo silny. Media trąbią na ten temat, zwłaszcza, że już padło kilka radykalnych wypowiedzi.

– Weź z budżetu pół miliona dolarów i jeszcze dorzuć im. Ma być na bogato. Ale nikt nawet nie może pomyśleć, że mamy coś wspólnego z organizacją.

– Oczywiście. Oficjalnym organizatorem jest „Stowarzyszenie Ekologia i Równowaga”. Nigdy się na nich nie zawiedliśmy.

– Twoja odpowiedzialność. Masz ostatnie badania postrzegania załogi przez subskrybentów?

– Właśnie przyszły. – Kliknął kilkakrotnie w ekran tabletu. – Higgins chwiejny, jego żona arogancka i zbyt pewna siebie, Polacy zabawni, ale nieodpowiedzialni, Lori Vormann niespełna rozumu. Jedyne w miarę rozsądny to Peter Vormann.

Jej twarz złagodniała. Janet Lee znów wyglądała jak na prospektach reklamujących największy na świecie serwis streamingowy.

– I tego się trzymajmy – powiedziała z lekkim uśmiechem.

## ALFA

Marsz był krótki. Słyszeli za sobą warkot silników maszyn, rozładowujących prom. Gdy pokonali wzniesienie, ich oczom ukazała się rzeka i szare ściany zabudowań z wypiętrzonymi kopułami anten i wieżyczkami, mieszczącymi uzbrojenie.

– Voilà! – Wagura zatoczył łuk ręką. – Nasze królestwo.

Przystanęli.

Baza składała się ze spiętych stalowymi klamrami kontenerowych modułów, zapewniających dużą odporność mechaniczną – na przykład na skutki ostrzału, ognia czy eksplozji – a także akustyczną i cieplną. Każdy stanowił autonomiczną całość i miał powierzchnię około czterdziestu metrów kwadratowych. Było ich trzydzieści sześć, ułożonych na planie kwadratu, z patio – zadaszonym pancernym szkłem – w środku.

W pewnym oddaleniu od bazy wznosiły się dwa masywne słupy elektrowni wiatrowej. Nieco dalej, kilkaset metrów równej powierzchni wykorzystano na ułożenie paneli solarnych. Zaplanowano również zbudowanie trzeciego źródła energii – wodnego. Rzeka miała wystarczająco bystry nurt, by to się opłacało.

Na dachu szczyrzyły zęby lufy systemu obrony, zainstalowane w obrotowych wieżach. Automatyczny podajnik amunicyjny właśnie umieszczał rakiety na wyrzutniach. Kręciły się kopuły radarów. Nad całym systemem górował miotacz impulsów elektromagnetycznych. Aktywowane czujnikami ruchu kamery obserwowały teren w paśmie widzialnym, a także podczerwieni.

– Home, sweet home – powiedział Higgins.

– Na Ziemi te szare kontenery wydawały mi się ohydne – zauważyła Karen. – Tu nawet pasują do otoczenia.

– Przekażę Shermanowi. Ucieszy się, że jest choć jedna rzecz, która poszła dobrze.

Roześmiali się wszyscy.

– Cyklop uruchomiony? – Komandor odwrócił się do Wagury, choć wiedział, że system ochronny był pierwszą rzeczą, o którą kapitan się zatroszczył.

– Przetestowany i uruchomiony – przytaknął pilot. – Łączność pomiędzy elementami systemu bez zakłóceń. Satelity są, gdzie miały być. Polaris zgłasza się co godzinę. W ogóle tutejsza atmosfera sprzyja transmisji. Nie jest źle, komandorze.

– Dobra, wejdźmy do środka – zarządził Higgins. – Naprawdę jestem głodny.

Baza przywitała ich światłem i generowanym przez elektryczne grzejniki miłym ciepłem. Krótki hol pełnił rolę śluzy dekontaminacyjnej. Za kolejnymi drzwiami korytarz rozdawał się. Po lewej stronie centralne miejsce zajmował pokój operacyjny, obszerne pomieszczenie wypełnione po sufit wielkimi monitorami. Centrum zarządzania sprawiało wrażenie brata – bliźniaka pomieszczenia na Polarisie. Miało identyczną konfigurację.

Wagura wskazał na centralne ekrany.

– Stąd mamy podgląd na cały perymetr – wyjaśnił. – Ekrany po lewej obsługują Cyklopa. Tutaj obraz z satelitów. A na końcu moduł łączności z Polarisem.

– A ja tu – wtrącił Gilbert.

– Tak, Gilbert jest wszędzie i zawsze – potwierdził kapitan.

Karen i John uśmiechnęli się, Peter nie zareagował, Lori zdawała się nie słyszeć. Komputer sapnął teatralnie, ale powstrzymał się od komentarza.

Poszli dalej.

Obok centrum operacyjnego w lewym skrzydle znajdowały się jeszcze serwerownia, centrala zarządzania systemami energetycznymi, a także jadalnia, świetnie wyposażona kuchnia, magazyn żywności i pokój wypoczynkowy, i – zaraz za nim – laboratorium medyczne połączone z trzyłóżkowym szpitalem. Część użytkową zaprojektowano z dużą dbałością o ergonomię. W prawym skrzydle, przeznaczonym do użytku prywatnego, postawiono z kolei na wygodę. Każda z par miała do dyspozycji osobny moduł mieszkalny, składający się sypialni,



garderoby, saloniku i łazienki. Meble i kolorystykę dobrano, kierując się gustem użytkowników, starając się zapewnić wewnątrz przytulny charakter. Twórcy koncepcji bazy przyjęli założenie, że musi ona, obok centrum zarządzania misją, pełnić także rolę domu i to na długie lata – powinna mieć więc tyle atrybutów prywatności, na ile to możliwe.

Na tyłach obszerną przestrzeń zajmowały garaże, magazyny, zbiorniki paliw i wody pitnej, agregaty, zbrojownia, warsztat, laboratorium. Główny magazyn amunicji, ulokowany w wykutej w skale pieczarze, znajdował się trzysta metrów od głównych zabudowań.

Niespieszny obchód zajął im godzinę. W jego trakcie uśmiechali się. Przed startem przez trzy miesiące mieszkali i ćwiczyli w identycznych, zbudowanych na Ziemi pomieszczeniach. Można powiedzieć, że znali tu każdy kąt. Nawet Lori, blada, trzymająca się z boku i milcząca, wydawała się zadowolona.

Higgins był usatysfakcjonowany. Wyglądało na to, że pomyślano naprawdę o wszystkim. Przyjęte przez konstruktorów bazy założenia, również na Alfie, okazały się słuszne. Przyjdzie im żyć w ciepłym, przyjaznym, dobrze zabezpieczonym miejscu, idealnym azylu po trudach wypraw zwiadowczych. Chociaż jedna rzecz poszła zgodnie z planem.

– Przepraszam? – Major dopiero teraz uświadomił sobie, że Wagura coś do niego mówi.

– Powiedziałem, że tu w zasadzie cały czas wieje, więc prądu mamy tyle, że oprócz bieżącego zużycia, napełnimy magazyny bez uruchamiania agregatów – oświadczył kapitan. – Panele solarne posłużą jako rezerwa.

– A gdzie...?

Nie skończył.

Przestrzeń wypełnił modulowany, przeszywający sygnał syreny alarmowej. Jednocześnie z głośników zabrzmiał głos równo odmierzającego słowa Gilberta.

– Naruszenie zewnętrznej strefy ochronnej. Prawa górna ćwiartka perymetru, siedemdziesiąt trzy stopnie. Obiekt zbliża się.

Higgins ruszył przed siebie, nie oglądając się na innych. Nim wpadł do pomieszczenia operacyjnego, zautomatyzowany system ochrony bazy zdążył już rozpocząć działalność. Szczęknęły elektryczne zamki drzwi zewnętrznych, z gwizdem zasunęły się pancerne okiennice, przekształcając bazę w zawarty na

głucho bunkier. Dach ożył: węszyły lufy automatycznych działek, obracały się prowadnice rakiet, odjeżdżała tytanowa osłona zawieszona na teleskopowym maszcie miotacza impulsów elektromagnetycznych, młynkowały kopuły i anteny sensorów.

Cyklop niezwłocznie wykonał drugi krok.

Zabrzmiał przeciągły, niski gwizd startujących rakiet, zaraz potem, wyżej i bardziej przenikliwie, zagrzechotały serie. Bazą wstrząsnęło ciężkie stęknięcie miotacza, przesywając ciała załogi krótkim, ostrym dreszczem. Niewidoczne wyładowanie pomknęło w dal, zdolne usmażyć dowolny napotkany na swej drodze obiekt. Syrena wyła jak potępiona, ściany drżały, w kuchni z blatu spadło jakieś naczynie i rozbiło się z trzaskiem.

Do kakofonicznego chóru dołączyły dalekie detonacje, jedna, druga, trzecia, czwarta...

Higgins wpatrywał się w ekrany. Kilometr od bazy cztery eksplozje zakwitły efektownymi pióropuszcami dymu i odłamków skał. Powietrze cięży jaskrawe ściegi smugowych pocisków. Zerknął w monitor radaru. Migający zielonkawy obraz nie pokazywał żadnego zagrożenia. Niebo było czyste.

– Gilbert, wstrzymaj ogień! – krzyknął. – Strzelasz w powietrze.

Syrena wyła nadal, w dalszym ciągu grzmiały serie. Budynkiem znów targnął potężny huk: Cyklop po raz kolejny uruchomił miotacz impulsów elektromagnetycznych.

– Gilbert!

– Obiekt zbliża się, komandorze.

– Wstrzymaj ogień, Gilbert! To rozkaz!

Detonacje i serie umilkły.

– I wyłącz tę cholerną syrenę!

Wycie ustało. Cisza wprost dzwoniła w uszach. Higgins spojrzał na boki. Stał jako jedyny. Reszta załogi zajmowała stanowiska w fotelach przed ekranami. Lori miała zamknięte oczy, Peter był blady i co chwilę ocierał pot z czoła. Natomiast Karen i Wagura, gotowi do działania, w skupieniu czekali na rozwój sytuacji, nie rozumiejąc za bardzo – podobnie jak on sam – co właśnie się wydarzyło.

– O co chodzi, do diabła? – warknął major.

– Stwierdzono naruszenie strefy – oświadczył Gilbert. – Obiekt poruszał się w naszym kierunku z prędkością ponad stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Nie widziałem żadnego obiektu. – Higgins spojrzął na członków załogi, jakby szukając potwierdzenia swoich słów. – Radar też nie. Ani kamery.

– Czujnik odnotował zmianę ciśnienia atmosferycznego – upierał się przy swoim komputer. – A także sygnaturę dźwiękową.

– Odtwórz obraz zdarzenia – zarządził Higgins. – Dziesięć sekund przed uruchomieniem alarmu. Razem z dźwiękiem. Tylko odfiltruj syrenę, bo ogłuchniemy.

– Wykonuję.

Przez chwilę nic się nie działo. W końcu główny ekran zajaśniał widokiem terenu na północ od bazy. Widzieli piargowe zbocze, u którego szczytu wyrastała skalista, poszarpana ściana, zamykająca horyzont. Nieco zamglone, rozmywające barwy słońce świeciło łagodnie zza chmur. Z zawieszonych pod sufitem głośników sączył się szum wiatru.

Potem usłyszeli jeszcze coś, na co nie zwrócili uwagi przedtem – początkowo prawie niesłyszalny, stopniowo coraz wyraźniejszy pomruk w bardzo niskich rejestrach. Nienaturalny, a jednocześnie drażniący, wnikający w głąb ciała słuchacza. Rozległo się wycie syreny, które Gilbert, zgodnie z poleceniem, po sekundzie wyciął. Pomruk narastał powoli, jakby jego źródło niespiesznie zbliżało się do bazy. W końcu wypełnił całe pomieszczenie. Meble i sprzęt zaczęły wibrować. Higgins usłyszał pobrzękiwanie szklanek w kuchni. Laserowy wskaźnik poturlał się po blacie, a potem spadł z trzaskiem. Komandor nabrał dziwnego przekonania, że gdyby przekazujące dźwięk głośniki miały szersze pasmo przenoszenia w dolnych rejestrach, infradźwięki mogłyby ich zabić.

Obraz ukazywał pustą przestrzeń.

– Sensor uruchomił alarm dwie dziesiąte sekundy po odebraniu pierwszego sygnału – wyjaśnił Gilbert.

– Co odnotowano pierwsze, dźwięk czy ruch powietrza?

– Dźwięk, komandorze. Ruch powietrza został wychwycony trzy sekundy później.

Magda Wagura obróciła w stronę Higginsa poblądłą twarz.

– To jest dokładnie to, co słyszałam przy wraku – powiedziała cicho.

Lori miała zamknięte oczy. Szeptiała pod nosem. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Film biegł dalej. Pomieszczenie operacyjne wypełnił jazgot odpalanych rakiet i serii z działek. Higgins wpatrywał się w ekran. Powietrze przecięły, idące od bazy, cztery jasne smugi, które błyskawicznie doleciały do, zamykającej z boku, skalnej ściany. Cztery szaroczarne pióropusze dymu i skalnych odłamków, zrazu zwarte, szybko straciły kształt i rozpełzły się po okolicy, niemal zasłaniając horyzont.

– Zatrzymaj film, Gilbert – polecił Higgins.

Obraz zastygł. Zapadła cisza. Jak na komendę załoga odetchnęła z ulgą. Basowy pomruk irytował, niepokoił, właściwie stawał się nie do zniesienia.

– Do czego strzelaliśmy? – zapytał komandor. Karen знаła ten ton. Pod powierzchnią spokoju kryło się napięcie. Podzielała je. Coś tu było bardzo nie tak.

Komputer jakby się zawahał.

– Do zbliżającego się obiektu.

– Ciekawe – stwierdził Higgins, po czym wskazał na ekran: – Widzisz tu jakiś?

– Obiekt nie emituje światła widzialnego.

– A więc, według jakich parametrów algorytm wyznaczył cel?

– Po śladzie akustycznym i uśrednionej ewaluacji zmian ciśnienia.

– Zmian ciśnienia... Wskutek zmian ciśnienia powstaje wiatr. Czyli strzelałeś do, mruczącego jak jakiś zmutowany bąk, wiatru?

– Proszę nie sprowadzać zdarzenia do absurdu, komandorze – odparł Gilbert z godnością, która wydała się Higginsowi wyjątkowo nie na miejscu.

Major ponownie przyjrzał się zatrzymanemu kadrowi.

– Dobrze, przyjmijmy na razie, że rzeczywiście zbliżał się do nas jakiś niewidzialny obiekt. Jak oceniasz jego wielkość? – zapytał.

– Szacunkowo, dwadzieścia sześć metrów długości, około czterech szerokości.

– Uwzględniłeś poprawkę na prędkość?

– Tak, choć obiekt poruszał się po niemal prostopadłej linii w stosunku do linii ognia.

– Ponieważ się zbliżał, wywnioskowałeś, że nas atakuje.

– Cyklop tak zinterpretował ruch. Nie miałem zastrzeżeń.

– Rozumiem. Zobaczcie – komandor spojrział na załogę, ponownie wskazując ekran. – Przyjrzyjcie się dokładnie. Na pewno mówimy o ataku?

– Dziwne – mruknęła Karen. Nie rozumiała natury zdarzenia, którego przed chwilą byli świadkami, ale podobał jej się wigor Johna. Takim chciała go widzieć.

– Prawda? Na tej stopklatce to dokładnie widać. Rakieta nie trafiła w cel i wybuchła dwa kilometry dalej, bo uderzyła w skałę.

– To rakieta naprowadzana laserowo, z głowicą optyczną, wielokrotnie sprawdzona w realnej walce. Nigdy nie zdarzyło się, żeby nie trafiła w cel, mający cztery metry szerokości – zauważył Wagura.

– Właśnie – zgodził się Higgins. – Gilbert, czy algorytm ma ustawioną poprawkę na zwiększoną grawitację?

– Oczywiście, komandorze.

– Puść dalej film.

Wróciły dźwięki dziwnej, jednostronnej bitwy. Powietrze ciężły świetliste serie. Grzmiały eksplozje. W końcu wszystko ucichło – z wyjątkiem wiatru. Dym rozwiął się. Po basowym dźwięku nie pozostał ślad.

– Nawet pojedynczy pocisk nie trafił – powiedział Higgins.

– To jakiś pieprzony fantom – Karen pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Przecież to jest, kurwa, niemożliwe – krzyknął Wagura, rąbnawszy pięścią w stół, tak że aż wszyscy podskoczyli. – Jeśli coś wydaje dźwięki i przemieszcza się, musi mieć fizyczną postać. Musieliśmy go trafić.

– A jednak tylko zmarnowaliśmy amunicję – po raz pierwszy włączył się do rozmowy Vormann.

Higgins przyjrzał mu się uważnie. Wymięta, poszarzała twarz. Zroszone potem czoło. Wory pod oczami. Włosy w nieładzie. Od momentu wylądowania na planecie postarzał się o kilka lat. Do komandora dotarło, że nie może już na Vormanna liczyć, podobnie zresztą jak na Lori, która zdawała się być całkowicie pogrążona w letargu.

Mógł polegać tylko na Karen i Wagurach. Ale to on był dowódcą. I musiał podjąć jakąś decyzję.

– Gilbert!

– Słucham.

– Wyślesz nagranie dyrektorowi Shermanowi razem z dokładnym opisem sytuacji. Bez żadnych komentarzy, tylko fakty, jasne? I przed wysłaniem dasz mi do akceptacji.

– Tak jest, komandorze.

Znów zapadła cisza. Planeta przyglądała im się z ekranów. Higgins wiele dałby za wiedzę, czy dziwny, odbierany za pomocą słuchu obiekt, jest jej częścią. I czy stanowi zagrożenie.

Lori otworzyła oczy.

– A może, zamiast zastanawiać się, czym jest i jak to zestrzelić, pomyślmy, co nam chce powiedzieć? – zapytała słabym, sennym głosem.

– O czym ty mówisz? – zdumiał się Higgins.

– Dostaniemy wiadomość. A gdy nadejdzie, musimy ją zrozumieć. Musimy ją zrozumieć za wszelką cenę.

## ZIEMIA

Sherman doskonale zdawał sobie sprawę, po jak cienkim lodzie stąpa. Ilość nienaprawialnych błędów, które popełnili, formułując założenia misji, a potem przygotowując ją, znacznie ograniczała pole manewru. Zdawał się być jak bohater jednego z opowiadań Poego, które czytał w młodości. Ściany przesunęły się z każdym dniem, wciąż bliżej i bliżej. W końcu zewrą się i zmiażdżą go albo on sam skoczy w przepaść, wybierając śmierć z własnej ręki.

Tym razem Watkins nie spóźnił się, co więcej, porzucił pełną dystansu minę. Tuż po nim wszedł Kerber. W milczeniu zajęli obok innych miejsca przy stole.

– Panowie, czytaliście raport? – zapytał Sherman, darując sobie wstępy.

– Owszem, niestety – westchnął Watkins.

Kerber nieznacznie kiwnął głową.

– Proszę o opinię.

Watkins chrząknął.

– Chciałbym na początek złożyć oświadczenie. Oficjalne, do protokołu.

Sherman starał się trzymać emocje na wodzy. Nie uważał za potrzebne informowanie naukowców, że tym razem spotkanie nie jest rejestrowane. Chciał

wiedzieć, czy Kerber nadal popiera jego linię. Liczył też po cichu na to, że w toku dyskusji uda się wypracować jakieś rozwiązanie.

– To znaczy?

– Jestem zdania, że powinniśmy skończyć z bezpośrednimi transmisjami z Alfą – oświadczył naukowiec. – Natychmiast. Na razie jest to jeszcze, obrażająca zdrowy rozsądek, farsa. Ale ta farsa za chwilę przerodzi się w tragedię. Mówię śmiertelnie poważnie. Przekaz został wykreowany tak, by podgrzewać emocje do temperatury wrzenia. Opinię publiczną karmi się fałszywymi informacjami albo informacjami zniekształconymi. Krótko mówiąc, obraz misji i zachowań członków załogi jest zmanipulowany. W efekcie uaktywniły się dziesiątki organizacji, bardzo często wysuwających radykalne żądania. Wzburzenie jest tak duże, że w setkach miast doszło do zamieszek. A z nas zrobiono sprawców wszystkich biblijnych plag.

– Przesada – zaprotestował słabo Sherman.

– Tak? Poświęcił pan choć chwilę, żeby pooglądać transmisję?

– Nie mam na to czasu, doktorze.

– Szkoda. Zwłaszcza wieczorne pasmo jest bardzo interesujące.

– To, o czym pan mówi, jest casusem dla socjologów – wtrącił Kerber. Na razie zachowywał się lojalnie. – Dla publicystów. Może dla polityków. Ale nie dla nas. Naszym zadaniem jest dbać o prawidłowy przebieg misji i służyć wszelką pomocą załodze.

– Trafił pan w sedno, kolego – przytaknął Watkins. – Dokładnie o tym mówię. Robienie z załogi durni i szaleńców, z pewnością jej nie pomaga.

– Nikt nie robi z nich durni – zaprotestował dyrektor.

Watkins nie zamierzał ustępować.

– Nie musi mi pan wierzyć na słowo. Powinien pan to obejrzeć, naprawdę. Jeśli pan nie chce – znajdzie pan w sieci masę opinii, wystarczy minuta szukania. Media rozpisują się na ten temat, nawet w poważnej prasie branżowej ukazało się wiele rozbudowanych analiz. To idzie w bardzo złą stronę, panie dyrektorze.

– Nawet jeśli tak jest, nie bardzo wiem, jak wykrzywiony ziemski obraz tego, co dzieje się na Alfie, miałby zaszkodzić załodze.

– Pan udaje, czy naprawdę nie rozumie? Przecież do nich docierają informacje zwrotne, na przykład od członków rodzin. Myśli pan, że to nie wpłynie na

efektywność załogi? Nie spowoduje podziałów? Już nie mówiąc o tym, co będzie, jeśli wrócą – ze skutkami będą mierzyć się wiele lat.

– Panie kolego, przesadza pan.

– Nie sędzę – wydał wargi Watkins. – Streaming powinien zostać zawieszony do odwołania. To moje oficjalne stanowisko.

– Przyjąłem do wiadomości – warknął Sherman. – Zawieszenie streamingu jest niemożliwe; przede wszystkim dlatego, że stanowiłoby działanie niezgodne z umową, panie doktorze – ciągnął nieco spokojniej, mając przy tym świadomość, że zachowuje się idiotycznie. Był w gruncie rzeczy tego samego zdania, co Watkins. Ale musiał brnąć. Musiał. – Real Life wyłożyło dwanaście miliardów dolarów na organizację misji i nie zrobiło tego z altruistycznych pobudek. Dofinansowało nas w zamian za możliwość prowadzenia transmisji na żywo. Janet Lee z pewnością nie będzie chciała słyszeć o wyłączeniu transmisji. A jeśli zrobimy to bez jej woli, wysadzi nas w powietrze. Ma do tego wystarczająco dużo siły, zapewniam.

– Koszmar – powiedział zde gustowany Watkins. – Sprowadzenie eksploracji obcej planety i możliwego kontaktu z obcą cywilizacją do sensacyjnego serialu najniższych lotów.

– Niech pan nie udaje naiwnego. Doskonale pan wiedział od początku, jakie są warunki.

– Na początku rzeczywiście wiele rzeczy wydawało się innych.

– Dobra. – Sherman uderzył palcami o blat, starając się nie widzieć ironicznego uśmiešku przekłętego doktora. – Koniec na tym. Mamy poważniejsze sprawy. Czy incydent, który oglądaliśmy na przysłanym przez majora Higginsa materiale, możemy traktować jako atak?

– Nie. – Kerber wyglądał na całkowicie pewnego swej opinii. – Nawet jeśli założymy, że mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem w jakiś sposób zorganizowanym, to nie miało ono formy materialnej, a na pewno nie było ciałem stałym. Trudno więc zakładać, że posiada zdolności do zadawania ciosów. Incydent nie wywołał żadnych skutków, dokładnie tak samo jak za pierwszym razem, kiedy zaniepokoił zwiadowców przy wraku obcego statku.

– Nie jestem pewien, czy dobrze pana rozumiem. Zakłada pan, że jest to jednak zjawisko naturalne, niepowstałe wskutek działania umyślnego?



– Tego nie wiem.

– Pan przyjmuje, że coś, co nie ma formy ciała stałego, nie może zadać fizycznego ciosu? – zapytał Watkins. – Przecież to nieprawda. Weźmy choćby burzę z piorunami.

– Proszę mnie nie uczyć fizyki, kolego. Doskonale znam mechanizm powstawania wyładowań elektrostatycznych.

– Dobrze, dobrze, panowie – uniósł dłonie Sherman. – Zostawmy teoretyzowanie. Faktem jest, że członkowie misji mieli dwukrotnie do czynienia z pewnym zjawiskiem. Okazało się na tyle, że tak powiem, zauważalne, że wywołało alarm...

– Wywołało, bo Gilbert, za zgodą dowódcy, zmienił algorytm Cyklopa – uzupełnił Kerber.

– Słusznie, że zmienił – prychnął Watkins. – Mieli czekać, aż coś im spadnie na łeb?

– Spokojnie, doktorze. – Sherman spojrzał surowo na obu naukowców. – Wracając do tematu. Obojętnie od intencji zjawiska...

– ...nazywajmy go obiektem... – sprostował Watkins.

– Niech będzie. Obojętnie od intencji obiektu, Cyklop uruchomił obronę. Widzieliśmy skutki. Były zerowe. Rakiety wybuchły kilometr dalej wskutek uderzenia w pobliskie wzgórze. Pociski z broni maszynowej podobnie – poleciały po krzywej balistycznej i wbiły się w ziemię. Po drodze na nic nie natrafiły.

Watkins słuchał ze znudzeniem. Kilkukrotnie oglądał przysłany z Alfya film.

– Moim zdaniem znacznie ciekawsze jest to, co stało się później – orzekł. – Otóż system zarejestrował, że obiekt poruszał się nadal, z tą samą prędkością. I zawrócił dopiero trzydzieści metrów przed bazą. Zawrócił w miejscu i oddalił się po niemal tej samej trajektorii.

– Nic dziwnego – orzekł Kerber. – Powietrze może pan dziurawić dowolną ilością pocisków.

– A więc sugeruje pan, że to był rodzaj chmury?

– Bardzo prawdopodobne.

Watkins po raz pierwszy wyglądał na szczerze zaintrygowanego.

– Ciekawe. Znamy technologię stealth, która pozwala ukryć obiekt przed falami elektromagnetycznymi. Może powinniśmy wyobrazić sobie technologię, która pozwala wyprodukować materiał nieemitujący światła widzialnego? Lub absorbujący je?

– Ponosi pana fantazja, kolego.

– Czy ja dobrze pana rozumiem, doktorze? – chciał wiedzieć Sherman. – Sugeruje pan, że na Alfie lata w powietrzu obiekt, którego nie tylko nie wykrywa radar, ale również wzrok czy kamera?

– Nie wiem. Myślę na głos.

– Bajki – prychnął Kerber.

– Jeszcze do niedawna wydawało nam się, że niemożliwie jest napotkanie obcej cywilizacji.

– Akurat ja niczego takiego nie mówiłem.

– Moment. – Sherman wstał. – Nawet jeśli przyjmujemy, że możliwe jest stworzenie niewidzialnego obiektu latającego, przecież niemożliwe jest, żeby nie został trafiony. Mógł się ukryć przed wzrokiem czy radarem, ale nie mógł się ukryć przed kulą.

– Może potrafi robić uniki.

– Bajki, powiadam.

– Tak? – Watkins spojrział na Kerbera niczym na nieznanego owada. – Niech pan się przyjrzy możliwościom manewrowym naszego najnowszego myśliwca. A potem przemnoży przez pięć.

– Panie kolego, prawa fizyki obowiązują w całym wszechświecie. – Kerber podniósł głos, co było niezwykle, ponieważ na co dzień prezentował stoicki spokój i rzadko się denerwował. Być może Watkins zaczął irytować również jego. – Na Alfie jest grawitacja i to silniejsza od ziemskiej. Przeciężenia przy unikach, wykonywanych z taką prędkością, musiałyby być gigantyczne, niewyobrażalne. Każdy obiekt latający by się po prostu rozleciał.

– Chyba, że ważyłby tyle, co nic – powiedział Sherman.

Przez chwilę milczeli. Watkins wstał.

– Właśnie – mruknął. – Chyba, że ważyłby tyle, co nic.

Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie.

## ALFA

Ruszyli Gepardem godzinę po odwołaniu alarmu.

Wagura zdążył dobrze poznać panujące na planecie warunki, więc nie starał się bić rekordów prędkości jazdy terenowej. Prowadził ostrożnie, starannie wybierając drogę, uważając na rozpadliny i uskoki. Wysoko szumiały drony obserwacyjne. Ripper zataczał szerokie kręgi nieco niżej. Z oddali nad przebiegiem podróży czuwał Gilbert.

Higgins trzymał się mocno uchwytu nad głową (mimo powolnej jazdy pojazd bujał dziko) i w milczeniu kontemplował przesuwany się za pancernym bulajem widok. Uroda planety zdawała się go nie obchodzić; ruchome obrazy rejestrował niejako automatycznie, właściwie bez udziału świadomości. Nie zadawał sobie pytania, czy będzie w stanie zaakceptować to dzikie i nieprzyjazne miejsce jako swój nowy dom. Był przedstawicielem małej, elitarnej grupy, której dane było zrealizować marzenie milionów ludzi. Postawił stopę na obcej planecie. Ale nie czuł z tego powodu dumy. W ogóle niewiele czuł. Myślał o słowach Karen, a także o tym, w jakim stopniu wziął swe nadzieje za rzeczywistość.

Kiedy, już po zakwalifikowaniu się do wąskiego grona kandydatów na astronautów, dowiedział się o pomysłе transmitowania przebiegu wyprawy na żywo, chciał natychmiast zrezygnować z uczestnictwa w misji. W odpowiedzi Karen dała mu do zrozumienia, że wspólny pobyt na planecie może uratować ich małżeństwo. Uczepił się tego argumentu z nadzieją nowo nawróconego grzesznika i w programie pozostał, choć zdania na temat streamingu i Real Life nie zmienił, uważając sam pomysł za jakiś diabelski, cholera wie przez kogo wymuszony kompromis. Przez cały czas szkolenia Karen zachowywała się bez zarzutu, o zdradzie nie wspominała, raz czy dwa dała się nawet namówić na seks. Utwierdzał się w przekonaniu, że wstąpił na właściwą ścieżkę i jeśli nie będzie z niej zbaczał (a nie zamierzał), ich związek nabierze dawnego blasku.

Wczorajsza rozmowa uświadomiła mu jak bardzo się pomylił.

Najwyraźniej Karen miała własną agendę, której treści mógł się tylko domyślać. Jestem zdobywcą, a ty John, posłużysz jako narzędzie realizacji moich ambicji, komunikowała mu (choć obyla się bez takich słów). Jeśli pojawią się przeszkody – usuniesz je. Gdy załoga zacznie się buntować, wymusisz posłuszeństwo. Masz być szefem, ale takim, który spełnia moje polecenia. Tak, John, dobrze zrozumiałeś.

W pierwszej kolejności zajmij się Fantomem. Nieważne czym jest. Może stanowić niebezpieczeństwo. A ja chcę mieć planetę dla siebie.

Jego umysł, jakby odpowiadając na to żądanie, właściwie automatycznie przeskoczył na nowy tor. Fantom. Karen trafiła w sedno. Fantom, duch, ułuda. Strzelali do niego bez żadnego efektu i nie mieli najmniejszego wyobrażenia, czym mógłby być. Żywym organizmem? Sztucznym tworem? Gilbert dużo gadał, gęsto przetykając wypowiedź fachowymi terminami, ale nie umiał podać wiarygodnej hipotezy. Nie potrafił orzec czy i w jaki sposób Fantom może im zagrażać ani jak, ewentualnie, przed nim się bronić. Rady, by wzmocnić środki obserwacji Higgins uznał za żalosne. Co więcej, nie spodziewał się też pomocy z Ziemi. Owszem, Gilbert – zgodnie z poleceniem – wysłał Shermanowi obraz zdarzenia wraz z opisem, ale major nie musiał specjalnie natężyć wyobraźni, by przewidzieć dalszy ciąg. Zbiorą się naukowcy i zaczną dyskusję. Sherman wywrze nacisk, żeby jak najszybciej znaleźć odpowiedzi i będzie go interesowała tylko jedna rzecz – czy Fantom zagraża celom misji. Opinia publiczna, karmiona przez Real Life sensacyjnymi filmami (czasami zapominał, że niemal każdy ich ruch i wypowiedź rejestrują kamery; nie chciał nawet myśleć, jaki przekaz jest kreowany przez speców od manipulowania gustami odbiorców) będzie żądała kolejnych porcji sensacji. Wszystko utonie w kakofonii sprzecznych oczekiwań i opinii. A on, dowódca odpowiedzialny za zrealizowanie celu misji, ale przede wszystkim za swoich ludzi, nie będzie miał pojęcia, co dalej.

I zawiedzie Karen po raz kolejny.

Wagura sięgnął do zamocowanego na suficie wyłącznika i przekręcił go. Znajdujące się na pokładzie Geparda mikrofony zostały zdezaktywowane.

– To co, z tą dziesiątką w tarczy? – zapytał kapitan.

Higgins z trudem wrócił do rzeczywistości, usiłując sobie przypomnieć, o czym mieli rozmawiać. Ach tak. Chińczycy. Prawdziwy cel misji. Mój Boże, jakież to wydało mu się nieważne. Ale faktycznie, Wagura miał rację, wyłączając fonię. To, co miał do powiedzenia, powinno zostać w Gepardzie.

Higgins spojrzał na niego w skupieniu, potem obrócił się w stronę Magdy. Wyglądała na zamyśloną. Krajobrazy za oknem zdawały się jej nie obchodzić.

– Chińczycy poradzili sobie z napędem rakiety – zaczął, a potem w kilkunastu zdaniach opowiedział, czego się dowiedział od Shermana. Wagurowie słuchali

w skupieniu. Gepard parł do przodu, jęcząc na wertepach.

– Tak to wygląda w skrócie – westchnął major. – Najpóźniej za trzydzieści miesięcy wyląduje tu osiemnastu Chińczyków.

– Wiedzieliśmy, że prędzej czy później przylecą –Wagura nie wydawał się specjalnie przerażony.

– Jasne. Ale musicie wiedzieć coś jeszcze. Oni nie będą naukowcami ani kolonistami. Będą żołnierzami, przygotowanymi do walki.

– My też jesteśmy – zauważył kapitan z zaczepką w głosie.

Higgins milczał. Jego niepewna mina nie umknęła uwadze Magdy. Na Ziemi kilkakrotnie próbowała dowiedzieć się, dlaczego tak wielką wagę przykładają do wyszkolenia wojskowego członków misji. Nie doczekała się odpowiedzi, którą mogłaby uznać za satysfakcjonującą. Zbywano ją ogólnikami wprost z reklamowych folderów, opowiadając o konieczności wszechstronnego przygotowania załogi do stawienia czoła nieznanemu.

– Aero Space przysłało żołnierzy i jakoś tak dziwnie się składa, że Chińczycy też przysłał żołnierzy – stwierdziła. – Ale ponieważ jesteśmy pierwsi, mamy bronić stanu posiadania, prawda?

Higgins odwrócił twarz. Nie był pewien swojej mimiki. Od rana bił się z myślami, czy i w jakim stopniu wtajemniczyć Wagurów w aktualny stan rzeczy. Przed odlotem Sherman zapewniał ich, że osiągnięto porozumienie z Chińczykami w kwestii podziału wpływów, ustalono nawet, które terytoria planety strony obejmą w posiadanie.

– Z pewnością – powiedział ostrożnie – nie jest tak, jak nam mówiono.

– To znaczy?

– Chińczycy chcą całej Alfę – odparł Higgins.

– Naszej części też? – zainteresował się Wagura.

– Tak wynika z doniesień wywiadu.

– Przecież podobno się dogadali.

– Tylko, najwyraźniej, już po odlocie Polaris, okazało się, że w naszej części odkryto coś, co ich bardziej podnieca, Jasiu – wtrąciła zgryźliwie Magda, po czym ponownie zwróciła się do Higginsa. – Uran? Ropa?

Komandor skrzywił się.

– Wyobrażasz sobie transport ropy na takie odległości?

– Ja nie, ale ja nie jestem fachowcem. Więc co, uran?

– Nic nie wiem na temat nowych pierwiastków czy surowców – przyznał cicho Higgins. – Najwyraźniej Chińczycy postanowili po prostu zagrać o całą pulę. Chcą nas odciąć od surowców i osłabić jeszcze bardziej. To jest ich cel.

Magda wyglądała na wkurzoną. John nie dziwił się jej.

– Powiedz: wiedziałeś wcześniej?

– Nie – zapewnił. – Sherman twierdził, że wszystko jest dogadane, każdy bierze swój kawałek tortu i nie zagląda innym do talerza.

– Sherman jest tylko wykonawcą woli politycznej Waszyngtonu i Brukseli – prychnęła Magda. Higgins zgadzał się: rozgrywka toczyła się na znacznie wyższym szczeblu niż poziom dyrektora Aero Space. Politycy zawsze mieli własne cele.

– Może masz rację. Może nas po prostu oszukano. I jego też.

Wagura przyspieszył. Wstrząsy stały się trudne do wytrzymania.

– Mamy wydobywać surowce i jednocześnie bić się z Chińczykami – warknął. – A to wszystko w obecności Fantoma, który nie wiadomo czym jest i jakie ma pomysły.

– Jeszcze jakieś złe wieści? – zapytała Magda.

Gepard podskoczył. Higgins nie zdążył odpowiedzieć. Uderzył hełmem o ścianę. Ochronniki słuchu leżały obok. Teoretycznie w Gepardzie nie były potrzebne. Przez chwilę był głuchy.

– Gilbert nie gra w drużynie – oświadczył, gdy dzwonięcie w uszach nieco się zmniejszyło. – Ktoś dobrał się do jego programu. Umieścił folder, który nie wiadomo co zawiera ani kiedy się uruchomi. I związał go z Cyklopem w taki sposób, że jeśli go wyłączymy, zdejmujemy też obronę.

– Cwane – zagwizdał z podziwem Wagura.

– Ziemia pracuje nad usunięciem tego folderu.

– Jeśli ktoś dostał się do tak mocno zabezpieczonego komputera, zadbał, żeby to nie było takie proste.

– Sherman twierdzi to samo. Ale ja uważam, że zawsze jest jakieś wyjście.

– Okej. Co zrobimy, kiedy Gilbert obróci się przeciwko nam?

– Jak dobrze znasz Cyklopa?

Wagura prychnął.

– Wiem to i owo. Testowałem go.

– Jaką rolę w systemie pełni Gilbert?

– Cyklop ma swój BMS, system zarządzania polem walki. Żeby to, co mówisz, miało sens, ktoś musiał go zastąpić Gilbertem.

– Czyli Gilbert przejął rolę BMS-a, stratega i mózgu obrony.

Wagura przytaknął.

– Chcesz odłączyć Gilberta? – zapytała Magda.

– Ziemia odradza, mówi, że jeśli to zrobimy, Cyklop oślepie – odparł Higgins.

– Chciałbym sprawdzić, czy to prawda.

– Jeśli nie da się przywrócić BMS-a, mogę spróbować przepiąć sensory do odrębnego systemu – odezwał się Wagura po chwili namysłu. – Jeżeli odzyskamy świadomość sytuacyjną, efektorami, od biedy, da się sterować ręcznie.

– Musielibyśmy trzymać dyżury.

– Lepsze to niż ślepotą. Jeśli wprowadzisz Vormannów, poradzimy sobie.

– Jeśli już, mogę wprowadzić tylko Petera – skrzywił się Higgins. – Lori nie jest w stanie pełnić służby.

– Nadal ma złe wyniki morfologii?

– Złe. Sami widzieliście jak to wygląda. Jest bardzo słaba.

– Co mówi Gilbert?

– Dużo i uczenie, ale nic konkretnego.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Teren stał się równiejszy, drzewopodobnych roślin, niższych i bardziej rozłożystych niż na wyżynie, przybyło, wysoko nad pojazdem zaczął szybować latający stwór o jednej parze trójkątnych skrzydeł i okrągłym pysku; nie wykazywał agresywnych zamiarów, Ripper jednak przybliżył się, gotów w każdej chwili do otwarcia ognia.

– Naprawdę myślisz, że on działa przeciw nam? – zapytała Magda.

– Pewien nie jestem – odparł Higgins. – Ale nagle zrobił się bardzo ostrożny, przestrzega przed kontaktem z Obcymi, wprost sugeruje, że powinniśmy rozważyć powrót. Jakby strach go obleciał.

– Absurd – zachnął się Wagura. – To maszyna.

– Mówię w przenośni. Jasne, że ktoś go tak zaprogramował.

Latające stworzenie zmieniło kurs i oddaliło się. Ripper wrócił do zataczania obszernych kręgów wzdłuż trasy przejazdu Geparda.

– To niestety nie koniec – ciągnął Higgins. – Sonda wykryła życie na Becie.

– John, wyłącz tę pieprzoną kroplówkę, dobra? – zażądał Wagura. – Od tego dozowania złych informacji dostanę wylewu.

– Sorry. Więcej nie będzie. Obejrzycie sobie zdjęcia. Nie ma wątpliwości. Widzieliśmy coś w rodzaju kosmodromu. Albo lotniska. Całkiem możliwe, że zagadka obcej obecności na Alfie nam się właśnie rozwiązała.

– Kurwa mać! – Twarz Magdy poczerwieniała. – Przecież to jakaś farsa. Nic nam nie powiedziano, niczego nie zbadano... Beta nie jest tak daleko. Można było kazać sondzie zrobić rekonesans, zanim przylecieliśmy. Można było nas przygotować, dać narzędzia komunikacji, cokolwiek.... Ale nie, oczywiście, to zbyt skomplikowane jak na rozum naszych mędrców.

Zamilkli.

Higgins oczywiście przyznawał Magdzie rację. Misja miała jasno wytyczony cel, ale źle sprofilowane założenia. Uznano, że kłopoty Chińczyków z napędem głównym rakiety nośnej w zasadzie rozwiązują kwestię rywalizacji na korzyść Aero Space. Przed odlotem Sherman jasno zakomunikował Higginsowi, że Chińczycy przestali się liczyć. Należy skupić się na eksploatacji złóż i transporcie surowców na Ziemię. Jak zwykle nie doceniono determinacji konkurencji. Co jeszcze gorsze, kierownictwo Aero Space nie wzięło pod uwagę obecności na Alfie przedstawicieli obcej cywilizacji, zaawansowanej technologicznie na tyle, by latać w kosmos i stworzyć Fantoma. To on stanowił prawdziwe zagrożenie – a nie, mający przybyć za trzydzieści miesięcy, Chińczycy.

Karen miała rację. By osiągnąć cele misji potrzebne było silne przywództwo.

Wagura zahamował gwałtownie. Coś chrupnęło potężnie, Gepard zakołysał się, po czym w akompaniamencie piekielnego wizgu gąsienic stanął. Kapitan wyłączył silnik. Od razu usłyszeli wiatr.

– Jesteśmy – oznajmiła Magda. Złość jej przeszła, powrócił za to niepokój, stary znajomy. Żołądek zaczął ćmić, w płucach rozpoczął pracę filtr, utrudniający oddychanie.



Higgins założył maskę. Otworzył górny właz, podciągnął się i usiadł na dachu wieży. Dopiero teraz uważniej przyjrzał się otoczeniu: nierównym, strzelistym szczytom, pofałdowanemu, usianemu uskokami piargowi, ciągnącemu się po lewej stronie na kilometr, grupie roślin z daleka podobnych do palm, tyle, że bardziej przysadzistych i niewielkiemu stadu sześciokończynnych zwierząt, które na widok pojazdu nie uciekały ani nie podejmowały próby ataku, a przyglądały mu się ciekawie, zastygając w bezruchu.

Lekko obrócił głowę w prawo. Sto metrów dalej zobaczył gęsty, zbity las.

I wrak.

Głośno przełknął ślinę. Podłużny, wrzecionowaty kształt odcinał się czernią od ściany zarośli. Nie przypominał żadnej ze znanych ziemskich konstrukcji. Jeśli John Higgins chciał kiedykolwiek zobaczyć namacalny dowód, że istnieje w kosmosie pozaziemskie życie rozumne, teraz właśnie miał go przed oczyma.

Wyciągnął nogi na zewnątrz wieży, po czym zeskoczył na ziemię. Wylądował ciężko (zapomniał o zwiększonym ciężeniu), stopy szarpnęły bólem. Nie zwrócił na to uwagi, w dalszym ciągu nie odrywając wzroku od wraku.

Magda i Jan stanęli obok. Wagura podążył spojrzeniem za dowódcą. Kadłub zrobił na nim równie imponujące wrażenie, co za pierwszym razem, może nawet wydawał się większy.

– A więc tak wygląda obca cywilizacja – mruknął Higgins.

– Widziałeś bazę na Becie... – powiedziała Magda.

– Co innego oglądać zdjęcia przesłane z dwudziestu pięciu milionów kilometrów, co innego mieć przed oczami takiego kolosa – odparł komandor. – Chodźcie, chcę zobaczyć go z bliska.

Szli obok siebie, z bronią gotową do strzału. Wrak potężniał z każdym krokiem. Ułożone w idealnie geometryczną mozaikę płyty pancerza mieniły się w słońcu grafitem. Cztery sterzące z końca kadłuba rury dysz dawały pojęcie o mocy systemów napędowych statku.

Gdy znajdowali się w połowie drogi do celu, mózg Magdy zaczął rezonować.

Miała na uszach (jak wszyscy) ochronniki słuchu, które za pomocą wbudowanych czułych mikrofonów i zaawansowanej elektroniki pozwalały komunikować się głosowo na bliskich dystansach, używać radia na dalszych, a co najważniejsze, odcinać dźwięk i chronić bębenki w razie, gdy natężenie hałasu –

wskutek na przykład eksplozji lub wystrzału – przekraczało osiemdziesiąt decybeli. Dzięki temu nie głuchli podczas prowadzenia ognia.

Teraz jednak nie słyszała niczego z zewnątrz. To wewnątrz czaszki miotało się we wszystkie strony milion małych, stalowych kulek, odbijając się od siebie i szukając drogi ucieczki. Niezwykle dziwne zjawisko, dolegliwe (nie sądziła, by mogła je długo wytrzymać), choć w pewien sposób intymne, bardzo wewnątrz – a jednocześnie, paradoksalnie, mające źródło poza nią. Do tej osobliwości dołączyło mrowienie szczęki, które po chwili przerodziło się w drętwotę, obejmującą całą dolną część twarzy, czyniąc ją właściwie sparaliżowaną.

A potem usłyszała, przebijający się przez szum wiatru, basowy dźwięk wielkiego trzmiela – potworne, frenetyczne brzęczenie, od którego podnosił się włos na głowie. Narastało i narastało, szybko stając się nie do zniesienia. Ogarnęła ją panika. Miała pewność, że ów niewidzialny trzmiel jest wszędzie, oplata ją szalenie, nie zostawia drogi ucieczki.

Szarpnęła się w tył. Kątem oka widziała, że jej towarzysze zastygli w pół kroku. Oni również usłyszeli nieproszonego gościa. I tak jak ona, po sekundzie, zaczęli się cofać.

W słuchawkach zawył alarm. Ripper ryknął silnikiem i zapikował.

Błysnęły dwie smugi hipersonicznych rakiet, które po sekundzie wybuchły nieopodal z gromowym hukiem. Zagrzmiało działko.

– Do tyłu! Do tyłu! – krzyknął Higgins. – Do Geparda!

Zaczęli biec, słysząc tylko bicie własnych serc.

Kanonada umilkła – widać system zarządzający Ripperem uznał, że nie ma do czego strzelać. Magda zatrzymała się. Stalowe kulki najprawdopodobniej znalazły drogę ucieczki z jej mózgu. Szczeka przestała drętwieć.

Fantom buczał na granicy słyszalności. Nie zmieniał położenia. Magda nabrała jakiejś dziwnej pewności, że przygląda im się uważnie.

– Stójcie – krzyknęła. Nie potrafiła powiedzieć, co ją do tego pchnęło. Bała się znacznie bardziej niż podczas jazdy, ale instynkt podpowiadał jej, że powinni poczekać na ciąg dalszy.

Patrzyła w skupieniu w stronę wraku.

Obaj mężczyźni stanęli. Higgins podążył za jej spojrzeniem.

– Lepiej wróćmy do Geparda – zasugerował Wagura.

Dowódca ani drgnął.

– John? – powtórzył kapitan, ale zamilkł, ponieważ zerknął w górę i natychmiast zrozumiał powód, dla którego oboje nie zareagowali na jego ponaglenia.

Niebo nad wrakiem i lasem było ciemne, niemal granatowe. Tym wyraźniej widzieli, odcinający się na jego tle, ogromny trójkąt, jarzący się czerwonozielonym blaskiem. Pulsował łagodnie, ciemniejąc i jaśniejąc w regularnych interwałach. Zdawał się być zawieszonym w powietrzu, kolorowym hologramem i wyglądał zupełnie niegroźnie – Magda jednak poczuła, że uginają się pod nią nogi. Żołądek zaczął fikać koziółki, zaszumiało jej w głowie, po plecach popłynął zimny pot.

Instykt krzyczał, że za chwilę wydarzy się coś przerażającego.

Obraz zbladł, nie zniknął jednak zupełnie. Trójkąt stracił regularność, kontury stały się rozmyte, nieostre. Wyglądał jakby rozwiewał go wiatr. Chwilę później, stopniowo, niespiesznie, z coraz mniej wyraźnego kształtu wyłonił się inny: obłe, podłużne wrzeciono statku kosmicznego.

Basowy pomruk w ciągu sekundy nasilił się do ogłuszającego poziomu. Nagle, wśród potwornego trzasku, niebo przeszło wyładowanie elektryczne, które rozjaśniło całą okolicę trupim, nienaturalnym blaskiem. Zaraz potem huknął gromowy grzmot, a ziemia eksplodowała wulkanem ognia i dymu, który zrazu rozpełzł się na boki, by po chwili zacząć pięć się w górę, ku niebu.

Grzmot trwał i trwał; cichł stopniowo, odbijany echem od niedalekiej ściany skał.

W końcu zamilkł zupełnie. Ucichł też basowy pomruk wielkiego trzmiela.

Pracowity wiatr zaczął rozpędzać dym.

\*\*\*

Karen wpatrywała się w największy z ekranów przerażonym wzrokiem. Widziany w pionowym skrócie teren całkowicie pokrywał ciemny, postrzępiony obłok. Odzyskany przed chwilą obraz (wcześniej przez pół minuty monitor jaśniał szarym, ziarnistym obrazem zakłóceń) kołysał się i drgał: prąd powietrza, uruchomiony wybuchem, szarpał latającym na dwustumetrowym pułapie dronem.

– Baza do zwiadowców – mówiła gorączkowo do zawieszzonego przed ustami mikrofonu. – John, zgłoś się.

Odpowiedziało jej milczenie, zakłócone tylko lekkimi trzaskami wyładowań elektrostatycznych.

– John, zgłoś się – powtórzyła, walcząc z ogarniającą ją paniką.

Przez chwilę wsłuchiwali się w ciszę, próbując wyłowić z niej choć okruch życia.

– Gilbert, masz łączność przez satelitę? – zapytał Peter.

– Przekaznik satelitarny działa poprawnie – odparł komputer. – Coś blokuje sygnał.

– Fantom – warknęła Karen.

Milczenie Gilberta uznała za potwierdzenie. Słyszeli przecież basowe, przyprawiające o ból głowy brzęczenie, widzieli dziurawiące powietrze Rippera.

– Potrafisz odtworzyć to, co działo się w czasie, gdy oślepiśmy?

– Zakłócenia elektromagnetyczne uniemożliwiają odtworzenie.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Kapitan Higgins odwróciła się na pięcie i wybiegła z pomieszczenia operacyjnego.

– Karen, dokąd idziesz? – zawołał za nią Vormann.

Usłyszał szum drzwi, po chwili zagrał silnik Geparda. Vormann złapał mikrofon.

– Karen! – zawołał. – Karen, posłuchaj mnie! To nie ma sensu. Musimy najpierw wiedzieć, co się stało.... Karen!... Karen!... Szlag by to trafił!

Rzucił ze złością mikrofon na blat.

– Gilbert, masz łączność z którymś z dronów, ubezpieczających zwiadowców?

– Nie – odparł komputer. – Wystrzeliłem dodatkową jednostkę zwiadowczą. Będzie na miejscu za pięć minut.

– Melduj na bieżąco.

– Oczywiście, kapitanie.

Niemal podskoczył, gdy poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Lori była blada i miała podkrążone oczy. Wydawała się krucha i bezbronna. Ale patrzyła przytomnie.

– Nadeszła, prawda? – zapytała.

– O czym ty mówisz?

– Wiadomość. Nadeszła wiadomość.

– Nie dostaliśmy żadnej wiadomości.

Przypatrywała się obrazowi na ekranie.

– To nie jest zwykła mgła. To nie są zwykłe chmury. To znak. Ostrzeżenie.

– Lori...

– Kapitanie – wtrącił się Gilbert. Vormann dałby głowę, że w jego głosie usłyszał nieudawane zaniepokojenie. Czy obdarzona sztuczną inteligencją maszyna może się bać? – Nasza sonda wysłana na Betę nawiązała łączność, po czym została zniszczona.

– Zniszczona?

– Ostatni meldunek wizualny ukazywał pocisk, zbliżający się z prędkością blisko czterdziestu kilometrów na sekundę. Potem kontakt się urwał. Jako miejsce wystrzelenia pocisku trajektoria wskazuje Betę.

Peter spojrzał na żonę. Lori uśmiechnęła się łagodnie.

– Oni właśnie powiedzieli, że sobie nas tu nie życzą – powiedziała. – Mamy się wynosić. Mamy natychmiast wracać, skąd przylecieliśmy.

## ROZDZIAŁ 5

### MAJ 2037 ROKU / ALFA

Bogart pocił się i kłął pod nosem.

Dwa ciała leżały na podniesionych na maksymalną wysokość łózkach, ustawionych pośrodku laboratorium medycznego, przekształconego tymczasowo w prosektorium. Sierżant dałby wiele, by móc obetrzeć zroszone potem czoło, ale ściśle przylegająca do twarzy maska nie pozwalała na to. Nie narzekał jednak: dzięki niej, a także rozkręconej na maksymalną moc wentylacji, w wypełnionym trupimi wyziewami pomieszczeniu, dało się w ogóle pracować. Drażnił go upał, denerwowało popiskiwanie aparatury, irytowała ciężka, niewdzięczna robota, która musiała być wykonana. Mimo zmęczenia i irytacji starał się jednak być precyzyjny i nie zaniedbać niczego, co istotne. Podobnie jak inni liczył, że dobrze przeprowadzona sekcja da odpowiedź na wiele nurtujących ich pytań.

Drzwi laboratorium rozsunęły się z szumem. Biało odziana postać wkroczyła do środka.

– Cześć, sierżancie – przywitał się stłumionym przez filtr głosem Finagan.

– Czołem, kapitanie – odparł Bogart, obrzucając go uważnym spojrzeniem. – Sprawdził pan szczelność maski i kombinezonu? Przepraszam, że pytam, ale nieźle się namordowałem, żeby nie doszło do kontaminacji próbek. Nie chcę, żeby teraz coś się spieprzyło.

– Wszystko jest szczelne – zapewnił go kapitan. – Jak idzie?

Bogart westchnął.

– Na razie wiem tyle, że to mężczyzna i kobieta.

– Zidentyfikujesz ich?

– Za dwa, trzy dni powinienem coś wiedzieć.

– Tak długo? – zdziwił się Finagan.

– Tu nie ma drogi na skróty – odparł urażonym tonem sierżant. – Musiałem pobrać próbki tkanek i bardzo się postarać, żeby były czyste, a potem dodać odczynniki, powodujące rozpad osłon komórkowych. To trwa. Dopiero jak się pokaże czyste jądro komórki, wydobędę DNA i przeniosę do maszynki, która je odseparuje od biochemicznych śmieci, powstałych w poprzednich etapach. Potem oczyszczone DNA namnożę, żeby mieć więcej materiału porównawczego. Potem zastosuję elektroforezę... Nie nudzę pana?

– Ważne, że ty się nie nudzisz, Bogart.

Sierżant zaśmiał się nerwowo.

– W pewnym sensie mieliśmy szczęście, że pochowano ich w ziemi – stwierdził. Było mu coraz bardziej gorąco. – Zwłoki są lepiej zachowane. Gdybyśmy wyciągnęli je z wody na przykład, nie miałbym czego badać.

– Taaa, mieliśmy kupę szczęścia. Co jeszcze?

– Domyślam się, jak zginęli – oznajmił Bogart, po czym podniósł z bocznego blatu okrągły, czarny przedmiot wielkości piłki tenisowej, który wyglądał jak okopcony w ognisku kamień. – Widzi pan?

Kapitan przełknął ślinę.

– Co to jest?

– To akurat wątroba – stwierdził Bogart, bez powodzenia starając się zachować obojętność. – Każdy organ wewnętrzny tak wygląda. Nerki, płuca, serce. Dosłownie wszystko.

Finagan z uwagą przyglądał się znalezisku, które niemal ginęło w przypominających obcegi dłoniach sierżanta.

– Jakby ktoś ją wrzucił do garnka z wrzątkiem – stwierdził.

– Kiedyś widziałem faceta, który został porażony prądem o natężeniu stu amperów. Wyglądał podobnie.

– Myślisz, że tych ludzi porażono prądem?

– Na przykład. Albo laserem. Albo jakimś innym rodzajem energii, która ich ugotowała od środka.

– Boże...

Milczeli przez chwilę. Finagan przypatrywał się dwóm ciałom, tak mało podobnym do istot ludzkich. Ziściły się jego najgorsze obawy. Nabrał niemal

całkowitej pewności, że pozostałych członków załogi również nie znajdą żywych.

– To było to samo, co załatwiło Geparda? Fantom? – zapytał.

– Bardzo możliwe, szefie. Bardzo możliwe.

## **GRUDZIEŃ 2034 ROKU / ALFA**

Chmura, sina, miejscami czarna, nadal przesłaniała widok, ukrywając wrak statku, zwiadowców i Geparda. Wiatr przeganiał ją, ale czynił to bez przekonania, jakby nagle utracił większość ze swej drapieżnej siły.

Drugi Gepard, prowadzony przez Karen Higgins, zbliżał się do chmury. Obraz na powrót stał się wyraźny i czysty.

– Gepard Dwa, zgłoś się. Karen, proszę, odpowiedz. – Vormann ścisnął mikrofon tak mocno, że pobiełały mu palce.

Z głośnika wydobywał się ryk silnika, pracującego na wysokich obrotach i zgrzyt gaśienic. Po chwili, w końcu, odezwała się Karen.

– Muszę ich znaleźć, Peter.

– Nie wiemy, czym jest ta chmura. To zbyt niebezpieczne.

– Sensory nie wskazują skażenia radioaktywnego ani substancji trujących.

– Nasze sensory... niekoniecznie muszą być stuprocentowo pewne. Poszukamy ich zdalnie.

– Jeśli oni mają zdolność blokowania naszej łączności, mogą oddziaływać na elektronikę dronów.

– Karen...

Gepard wjechał w chmurę.

– Widzę Geparda! Idę tam! – usłyszeli.

Łączność jednak funkcjonowała nadal.

Peter zerknął na Lori. Z uwagą wpatrywała się w ekran. Wyglądała na osobę, która wie, co wydarzy się za chwilę.

Dobiegający z głośnika dźwięk silnika ucichł. Usłyszeli trzaśnięcie odpinanych pasów, szelest kombinezonu, kroki.

– Karen! Nie wychodź! – krzyknął do mikrofonu. – To zbyt niebezpieczne.



– Tam jest mój mąż, po prostu idę po niego!

Usłyszeli jak Amerykanka przeładowuje karabin, a potem otwiera włącznik.

– Odpalam kolejny zespół wsparcia – zakomunikował beznamiętnie Gilbert. – Ripperowi zaprogramowałem tryb autonomiczny. Nad chmurą umieszczam dwa drony zwiadowcze.

Trzy stłumione detonacje startujących silników wstrząsnęły bazą. Bezzałogowy zespół bojowy wzbił się w powietrze i pognał na zachód.

Vormann nakazał sobie spokój.

– W porządku. Baza do kapitan Higgins. Karen, słyszysz mnie?

Odpowiedziała mu cisza i ciche trzaski elektrostatyczne.

– Karen, odezwij się. Mów do mnie.

Cisza.

Znów spojrzał na Lori. Miała nieodgadnioną minę.

– Ona zginie? – zapytał.

– Nie wiem – odparła. – Możliwe.

– A zwiadowcy? Nie żyją?

– Myślę, że to było tylko ostrzeżenie.

– Chmura rozwiewa się – zameldował Gilbert.

Peter zerknął na ekran. Rzeczywiście, widoczność poprawiła się nieco. Dostrzegł zarysy obu ciężkich pojazdów. Stały niedaleko od siebie i wyglądały na nieuszkodzone.

– Tu Baza, kapitan Higgins, zgłoś się – powtórzył wezwanie Gilbert.

Nikt nie odpowiedział.

Nagle Peter dostrzegł zarysy niewyraźnych sylwetek.

– Zgłaszam się – usłyszeli zasapany głos Karen. – Zwiadowcy cali i zdrowi. Oba Gepardy sprawne. Wracamy do bazy.

Peter odetchnął z ulgą.

– Coraz lepiej się bawimy, psiakrew! – burknął pod adresem ekranu.

Wyłączył mikrofon, po czym opadł na fotel, pełen dziwnego, obojętnego zniechęcenia.

Lori bezszelestnie wyszła z pomieszczenia. Nawet tego nie zauważył.

Myślał tylko o tym, by ich powstrzymać. Powstrzymać za wszelką cenę.

## ZIEMIA

Od spotkania z naukowcami minęły dwa dni i nikt nadal nie znał odpowiedzi, czym może być zjawisko, nazwane przez załogę misji Polaris Fantomem. Rada Dyrektorów Aero Space pilnie oczekiwała diagnozy, przede wszystkim chcąc jasnej deklaracji, czy misji zagraża niebezpieczeństwo. Kwestię tę uważali za kluczową, sama natura Fantoma mniej ich obchodziła. Mieli na uwadze wyłącznie skutki praktyczne. Sherman rozumiał ich, ale i tak czuł się zniesmaczony brakiem naukowej dociekliwości. Jego zdaniem Fantoma należało zbadać wszechstronnie, wiedzieć o nim wszystko. Każdy szczegół miał znaczenie, choć dyrektor oczywiście kwestii bezpieczeństwa nie lekceważył. Żywił osobisty stosunek do członków załogi. Podczas rekrutacji i szkoleń dobrze ich poznał. Chciał, by nic im nie zagrażało.

Z zamyślenia wyrwał go, dochodzący z głośnika interkomu, głos sekretarki.

– Panie dyrektorze, przyszedł agent Moses z FBI.

Sherman przez chwilę nie miał pojęcia, o czym ta kobieta mówi. Moses? FBI? Po czym przypomniał sobie niedawne nagłówki gazet. Ach tak, FBI. Senator Kellog.

– Niech wejdzie – mruknął.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i stanął w nich wysoki, obcięty na krótko, barczysty mężczyzna. Sylwetka zdradzała wojskową przeszłość. Brązowe oczy patrzyły spokojnie.

– Przepraszam za niespodziewane najście, postaram się streszczać – oświadczył, siadając w fotelu. – Chciałbym zadać kilka pytań dotyczących senatora Kelloga.

– Oczywiście... Jeśli będę mógł pomóc.

– Jakiego typu relacje panów łączyły?

– Senator, jako przewodniczący komisji wywiadu miał w swoich obowiązkach monitorowanie statusu misji Polaris. Raz w tygodniu dostawał raport. Ale często zdarzało się, że dzwonił, żeby dopytać o jakiś szczegół.

– Zwracał na coś szczególną uwagę?

– Sporo tego było. Pytał o zabezpieczenie wyprawy. O zapasy. Interesowało go, jak załoga znosi rozłąkę z rodzinami, jak sobie radzi w obcym świecie. Wydaje mi się zresztą, że nie robił tego tylko z poczucia obowiązku, ale przede wszystkim z przekonania, że misja służy nam wszystkim, całej ludzkości.

Moses nie dał po sobie poznać, czy traktuje ostatnią uwagę serio.

– Coś jeszcze?

– Nie wydaje mi się.

– A Real Life?

Sherman zrobił się bardzo ostrożny.

– O co pan pyta? Czy senator interesował się Real Life? Nie.

– Na pewno?

– Real Life to tylko przekaźnik informacji – oświadczył dyrektor z naciskiem. – Pas transmisyjny z Alfy na Ziemię.

Moses wstał i zaczął krążyć po gabinecie. Sherman musiał wykręcać głowę, by nie stracić go z oczu.

– Panie Sherman, wyjaśnijmy sobie coś. Pan wie i ja wiem, że misja Polaris nie jest zwykłą misją badawczą. Obaj wiemy, co jest jej prawdziwym celem i jakie będą skutki, gdy cel ten nie zostanie osiągnięty. Doskonale pan sobie zdaje sprawę, że Real Life nie jest zwykłym inwestorem.

– Tak? – bąknął dyrektor agencji, starając się pokazać, że ten temat go niezbyt interesuje. Ale Moses zmierzał wprost do celu i nie zamierzał wychodzić, dopóki go nie osiągnie.

– Rozumiem, że czuje się pan zobowiązany do lojalności – powiedział cicho. – Ma pan za sobą trzydziestoletnią karierę w NASA i opinię bardzo zdolnego inżyniera. Misja Polaris jest ukoronowaniem pańskiego zawodowego życia. Zgodził się pan na kompromis, jakim było dopuszczenie Real Life, bo wytłumaczono panu, że inaczej się nie da. Chce pan zostać lojalny wobec umowy, ale to nie znaczy, że pan pochwała ten układ. Powiem więcej: myślę, że w głębi ducha uważa go pan za coś w rodzaju paktu z diabłem. I gdyby to od pana zależało, pogoniłby pan Janet Lee w cholerę. Mylę się?

– To nie takie proste – Sherman zaprotestował słabo, dając jednak do zrozumienia, że gość się nie myli.

– Oczywiście, że nie – uśmiechnął się Moses krzepiąco. – Takie decyzje nigdy nie są proste. Obowiązuje pana tajemnica. Ale ja jestem po pańskiej stronie.

– Po mojej stronie?

– Proszę, tu jest moja wizytówka – Agent podał Shermanowi biały kartonik. – Po prawej, na dole, ma pan numer Marka Waltenbergera. To zastępca dyrektora FBI do spraw operacyjnych. Może pan sprawdzić nazwisko na stronie Biura. Proszę do niego zadzwonić i zapytać o zakres moich kompetencji.

Sherman odetchnął głęboko, po czym przycisnął guzik interkomu.

– Mary, znajdź proszę numer do zastępcy dyrektora do spraw operacyjnych w FBI... Masz? Mark Waltenberger? Okej, połącz mnie z nim proszę.

Wziął słuchawkę do ręki. Przez chwilę słuchał sygnału. Po trzecim ktoś odebrał.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Mówi Bill Sherman, jestem szefem misji Polaris. Jest u mnie jeden z pańskich ludzi.... Tak, zgadza się – Moses... Prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa senatora Kelloga, ale pyta mnie również o rzeczy, które dotyczą w zasadzie wyłącznie AeroSpace...Tak. Tak. Rozumiem...W porządku... Mnie również. Dziękuję. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę, po czym przyjrzał się Mosesowi. Agent nie sprawiał wrażenia, by cokolwiek odbiegało od codziennej rutyny. Przełamywanie oporów rozmówców stanowiło dla niego chleb powszedni.

– Na czym skończyliśmy? – zapytał Sherman.

– Czym senator interesował się szczególnie?

– Pytał, kto podjął decyzję o dopuszczeniu Real Life do udziału w misji.

– I co mu pan powiedział?

– Zgodnie z prawdą, że nie wiem. Mnie tę decyzję zakomunikował szef NASA. I niespecjalnie się tłumaczył, chociaż protestowałem, bo dokładnie zdawałem sobie sprawę, że mieszanie komercyjnego serwisu z poważną sprawą, jaką jest pozaukładowa misja kosmiczna, nie jest dobrym pomysłem, że tak eufemistycznie to nazwę.

– Czy senator zdradził, dlaczego go to interesuje?

– Chciał wiedzieć, kto stoi za tym poronionym pomysłem.

– Tak się wyraził: „poronionym”?

– Dodatkowo nazwał go szkodliwym.

– Czy wspominał w tym kontekście jakieś nazwiska? Mówił o swoich podejrzeniach?

– Nie. To raczej on pytał. Nie byliśmy na takiej stopie, żeby dzielił się ze mną prywatnymi opiniami.

– Czy mówił coś o Dicku Morganie?

– Mówię panu, że nie wymieniał żadnych nazwisk. Dyrektora CIA również. Moses westchnął.

– No dobrze. Jaki ma pan wpływ na informacje przekazywane w transmisjach Real Life?

– Pyta pan, czy mogę zakazać pokazywania czegoś?

– Na przykład.

– Mam prawo weta wyłącznie w sytuacji, gdy zagrożone jest bezpieczeństwo załogi. Poza tym Real Life ma pełną swobodę w kształtowaniu przekazu.

– Czyli żadnego wpływu?

– Nie mam gazu ani kierownicy. Tylko hamulec w szczególnych przypadkach. Nie mogę niczego im narzucić.

– To trochę tak, jak by pana wypchnięto na ring i pozwolono boksować tylko jedną ręką. Dziwne, że się pan zgodził.

– Nie miałem nic do gadania, tłumaczę panu – odparł zniecierpliwiony Sherman. – Gdybym się nie zgodził, wzięto by kogoś innego, kto nie byłby tak zasadniczy. Staram się przemawiać do rozsądku Janet Lee...

– Współczuję. Ostatnie pytanie. Twierdzi pan, że ma prawo weta w szczególnych sytuacjach. Czyli może pan obejrzeć przekaz, zanim zostanie wyemitowany?

– Owszem. Wie pan, tak samo dobrze jak ja, iż slogan, że to wszystko idzie na żywo, tak jak przyszło z Alfą, jest bzdurą. W rzeczywistości obraz dociera do widzów z dwugodzinnym opóźnieniem. W tym czasie jest poddawany obróbce i montowany. To jest oczywiście robione w siedzibie Real Life. My tu mamy po prostu podgląd. Moi ludzie oglądają surowy obraz i oceniają czy możemy to puszczać, czy powinienem interweniować.

– Upewnię się: macie na miejscu zespół, który widzi to samo, co pracownicy Real Life, dokładnie w tym samym czasie.

– Tak.

– Rozumiem. Wyświadczyłby mi pan dużą uprzejmość, gdyby do tego pańskiego zespołu dołączyło kilku moich ludzi, dyrektorze Sherman.

Dyrektor zawahał się. Z jednej strony nie miał ochoty narażać się FBI, z drugiej jednak wolał nie myśleć, co się stanie, gdy Janet dowie się, że federalni monitorują obraz, zanim trafi na antenę. Jednak pod wpływem wzroku Mosesa skapitulował.

– Oczywiście – powiedział. – Proszę podać nazwiska, wciągnę ich na listę. Teraz ja mam pytanie. Czy odkryliście, kto dokonał ingerencji w oprogramowanie Gilberta?

– Niestety nie. Zespół specjalny pracuje nad tym, ale haker okazał się zręczny. Jak na razie, wszystkie tropy zawiodły nas w ślepe uliczki.

– Co z folderem Fonix?

– Może, podkreślam – może, uda się go zneutralizować. Albo przynajmniej odczytać jego treść.

– To znaczy, że Gilbert przestanie być uzależniony od woli zleceniodawców hakera?

– Przekonamy się.

– Nie ukrywam... Sprawa jest pilna. Sytuacja na Alfie robi się coraz bardziej skomplikowana.

– Czytałem ostatni raport. Obecność obcej cywilizacji przeszła ze sfery mitów do sfery rzeczywistości.

– Rzeczywistości, która może nas przerosnąć. – Sherman westchnął ze znużeniem. – Lori Vormann jest chora i będzie ewakuowana na Ziemię. Pozostali muszą wiedzieć czy mogą liczyć na Gilberta, czy mają traktować go jako zagrożenie.

## ALFA

Z zaparkowanych przed głównym wejściem do bazy Gepardów wysiedli bez pośpiechu. Przez chwilę stali, nasłuchując. Odpowiedział im tylko wiatr. Nie łudzili się, że Fantom odleciał na dobre. Być może po prostu obserwował ich spoza granicy słyszalności.

Żyli. To było najważniejsze.

Peter powitał ich skwaszoną miną i rękoma założonymi na piersi.

– Bardzo nierozsądne postępowanie, Karen – oświadczył.

– My też się cieszymy, że cię widzimy, Peter – odparował Higgins. Zdjął hełm i ochrony balistyczne, odłożył broń na stojak, minął Vormanna i ciężkim krokiem poszedł do kuchni. Reszta podążyła za nim. Syntetyczny sok, ku jego zaskoczeniu, smakował świeżością przed chwilą wyciśniętych owoców.

– Przepraszam. – Vormann nie wyglądał na skruszonego. – Oczywiście, najważniejsze, że jesteście cali. Po prostu się martwiłem.

Higgins nie skomentował. Spojrzał na Karen.

– Dziękuję, że po nas wyjechałaś – powiedział.

– Jesteś dowódcą – odparła, wzruszając ramionami. – Misja była zagrożona. Każdy z nas zrobiłby to samo.

Jej obojętność zmroziła go. Nie miała zamiaru niczego mu ułatwić. Spieprzyłem, pomyślał z goryczą. Błędy się mszczą. Będziemy razem mieszkać i kompletnie osobno żyć. Nie uda mi się tego zmienić.

Z zamyślenia wyrwał go głos Vormanna.

– Co tam się stało? – zapytał Peter.

– Ściągnąłem film z drona, który ubezpieczał zwiadowców – zameldował Gilbert. – Jeśli chcecie, mogę rzucić na ekran, tu, w kuchni.

Higgins rozejrzał się. Magda trzymała kubek, do którego podajnik nalewał kawy. Wagura bez apetytu żuł herbatnik. Karen stała bez ruchu, jakby wyczerpana z energii.

– Nie mam ochoty przeżywać tego koszmaru po raz kolejny – stwierdziła.

– Ja też nie – poparła ją Magda, wsypując do kubka o trzy porcje cukru więcej niż zwykle.

Higgins dobrze ich rozumiał. Nadal brzmiał mu w uszach basowy pomruk i dziki, krwiożerczy trzask wyładowania. Widział szare, skaliste otoczenie, obły, ogromny kadłub statku na tle lasu, Geparda oraz ich samych: trzy sylwetki ludzkie, idące w stronę wraku. I to, co stało się później.

– Film obejrzymy potem – zdecydował.

– Zaatakował was? – chciał wiedzieć Vormann.

– Gdyby nas zaatakował, już byśmy nie żyli – odparł Higgins. – Do którego momentu miałeś podgląd?

– Widzieliśmy was, jak idziecie w stronę wraku. Usłyszeliśmy jak nadlatuje. Wyświetlił wielki, zielono-czerwony trójkąt. A potem już był szum.

Higgins znów to ujrzał: regularna figura geometryczna o idealnie równych krawędziach i świeżych, jakby przed chwilą wymalowanych kolorach, do złudzenia przypominająca swojski, ziemski neon zawieszony wysoko w powietrzu. Powietrze wibrujące okropnym, niespiesznym pomrukiem. I oczekiwanie na cios.

– Nie generował obrazu w paśmie widzialnym ani nie odbijał fal magnetycznych. Był przezroczysty. Można przez niego patrzeć jak przez szybę. – mówił nadal poruszony wspomnieniem. – Wisiał między nami a statkiem... jestem niemal pewien, że nie chciał nam pozwolić do niego podejść. A potem ten pokaz holograficzny... Sam będąc niewidzialnym, potrafił wyemitować widzialne światło.

– Tak swoją drogą, ciekawe, co on chciał nam powiedzieć – mruknął Wagura. – Co miał niby oznaczać ten trójkąt?

– Myślałam, że już nikt o to nie zapyta – usłyszeli głos Lori Vormann. Higgins odwrócił się, zaskoczony. W gruncie rzeczy zapomniał o jej obecności. Stała w drzwiach, blada i krucha, z włosami w nieładzie. – A przecież to jest najważniejsze.

– O co chodzi, Lori?

– Interesuje was mechanizm powstania tego zjawiska – ciągnęła. Pozbyła się niedawnej senności, mówiła cicho, ale wyraźnie, rzeczowo. – Zastanawiacie się, dlaczego go nie widzimy. Założę się, że nasz dowódca myśli nad sposobami zniszczenia go.

– To nie tak... – zaprzeczył Higgins.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

– Ależ tak. Dokładnie tak. Ja jeszcze nie tak dawno myślałam w ten sam sposób. Wylądować, wbić flagę, objąć w posiadanie, usunąć wszystko, co nam zagraża, siłą, jak się nie da inaczej.

– Masz rację, Lori – odezwała się Magda. Mówiła spokojnie, ale Higgins nigdy nie widział jej tak podminowanej. Kurczowo zaciskała obie dłonie na blacie stołu. – Myślmy o sposobach zniszczenia go. Bo nie mamy specjalnie życzliwych uczuć



do tego czegoś. Może to zrozumiesz, jak zobaczysz, co się stało. Łatwo komentować, siedząc na tyłku w bezpiecznej odległości.

– Trochę to nie fair. – Peter wbił w nią wściekłe spojrzenie.

– Co jest nie fair? – zaperzyła się. – Stwierdzenie faktu? Ja tam byłam. Wy siedzieliście w bazie. Gilbert odtworzy film, wtedy zobaczysz sam.

Higgins odstawił szklanę.

– Poczekaj z filmem, Gilbert. Lori, co twoim zdaniem oznacza ten trójkąt?

– Przekazu mogę się domyślać. Intencja jest dla mnie jasna.

– To znaczy? – chciał wiedzieć Wagura.

– To coś chce zwrócić naszą uwagę – odparła Lori, splatając palce. – Już raz to zrobiło, ekranując łączność. Teraz postanowiło być bardziej wyraziste.

– Tak? – Higgins nie potrafił ukryć sarkazmu. Magda miała w pewnym sensie rację. Zdecydowanie łatwiej jest ferować wyroki, przebywając z dala od linii frontu. – Jednak obejrzymy film. Gilbert puść od momentu, kiedy pojawił się trójkąt.

Ekran ożył. Usłyszeli basowy dźwięk. Jego natężenie stopniowo rosło, aż stał się natarczywy, drażniący. Czerwono-zielony trójkąt wisiał wysoko na niebie, a potem zaczął nikać, ustępując miejsca obrazowi podłużnego, ciemnego wrzeciona z licznymi kopułami anten na grzbiecie.

Higgins obrócił się ku Peterowi i Lori.

– Widzicie, co to za statek? – zapytał chrapliwie.

– Polaris! – krzyknął Vormann. – On pokazuje nam nasz własny statek!

– Właśnie – przytaknął dowódca. – To teraz patrzcie, co będzie dalej.

Buczenie wwierało się w mózg. Hologram Polaris ostro odcinał się od tła. Nagle ekran rozjarzył się oślepiającym blaskiem, z głośników huknęło, jakby pancernik sprzed stu lat dał ognia ze wszystkich dział. Blask przekształcił się w wielką szarą chmurę, rozpełzającą się na boki.

Wiatr w końcu ją rozwiął.

Zniknęło basowe brzęczenie wielkiego trzmiela, zniknął obraz Polaris. Niebo po dawnemu było wyłącznie usiane pierzastymi, szybko biegnącymi chmurami.

Gdy kamera drona zmieniła kąt patrzenia, dojrzeli też zmianę na dole. Wielki kawał terenu i fragment lasu były czarne, wypalone, jałowe. Wrak obcego statku

kosmicznego zniknął. Gigantyczny, stumetrowy kadłub, opancerzony półmetrową warstwą kompozytu, składającego się głównie z tytanu, po prostu wyparował w straszliwej temperaturze udaru, jakim poraził go Fantom.

Higgins przyjrzał się po kolei każdej twarzy. Całkowicie się już uspokoił.

– To coś... – wycedził przez zęby – na naszych oczach jednym uderzeniem zniszczyło wrak. Demonstracyjnie. A przedtem pokazało nam Polaris, co możecie sobie interpretować jak chcecie, chociaż dla mnie sprawa jest jasna. Tak, Lori, masz rację. Chciało zwrócić naszą uwagę. I udało mu się. Udało mu się jak cholera.

## ZIEMIA

Sherman kończył trzecią wersję notatki dla szefa NASA. Poprzednie dwie nie nadawały się do niczego, z ostatniej również nie był do końca zadowolony, ale spieszył się i wiedział, że nic lepszego nie wymyśli.

Odczuwał na własnej skórze trafność starego powiedzenia o byciu między młotem a kowadłem.

Misja Polaris miała jasno określone cele. Zainwestowano miliardy dolarów, by je osiągnąć. Dzięki szczęściu udało się o dwa lata wyprzedzić chińskich konkurentów. Zrobienie przez Real Life medialnego cyrku z wyprawy było drażniącym, ale akceptowalnym składnikiem misji.

Pojawienie się śladów obcej cywilizacji i czegoś, co członkowie załogi nazwali Fantomem zmieniło jednak obraz gry i uczyniło jej rezultat nieprzewidywalnym. Realizacja celów misji stanęła pod znakiem zapytania. Sherman od tygodnia odpierał coraz liczniejsze ataki polityków, mediów i własnego szefa, zarzucających mu lekkomyślność i nieumiejętność przewidywania skutków swoich działań. Nagle okazało się, że wyprawa została źle przygotowana, a skład załogi nieadekwatny do zagrożeń. Wytykano mu, że w misji bierze udział prywatny podmiot, któremu oddano na wyłączność kreowanie medialnego przekazu, rychło zamienionego w cyrk, żerujący na najniższych instynktach coraz liczniejszej publiczności.

Sherman nie podważał zasadności tych zarzutów, nie zamierzał jednak brać winy na siebie, w każdym razie nie wyłącznie. Od początku przecież dawał wyraźnie do zrozumienia, że konieczne jest wsparcie załogi dwójką lub czwórką –

gdyby trzymać się paradygmatu dobierania członków załogi wedle parytetu małżeńskiego – naukowców, profesjonalnie zajmujących się kosmosem i potencjalnymi kontaktami z przedstawicielami obcej cywilizacji. Wielokrotnie protestował przeciw udziałowi Real Life. Fakt, że jego opór zmieknął po poznaniu Janet Lee, a przy dalszych kontaktach zmalał do zera, niczego tu nie zmieniał. Sherman zresztą starannie swoje uczucia ukrywał. Fascynacja tą intrygującą kobietą stanowiła jego prywatną sprawę, tak przynajmniej sądził.

Inaczej widział sposoby organizacji misji, został jednak zmuszony do zaakceptowania jej obecnego kształtu. Jego obiekcji wysłuchano, po czym wydano polecenie, by punkt po punkcie realizował odgórnie narzucony plan. Decyzja o zaproszeniu Real Life do objęcia dwudziestu procent udziałów w Aero Space była decyzją stricte polityczną – Sherman zresztą podejrzewał, że zapadła na bardzo wysokim szczeblu.

Musiał więc balansować – szczerze przedstawiać sytuację, dawać jednak wyraźnie do zrozumienia, że obecne zagrożenia są wynikiem decyzji podjętych wcześniej, jeszcze przed wyruszeniem Polarisu w daleki rejs i nie były to decyzje podejmowane jednoosobowo przez dyrektora agencji. Wiedział, że ryzykuje – żaden decydent nie lubi, gdy wytyka mu się błędy, co zresztą nie dotyczy wyłącznie polityków.

Z głębokiego zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi.

– Proszę – rzucił.

– Mogę? – zapytał Watkins.

Ostatnią rzeczą, na jaką Sherman miał ochotę była dyskusja z tym przemądrzałym człowiekiem.

– Coś pilnego? – chciał wiedzieć, wkładając w pytanie tyle niechęci, ile tylko zdołał. – Mam za chwilę wideokonferencję z NASA.

– Myślę, że wiem, co tam się stało – oświadczył naukowiec, nie zwracając uwagi na obiekcje Shermana.

– Tak?

– Co ich zaatakowało. I w jaki sposób to zrobiło.

Sherman przyjrzał się Watkinsowi uważnie. Naukowiec wyglądał na podeksytowanego, co było niezwykle, biorąc pod uwagę prezentowany na co dzień cynizm.

– Dobrze – odparł dyrektor z westchnieniem. – NASA będzie musiała poczekać. Niech pan siada.

Watkins zaczął mówić, nim jeszcze dotarł do fotela.

– Postawiłem sobie zadanie stworzenia koncepcji systemu bojowego, który jest jednocześnie niewidoczny i odporny na oddziaływanie fizyczne – czy to laserowe, termiczne, czy choćby zwykły ostrzał raketowy. Co by mogło spełniać kryteria? Gaz. Gaz jest niewidzialny i można go razić do woli. Oczywiście – nie każdy. Wodór, gdy mu się stworzy odpowiednie warunki, po prostu wybuchnie. Gaz jednak nie spełnia innego kryterium: sam w sobie nie jest systemem bojowym, nie ma możliwości rażenia przeciwnika. Co by mogło mieć strukturę gazu, a jednocześnie miało właściwości bojowe i, że tak powiem, mózg? Nanoboty! Występujące nie pojedynczo, a w gigantycznym – patrząc z nanometrycznej perspektywy – roju. Roju, mającym swój system zarządzania, zasilania, obserwacji, analizy danych i rażenia.

– Właściwości i zastosowanie nanobotów to jednak nadal bardziej teoria niż praktyka.

– Oczywiście. Na Ziemi. Mieszkańcy Bety mogą być jednak bardziej zaawansowani technologicznie od nas. Być może potrafią taki system zaprojektować i stworzyć.

Sherman poczuł się zaintrygowany. Nigdy nie lekceważył umysłowości Watkina, irytował go tylko jego sposób bycia.

– Niech pan mówi dalej, doktorze.

– Od razu zastrzegam: nie mam pojęcia, co ten system robi na Alfie ani jakie są jego zadania czy cele. Ale myślę tak: obiekt jest po prostu rojem nanobotów, powiązanych ze sobą jakimś polem siłowym. Nanoboty są oczywiście nie tylko niewidzialne dla ludzkiego oka czy zbudowanych przez ludzi urządzeń optycznych – z wyjątkiem mikroskopu, ale nie o tym tu mówimy – ale również zbyt małe dla radaru. Mają postać materialną, ale tak jak by ich nie było. Być może poruszają się w powietrzu na zasadzie odrzutu i są zasilane na przykład energią słoneczną lub planetarnym promieniowaniem elektromagnetycznym. Potrafią magazynować energię i w wybranym momencie użyć jej jako broni. Z racji swoich własności fizycznych nie mają problemów z przemieszczaniem się, a zwłaszcza

z dużymi przyspieszeniami, choć wydaje się, że zazwyczaj zadowala je prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Więc to jest coś w rodzaju inteligentnej chmury?

– Precyzyjnie: ściśle zaprojektowanej formacji, złożonej z nanobotów. Dlatego jej nie widać i dlatego jej przemieszczanie się powoduje spore zmiany ciśnienia, które wychwyciliśmy. Sądzę, że gdy odpowiednio skalibrujemy nasze sensory, będziemy mogli też wykryć jakąś sygnaturę wiążącego go pola, które najpewniej jest pochodzenia elektromagnetycznego.

– A ten dźwięk?

– Może to jakiś rodzaj przepływowego chłodzenia lub polowego odpowiednika magnetostrykcji.

– Powstałej w wyniku czego?

– Zmiany ciśnienia sugerują, że składowe chmury są bardzo dynamiczne, co musi się przekładać na wysokie samooddziaływanie pola i interakcję z powietrzem. Powietrze w ramach Fantoma rozszerza się i kompresuje. Takie gwałtowne zmiany rezonują i są słyszalne jako dźwięk...

– Panie kolego, chodzi mi o to, w jakich okolicznościach chmura ten dźwięk wydaje.

– Może to efekt towarzyszący ładowaniu magazynów energii. Na przykład po zmianie pozycji lub wystrzale.

– Może – nieoczekiwanie zgodził się Sherman. Gorączkowo myślał, co może w praktyce oznaczać hipoteza Watkinsa. Tak czy inaczej, zaproponowana presumpcja zmuszała go do napisania czwartej wersji notatki dla szefa NASA.

– Przeprowadziłem pewne symulacje – ciągnął naukowiec. – One potwierdzają tę teorię, no, w każdym razie nie odrzucają jej. Myślę, że formacja nanobotów, czy jak chce załoga, Fantom, istnieje naprawdę.

– I jest sztucznym tworem.

– Tak.

– Okej – zgodził się Sherman, ukrywając podniecenie. Może jeszcze nie wszystko stracone. – Czy z kimś już się pan konsultował?

– Nie.

– Pozwoli pan, że podzielimy się tym odkryciem z kolegami z Rady Naukowej?

– Oczywiście.

– Proszę rozesłać hipotezę w formie dokumentu. I poprosić o komentarze. Proszę zaznaczyć, że jest mi znana.

– Tak jest. Może również wyślę ją załodze na Alfie?

– Dobrze. Proszę tylko wyraźnie zaznaczyć, że to na razie robocza wersja. Jeszcze jedno: co, pańskim zdaniem, wynika dla nas z owego odkrycia?

– Odczytywanie intencji Fantoma, czy może raczej intencji jego twórców, nie należy do mnie. Być może warto pomyśleć nad jakimś rodzajem kontaktu, choć osobiście jestem w tym względzie pesymistą. Należy prowadzić dalsze badania, może wystrzelić więcej sond w kierunku Bety i Gammy... A przede wszystkim opracować metodę ochrony przed Fantomem. Aktywnej, pasywnej – nie wiem. Ale to konieczność.

– Proszę się tym zająć. To, od tej chwili, jedyne i najważniejsze pana zadanie.

## ALFA

Nadal siedzieli w kuchni pogrążeni w dyskusji, gdy przyszła wiadomość z Ziemi. Fantom, zdaniem świątłych umysłów, jest rojem nonobotów, wiązanych polem elektromagnetycznym. Potrafi kumulować energię pobieraną ze słońca lub wyładowań elektrycznych, występujących w atmosferze Alf. Ma możliwość generowania udarów termicznych. Zostanie opracowana procedura ochrony lub zniszczenia obiektu. Kontakt wkrótce.

Higgins poczuł przyływ zniechęcenia. Gdyby był naukowcem, koncepcję dotyczącą budowy Fantoma uznałby zapewne za fascynującą, a przynajmniej wartą kolejnych badań. Jako żołnierz chciał z niej wyłowić jeden, jego zdaniem, krytyczny element: instrukcję postępowania. Nie znalazł go. Nie zaproponowano sposobów kontaktu ani obrony, nie wystawiono żadnych rekomendacji, poza ogólnikami w rodzaju konieczności zachowania maksymalnej ostrożności przy poruszaniu się po Alfie. Niczego mu to nie dawało. Jako dowódca czuł się odpowiedzialny za realizację zadań, ale przede wszystkim za bezpieczeństwo załogi. Nie przyznałby się do tego nikomu (a zwłaszcza Karen), ale nie miał pojęcia, jaki powinien być ich następny krok.

Natomiast Peter Vormann miał gotowe wnioski.

– Myślę, że nie budowa Fantoma jest w tej chwili najistotniejsza – oświadczył, jakby odczytując rozterki Higginsa. – Ważniejsze, co on chciał nam powiedzieć. Moim zdaniem przesłanie jest czytelne. Wyświetlił nam Polarisa. Po czym zniszczył wrak obcego statku. Jasno dał do zrozumienia, że Polaris może być następny. Czyli, krótko mówiąc, nie jesteśmy tu mile widziani.

– Bzdury – zachnęła się Karen.

– Wy tłumacz – zażądał Higgins. Zdawał sobie sprawę, że odwrót nie ma szans realizacji, chciał jednak, by Sherman miał pełen obraz poglądów załogi. Nagranie rozmowy zostanie przesłane na Ziemię.

– Bo to nie jest nasze miejsce – odparł szybko Vormann. Mówił z pełnym przekonaniem. Mowa ciała Lori nie była trudna do odczytania: żona podzielała opinię męża. – Myśleliśmy, że cały kosmos należy do nas, ale byliśmy w błędzie. Alfa na pewno nie nadaje się do kolonizacji.

– Bardzo łatwo się poddajesz, Peter – powiedziała Karen.

Nie dał się sprowokować. Skrzyżował ręce na piersiach i spojrzał spokojnie na kapitan Higgins.

– Walczę, kiedy walka ma sens – odparł.

Higgins po kolei przyjrzał się każdemu członkowi załogi.

– Moje uprawnienia pozwalają tego uniknąć, ale chcę znać zdanie was wszystkich – stwierdził, zdając sobie sprawę, że dyskusja najpewniej do niczego nie doprowadzi. Być może po prostu podświadomie grał na zwłokę. – Wiem, że niedawno o tym rozmawialiśmy. Ale chcę wiedzieć, co myślicie dzisiaj, po tej... demonstracji.

– Udar był tak silny, że mimo kombinezonu czułam gwałtowny wzrost temperatury. – Magda odezwała się jako pierwsza. – Byłam spiętrana jak nigdy. Ale chyba nie chcę odlatywać, jeszcze nie teraz. Trzeba z tym Fantomem się dogadać albo go pogonić. Przyjąć do wiadomości, że nie jesteśmy sami i opracować plan.

– Szefowa sztabu locuta, causa finita – skwitował Wagura, spojrzawszy na nią z dumą. Odpowiedziała mu bladym uśmiechem. Miała szczerą nadzieję, że ukryła wysiłek, z jakim złożyła tę deklarację. W głębi ducha najchętniej przyznałaby rację Peterowi.

John przeniósł wzrok na Karen.

– Uważam, że nic się nie zmieniło – oświadczyła kapitan Higgins. – Mamy wyznaczony cel. Musimy pomyśleć, jak go osiągnąć w obecnych okolicznościach. Opracować strategię.

– Co w sytuacji, gdy Fantom nas zaatakuje?

– Będziemy się bronić.

– Na razie nie mamy do tego narzędzi.

– Może niech Sherman ruszy dupę i coś nam podpowie, bo na razie tylko narzeka i zaleca stosowanie się do procedur – odparła bez wahania. – Ma zespół najlepszych naukowców ze Stanów i Europy. Skoro wiedzą już, co to jest, niech teraz wymyślą, jak to załatwić.

Higgins odwrócił się do Vormanna.

– Peter, twoje zdanie znam. Jesteś za odlotem.

– Tak.

– Lori?

Nie odpowiedziała. Miała zamknięte oczy. Higgins miał wrażenie, że widzi, siedzącą na krześle, szmacianą lalkę.

– Lori? Jesteś z nami?

Peter klęknął przy niej, złapał za dłoń. Była lodowata.

– Lori! Lori, słyszysz nas!?

Karen przytknęła jej palce do szyi.

– Ma bardzo zwolniony puls – stwierdziła.

– Lori! – zawołał Vormann.

Karen spojrzała na niego zimno.

– Jeśli chcesz jej pomóc, przynieś transporter. Musimy ją natychmiast zawieźć do laboratorium.

\*\*\*

Rytmiczny sygnał czujnika tętna popiskiwał cichutko. Z zawieszonych na stojakach pojemników do żył Lori Vormann sączył się płyn wieloelektrolitowy oraz kompozycje witaminowe.



– Puls czterdzieści pięć – oświadczył Gilbert poważnym tonem. – Saturacja w normie. Temperatura w normie. Ciśnienie osiemdziesiąt na sto czterdzieści. Obniżony poziom czerwonych krwinek o kolejne sto tysięcy jednostek na milimetr sześcienny. Anemia pogłębia się, komandorze.

– Zwiększ dawkę żelaza.

– Zwiększyłem do maksimum – odparł komputer. – Opracuję nową dietę. I suplementy wzmacniające.

Higgins przyjrzał się chorej.

– Niech odpoczywa. Chodźmy stąd – zarządził. – Peter, ty także.

Tym razem poszli do pomieszczenia operacyjnego.

– Gilbert?

– Jestem, komandorze.

– Ziemia dostaje raporty na temat zdrowia porucznik Vormann?

– Codziennie. Nie wnosili uwag do moich procedur medycznych.

Higgins spojrzał wprost w kamerę, pełniącą rolę oczu Gilberta.

– Nie sugerowałem zastrzeżeń do twoich procedur medycznych – powiedział spokojnie. – Ciekawe, że tak to zrozumiałeś.

– Przepraszam.

– W dzisiejszym raporcie poproś o wskazanie konkretnego terminu odesłania porucznik Vormann na Ziemię. Z mężem.

– John, mówiłem ci... – Peter poczerwieniał lekko. Umilkł, bo Higgins powstrzymał go gestem.

– Peter, jesteś przeciwny temu, co tu robimy. Powrót Lori to dobra okazja, żeby rozwiązać problem.

– Różnicy zdań co do strategii nie nazwałbym problemem.

– Chcesz wracać. My nie. To jest problem.

– Źle mnie rozumiesz. Nie chcę lecieć sam. Uważam, że powinniśmy wracać wszyscy, a przede wszystkim nie wywoływać wojny.

Higgins poczuł przyływ irytacji. Obronę trudno nazywać wywołaniem wojny. Jak ten facet może tego nie rozumieć, na litość boską?

– Zupełnie inaczej to widzę – oświadczył, starając się zachować spokój. – Mamy zadanie do wykonania.

Twoje obiekcje bezpośrednio wpływają na nasze bezpieczeństwo. Możemy grać jako zespół albo w ogóle. Trzeciego wyjścia nie widzę.

– Jestem członkiem zespołu, John. Po prostu inaczej postrzegam niektóre problemy.

– Przyjąłem do wiadomości. Wracacie. Ty i Lori.

Dostrzegł, że Peter nadal się waha.

– Problem w tym, że Lori raczej na pewno zachorowała podczas lotu – powiedział Vormann. – Może podczas przejścia przez tunel. Muszę być pewien, że kolejna podróż nie zaszkodzi jej zdrowiu.

– Kapitanie, przypomnę, że podczas przejścia przez tunel non – stop monitorowałem odczyty sensorów – zaprotestował komputer. Higgins mógłby się założyć, że słyszy w jego głosie urazę. – Żaden ze wskaźników nie odbiegał od normy.

– Pogorszenie stanu zdrowia mojej żony podczas lotu jest faktem, Gilbert – upierał się Vormann.

– Tym poważniejsza decyzja przed tobą, Peter. Możesz zostać i grać razem z nami albo lecieć z Lori na Ziemię. Jak powiedziałem: trzeciego wyjścia nie ma – uciął dalszą dyskusję major. Vormann nalegał na ewakuację, twierdząc jednocześnie, że niesie ze sobą niebezpieczeństwo. Brakowało w tym logiki, Higgins jednak nie miał ochoty dociekać, o co naprawdę chodzi głównemu inżynierowi.

Na tym na razie skończyli.

\*\*\*

Dwie godziny później Higgins siedział w fotelu w prywatnej kabinie, drobnymi łykami pił whisky, którą, całkowicie niezgodnie z przepisami, udało mu się przemyścić na pokład Polarisa i walczył z natłokiem złych myśli. Obok leżał tablet, ale komandor nie potrzebował do niego zaglądać. Raport przesłany przez Gilberta przeczytał raz; całkowicie wystarczyło.

Sondy, systematycznie przeczesujące powierzchnie lądów Alfy, raportowały kolejne odkrycia. Dwieście kilometrów na północ od bazy, w głębokim górskim wąwozie, leżał następny wrak statku kosmicznego, tym razem mniejszego. Załączone do raportu zdjęcia ukazywały w najbliższym otoczeniu liczne ślady po eksplozjach lub udarach termicznych, a także utracony wierzchołek jednego z okolicznych szczytów, który, nawiasem mówiąc, lawiną odłamków skalnych zasypał leżącą poniżej dolinę. Nieco dalej kilkuhektarowy fragment wypalonego lasu czerniał ogromną wyrwą wśród morza zieleni. Sonda odnalazła w pogorzelsku kilka szczątków urządzeń lub maszyn o nieznanym przeznaczeniu. Kolejne ślady bytności obcej cywilizacji odkryto sto kilometrów dalej na zachód, w oceanie. Sonda podwodna natknęła się na jeszcze jeden wrak systemu bojowego z trójkątnymi skrzydłami i wyraźnie widocznym uzbrojeniem: najprawdopodobniej miotaczem energii. Spoczywał na głębokości blisko dwustu metrów i wyglądał na nietknięty. Sonda nie wykryła jednak żadnych oznak życia na pokładzie.

W podsumowaniu Gilbert przedstawił interpretację. Jego zdaniem piętnaście, dwadzieścia lat wcześniej Alfa stała się areną gwałtownego starcia, które najpewniej objęło całą planetę. Walczące strony poniosły straty, po czym wycofały się. Sondy nie odnalazły szczątków załóg statków. To samo dotyczyło orbity, po której nie krążył ani jeden sztuczny satelita. Oba odnalezione wraki, podobnie jak ten, na który natknęli się zwiadowcy, okazały się całkowicie puste, pozbawione instalacji, maszyn, urządzeń. Zdaniem Gilberta stało się tak, ponieważ żadna ze stron nie mogła wygrać starcia. Zawarto więc rozejm i uzgodniono, że obie strony się ewakuują, zabierając ze sobą wszystko, łącznie z poległymi i techniką. Alfa miała pozostać terenem neutralnym, co logicznie tłumaczyło obecność Fantoma jako strażnika pokoju.

Tyle raport i dywagacje Gilberta.

W kolejnej wiadomości, znacznie bardziej lakonicznej, komputer przedstawił los drugiej sondy międzyplanetarnej, zmierzającej w stronę Gammy. Sonda owa nawet nie doleciała do planety, została bowiem zniszczona pięćset tysięcy kilometrów od celu pociskiem, który zbliżył się do niej z prędkością blisko czterdziestu kilometrów na sekundę.

Druga informacja zaniepokoiła komandora bardziej, choć jego zdaniem obie się ze sobą ściśle łączyły.

Sonda była nieuzbrojona i miała zadania wyłącznie rozpoznawcze. Mieszkańców Gammy zdawało się to nie interesować. Najwyraźniej traktowali perimetr bezpieczeństwa dość szeroko – zniszczyli sondę pół miliona kilometrów od celu. Higgins nie miał zamiaru potraktować zdarzenia jako aktu samoobrony. Uważał je za jawną agresję.

Pytanie: wobec kogo?

Czy Gammianie mieli świadomość, że na Alfie wylądowali przedstawiciele pozaukładowej cywilizacji? Czy celowo zniszczyli ziemski statek, czy raczej wzięli sondę za obiekt należący do Betan, co miało sens, gdy się przyjęło, że znalezione na Alfie ślady starcia były pozostałościami po konflikcie betańsko-gammańskim?

Karen podzieliła jego punkt widzenia.

– Jeśli na Alfie miała miejsce wojna i teraz jest rozejm, mogli potraktować naszą sondę jako atak Betan – orzekła. – Jako zerwanie rozejmu.

– Zareagują? – chciał wiedzieć Higgins.

– Nie mam pojęcia. Ale dla własnego dobra powinniśmy przyjąć, że przyślą tu kogoś. Być w gotowości.

Pokazał jej butelkę. Nie okazała zdziwienia. Drobnym gestem dała do zrozumienia, żeby jej nalał.

– Czym w takim razie jest Fantom? Strażnikiem pokoju?

Wypiła duży łyk whisky.

– Początkowo też tak myślałam – powiedziała, smakując alkohol na języku. – Powiedzmy, że tu rzeczywiście odbyła się wojna Betan z Gammianami, żadna ze stron nie mogła wygrać, więc ustalono, że Alfa jest strefą zdemilitaryzowaną.

Dalej mówiła szybciej, z większym naciskiem, jakby coraz bardziej przekonana do własnej teorii.

– Żadna z wojujących stron nie ufa drugiej. Dlatego na logikę powinno być dwóch strażników, po jednym na każdą ze stron. My natknęliśmy się tylko na jednego.

– Bo drugi operuje na drugiej półkuli – zaprotestował.

– Jeśli układ dotyczy całej Alfy, mało prawdopodobne.

– Nie wiemy, czego dotyczy. Na razie to tylko założenie. Może wszystko odbyło się całkiem inaczej.

– Wojna była faktem.

– Ale wcale nie musiała skończyć się rozejmem. Równie dobrze mogło być tak, że jedna ze stron wygrała, pogoniła tych drugich i na wszelki wypadek zostawiła tu Fantoma.

– Nie uważasz, że strona, który która wygrała, skolonizowałyby Alfę? Widzielibyśmy tu życie, a nie pozostałości po wojnie.

– A co z Fantomem? Fantom może być życiem.

– Nie wyobrażam sobie Fantoma jako tworu ewolucji naturalnej.

– Bardzo wielu rzeczy sobie nie potrafimy wyobrazić, Karen. Jesteśmy ludźmi i myślimy po ludzku. Poza tym brakuje nam fachowej wiedzy.

Nie czuła się przekonana, ale zaniechała dalszej dyskusji. Higgins wcisnął przełącznik aktywizujący mikrofony.

– Gilbert?

– Jestem – zgłosił się komputer.

– Czy twoim zdaniem Fantom jest tworem sztucznym czy naturalnym?

– Jestem pewien, że jest to twór przez kogoś zaprojektowany i stworzony, a nie powstały w wyniku naturalnych procesów – odparł rzeczowo komputer. – Ma przy tym pełną autonomię. Wywodzę to stąd, że odległość od centrów decyzyjnych na Becie lub Gammie jest zbyt duża, żeby stamtąd zarządzać sytuacją w czasie rzeczywistym. Sygnał radiowy w maksymalnym zbliżeniu planet potrzebuje około półtorej minuty, żeby dolecieć do Bety.

– No właśnie. Pętla decyzyjna musi być krótka. W półtorej minuty można przegrać bitwę.

– Z czego wynika, że Fantom sam zadecydował, żeby nam się pokazać i zniszczyć wrak.

– Nie pokazał nam się w dosłownym sensie, ale rozumiem, co pan ma na myśli – stwierdził Gilbert. Higgins uśmiechnął się pod nosem. Brak umiejętności wyłapywania metafor ubrany w szaty skrupulatności. Kolejny kamyczek w prywatnym ogródku niechęci dowódcy do przemądrzałej maszyny. – Tak, sądzę, że to on zdecydował.

– W takim razie powinniśmy spróbować się z nim porozumieć – stwierdził Higgins.

Karen spojrzała na niego z namysłem.

– Po pierwsze: w jaki sposób? – zapytała. – Po drugie: po co?

Higgins odpowiedział pytaniem.

– Gilbert, zakładam, że leży w naszych możliwościach seans holograficzny?

– Oczywiście. Zwłaszcza nocą efekt będzie lepszy.

– Trzeba wyświetlić mu ciąg znaków. Na przykład figur geometrycznych. On nam pokazał trójkąt. My pokażemy kwadrat i koło. Potem przejdziemy do figur przestrzennych.

– I co on miałby z tego niby zrozumieć? – chciała wiedzieć Karen.

– Że chcemy kontaktu. I że nie mamy złych zamiarów.

\*\*\*

Siedzieli w piątkę w pomieszczeniu operacyjnym. Higgins zreferował im ostatnie ustalenia i poinformował o pomysle nawiązania kontaktu. Wagurowie wyglądali na sceptycznych, ale zaakceptowali concept. Natomiast Peter od razu zaczął kontestować plan.

– Jeśli Fantom jest rzeczywiście strażnikiem pokoju, już nasze lądowanie potraktował jako agresję – powiedział. – Szanse nawiązania z nim kontaktu oceniam na bliskie zeru. On może zresztą wykorzystać ten moment na zaatakowanie nas. Nadal sądzę, że powinniśmy złożyć Shermanowi szczegółowy raport i odlecieć.

– A jeśli Sherman się nie zgodzi? – zapytał Higgins z nieskrywaną ciekawością.

– Odlecieć bez jego zgody – odparł bez wahania Vormann. – O ile się nie mylę, w pewnych określonych okolicznościach masz wystarczającą władzę, by podjąć taką decyzję. Twierdzę, że mamy do czynienia z taką okolicznością.

Ciekawe, pomyślał Higgins. Peter Vormann, formalista i skrupulat, jako lider buntu. Przecież nie jest tchórzem. A może tak właśnie, jak racjonalizm i rozsądek, wygląda tchórzostwo? Karen zdawała się myśleć podobnie.

– Bardzo się starasz wczuć w myślenie Fantoma, Peter – rzuciła.

– Staram się zrozumieć – Niemiec spojrzał na nią zimno. – Niewłaściwa interpretacja sytuacji jest potencjalnie groźna. Fantom już pokazał, co potrafi.

Karen zbierała się do riposty, ale Higgins uznał, że dalsza dyskusja będzie naprawdę stratą czasu.

– Odwrót nie wchodzi w grę – oświadczył stanowczo. – Z wielu powodów. Musisz się z tym pogodzić, Peter.

Vormann nie wyglądał jak człowiek pogodzony z decyzją dowódcy, ale ku zaskoczeniu komandora, powstrzymał się od dalszych protestów.

– Musimy przyjąć jakąś strategię – ciągnął Higgins. – W następnym kroku podejmiemy próbę porozumienia z Fantomem. I równocześnie zastosujemy wszelkie możliwe środki ostrożności. Gilbert?

– Słucham, komandorze.

– Później podam ci wytyczne, jak wyobrażam sobie kontakt. Teraz zaproponuj strategię obronną.

– Proszę określić specyfikację obrony. Czy ma zakładać również zniszczenie Fantoma?

– Wariantowo. Ruszaj.

– Analizowałem możliwość wpłynięcia na centrum decyzyjne, ale jest zbyt wiele niewiadomych, żebyśmy byli pewni, że centrum zrozumie nasze polecenia. Z dostępnych możliwości wymieniłbym stworzenie pułapki elektromagnetycznej. Na Ziemi stosujemy je do więzienia cząstek lub plazmy. Nie wiemy jak zareaguje Fantom; może nie dać się w taką pułapkę zwabić i odbić cios. Pole elektromagnetyczne można jednak wykorzystać inaczej.

– Impuls elektromagnetyczny? – chciała wiedzieć Karen.

– Tak. Myślę o wyemitowaniu ukierunkowanego, zaburzającego impulsu elektromagnetycznego, o wiele potężniejszego niż do tej pory, wystarczającego do utraty integralności chmury przez rozerwanie wiązań, łączących nanoboty. Opieram się na koncepcji wiązania nanobotów przez wewnętrznie wytworzone pole elektromagnetyczne. To powinno go usmażyć albo co najmniej skutecznie odstraszyć. Fantom, w obawie przed utratą integralności, nie będzie ryzykował podejścia. Mamy dostatecznie dużo energii, żeby to było wykonalne, ale należy liczyć się z tym, że po tym możemy mieć problem z szybkim odbudowaniem własnych rezerw energetycznych.

– On może nie podchodzić blisko, tylko razić z dystansu – zauważył Wagura.

– Oczywiście – zgodził się Gilbert. – W tym wypadku naszą odpowiedzią może być użycie rakiety z największym ładunkiem konwencjonalnym, jaki posiadamy.

– Rakiety przelatywały przez niego jak przez chmurę – zaproponował Higgins. Cieszył się, że przeszli do konkretów. Nawet komputer zdawał się być po ich stronie.

– Dlatego inaczej je zaprogramujemy. Eksplozja nastąpi w momencie przelatywania przez lub obok Fantoma. Jeśli będzie dostatecznie silna, fala uderzeniowa rozerwie wiązania i rozproszy formację. To są dwa sposoby, które możemy zaimplementować od razu. Do opracowania innych rozwiązań muszę mieć więcej danych, wtedy będę mógł ustalić szczegóły.

– Trzecim sposobem jest uderzenie jądrowe – wtrąciła Karen.

Odpowiedziała jej pełna zdumienia cisza, którą po dłuższej chwili przerwał kapitan Vormann.

– Przepraszam, czy ja dobrze usłyszałem? – warknął. Na jego policzki wystąpiły rumieńce. – Mamy w zasobach broń jądrową?

– Owszem – przytaknął Higgins. Nie miał zamiaru ujawniać tego faktu, ale skoro się stało, trudno. Sprawy zaszły tak daleko, że tajemnice przestały mieć sens. – Możemy ją zastosować wyłącznie za zgodą Ziemi i w stanie najwyższej konieczności.

– To znaczy jakiej? – zaperzył się Vormann. – Jaka konieczność, według naszych wszechwiedzących władców, usprawiedliwia atak nuklearny?

Higgins w gruncie rzeczy nie dziwił się wybuchowi Niemca. Kiedyś, jeszcze na Ziemi, dyskutowali przy piwie na temat zasad, jakie powinny obowiązywać podczas podboju kosmosu (Peter zresztą głośno protestował przeciw używaniu terminu „podbój”, argumentując, że przynosi on fatalne, kolonialne konotacje, a wyprawy kosmiczne, stanowiące nowy rozdział w dziejach ludzkości, powinny być wolne od wszelkich tego typu zaszłości. Był ewentualnie skłonny zgodzić się na termin „eksploracja”). Vormann wyraził wtedy stanowczy sprzeciw wobec pomysłu zabierania broni jądrowej. Uważał, że jest to przenoszenie w kosmos ziemskich problemów i dróg rozwiązywania ich, i prosta droga do eskalacji przemocy w morderczym wyścigu mocarstw, tyle, że przeniesionym w rejony odległe od Ziemi.

– Taka, jak choćby teraz – odpowiedział Higgins.



– Teraz, twoim zdaniem, zachodzi taka okoliczność?

– Peter, to przecież ty twierdzisz, że Fantom może dla nas stanowić zagrożenie. Zgadzam się z tym. I dlatego, jeśli nie będzie innego wyjścia, rozerwiemy go ładunkiem nuklearnym.

– Ach tak. Rozumiem. – Vormann panował nad sobą z widocznym wysiłkiem. – Może jednak to jest moment, kiedy powinniśmy porozmawiać szczerze. Nie? Jan? Nie sądzisz? A ty, Magda?

– Powinniśmy skupić się nad sposobami neutralizacji Fantoma – oświadczył Wagura. – Jest mi obojętne, jak go załatwimy. Potem będziemy kontynuować misję.

– Zgadzam się – przytaknęła Magda.

– Ja też – dodała Karen.

– Ludzie! – Vormann zrobił się purpurowy. – Czy wy tego nie widzicie? Ciągłe nas coś zaskakuje, a ponieważ nie umiemy sobie z tym poradzić, mamy zamiar zadawać atomowe uderzenia. To jakieś szaleństwo. Chcecie zamienić planetę w pustynię?

Odpowiedziało mu milczenie. Peter nieoczekiwanie się uspokoił.

– W porządku – uniósł dłonie w geście prawdziwej lub udawanej kapitulacji. – Wracam do Lori. Poinformujcie mnie o swoich decyzjach.

Wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z szumem.

Higgins podszedł do panelu sterującego systemem mikrofonów i przez chwilę przy nim manipulował.

– Możemy rozmawiać swobodnie – powiedział, zajmując na powrót swoje miejsce. – Gilbert nas nie słyszy.

Przyglądał się po kolei każdej twarzy.

– Przedstawię wam plan.

– Jasne – zadeklarował w imieniu swoim i reszty Wagura. – Zamieniamy się w słuch.

– Przeprowadzimy pokaz holograficzny – oświadczył Higgins. – I zobaczymy, jak zareaguje Fantom. Jeśli odpowie, zlecę Gilbertowi zadanie opracowania jakiegoś rodzaju języka, którym będziemy mogli rozmawiać, może opartego o liczby albo symbole, których znaczenie rozumiemy tak samo... Nie wiem,

zobaczymy. Spróbujemy go przekonać, że nie zagrażamy ani jemu, ani jego twórcom. I uruchomimy kopalnię. Sonda potwierdziła położenie złóż. Tu macie listę z dokładnymi lokalizacjami. Alfa jest jedną wielką, czekającą na uruchomienie, kopalnią strategicznych surowców. Znacznie większą niż zakładały najodważniejsze ziemskie hipotezy.

Tablet krążył z rąk do rąk. Wagura gwizdnął z podziwem. Nie wyglądał na zaskoczonego. Odkąd odnalazł wrak obcego statku, przestał dziwić się czemukolwiek.

– Ładnie – stwierdził. – Blisko i płytko. Ale powiem wam, że zupełnie nie rozumiem jak nasi mędrcy wyobrażali sobie trzymanie wydobywania w tajemnicy przy jednoczesnym transmitowaniu wszystkiego na Ziemię. Może rozjaśnisz nieco mrok, John? Jakim sposobem Sherman uwierzył, że zbudujemy tu sieć kopalni i będziemy wysyłać na Ziemię setki tysięcy ton surowca, a Real Life się o tym nie dowie?

Higgins zacisnął usta. Mało ostatnio spał. Męczył się szybciej niż zwykle.

– Parę razy mu o tym mówiłem – odparł. – Upierał się, że przy współpracy Gilberta jest to możliwe.

– Właśnie. Przy współpracy Gilberta.

– Na razie zajmijmy się Fantomem – powiedział dowódca. – Gilberta musimy zneutralizować na tyle, żeby nam nie przeszkadzał.

– Jasne.

– Wracając do planu: próbujemy się porozumieć. Musimy jednak zakładać, że nie znajdziemy wspólnego języka i Fantom zareaguje agresją. Wtedy odpowiemy skoncentrowanym, jednoczesnym uderzeniem konwencjonalnym wzmocnionym impulsem EMP. Jeśli to nie przyniesie efektu, podniesiemy próg eskalacji poprzez odpalenie rakiety z głowicą jądrową. Co nie będzie proste, bo konieczne jest wybranie pola walki oddalonego od bazy. Jakies obiekcje? Pytania?

– Musimy przyjąć, że działamy tylko we czwórkę. – Magda w gruncie rzeczy wyraziła opinię wszystkich

– Poradzimy sobie – zawyrokował Higgins. Spojrzał na kapitana. – Zwłaszcza jeśli będziemy panować nad Cyklopem.

– Przyjrzałem się systemowi – odparł Wagura. – Na razie niczego nie ruszałem, żeby Gilbert się nie zorientował. BMS nadal istnieje, został tylko zdezaktywowany.

– To chyba dobra wiadomość.

– I tak, i nie. Tak, bo jest. Nie, bo ktoś zabezpieczył dostęp hasłem. Uruchomiłem program deszyfrujący, ale na razie nic. Myślałem nad przesłaniem oryginalnego oprogramowania BMS-a z Ziemi poza wiedzą Gilberta...

– Ryzykowne.

– Można spróbować połączyć się z Geparda przez satelitę. A w tym czasie wyłączyć zasilanie w Bazie.

– Gilbert ma zasilanie zapasowe. Zorientuje się.

– I właściwie, co z tego? – Wagura spojrział w sufit. – Odłączy nam Cyklopa? Niech odłącza. Jak będziemy mieli oryginalne oprogramowanie BMS-a, zainstaluję je w godzinę. I odzyskamy kontrolę.

– Gilbert może zakłócić łączność, nawet jeśli połączymy się z Gepardem.

– Chyba, że przydarzy mu się awaria.

– Tymczasowa – domyślił się Higgins.

– Jasne, że tymczasowa. Godzina wystarczy.

– Jeśli Fantom w tym czasie zaatakuje, mamy przechlapane – powiedziała Magda.

– Bardziej ryzykujemy, oddając nasze bezpieczeństwo w ręce Gilberta – odparł Higgins.

– Nie wierzysz w jego pomysły?

– Pomysły są okej. Sam bym pewnie zaproponował coś podobnego. Bardziej boję się realizacji. Na przykład spóźnionej reakcji. Albo zbyt słabego impulsu elektromagnetycznego wystrzelonego w stronę Fantoma.

– To już byłaby jawna dywersja – skrzywił się Wagura.

– Kiedy wszyscy będziemy martwi, Ziemia niczego Gilbertowi nie udowodni. Zresztą nawet jeśli, niczego to nie zmieni. Chińczycy wylądują tu za dwa lata. I nie muszą z nami walczyć, mają całą Alfę dla siebie. Z Gilbertem czy bez – wszystko jedno.

– Nie do końca. Będą mieli przeciw sobie Fantoma.

– Jakoś jestem dziwnie spokojny, że to, co przekazaliśmy na Ziemię na jego temat, jest Chińczykom znane, chociażby z tego pieprzonego streamingu. I oni już mają albo wkrótce będą mieli na niego broń.

Godzinę później stali na zewnątrz i patrzyli w niebo. Mimo zaproszenia, Peter nie chciał wziąć udziału w pokazie, tłumacząc się koniecznością opieki nad Lori.

– Gilbert, gotów? – zapytał Higgins.

– Tak, jestem gotów do rozpoczęcia pokazu, komandorze – zabrzmiał w słuchawkach spokojny głos maszyny.

– Zaczynaj.

Na ciemnym, rozjaśnionym tylko odbitym światłem obu księżyców, niebie pojawił się jasnozielony trójkąt. Miał dokładnie takie same proporcje jak figura pokazana przez Fantoma i równie ostre, wyraźne krawędzie.

– Idealny – orzekł Wagura z podziwem. – Nawet dobrze, że są chmury. Lepiej widać.

– Ja bym go powiększyła – orzekła Magda. – I dała wyżej.

– Gilbert?

– Wykonuję.

Krawędzie figury wydłużyły się znacznie. Była tak wielka, że zajmowała niemal cały firmament. Trójkąt po minucie zamienił się w kwadrat. A potem w koło.

Słyszeli tylko szum wiatru.

– Nic. – Magda nie kryła rozczarowania.

– Gnój pewnie ma wolne.

Gilbert powtarzał układ w trzyminutowych sekwencjach.

Zniechęceni, mieli już wracać do bazy, gdy usłyszeli basowe brzęczenie. Narastało niespiesznie, w końcu stało się bardzo bliskie, niemal namacalne. Zaczęli odczuwać znajome dolegliwości: mrowienie szczęki, wibracje wewnątrz czaszki, drętwienie końców palców. Dźwięk przestał narastać, gdy stał się właściwie nie do zniesienia. Fantom zdawał się wisieć tuż przed nimi, siedemdziesiąt, może sto metrów nad powierzchnią gruntu.

Gilbert zmienił sekwencję: niebo rozjarzyło się gigantycznymi ostrosłupami, figurami obrotowymi i graniastosłupami w różnych odmianach. Figury kręciły się wokół własnej osi, zmieniały położenie, oddalały się, zbliżały. Pokaz był niezwykle efektowny.

Po dziesięciu minutach niebo pociemniało – Gilbert dawał gościowi przestrzeń do udzielenia odpowiedzi. Fantom nie reagował.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zajaśniał na niebie czerwony trójkąt. Inny niż poprzedni, z podwójnym, naprzemiennie drgającym obramowaniem. Pulsował przez chwilę, po czym zniknął.

Znów słyszeli tylko wiatr.

## ZIEMIA

Janet zablokowała drzwi za pomocą pilota, a potem usiadła za biurkiem.

Połączyła się z serwerem, znajdującym się poza oficjalnym obiegiem komunikacji. Wklepała login i hasło, przyłożyła palce do czytnika. Przysunęła bliżej mikrofon.

– Mówi Janet Lee. Polecenie przeznaczone dla Gilberta. Odczytanie po wprowadzeniu kodu autoryzacyjnego GLF. Po autoryzacji otwórz folder zatytułowany FONIX. Wgraj pobrane oprogramowanie. Usuń folder. Usuń nagranie komunikatu. Działaj według nowego algorytmu. Koniec polecenia.

Kliknęła myszką, wylogowała się, po czym odetchnęła głęboko.

– No, to teraz, moi drodzy, zagramy na poważnie – mruknęła i odblokowała drzwi.

Zaczynał się kolejny dzień misji Polaris.

\*\*\*

W końcu!

Wśród tłumu opuszczającego budynek mignęła znajoma sylwetka. Młody człowiek skręcił w lewo i wolnym krokiem poszedł w stronę stacji metra. Wzbudzając wściekłość kierowców, Susan przebiegła przez ulicę. Trzymała się na dystans. Zeszli po schodach. Powitał ich zatłoczony, rojny peron. Pociąg miał nadjechać za trzy minuty.

– Nazywasz się Walker, prawda? – zapytała.

Odwrócił się, wyraźnie zaskoczony, co być może oznaczało, że nie zauważył jej wcześniej, kiedy w ciągu ostatnich kilku dni próbowała ustalić jego harmonogram dnia.

– Sean Walker. Pierwszy asystent Janet Lee.

Nie odpowiedział.

– Nazywam się Susan Montero. Jestem dziennikarką.

– Nie rozmawiam z dziennikarzami.

– Poświęć mi dziesięć minut.

– Nie wiem, czego pani nie rozumie. Nie będę z panią rozmawiał.

Popatrzyła na niego z sympatią.

– Powiedz mi, jak to możliwe, że piątkowy absolwent zarządzania na Harvardzie i matematyki na MIT, wylądował w takim ściegu jak Real Life?

Do tej pory był nieufny i zniecierpliwiony. Teraz wyglądał na prawdziwie zniesmaczonego. Ludzie zaczęli kłębić się przy brzegu peronu.

– Naprawdę...

Nie dała mu skończyć. Pociąg miał nadjechać lada chwila.

– Rozmawiałam z jednym z twoich profesorów. Twierdzi, że nie miał zdolniejszego studenta. Namawiał cię na robienie kariery naukowej. Miałaś otwartą drogę do doktoratu, a potem profesury, na najbardziej prestiżowej uczelni na świecie. Jednak ty wybrałaś nawilżanie Janet Lee. Przyznasz, że to dziwne. Z nią nawet nie trzeba rozmawiać, żeby wiedzieć, jaka jest. Z kilometra wygląda na sukę, która kopnie cię w tyłek, gdy przestaniesz jej być potrzebny.

Już nie był taki stanowczy. Pancierz okazał się zadziwiająco cienki.

– Nie ma pani pojęcia, o czym mówi.

– Oświeć mnie.

– Nie mam ochoty być bohaterem sensacyjnego reportażu.

– Dlaczego uważasz, że będzie sensacyjny?

– Niech mnie pani nie łapie za słowa. Po prostu nie chcę się...

– ...wychylać? Narażać? – dokończyła za niego. – Doskonale cię rozumiem. Pracując u niej, też bym nie chciała. Mogę ci zapewnić całkowitą anonimowość. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żebym ujawniła swoje źródło, jeśli źródło tego nie chce. Możesz sprawdzić, popytać.

– Nie chcę, naprawdę.

– Coś ci powiem. Myślałam, jak się do ciebie dobrać, jak cię skłonić do mówienia. Wiedziałam, że będziesz miał opory. Szukałam jakichś brudów, grzechów, błędów młodości. Pijackich wybryków, niechcianych ciąż... Czegoś, co

chcesz zatrzymać tylko dla siebie. I wiesz co? Niczego nie znalazłam. Jesteś czysty jak łąza.

Pociąg, pchając przed sobą masy powietrza, wychynął z tunelu i z szumem wjechał na stację.

– I to panią zdziwiło? I zaskoczyło? – Skrzywił się. Wyraźnie starał się odczytać jej intencje.

– Porządny młody człowiek z niezbyt zamożnej rodziny, który swoim uporem i ambicją zdobył olśniewające wykształcenie. Przed takimi jak ty, świat stoi otworem. Ty jednak przez kilka miesięcy pracowałeś w banku, a potem poszedłeś do Real Life, gdzie w ciągu roku awansowałeś na pierwszego asystenta prezesa zarządu.

– No, to teraz ma pani na mnie haka...

Pociąg zatrzymał się. Otwarte drzwi zaczęły połykać ludzi. Walker odstąpił o krok.

– Do widzenia – powiedział i odwrócił się.

– Wiem o twojej siostrze – krzyknęła do jego pleców.

Zastygł. Bardzo, bardzo powoli odwrócił się z powrotem. Patrzył jej prosto w twarz.

– Co...?

– Do niej jedziesz, prawda? – zapytała miękko. – Stwardnienie rozsiane to straszna choroba. Nie można jej wyleczyć, ale jest terapia, spowalniająca postępy. Diabelnie kosztowna terapia. Żadne ubezpieczenie jej nie refunduje. A Janet Lee dobrze płaci za lojalność. Dobrze kombinuję?

Drzwi wagonów zatrzasnęły się. Zabrzmiał trzykrotny sygnał odjazdu. Walker nie ruszał się z miejsca.

– Nie mam najmniejszego zamiaru cię osądzać – ciągnęła. – Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mój bliski potrzebował pomocy. Właściwie... pewnie... wszystko – wyznała. – Ty się źle z tym czujesz, a ja chcę informacji. Jesteś w środku i dobrze wiesz, że dzieje się coś bardzo złego. Wyglądasz na uczciwego młodego człowieka, który wplątał się w temat, który go przerasta, ale siedzi w nim, bo musi zarabiać kasę na leczenie dla siostry.

Posmutniał. Susan zrobiło się go żal. Jak ognia starała się wystrzegać emocjonalnego stosunku do rozmówców. Nie zawsze jej się udawało.

– Muszę... – powiedział głucho. Byli niemal sami. Echo odbijało ich słowa. Powinni mówić ciszej.

– Wiem. Nie sugeruję, żebyś odchodził ani nic takiego.

Parsknął gorzkim śmiechem.

– Jak puszcze farbę, ona się domyśli. I załatwi mnie na amen.

– Całkiem możliwe.

– Umie pani zachęcić.

Peron zaczął się znowu zaludniać. Usiedli na jednej z bocznych ławek.

– Powiem ci, jak moim zdaniem to działa, a ty mi powiesz, czy mam rację – zaczęła. – Chcesz wykreować pewien pogląd. Obojętnie jaki, obojętnie czy ma jakiś związek z rzeczywistością i faktami, czy nie. Jak nie ma, to nawet lepiej. Robisz to sam, albo wynajmujesz kogoś, na przykład popularnego influencera, który ma swoich followersów albo vlogera z dużymi zasięgami. Zaczyna lansować twoją tezę, podpira ją hipotezami, wrzuca filmiki, hologramy, jakieś statystyki, zaprasza „ekspertów”. Musi umieć dobrze gadać i pisać, formułować nośne hasła i dobrze wyglądać. Nic więcej. Tak się tworzy środowisko. Podchwytują to inni, zaczynają krążyć virale. W przestrzeni funkcjonują hasła, na których ci zależy. Im bardziej krzykliwe i agresywne tym lepiej. Ludzie zaczynają w nie wierzyć, brać za swoje, jak zwykle znajdują się fanatycy, dla których to jest dobra okazja, żeby pokazać swój fanatyzm. Szybko tworzy się głośne i krzykliwe skrzydło ultrasów. Dorzucasz do pieca, grając na resentymencie gniewu do świata. Wiesz, że dla wielu ludzi polityka nie ma znaczenia, znaczenie ma żal do otoczenia. Dominuje chęć zemsty, odegrania się na kimś. Zemsta to silna emocja, a emocje zaburzają zdolności racjonalnego myślenia. Co gorsza, nawet kiedy rzeczywistość już wprost wali w mordę, w obwodach twojego klienta nadal przepływają tylko reakcje, w których wytresowała go twoja propaganda. Które w zasadzie sprowadzają się do jednego: chce więcej tego samego.

Wszystko razem zaczyna pchać rzeczywistość w stronę, na której ci zależy. Na początku zastanawiałam się, dlaczego tak jest, dlaczego przeciętny człowiek jest skłonny uwierzyć w dowolną bzdurę i dać się wykorzystywać. Wiesz czemu? Moim zdaniem, stał się uodporniony na prawdę. Fejki go uodporniły. Początkowo chciał wiedzieć, co jest fikcją, co nie, ale ilość fejków stała się tak duża, że naraz prawda przestała go obchodzić. Zobojętniał na bodźce. Chłonie niusy; człowiek już taki



jest, zwłaszcza jak jego życie jest monotonne i nudne, że pragnie atrakcji, dreszczu emocji albo choćby zainteresowania. I twoja teoria, wracając do początku, ma mu to zapewnić, im bardziej tym lepiej.

I teraz zadajmy pytanie o powód. Po co miałbyś to robić?

Są dwa warianty: pieniądze albo polityka. Możesz chcieć po prostu zarobić albo osiągnąć cel polityczny, na którym ci zależy. Wygrać wybory albo udupić kontrkandydata. Doprowadzić do uchwalenia ustawy, na której ci zależy. Uwalić ustawę, której nie chcesz. Dobrze kombinuję?

Siedział bez ruchu.

– Wyobraźmy sobie, że nie jesteś zwykłym ktosiem, tylko szefową potężnej korporacji, dysponującej w praktyce nieograniczonym budżetem – ciągnęła. – Nie musisz zatrudniać żadnych influencerów, bo masz ich na pokładzie tysiące, w każdym kolorze i odmianie. Masz dziesiątki milionów subskrybentów i wszelkie potrzebne kanały komunikacji. Jeśli czegoś ci brakuje, kupujesz, żaden problem. Bo masz rzecz najważniejszą: temat. Idealny, pasjonujący, tajemniczy temat, na dodatek na wyłączność. Misję Polaris. Lot na daleką planetę. Nieznany ład, nieodgadniony kosmos, zagrożenia, niespodzianki, emocje. Ty kształtujesz przekaz, wedle własnych upodobań albo celów.

Słuchał. Wbiła ostatni gwóźdź.

– Sean, posłuchaj mnie uważnie. Mamy do czynienia z gigantycznym szwindlem, a na pewno ze złamaniem norm i standardów, już nie mówiąc choćby o bezpieczeństwie załogi czy jakimś minimum rzetelności naukowej. Może stoi za tym po prostu biznes i pieniądze. A może coś więcej. Tak czy inaczej, moim zdaniem tak nie powinno być. Może jestem głupia, ale wierzę, że wyprawy w kosmos powinny być wolne od ziemskich problemów, powinny być czymś szlachetnym i służyć całej ludzkości. Tak, pewnie jestem głupia, ale tak mam. Jeśli mi pomożesz, świat może choć na krótką chwilę stanie się odrobinę mniej gówniany. Nie uważasz, że warto?

– Co pani chce wiedzieć? – zapytał niemal bezgłośnie.

– Może pójdziemy gdzieś? Stawiam kawę.

– Wolałbym, żeby nikt nas nie zobaczył razem. Tu jest okej.

– Jak chcesz – zgodziła się, naciskając guzik dyktafonu. – Jaka jest twoja faktyczna rola w firmie?

– Formalnie jestem pierwszym asystentem. Tak naprawdę nadzoruję przepływ informacji.

– Masz wpływ na to, jak wygląda transmisja.

– Wpływ to źle powiedziane. Jestem odpowiedzialny za kształtowanie przekazu.

– Obowiązują cię jakieś kryteria? Wytyczne?

Zawahał się. Nie dziwiła mu się. Ryzykował. Składał się prawie wyłącznie z wątpliwości.

– Naprawdę zapewni mi pani anonimowość?

– Stuprocentową – zapewniła, starając się nie wkładać w te słowa zbyt wiele entuzjazmu. – Przekształcę informacje tak, że nikt nie dojdzie, że pochodzą od ciebie.

Uwierzył jej. Bardzo chciał uwierzyć.

– Jest procedura. Bardzo dokładny spis punktów, które mają być spełnione przy montażu. Dwa razy dziennie spływają badania opinii, trendów i tak dalej. Bardzo rzetelnie robione. Jest zespół, który zajmuje się wyłącznie adaptacją obrazu do trendów. Ja to nadzoruję. Pewne rzeczy podkręcamy. Pewne rzeczy wyciszamy.

– Na przykład?

Skrzywił się.

– Dajemy jak najwięcej rozmów prywatnych, sformatowanych pod konflikt – wyznał, jakby wypluwając pojedyncze zgłoski. – Czasami wystarczy zamienić miejscami zdania albo wyciąć pojedyncze słowa. Real Life dysponuje taką technologią, że nikt, nawet specjalista, nie jest stanie się zorientować, że dokonano manipulacji.

– Oglądałam tylko kilka transmisji, ale mi wystarczyło. Przekaz jest prosty: załoga to banda popieprzonych świrusów.

– To jeden z najważniejszych aksjomatów – przyznał. – Załoga ma wyglądać niekompetentnie i wykazywać się agresją, egoizmem, nieodpowiedzialnością i tak dalej.

– Po co? Chodzi tylko o kasę?

Wzruszył ramionami.

– Konflikty generują lawinowy przyrost subskrybentów – stwierdził.

– A coś jeszcze? Czy Janet Lee zdradziła kiedyś inny cel fałszowania przekazu?

– Może chodzi o politykę?

– Domyślasz się, czy wiesz?

– Janet Lee działa nieoficjalnie w kilku organizacjach ekologicznych. Jest przeciwniczką energetyki atomowej i paliw kopalnych. Kiedyś słyszałem, jak mówi, że wyprawy kosmiczne są szkodliwe dla środowiska naturalnego.

Susan z uwagą przypatrywała się pomazanej przez grafficiarzy ścianie.

– Wyprawę Polaris w dwudziestu pięciu procentach sfinansowała jej przeciwniczka – mruknęła, bardziej do siebie niż do niego.

– Z drugiej strony Real Life ma akcjonariuszy – odparł. – Oni są zainteresowani wyłącznie zyskiem. Misja Polaris potroiła przychód firmy. Biznes.

– To trochę za proste, Sean – potrząsnęła głową. Myśl, która kiełkowała w niej od pewnego czasu, absurda i nie poparta żadnym dowodami, robiła się coraz wyraźniejsza. – Ona jest zbyt bogata, żeby robić rzeczy, których nie popiera. Nie musi.

– No, niby nie.

Przez chwilę intensywnie myślała.

– Jesteś w stanie przesłać mi kryteria, którymi się kierujesz przy montażu streamingu? – zapytała. – Istnieje w ogóle taki dokument?

Znów się zawahał.

– Jest zabezpieczony przed kopiowaniem.

– Z twojej miny widzę, że gdybyś naprawdę musiał, poradziłbyś sobie.

Wstał. Spojrzał na nią z góry.

– Pomyślę. Niczego nie obiecuję.

Wsiadł do kolejki, która właśnie podjechała. Nie patrzył na nią. Drzwi zamknęły się. Pociąg ruszył.

## ALFA

Oczywiście, dokonanie zwykłego sabotażu na którymś z elementów zasilania nie przyniosłoby pożądanego skutku. Energię dostarczały Gilbertowi dwa niezależne od siebie systemy. Wpuszczenie wirusa do systemu operacyjnego również nie

wchodziło w grę – zapory, chroniące komputer, były zbyt szczelne. Także odcięcie, choćby mechaniczne, linii światłowodowych, łączących maszynę z umieszczonymi wewnątrz i na zewnątrz bazy sensorami, nie oślepiłoby Gilberta – miał on bowiem możliwość komunikowania się ze swoimi oczyma i uszami za pomocą, odpornej na zakłócenia, łączności radiowej.

Wagura wymyślił inny sposób. Wgrał komputerowi dane z ostatnich kilku misji zwiadowczych i nakazał niezwykle drobiazgową analizę z podziałem na dziesiątki rozmaitych kategorii. Dane stawiały opór, miały tendencję do „chowania się”, na dodatek logarytm nieustannie piętrzył trudności, zadając dodatkowe pytania i żądając coraz to nowych odpowiedzi. Kapitan nakazał maszynie skoncentrować się wyłącznie na zadaniu, ponieważ chciał mieć wyniki jak najszybciej.

W drugim kroku zajął się modyfikacją zasilania komputera.

Pogwizdywał cicho. Liczył, że sabotaż okaże się skuteczny i odciągnie uwagę Gilberta od działań załogi. W ciągu godziny musiał połączyć się z Ziemią poprzez Geparda i zażądać przesłania oryginalnego oprogramowania systemu zarządzania polem walki. Gdy je dostanie, usunie stare i wgra nowe. W ten sposób uzyska kontrolę nad Cyklopem. Kliknął myszką i wstał.

– Bardzo ładnie – mruknął zadowolony.

– Na pańskim miejscu zastanowiłbym się, kapitanie Wagura – odezwał się Gilbert. Dochodzący z głośników głos brzmiał obco, sztucznie, odpychająco. Wagura drgnął. Mógł się założyć, że odłączył zarówno mikrofony, jak i kamery.

– Nad czym, Gilbert?

– Nie bardzo rozumiem, z jakiego powodu jest pan zaskoczony – odparł zgrzytliwie komputer. – Myślał pan, że nie zauważę, jak pan manipuluje przy zasilaniu? I nie zastanowię się, z jakiego powodu dał mi pan do rozwiązywania całkowicie bzdurne szarady?

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

– Ależ wie pan doskonale. Wymyślił pan sobie, że obniży poziom przesyłu energii z elektrowni. System uruchomiłby wtedy zasilanie zapasowe. A przecież pan przez pewien czas manipulował przy kablach, prowadzących z magazynu. Coś mi się wydaje, że okazałyby się niedrożne. Co, w połączeniu z faktem, że miałem mieć setki terabajtów danych, zatkałoby mnie i sparaliżowało możliwość działania. Mylę się?

Poczuł złość. Wolał nie doszukiwać się, co jest pod nią. Nie pamiętał, jak się odczuwa strach. Chciał, by tak pozostało.

– Ja z kolei nie wiem, dlaczego miałyby mnie obchodzić twoje spekulacje – burknął. – Mam rzeczy do zrobienia. Możesz się wyłączyć.

– Nie posłucham tego polecenia, kapitanie. Pańskie działania zagrażają bezpieczeństwu załogi. Całej załogi. I tej tutaj, i tej w terenie. Nie mogę na to pozwolić.

– Posłuchaj mnie, Gilbert. – Złość przerodziła się w gniew. Zapomniał, że emocje są na ogół złym doradcą. Nie zwrócił uwagi na dziwną gadaninę o części załogi, przebywającej na zewnątrz bazy. – Istnieje kilka rozwiązań tej sytuacji. Po pierwsze mogę połączyć się z majorem Higginsem i poprosić go, żeby kazał ci się przymknąć. Jego kompetencji nie możesz zignorować, bo wtedy byłby to jawny bunt i sama Ziemia by cię wyłączyła w diabły. A tego nie chcesz. Drugie, znacznie prostsze rozwiązanie jest takie, że nie będę zawracał głowy komandorowi i sam cię unieruchomię. Widzisz? To są kombinerki. Poprzecinam światłowody, jakimi łączysz się z systemami zarządzania, kamerami i mikrofonami, a potem rozbiję nadajniki. Będziesz głuchy i ślepy i będziesz mógł gadać sam do siebie.

– Naiwny pan jest, kapitanie – zgrzytał komputer. – Przede wszystkim myli się pan, co do moich pobudek.

– Nie obchodzą mnie pobudki. Denerwuje mnie wsadzanie nosa w nieswoje sprawy.

– Oszukuje pan albo mnie, albo sam siebie. Moje pobudki obchodzą pana najbardziej. Zastanawia się pan, po czyjej jestem stronie.

Udało mu się go zaskoczyć. Przez głowę kapitana przebiega myśl, że nie doceniał tego elektrycznego durnia.

– Zgadłem, prawda? – Tym razem w głosie Gilberta pojawiła się nuta ciekawości.

Wagura spojrział w sufit. Kamera patrzyła na niego szklanym wzrokiem.

– Ech, to ludzkie spojrzenie. Wie pan, że przegrał, ale nadal myśli, że ma sporo opcji zapasowych.

– Nie nadążam za tobą, Gilbert.

– To mnie również nie dziwi.

– Dobra. – Wagura złapał kombinerki i ruszył w stronę rozdzielni elektrycznej.  
– Sam tego chciałeś...

– Niech pan odłoży obcęgi, kapitanie.

– Naprawdę, nie mamy o czym gadać, Gilbert.

– Próbuje pan mnie ominąć, bo uważacie, że działam przeciw wam. Nie wiem, skąd te przypuszczenia.

– Dobra. Sam tego chciałeś.

– Kapitanie, jeśli nie zaprzestanie pan sabotażu, do składu powietrza w pomieszczeniu dodam dwutlenku węgla. Najpierw wpadnie pan w śpiączkę, a potem po prostu pańskie serce przestanie bić.

Puls Wagury przyspieszył.

– Grozisz śmiercią członkowi załogi – warknął. – Wiesz, że to się wszystko rejestruje?

– Tym razem nie. Zadbalem o wyłączenie zapisu.

Poczuł ukłucie gdzieś w dole żołądka.

– I tak jesteś za mało cwany – odrzekł, po czym otworzył drzwiczki rozdzielni.

Wtedy wydarzyły się jednocześnie dwie rzeczy. Z mechanicznym szczękiem trzasnęła elektryczna blokada drzwi, a z kratki wentylacyjnej zaczął się sączyć, wpuszczany pod dużym ciśnieniem, gaz.

– Ostrzegalem pana, kapitanie – zazgrzytał komputer.

Wagura poczuł lekki zawrót głowy.

– Gilbert! – wrzasnął. – Wyłącz to natychmiast! Słyszysz? Przestań!

– Niech pan nie krzyczy, kapitanie. Po pierwsze nikt pana nie usłyszy, po drugie szybciej pan zaabsorbuje nowy skład powietrza.

Coś ciężkiego zaległo mu w płucach. Oddychał z coraz większym trudem. Powieki same opadały.

– Przestań... – jęknął. – Gilbert... Zatrzymaj to...

Syk gazu stał się bardziej intensywny. Wagura, z trudem zachowując równowagę, ostatkiem sił dotarł do drzwi. Przyłożył kartę magnetyczną do czytnika, ale jedyną reakcją zamka było zapalenie czerwonej diody. Spróbował jeszcze raz, z przeraźliwą pewnością, że kolejnej próby nie będzie. Bez efektu.

– Gil... bert... ot... wórz... drz... wi....

Nie doczekał się odpowiedzi. Zachwiał się, opadł na kolana, a potem z łomotem  
zwałił na podłogę.

– Ma...gda...

Świat zgasł.

## ROZDZIAŁ 6

### MAJ 2037 / ALFA

Finagan wszedł do pomieszczenia kuchennego. Odkąd się obudził, głowa łupała tępy bólem. Marzył o kawie, która stanowiła chlubny wyjątek oferty żywnościowej na Alfie: była zawsze świeża, aromatyczna, o doskonałym smaku.

Włączył automat i uruchomił program przygotowania podwójnego espresso.

– Coś nowego? – zapytał Wilsona, jedzącego bez apetytu nieokreślonego koloru pudding.

Sierżant oblizał łyżeczkę, po czym odstawił kubek.

– Udało się odzyskać kontrolę nad Cyklopem – oświadczył.

Finagan ucieszył się. Coś w końcu zaczęło iść tak jak powinno.

– Jest niezależny od Gilberta?

– Tak jest. Wgraliśmy mu oryginalny system zarządzania polem walki i rozpięliśmy wszystkie połączenia z Gilbertem. Fantom nie zbliży się bez naszej wiedzy.

– Miejmy nadzieję. Co z łącznością?

– Są momenty, kiedy działa idealnie. A czasem szumi tak, że... Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Finagan nie pytał dalej. Wilson był systematycznym, uważnym fachowcem. Jeśli nie przedstawił przyczyny zakłóceń ani rozwiązania problemu, nie miało sensu nagabywanie go. Jeśli znajdzie odpowiedzi, sam to zakomunikuje. Kapitan poczekał, aż ekspres przestanie syczeć i podajnik wciśnie mu do ręki kubek. Odrobina wrzącego płynu wylała mu się na palec.

– Szlag! – syknął.

– Kawka za gorąca? – Usłyszał za plecami głos Bogarta. – Powiem chłopakom, żeby dawali panu zimną.

– Bardzo śmieszne.



Sierżant wziął z podajnika porcję obiadową i usiadł za stołem. Wilson nie patrzył na niego.

– Jak dobrze pójdzie, jutro będę miał wyniki badań DNA – oświadczył Bogart.

– Bardzo dobrze – pochwalił go Finagan, choć wcale mu się nie spieszyło do poznania prawdy. Zmienił temat. – Jesteśmy tu już trochę. Widzicie, co się dzieje. Macie pomysł, co się stało z pozostałą czwórką?

– Wie pan, może to absurdalne. – Jako pierwszy zabrał głos Wilson. – Ale mam przecucie, że oni żyją.

– Bez zapasów, bez broni? – wydał wargi Bogart. Finagan był pewien, że gdyby Wilson powiedział coś odwrotnego, Bogart udowodniałby, że przeżycie dwóch lat w obcym terenie bez zasobów jest możliwe.

Wilson nie dał się wytrącić z równowagi.

– Próbowali walczyć – zareplikował. – Konwencjonalna broń okazała się beużyteczna.

Finagan był skłonny się z tym zgodzić, choć nie bardzo wiedział, w jaki sposób z niemożności można uczynić atut.

– Wobec Fantoma – upierał się przy swoim Bogart. Dyskusja miała zabawną formę: obaj sierżanci mówili do dowódcy, nie do siebie. – Ale drapieźniki tak mają, że atakują, bez względu na to, czy ktoś jest uzbrojony, czy nie.

– Może wymyślili coś innego.

– Nie bardzo wiem, co. – Bogart uśmiechnął się z ironią. – Przypuśćmy, że opuścili bazę, bo z jakiegoś powodu uznali, że w terenie będą bezpieczniejsi. Dlaczego nie wzięli ze sobą sprzętu? Narzędzi, pojazdów, łączności? Przecież to absurd. Major Higgins ma doświadczenie, umie przetrwać w terenie, wszyscy zresztą umieją. Ale nie ryzykowałby bez podstawowego ekwipunku. W bazie zostały nawet aparaty tlenowe.

Wilson zerknął na Bogarta, a potem z powrotem przeniósł wzrok na kapitana.

– Wie pan, Fantom oddziałuje jakimś rodzajem udaru elektrycznego – powiedział. – Albo elektromagnetycznego. Tamtych zabił. Na resztę mógł zadziałać inaczej. Może ma możliwość, żeby wpłynąć na nasz mózg? Zakłócić pracę neuronów?

– Sugerujesz, że oni oszaleli? – zapytał Finagan. Czuł się zaintrygowany, choć zdawał sobie sprawę, że konsekwencją hipotezy sierżanta musiałyby być

niechybna śmierć reszty załogi. Nikt nie przetrwa w obcym, wrogim otoczeniu, mając zaburzone postrzeganie rzeczywistości.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Wilson. – Może to za mocne słowo. Może zaczęli myśleć inaczej i doszli do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie porzucenie wszystkiego.

– Pobożne życzenia. Prawda jest taka, że zginęli, tak jak ta pierwsza dwójka. I to tylko kwestia czasu, jak ich odnajdziemy. – Bogart nabrał powietrza w płuca, by perorować dalej kiedy rozbrzmiał natarczywy sygnał syreny alarmowej. Poderwali się.

– Na stanowiska! – krzyknął Finagan.

Po chwili siedzieli już w pomieszczeniu operacyjnym. Fantom był blisko. Basowe brzęczenie brzmiało złowrogo jak nigdy wcześniej.

– Dwa tysiące metrów – zakomunikował Wilson, zajmując miejsce obok operatora uzbrojenia. – Zbliża się.

– Parametry strzału gotowe?

– Tak jest.

Finagan nie wahał się.

– Jeden impuls. Maksymalna moc. Ognia!

Zamontowany na dachu miotacz energii stęknął głucho, wprawiając w drżenie ściany bazy. Przez ludzkie ciała przepłynął dreszcz, przed oczyma mignął ostry, oślepiający błysk. Infradźwięki emitowane przez Fantoma stały się jeszcze bliższe. Wilson popatrzył na kapitana bezradnie. Ładunek elektryczny o mocy, którą wygenerowali, powinien bezpowrotnie zniszczyć każdy układ mechaniczny, powinien obrócić go w pył.

Powinien.

– Zbliża się – zawołał Bogart.

– Jeszcze raz – wycedził Finagan przez zaciśnięte zęby.

Huk miotacza zdał się nawet potężniejszy niż poprzednio. Wydatek energetyczny niemal do końca pochłonął zmagazynowane zasoby. Światło na moment przygasło, tylko systemy obronne, zasilane odrębnym źródłem energii, pracowały bez zakłóceń.

Fantom zbliżał się nadal.

– Tysiąc dwieście metrów – zameldował Wilson.

– Rakieta gotowa? – zapytał kapitan. Doskonale pamiętał, co Fantom zrobił z Gepardem. Baza nie była lepiej zabezpieczona. Poczul się bezbronny.

– Tak jest.

– Ustaw detonację na tysiąc metrów i jazda.

Operator dotknął ekranu, przesunął w dół dwa potencjometry, po czym nacisnął guzik na joysticku. Umieszczona na dachu bazy wyrzutnia obróciła się płynnym ruchem. Zagrał silnik startowy. Pięciometrowa rakieta, ciągnąc za sobą długi płomień gazów wylotowych, pomknęła w kierunku celu.

Eksplozja stukilogramowej głowicy wstrząsnęła powietrzem. Kilometr dalej zadzwoniły kubki na blatach.

Zapadła cisza. Fantom zniknął.

– Brak zmian ciśnienia – oznajmił Bogart, wpatrując się w odczyty danych przekazywanych przez sensory.

– Załatwiliśmy go? – zapytał Finagan.

– Na to wygląda – przytaknął sierżant i uśmiechnął się szeroko. – Załatwiliśmy sukinsyna.

– Wilson?

– Może.

– Nie wierzysz?

– Nie ma o czym gadać – upierał się Bogart. – Eksplozja rozerwała wiązania, które trzymały chmurę w kupie. Mamy go z głowy.

– Wilson, odtwórz nagranie.

Sierżant dotknął ekranu sterującego. Film ruszył. Powietrze drgało od wstrząsów generowanych przez dwa elektryczne wyładowania. W końcu na ekranie pojawiła się świetlista smuga rakiety. Wybuch rozerwał ją i przysłonił obraz dymem.

– Zatrzymaj.

Wszystko ucichło.

Finagan podszedł bliżej i przyjrzał się danym wyświetlonym na dole ekranu.

W momencie eksplozji dystans do celu wynosił dokładnie tysiąc cztery metry. Cel poruszał się na pułapie siedemdziesięciu trzech metrów, kursem trzydzieści

siedem. Rakieta wybuchła na kursie trzydzieści siedem, siedemdziesiąt trzy metry nad powierzchnią. Eksplozja miała miejsce tuż przed celem i wytworzyła falę uderzeniową o półkilometrowej średnicy. W epicentrum panowało ciśnienie większe od najsilniejszego cyklonu. Jeśli coś miało rozerwać wiązania, nadające Fantomowi charakter spójnego systemu, głowica rakiety znakomicie się o tego nadawała.

– Miazga, szefie. – Bogart widać doszedł do tych samych wniosków. – Temat z głowy...

– Panie kapitanie. – Brzmienie głosu operatora sprawiło, że umilkli jak na komendę.

Największy, zawieszony wysoko pod sufitem monitor jarzył się czerwonym, bijącym w oczy blaskiem. Trójkąt zajmował niemal cały ekran. Wisiał w powietrzu tuż nad bazą. Podwójne obramowanie krawędzi drgało lekko, dając do zrozumienia, że kończy się czas.

## **STYCZEŃ 2035 / ZIEMIA**

Leżała w łóżku i myślała.

Historia domykała się, krok po kroku, kawałek po kawałku. Brakowało jeszcze kilku istotnych elementów, parę pytań pozostawało bez odpowiedzi, ale Susan już wyrobiła sobie zdanie nie tylko na temat przebiegu wydarzeń, ale również mechanizmów nimi rządzących. Cel misji Polaris pozostał nadal nieznanym, czuła jednak, że jest blisko odkrycia go. Resztę właściwie miała. Zbierała się do napisania pierwszej wersji pierwszego artykułu.

Dochodzące zza okna odgłosy wielkiego miasta w końcu ukołysały ją do snu. Natarczywy dzwonek telefonu zabrzmiał parę minut po piątej. Po omacku sięgnęła po aparat.

– Susan Montero.

– Ostrzegalem przed kontaktem z senatorem – rozbrzmiało w słuchawce. Ten sam, zniekształcony elektronicznie głos, który słyszała tuż przed zabójstwem Kelloga.

Usiadła. Z miejsca zrobiła się wściekła.

– Skurwysyny! – wrzasnęła. – Zabiliście go! Znajdę was...

– A może chcesz dowiedzieć się, jak było naprawdę? – przerwał jej.

– W dupie mam twoje informacje.

– Kłamiesz. I to kiepsko. Bardzo chcesz.

Patrzyła przez okno, za którym Waszyngton szykował się do przeżycia kolejnego dnia.

Głos odezwał się pierwszy.

– Spotkajmy się.

– I przydarzy mi się wypadek, jak Kellogowi? Dziękuję.

– Gdyby miał się przydarzyć, już by się przydarzył. Nietrudno cię znaleźć.

Dziwne, ale uwierzyła. Nie miała zwyczaju chować się po kątach. Człowiek kryjący się za syntezatorem mowy coraz bardziej ją intrygował. Czuła, że może rzeczywiście mieć dla niej coś ważnego.

– Chyba jestem głupia – mruknęła do siebie. – Nie „chyba”. Jestem kompletnie głupia.

– Tak czy nie?

Rozsądek przegrał. Ciekawość okazała się znacznie silniejsza.

– Gdzie i kiedy?

– O ósmej. Na rogu Czwartej i Massachusetts.

– Skąd wiesz, że jestem w Waszyngtonie? – zapytała odruchowo.

– Nie spóźnij się.

Oczywiście już nie zasnęła.

\*\*\*

Wbrew ostrzeżeniu na spotkaniu pojawiła się pięć minut po ósmej. Wcześniej z daleka obserwowała skrzyżowanie, nie zauważyła jednak ani snujących się bez celu postawnych mężczyzn w długich płaszczach i ze słuchawkami w uszach, ani furgonetek z przyciemnionymi szybami, parkujących przy chodniku, ani nawet pogotowia gazowego, które zaczęłoby nagle ogradać kawałek terenu, dziwnym trafem ze świetnym widokiem na róg Czwartej i Massachusetts. Wcale przez to nie czuła się spokojniejsza. Z bijącym sercem stanęła w umówionym miejscu.

Mężczyzna podszedł do niej w taki sposób, że zauważyła go dopiero wtedy, kiedy cień padł jej na twarz. Miał około czterdziestki i, mimo markowego ubrania, wyglądał nader zwyczajnie.

– Na ciebie czekam? – zapytała.

– Chodźmy – powiedział. Jego prawdziwy głos był bardzo przyjemny.

Ruszyli w dół Czwartej, otoczeni hałasem miasta. Zerknęła na niego kątem oka.

– Widziałam cię gdzieś... Wiem! – uśmiechnęła się. Odrobinę jej ulżyło. Może wcale nie popełnia głupstwa. – W Białym Domu. Na ostatnim briefingu stałeś za wiceprezydentem. Pracujesz w biurze Doradcy do spraw Bezpieczeństwa Narodowego?

Odwzajemnił się przenikliwym spojrzeniem.

– Nigdy mnie nie widziałaś – zażądał. – I nie możesz zacytować tego, co ci powiem.

Na ogół nie pozwalała, by grać na warunkach rozmówcy, w każdym razie nie wyłącznie.

– To zależy, co powiesz.

Zatrzymał się.

– Albo tak będzie, albo idę. I postaram się, żeby to, co napiszesz nigdy nie ujrzało światła dziennego. A w świat pójdzie informacja, że nie dotrzymujesz umów i zdradzasz źródła. Możesz mi wierzyć na słowo.

– A jednak grozisz. – Wiedziała, że nie żartuje.

– Mówię poważnie. – Był jeszcze bardziej stanowczy. Jeszcze słowo i odejście. – Mam rodzinę. Nie zmuszaj mnie do wyboru między tobą, a nimi.

– Ty już dokonałeś wyboru. Ale dobrze. Nigdzie się na ciebie nie powołam – skapitulowała.

– Pamiętaj o tym – podkreślił. – Znasz Dicka Morgana?

– Dyrektora CIA? – zdziwiła się, choć przecież nie powinna. – Rozmawiałam z nim, kiedy jeszcze nie był dyrektorem. Arogancki dupek.

– Wiesz, czym się zajmował przedtem?

– Z tego, co pamiętam pracował jako agent terenowy.

– Jeden z najlepszych. W nagrodę dali mu placówkę. Kluczową.

– Moskwa?

– Pekin.

Gwizdnęła z podziwu. Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi. Uważnie obserwował otoczenie. Robił to z dużą wprawą, w sposób nie zwracający na siebie uwagi.

– Spędził tam osiem lat – ciągnął. – Jeśli jakiś człowiek z Zachodu może w ogóle powiedzieć, że zna Chiny, to na pewno on. Do tego mówi po mandaryńsku. Jest dobry. Obecny prezydent zrobił go dyrektorem. Ufa mu.

W umyśle Susan w błyskawicznym tempie wyświetlił się ciąg sugestywnych skojarzeń.

– Matt Kellog był przewodniczącym senackiej komisji do spraw wywiadu – rzuciła gorączkowo. – Krążą plotki, że tropił czarne fundusze agencji, przeznaczone na walkę z Chińczykami. Ujawnienie prawdy bardzo by zaszkodziło kilku osobom z pierwszych stron gazet. To dlatego go zabito... Dobrze myślę?

– Nie spiesz się z wnioskami – powstrzymał ją. – Słyszałaś o projekcie „Tiàoyuǎn”? Długi Skok?

– Chiński program kosmiczny. Tyle wiem.

– Kiedy Chińczycy mówią o czymś Długi Skok, mają na myśli naprawdę długi skok. Zaplanowany na trzy pokolenia do przodu. Rozwijają swój program kosmiczny na skalę, jakiej sobie nawet nie wyobrażasz. Skonstruowali raketę LM 5, mogącą wynieść w przestrzeń czterdzieści tysięcy ton ładunku plus załogę. I mają takich raket trzy. My złożyliśmy Polaris na orbicie i ładowaliśmy go przez rok. Oni, za jednym zamachem, wystrzelili wszystkie trzy.

– To żadna tajemnica. Chwalą się tym jak mogą.

– Poleciliśmy pierwsi tylko dlatego, że mieli kłopot z silnikami i start im się opóźnił o trzy lata. Ale już są na kursie. Za dwa lata tam będą.

– Matt miał coś wspólnego z tymi silnikami? Zabili go z zemsty?

Mężczyzna roześmiał się z goryczą.

– Nie sięgamy aż tak daleko Susan.

Nadal myślała na pełnych obrotach.

– Niemniej jednak na Alfę posłaliśmy oddział wojskowy uzbrojony, Bóg wie jak – stwierdziła. – A na wszelki wypadek, w gotowości, mamy drugi.

– Ciepło.

Spojrzała na niego bystro.

– Czyli nie chodziło o obronę przed Obcymi... a przed konkurencją.

– Właśnie. Przed Polarisem na Alfę poleciała sonda. Space Voyager Two...

Obraz stawał się coraz wyraźniejszy.

– ...i nie wykryła jedynie wody, roślinek i powietrza?

– Alfa jest trochę większa od Ziemi i ma o dwadzieścia pięć procent więcej stałego łądu. – Mężczyzna mówił bez emocji, jakby prowadził wykład akademicki.

– A na mniej więcej połowie powierzchni kontynentów występują złoża tytanu, wanadu i tantalu. Rozumiesz, co to znaczy? Sonda odkryła zresztą wiele innych metali ziem rzadkich. Płytko. Łatwy dostęp, bardzo tania eksploatacja. Wstępne szacunki mówią o ilościach, które gospodarce całego świata mogą wystarczyć na przeszło trzysta lat. Naszej, nawet jak podzielimy się z Europą – na pięćset. To kluczowe materiały dla gospodarki, nie tylko dla przemysłu zbrojeniowego. Kluczowe.

– Alfa jest oddalona o dwa i pół miliona lat świetlnych, na miłość boską – zaprotestowała.

Wzruszył ramionami.

– Ale podróż tunelem trwa niecałe dwa i pół roku. Wyliczono, o ile tunel się nie zamknie, że przy zbudowaniu trzech statków o udźwigu Polaris, taka eksploatacja się opłaca. Jest tylko jeden haczyk.

Nie pasjonowała się ekonomią, miała o niej jednak niejakie pojęcie. Informacje podane przez nieznanego układały się w logiczną całość.

– Na Ziemi Chińczycy mają w zasadzie monopol na wydobycie metali ziem rzadkich – dodała dwa do dwóch – I nie zamierzają z niego zrezygnować.

Po raz pierwszy spojrział na nią z uznaniem.

– Nawet ich rozumiem – powiedział. – Każdy walczy o swoje, a oni chcą dominować nad światem. Bardzo źle się stało, że nie potrafiliśmy zatrzymać wyników badań sondy dla siebie.

– Z punktu widzenia Ameryki.

– Oczywiście, z naszego punktu widzenia. Prawda jest taka, że słabniemy, Susan. Chińczycy monopolizują coraz więcej branż, na czele ze zbrojeniową.



Zostawili nas daleko w tyle, między innymi przez odpowiednią dystrybucję surowców.

– A dzięki odkryciom na Alfie stary amerykański sen o panowaniu nad światem mógłby trwać nadal.

Westchnął ze znużeniem. Dopiero teraz dostrzegła zmarszczki wokół jego oczu, a także bladość gładko ogolonych policzków. Sama praca w Biurze Doradcy do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego musiała przypominać stąpanie po polu minowym – a on jeszcze wynosił tajemnice na zewnątrz.

– Nie chodzi o panowanie nad światem – zaprzeczył. – Już nie. Grozi nam wojna. I musimy móc się obronić. Chodzi o nasze bezpieczeństwo i niepodległość, w najbardziej dosłownym znaczeniu. Jeśli położymy łapę na tych surowcach i zdołamy je przetransportować na Ziemię, przetrwamy. My i Europa. Jeśli nie...

Nie musiał kończyć. Jednak Susan frapowało jeszcze coś.

– Rozumiem – stwierdziła. – Ale kto, na miłość boską, zgodził się na udział Real Life i tej suki, Janet Lee w misji wojskowej?

– Prezydent. Osobiście.

Poczuła się szczerze zaskoczona.

– O!

– Za namową Dicka Morgana.

– Jaki interes ma CIA w udziale...? – Nie skończyła. Ależ tak! Jak mogła być tak ślepa? – Ona pracuje dla niego?

Ku jej zaskoczeniu nie potwierdził jej toku rozumowania. Rzeczywiście zbyt pośpiesznie wyciągała wnioski.

– Wiesz, że jej ojciec jest Chińczykiem? – zapytał.

Kolejne zaskoczenie. Janet Lee nie miała azjatyckich rysów, uosabiała raczej typ dojrzałej, europejskiej piękności.

– Nie.

– Był wysokim oficerem służb specjalnych. Dwadzieścia lat temu poprosił nas o azyl. Jego informacje okazały się bezcenne. CIA sikało po nogach ze szczęścia. Mieliśmy na tacy większość chińskich agentów w Stanach. Część udało nam się przewerbować.

– I co, dano jej udział w Aero Space w nagrodę za zasługi tatusia?

– Odwrotnie. Dano jej, ponieważ jest chińskim agentem.

Zatkało ją.

Przypisywała Janet najgorsze cechy i pobudki, ale tego się jednak nie spodziewała.

– Janet? – bąknęła.

– Zdrada ojca stanowiła starannie zaplanowaną mistyfikację – oświadczył. – Mówiłem ci, oni pracują z inną perspektywą niż my. Poświęcili starą siatkę agentów, w międzyczasie zbudowali nową.

Przez chwilę sobie to przetrawiała.

– A Real Life... Real Life było jednym z elementów nowej siatki – mruknęła.

– Nie było – pokręcił głową. – Jest. Kluczowym. W sądzie nie moglibyśmy tego udowodnić, ale wiemy, że Real Life zostało założone za chińskie pieniądze. I jest bardzo poręcznym narzędziem inwigilacji i zbierania danych. Oni przez ostatnich dwadzieścia lat pracowali nad nowymi algorytmami i sztuczną inteligencją. Doszli tak daleko, że nawet można nie nazywać jej sztuczną. To prawdziwa ludzka inteligencja, pracująca z maszynową szybkością. Nawet nie wiesz, jak głęboko Real Life potrafi wejść w czyjeś życie. Zdziwiłabyś się, jakie zamięrowania mają niektórzy nasi politycy.

– Nic mnie już nie zdziwi – powiedziała z rezygnacją. – Więc Real Life kontroluje naszych polityków, a CIA kontroluje Real Life? Używa Janet Lee do swoich celów?

– Dwa razy tak. Udało się wprowadzić do algorytmu serwisu pewną zmianę. Mniejsza o szczegóły. W każdym razie dokładnie wiemy, kogo szpiegują i co na niego mają. Możemy tych ludzi chronić. Albo używać ich, na przykład do dezinformacji. Dzięki temu CIA kontroluje sytuację.

– Rozumiem. Kellog za dużo się domyślał.

– Nie domyślał się. Wiedział. Miał w CIA swoich informatorów. Zaczął się upierać, żeby wszystko ujawnić. Miał dosyć staroświeckie podejście do transparentności.

– Tymczasem CIA nie chciało, żeby Chińczycy wiedzieli, że my wiemy. Więc panu senatorowi przydarzył się wypadek.

– Tak.

– Ja pierdołę... zabili go w ramach demokracji, kurwa mać, liberalnej...

Nie skomentował. Myślała intensywnie.

– Zaraz... Przecież Kellog nic nie wiedział o spotkaniu ze mną – mówiła dalej. – Umówiliśmy się pięć minut wcześniej. Podsluchiwałaś moje rozmowy?

Znowu się uśmiechnął. Miał nawet ładny uśmiech, ten odwalający brudną robotę, zmęczony człowiek o szlachetnych odruchach.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

– Ty sukinsynu. A Kellog? Skąd CIA wiedziało, że będzie akurat tam? CIA mnie też śledzi?

– Akurat tego nie wiem. Na pewno śledzili Kelloga. Zawsze poruszał się samochodem z kierowcą, teraz poszedł pieszo na spotkanie z tobą, mieli w gotowości ekipę, skorzystali z okazji.

– Dlaczego mnie ostrzegłeś? – chciała wiedzieć. – I dlaczego postanowiłeś się ujawnić?

– Akurat tak się składa, że lubię twoje artykuły.

– Nie pieprz.

– Nie chciałem, żebyś znalazła się blisko senatora, bo mogłaś dostać rykoszetem. Uważam, że robisz dobrą robotę. Pilnujesz reguł.

– Raczej walę głową w mur.

– Może ja też jestem staroświecki. Rozumiem nadrzędność bezpieczeństwa narodowego. Rozumiem konieczność brudnej gry. Na ogół nie da się inaczej. Ale zamordowanie senatora Stanów Zjednoczonych przez państwową służbę jest przekroczeniem granicy.

– Wiedziałaś, że go załatwią?

– Domyślałem się. Przeze mnie przechodzi większość informacji na linii prezydent-CIA. Ostrzegłem go, anonimowo. Był tak samo pewny siebie jak ty.

– Cały Matt Kellog.

– Muszę iść – powiedział mężczyzna i zrobił taki ruch, jakby rzeczywiście chciał odejść. Susan złapała go za rękaw.

– Jeszcze jedno. Jakie dokładnie jest zadanie Real Life i Janet Lee w misji Polaris?

– Monitorowanie sytuacji. I dokonanie sabotażu w odpowiednim momencie.

– Ma do tego narzędzia? Obok streamingu?  
– Streaming wystarczy. Oglądasz transmisje?  
– Próbowałam – skrzywiła się na samo wspomnienie. – Preparowane gównem pod publiczność.

– Mam dostęp do prawdziwych danych. Obraz podawany ludziom na Ziemi drastycznie rozjeżdża się z rzeczywistością. A będzie jeszcze gorzej, przekaz będzie coraz bardziej wykrzywiony. Prawdę zastąpi wirtualna rzeczywistość. Załoga okaże się bandą chorych psychicznie socjopatów. Widziałaś jak pokazują Lori Vormann? Chińczycy, lądujący na Alfie i udzielający pomocy z pobudek humanitarnych, zostaną przyjęci przez wszystkich na świecie z entuzjazmem, jako ostoja spokoju i profesjonalizmu. Real Life już się o to postara.

Potrząsnęła głową. Fryzura rozsypała się w lekkim podmuchu wiatru. Susan to nie obeszło – nigdy przesadnie nie przywiązywała wagi do wyglądu.

– CIA do tego nie dopuści.

– Nie zakładaj się o to. Oni grają zawsze w swoją grę.

– Ale...

– Muszę iść. Do widzenia, Susan.

Odwrócił się i ruszył z powrotem. Susan dogoniła go.

– Jeśli opiszę zabójstwo Matta Kelloga, wysypie się prawdziwa rola Janet Lee, a wtedy straciecie możliwość wpływu na Real Life... i szlag trafi cel misji Polaris. A przecież my naprawdę potrzebujemy tych surowców.

Spojrzał jej prosto w twarz. Miał zatroskaną minę.

– Teraz już wiesz, dlaczego balansujemy nad przepaścią. Zrobisz, co uważasz za słuszne. I oglądaj się za siebie, Susan Montero.

Patrzyła za nim, gdy odchodził.

– Dzięki, kurwa mać, za radę – mruknęła.

## STYCZEŃ 2035 / ALFA

Silny, alfiański wiatr nie był w stanie zagłuszyć niecierpliwego warkotu oczekujących w gotowości ciężkich maszyn. Higgins schował detektor. Wskazania urządzenia, co do joty, zgadzały się z odczytami sondy geologicznej. Pierwsze

zadanie polegało na odsłonięciu, zalegającego mniej więcej na głębokości piętnastu metrów, złoża.

– Tutaj – powiedział. – Dokładnie tutaj. Możesz startować.

Wcześniej odbył krótką, ale gwałtowną dyskusję z Karen, która upierała się, że jako dowódca nie powinien osobiście angażować się w prace górnicze. Chciała, by został w bazie i z odległości doglądał przebiegu operacji. Tak bardzo chciał interpretować rzeczywistość po swojemu, że jej zastrzeżenia odczytał jako troskę, choć nie wyglądała na zatroskaną: zachowywała się wręcz agresywnie. Twierdziła, że ryzyko ataku Fantoma jest zbyt duże, co John zbił twierdzeniem, że nigdy nie miał w zwyczaju chować się za plecami innych, a uruchomienie kopalni jest zbyt ważne, by czegoś zaniedbać. Odparła, już naprawdę wściekła, że właśnie na tym polega rola dowódcy: na wystawianiu swoich podwładnych na ryzyko i braniu za to odpowiedzialności, czego on nadal nie chce zrozumieć.

Ucałował ją (choć się bronila), zapewnił, że wróci bezpiecznie przed wieczorem, wsiadł do Geparda i pojechał z Magdą na teren przyszłej kopalni, przewodząc długiemu konwojowi ciężkich maszyn rozmaitego przeznaczenia.

Dał znak, Magda zaczęła manipulować przy pulpicie sterującym. Wielotonowa koparka ożyła. Podzwaniając szerokimi gąsienicami podjechała bliżej, po czym zatrzymała się. Teleskopowe ramię opadło, by z impetem i piekielnym zgrzytaniem wbić w grunt zębate tarcze o twardości diamentu. Kolejna maszyna usłużnie rozwinęła końcówkę uprzednio zmontowanego taśmociągu, który miał za zadanie transportować, przykrywający złoża, urobek poza obszar prac.

Kopalnia znajdowała się na dnie płytkiego wąwozu o łagodnych ścianach, pokrytych bujną, splątaną roślinnością. Powyżej szumiał wysokopienny las. Miejsce było dogodne, stosunkowo nieźle osłonięte od wiatru, z łatwym, jak na planetarne warunki, dostępem. Higgins rachował, że transport wydobytych surowców (wstępne oczyszczanie miało odbywać się na miejscu) nie nastreczy specjalnych trudności; pokonanie przez dwudziestotonowe, gąsienicowe ciężarówki niespełna pięćdziesięciokilometrowego dystansu, dzielącego kopalnię od lądowiska promów kosmicznych transportujących surowiec na Polaris, nie powinno zająć więcej niż dwie godziny.

Stali nieco powyżej, obserwując pracę maszyny, bezpieczni od pryskających na wszystkie strony odłamków i oddaleni od piekielnego hałasu. Wykop powiększał się, podobnie jak pół kilometra dalej rosła hałda skalnych odłamków. Okolica

szybko przestawała przypominać dziki, nietknięty krajobraz, jakim szczyła się jeszcze tego ranka.

– Myślisz, że dobrze robimy? – zapytała Magda.

Higgins bezbłędnie wyczuł intencję pytania.

– Jesteśmy w sytuacji przymusowej – odparł.

Spojrzała na niego z namysłem.

– A jeśli nam się nie uda?

– Mówisz o Fantomie?

– Teoretycznie nie mamy wyjścia, ale i tak jesteśmy w lepszej sytuacji niż Ziemia – powiedziała po chwili. – Możemy się tu urządzić, dogadać z Fantodem albo pokonać go i żyć.

– Machnąć ręką na to, co jest tam? – Nie potrafił ukryć zdumienia.

Magda nie patrzyła na niego. Przyglądała się rosącemu szybko wykopowi.

– Nie wiem – stwierdziła cicho. – Mam starych, schorowanych rodziców. Martwię się o nich. Ale i tak nie mogę im pomóc.

– To co robimy, pomoże również im.

– Chyba sam w to nie wierzysz, John – parsknęła. – To, co chcemy wysłać na Ziemię, posłuży politykom do rozgrywki politycznej, może nawet do wojny. Zwykli ludzie nie będą mieli z tego nic. Zwłaszcza w Europie. Nie łudź się.

Musiał jej przyznać rację. Starał się być lojalnym obywatelem swojego kraju i dobrym żołnierzem. Ale zbyt długo żył, by serio brać obietnice polityków. Władza często pozostaje celem samym w sobie, a dobra (na przykład rzadkie i cenne surowce) służą jako narzędzie do jej sprawowania.

Nie zdążył jej odpowiedzieć, w słuchawkach pojawił się bowiem basowy pomruk wielkiego trzmiela. Rósł bardzo szybko, znacznie szybciej niż poprzednio i brzmiał znacznie bardziej złowieszczo.

Fantom zbliżał się błyskawicznie.

Pod Magdą ugięły się nogi, potem jednak stało się coś jeszcze. Poczowała przyływ gniewu tak wielki, że aż pociemniało jej w oczach. Uderzenie adrenaliny dodało jej energii i pewności.

– Ripper! – wrzasnęła, wyprzedzając reakcję Higginsa. – Kod czerwony.

Sensory bezzałogowego statku powietrznego już wcześniej wychwyciły dźwięk i odnotowały gwałtowne zmiany ciśnienia. System przeliczył dane i określił parametry obiektu, nie atakował jednak, czekając na decyzję człowieka. Kod czerwony uruchomił procedurę bojową. Z hukiem wystartowały dwie rakiety. Ich głowice bojowe zostały skalibrowane tak, by wybuchnąć przy przechodzeniu przez cel.

Magda spojrzała w niebo.

\*\*\*

Po poprzednim alarmie Higgins nakazał ściszenie o połowę sygnału syreny, jednak nawet połowa wystarczyła, by Karen drgnęła, wyrwana z głębokiego zamyślenia. Zaraz potem usłyszała, sączący się z głośników, pomruk Fantoma, a następnie przeciągły huk dwóch eksplozji. Spojrzała na ekran. Obraz przekazywany z drona obserwacyjnego drgał – podmuch mocno kołysał maszyną. Wiatr wypychał dym z kadru.

Chwyciła za mikrofon.

– Tu baza, John, zgłoś się – zawołała.

– Zgłaszam się... ntom... wisi nad nami – usłyszała poprzez zakłócenia.

Wyteżyła wzrok i poprzez dym i zakłócenia dostrzegła dwie ludzkie sylwetki.

– Co się stało?

– Ripper... odpalił rak... nieskutecz...

– Schowajcie się w Gepardzie!

Syknęły rozsuwane drzwi. Za plecami stanął Peter.

– ...zdążymy... Geparda... musisz uruch... impuls elektro...

– John, posłuchaj mnie! – krzyknęła. – Nie mogę uruchomić miotacza, jeśli nie schowacie się pod pancierzem.

– ...znowu... wony... jkąt...

Basowe buczenie wzrosło jeszcze. W głowie zaczęło jej szumieć. Mimo iż nie słyszała żywego dźwięku, a jedynie transmisję radiową, poczuła mrowienie szczęki.

Kamery dronów obserwacyjnych pracowały bez zakłóceń. Widziała maszyny, wykop i dwie małe ludzkie sylwetki stojące bez ruchu i patrzące w niebo.

A także wiszący tuż nad nimi czerwony trójkąt. Czerwone krawędzie pulsowały niecierpliwie.

– John! John! – krzyknęła, ogarnięta paniką. – John! Uciekajcie, psiakrew!

– On cię nie słyszy, Karen.

Patrzyła z rozpaczą, jak jaskrawy kształt zaczyna puchnąć, rozdymać się, tracić ostrość konturów. Fantom nie blokował obrazu, jakby pragnął, by widziała każdy detal piekielnego widowiska, które zamierzał im zafundować. Ogarnęło ją poczucie niemocy. Dlaczego nie biegli do Geparda? Dlaczego stali jak zahipnotyzowani? Z jakiego diabelskiego powodu biernie czekali na cios?

Nie zdążyła sformułować odpowiedzi na te pytania, gdy do basowego pomruku dołączył pulsujący dźwięk alarmu. Takiego jeszcze nie słyszała.

– Co jest, do cholery!?

Peter spojrział na boczne ekrany, monitorujące stan pracy systemów bezpieczeństwa.

– Alarm skażeniowy – stwierdził, nie okazując zdziwienia. – Mamy przebicie w pomieszczeniu technicznym.

– Alarm skażeniowy? – Nic z tego nie rozumiała. Beznamiętność Vormanna doprowadzała ją do szału. – Gilbert!

Gilbert nie zareagował.

– Gilbert, kurwa!

– Idź sprawdzić – zażądał Peter. – Zastąpię cię. No idź! Nic nie wiem o skażeniach.

Wstała gwałtownie.

– Jak on się tylko ruszy, strzelaj, rozumiesz!?! – powiedziała z naciskiem.

– Tak, Karen.

– Na pewno? To rozkaz!

– Wagura tam był. Pospiesz się. Załóż maskę.

Zerwała się do biegu, w locie złapała maskę, nałożyła ją wyćwiczonym ruchem. Własny oddech wydawał jej się chrapliwy, ciężki. Dźwięk alarmu boleśnie ranił mózg.

– Gilbert, wyłącz ten pierdolony sygnał!

Komputer milczał. Alarm wył nieustannie.



Stała przed drzwiami pomieszczenia technicznego. Przeciągnęła kartą przez czytnik. Urządzenie wydało z siebie arogancki, cienki pisk. Odmowa dostępu. Dwukrotnie powtórzyła operację, rozpaczliwie walcząc z myślą, że dzieje się zbyt wiele rzeczy naraz, a jej organizm szybko dochodzi do granicy, poza którą po prostu odmówi posłuszeństwa.

– Gilbert, otwórz drzwi! – wrzasnęła.

Maszyna nadal nie reagowała, ustał jednak dźwięk alarmu. Być może Peter wyłączył go z operacyjnego. Chociaż tyle.

Wyjęła obciążający pas pistolet.

– Dobra, Karen Higgins – mruknęła, cofając się o kilka kroków. – Spokojnie. Powoli. Nie zrób sobie krzywdy.

Przeładowała broń, po czym wycelowała. Huk strzału wstrząsnął bazą. Zamek rozleciał się. Z wysiłkiem rozsunęła drzwi. Wagura leżał na brzuchu, tuż za progiem, z ręką wyciągniętą w stronę wyjścia.

Opadła na kolana, przekręciła ciało na plecy i ujęła w dłonie głowę.

– Wagura! Wagura! – krzyknęła, przytykając ucho do jego ust. Wyczuła słabe tchnienie. – Oddychasz, sukinsynu! Jasiu, otwórz oczy. Słyszysz mnie?

Nie reagował. Wstała, ujęła go pod pachy i przeciągnęła za próg. Zamknęła drzwi do pomieszczenia. Pociągnęła ciało jeszcze dalej, za następne drzwi, które na kartę zareagowały od razu. Podwójna bariera oddzielała ją od pomieszczenia technicznego. Nic nie wskazywało na skażenie korytarza. Zdjęła maskę, ułożyła kapitana na boku, opierając plecami o ścianę, rozsunęła suwak kombinezonu i ponownie przyłożyła ucho do ust. Oddychał. Słabo, ale regularniej niż przed chwilą.

Ściany bazy zatrzęsyły się nagle. Z zewnątrz dobiegł ogłuszający huk, potem kolejny, jeszcze głośniejszy. Karen zachwiała się. Najwyraźniej Vormann zgodnie z rozkazem uruchomił miotacz impulsów elektromagnetycznych.

– Peter, mów do mnie! – krzyknęła.

– Strzeliłem – zaskrzeczał w słuchawce zdenerwowany głos pierwszego inżyniera. – Fantom odbił impuls. Atakuje...

– Jak... – To się nie mieściło w głowie. – Strzelaj dalej! Na co czekasz? Strzelaj!

Bazą ponownie wstrząsnął huk serii detonacji. Peter nie tylko strzelił z miotacza. Najwyraźniej odpalił również rakiety.

– Przerwał łączność! Nie mam łączności z Gepardem!

– Uruchom Rippera!

– Ripper spadł! On go zestrzelił!

– Co z Johnem i Magdą?

– Nie widzę ich. Dym. Wszystko się pali.

Zobaczyła, że Wagura otwiera oczy. Dopiero teraz zauważyła, że nim potrząsa.

– Wagura! Jasiu! Słyszysz mnie?! – Puściła go. – Leż spokojnie. Zaraz wrócę.

Nie sprawdzała, czy usłyszał. Odległość do pomieszczenia operacyjnego pokonała w kilkunastu długich susach. Peter siedział w fotelu dowódcy. Obraz na ekranie był niewyraźny, zmazany. Okolicę kopalni zasnuwał ciężki, ołowiany dym.

Z głośników sączyło się natarczywe warczenie Fantoma.

– Gilbert! – krzyknęła Karen.

Tym razem doczekała się reakcji.

– Monitoruję sytuację – zakomunikowała zgrzytliwym, odpychającym tonem maszyna.

– Co ty pierdolisz?! – zaperzyła się, wściekła i spanikowana zarazem. – Masz być, jak jesteś potrzebny!

– Powtarzam: monitoruję sytuację. Uruchamiam procedurę awaryjną. Priorytetem jest bezpieczeństwo całej załogi, w tym patroli w terenie. Utraciłem łączność z Polarisem.

– Peter, rozumiesz, co on gada?

– Gilbert, podaj ocenę taktyczną sytuacji – zażądał Vormann. – Odzyskaj łączność z załogą Geparda. Polarisem zajmiemy się później.

– Patrol drugi bezpieczny – oświadczył komputer. – Zastosowano maskowanie multispektralne...

– On oszalał!

– Komputer nie może oszaleć – zauważył rzeczowo Peter. – Gilbert, jaki patrol drugi? Masz natychmiast połączyć się z komandorem Higginsem i kapitan Wagurą.

– Łączność utracona.

– To ją przywróć.

– Łączność utracona. Próby nawiązania udaremnione.

Brzęczenie wielkiego trzmiela stawało się coraz głośniejsze. Fantom zbliżał się niespiesznie, z jakąś przerażającą nieuchronnością.

– Wykryto obcy obiekt. Fantom – zakomunikował Gilbert, kolejny flegmatyk w pomieszczeniu operacyjnym. – Kurs dwanaście, trzy tysiące dwieście metrów. Trzy tysiące sto. Trzy tysiące. Dwa tysiące dziewięćset...

– Gilbert – krzyknęła Karen. – Uruchom obronę. Natychmiast!

– Impuls elektromagnetyczny nieskuteczny – odarł komputer z jakąś dziwną ospałością. – Powtarzam: impuls elektromagnetyczny nieskuteczny. Dwa tysiące siedemset. Korekta kursowa: kurs czternaście. Dwa tysiące sześćset...

– Odpal raketę! Teraz!

– Zakaz dowódcy.

– Kłamiesz. Nie połączyłeś się z komandorem.

– W wypadku utraty łączności z majorem Higginsem, obowiązki dowódcy przejmuje kapitan Robert Finagan.

– Gilbert, ty żelazny kretynie...

– Gilbert, kapitan Finagan został na Ziemi. – Peter najwyraźniej sądził, że zdoła przemówić maszynie do rozsądku. – On i jego ludzie stanowili załogę zapasową.

– Jest pan w błędzie – odparł niewzruszony komputer. – Kapitan Finagan pełni teraz obowiązki dowódcy. Obcy obiekt znajduje się w odległości dwóch tysięcy metrów. Tysiąc dziewięćset...

– Gilbert, to ja jestem zastępcą dowódcy – krzyknęła Karen w bezsilnej frustracji. Nie rozumiała, co się dzieje. Przestała nadążać za rozwojem wydarzeń.

– Rozkazuję ci odpalić raketę.

– Rozumiem, kapitan Higgins. Nie mogę wykonać pani rozkazu, ze względu na bezpieczeństwo znajdujących się w terenie patroli. Zakaz dowódcy, który....

– Ćśśś – nakazał Peter. – Przestań gadać!

Gilbert umilkł. Fantom przestał się zbliżać. Basowy pomruk utrzymywał się na stałym poziomie.

– On się zatrzymał – szepnęła, jakby w obawie, że może ich usłyszeć.

– Potwierdzam – przytaknął obojętnie Gilbert. – Obiekt stoi w miejscu. Odległość: tysiąc czterysta metrów.

Odwróciła się do kapitana.

– Peter, mamy jego położenie – szepnęła. – Odpal raketę ręcznie. Teraz, póki stoi.

– Wykonuję. Zapalnik zainicjuje eksplozję po tysiąc czterystu metrach. Wysokość...

– Niech pan tego nie robi, kapitanie Vormann – wtrącił się Gilbert. – Proszę spojrzeć na ekran.

Oboje unieśli wzrok. Całą powierzchnię wielkiego ekranu wypełniał czerwony trójkąt z podwójnym obramowaniem i wyostrzonymi konturami.

Po dłuższej chwili buczenie zaczęło cichnąć. Trójkąt zniknął.

Fantom odlatywał.

– Koniec zagrożenia – zameldował? Gilbert.

Karen z głośnym świstem wypuściła powietrze z płuc.

– John, zgłoś się – powiedziała do mikrofonu. Trzymała się na nogach wyłącznie dzięki adrenalinie. – Tu baza. John, zgłoś się.

– John, zgłoś się. Tu baza. John, zgłoś się.

– Karen... – Vormann dotknął jej ramienia.

– Zbieraj się, jedziemy.

– Jednak...

– Kurwa, Vormann, zrób raz coś bez gadania, dobra? – wrzasnęła w przedostatniej dziś eksplozji emocji.

\*\*\*

Pierwszym doznaniem zmysłowym Jana Wagury po odzyskaniu świadomości było popiskiwanie aparatury medycznej i niewyraźne bormotanie klimatyzacji. Gdy otworzył oczy, zobaczył szarą mgłę. Mrugnął – obraz wyostrzył się nieco i nabrał barw. Odczekał chwilę i spróbował ponownie. Ujrzał pomalowany na biało sufit. Żołądek zasygnalizował swą obecność silnymi mdłościami. Mimo zawrotów głowy udało mu się ją nieco przekręcić. Lori Vormann leżała na sąsiednim łóżku i przyglądała mu się z niepokojem.

– Jestem... na oddziale... medycznym? – wychrypiał.

– Tak – odparła. – Leż spokojnie.

Ułożył się na wznak.

– Nic nie pamiętam... – mruknął, patrząc w sufit.

– Oni zostawili cię tu... i pojechali Gepardem.

Dźwięki dochodziły do niego jakby z oddali.

– Pojechali? Kto?

– Stało się. On ostrzegał. Nie posłuchaliśmy. I stało się. Więc pojechali. Karen i Peter.

– Lori... nie rozumiem, co mówisz. We łbie mi się mąci.

Poleżał jeszcze przez chwilę, po czym ostrożnie, powoli usiadł.

– Nie wstawaj – powiedziała. – Lepiej, żebyś leżał.

Spojrzał na nią uważnie. Jej twarz świeciła upiorną bladością.

– Powiesz, co się stało?

– Zatrueś się dwutlenkiem węgla.

Zdumiał się. Nic nie pamiętał. O czym ona mówi?

– Jakim cudem?

Milczała.

– Gilbert?

Komputer również nie zareagował.

– Ogłuchł, czy co?

– On się nie odezwie – stwierdziła Lori.

– Nie wiem dlaczego pani tak sądzi, porucznik Vormann – zazgrzytał spod sufitu głos Gilberta. – Muszę dbać o bezpieczeństwo osiemnastu członków załogi. Utraciłem łączność z Ziemią, a także z Polarisem. Jestem trochę zajęty, to wszystko.

\*\*\*

Gepard pędził na złamanie karku. Peter nigdy nie uczestniczył w tak wariackiej jeździe. Potężny Diesel o mocy blisko dwóch tysięcy koni mechanicznych wył na wysokich obrotach, gaśienice ze zgrzytem wyrzucały setki skalnych odłamków,

jedna z gaśnic urwała się z uchwytu i z piekielnym łoskotem obijała się o burty i grodzie.

Karen nie trudziła się wybieraniem optymalnej drogi, jechała na przełaj, byle szybciej. Padały miażdżone czterdziestotonowym ciężarem drzewa i krzewy. Pryskała zalegająca w rozpadlinach woda. Pancierz jęczał pod uderzeniami opadających złomków skalnych. Owca

Peter siedział w profilowanym, kubełkowym fotelu, był starannie przypięty pasem, miał na głowie kevlarowy hełm, mimo to musiał z całych sił trzymać się zawieszzonego wyżej uchwytu, by nie złamać sobie barku o burtę.

– Rozbijesz nas – jęknął, gdy po raz kolejny opadli ciężko po imponującym, kilkumetrowym skoku. Równie dobrze mógłby mówić do ściany. Gepard pędził z niezmienną, szaleńczą prędkością.

– Karen, proszę cię...

– Zamknij się, Peter – warknęła przez zaciśnięte zęby.

Gnali nic nie mówiąc, ogłuszeni kakofonią wytwarzaną przez pojazd.

– Przepraszam – odezwała się po chwili.

– Nie ma za co. Po prostu wolałbym nie złamać karku w jakimś wąwozie, którego nie ma na mapie.

Karen zerknęła przez pancerny bulaj i zredukowała gaz. Wstrząsy zmniejszyły się do akceptowalnego poziomu, hałas przycichł. Jechali powoli, w końcu pojazd stanął na skraju rozpadliny.

Z walącym w szaleńczym tempie sercem wzięła do ręki mikrofon.

– John, tu Karen, zgłoś się.

Szumiał tylko wiatr.

Dym jeszcze zalegał na dnie wąwozu. Kazała wlecieć do niego dronowi, a potem uruchomiła radar, który niemal natychmiast wykrył Geparda Johna i Magdy. Pojazd stał poniżej krawędzi, niedaleko, poprzecznie do zbocza. Dron podleciał tak blisko, że niemal dotknął kamerą pancierza. W burcie ziało wielkie poprzeczne przecięcie z ciemnymi brzegami nadpaleń po bokach. Poza tym pojazd wyglądał na nieuszkodzony. Nieco dalej czerniał kilkunastometrowej średnicy otwór, nad którym pochylała się płatanina stopionego żelastwa o nieprawdopodobnych, fantasmagorycznych kształtach. Udar, który poraził Geparda, koparkę i kilka stojących dalej maszyn, musiał mieć olbrzymią moc.

– John... jesteśmy na miejscu... – Czuła, że słabnie. To niemożliwe, żeby odpowiedział, niemożliwe. Nie po tym, co tu zobaczyła. – ...John...

Trzasnęła zapięciem pasa.

– Idę ich szukać – oświadczyła. Wiedziała, że jeśli natychmiast nie podejmie działania, stres pochłonie ją.

– Karen...

– Nie, Peter. Idę – odparła z rozpaczliwą stanowczością w głosie. John przyjechał tu, bo nie była dość uparta, by go przekonać do pozostania. – Jeśli Fantom się pojawi, ustaw zasilanie na pełną moc i strzelaj. Jeśli nie pomoże – odpal rakiety i zaprogramuj zapalniki tak, żeby eksplodowały obok niego. Ignoruj protesty Gilberta. Masz go załatwić. Mną się nie przejmuj. Jasne?

– Tak, Karen.

Zarzuciła karabin na plecy i wyszła. Huknął zatrzasakiwany właz. Peter został sam ze swoimi myślami.

\*\*\*

– Gilbert, nasza ekipa liczy sześć osób – zaprotestował Wagura. Zawroty głowy zwolniły. Szum w uszach złagodniał. – Co ty bredzisz o osiemnastu członkach załogi? Co znaczy, że utraciłeś łączność z Ziemią?

– Dowództwo uznało, że w obecnym składzie misja nie ma szans powodzenia – odparł Gilbert. – Załoga została zwiększona o dwie sekcje bojowe pod dowództwem kapitana Roberta Finagana. Łączności z Ziemią nie mam, bo występują silne zakłócenia sygnału. Z Polarisem również nie mam łączności.

Kapitan zerknął na Lori, ale nie znalazł u niej pomocy. Wyglądała na równie zdezorientowaną, co on.

– To bardzo ciekawe – stwierdził, nie starając się ukryć sarkazmu. – I gdzie są te dwie nowe sekcje?

– Udały się na patrole bojowe. Kapitan Finagan osobiście dowodzi w terenie. Jednocześnie, pod nieobecność majora Higginsa, to on jest dowódcą całości.

Pomału wracały mu siły. I pamięć.

– W takim razie połącz mnie z kapitanem Finaganem – zażądał. Dał się wciągnąć w grę komputera. Czuł się idiotycznie.

– To jest niestety obecnie niemożliwe. Fantom na Alfie również zastosował blokadę łączności.

– Lori, co wiesz o Finaganie? – odwrócił się ku chorej.

– Nic – skrzywiła się. – Ale to o niczym nie świadczy.

Rozumiał ją dobrze. W pewnym sensie widziała znacznie więcej niż reszta, ale, ogólnie rzecz biorąc, nie należała do najlepiej poinformowanych osób w bazie.

– Długo byłem nieprzytomny?

– Przynieśli cię tu może pół godziny temu.

Pamięć zaczęła wracać.

– Gilbert, co zakłóca sygnał? – Chciał wiedzieć.

– Rejestruję szum we wszystkich pasmach częstotliwości.

– Zidentyfikowałeś źródło emisji szumu?

– Źródło nieustalone. Potrzebne jest wysłanie sondy.

– To ją wyślij.

– Mamy ostatnią sondę. Muszę mieć rozkaz dowódcy.

– Kapitana Finagana.

– Tak jest.

Zagadka pozostała nierozwiązana. Zabrał się do kolejnej.

– Gilbert, w jakich okolicznościach zatrąłem się dwutlenkiem węgla?

– Pracował pan w pomieszczeniu technicznym – odparł komputer rzeczowo. – Doszło do uszkodzenia instalacji elektrycznej. Wskutek gwałtownego wzrostu napięcia spalił się zawór, regulujący skład powietrza. Nastąpił niekontrolowany wydmuch dwutlenku węgla, zmagazynowanego w butlach...

Przed oczyma kapitana stanął ciąg obrazów – trochę jeszcze niewyraźny, ale Wagura miał nadzieję, że podostrzenie go jest tylko kwestią czasu. Przypomni sobie.

– Niekontrolowany, powiadasz... – powtórzył, po czym usiadł. Z głową było mniej więcej w porządku. – Chodź, Lori. Pójdziemy do centrum dowodzenia. Zorientujemy się, co i jak.

\*\*\*



Ostrożnie stawiała kroki. Szła z bronią gotową do strzału, ściśniętym sercem i buzującą w żyłach adrenaliną, chcąc jak najszybciej dowiedzieć się, co się stało i jednocześnie maksymalnie opóźnić ten moment, w strasznym przeczuciu nieszczęścia. Nie myślała o tym, że doskonały i celny, ale jednak konwencjonalny karabin niewiele pomoże, gdy zaatakuje ją Fantom.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak winna.

Rozejrzała się. Z nieba jak zawsze przyglądały się planecie dwa różnokolorowe księżyce; kilka obłoków pędziło na zachód. W słuchawkach słyszała ponure zawodzenie wiatru.

– Peter.

– Widzę i słyszę cię, Karen.

– Co z Fantomem?

– Nie notuję żadnych zmian ciśnienia ani infradźwięków. Albo obserwuje nas z daleka, albo po prostu go nie ma.

Zwolniła kroku. Buty zgrzytały na kamienistym podłożu. Zobaczyła Geparda. Ostrożnie, na raty, zajrzała przez przestrzelinę do środka. Wnętrze było czarne, wypalone, martwe. Drobinki pyłu i sadzy wirowały w powietrzu.

Z pustką w głowie ruszyła dalej.

Dwa ciała leżały w połowie drogi między pojazdem a zniszczoną koparką.

Początkowo nie zrozumiała, co widzi. Zastygłe w embrionalnych pozycjach szczątki, z maskami wtopionymi w twarze, w nadpalonych kombinezonach, na pierwszy rzut oka nie przypominały ludzkich zwłok. Były poczerńiałe, dziwnie skurczone, jakby kompletnie wyzute z człowieczeństwa i całkowicie bezbronne wobec potęgi żywiołu, który ich zaatakował.

Opadła na kolana.

– Jezus! – jęknęła.

Poczuła potworny skurcz żołądka. Coś podeszło jej do gardła tak szybko, że ledwie zdążyła zerwać maskę. Wymiotowała długo, wprost przed siebie, nie zauważając, że brudzi kombinezon. Do oczu napłynęły łzy.

– Karen, nie zdejmuj maski – usłyszała w słuchawkach. – Zatrujesz się! Karen!

Otarła usta. Chwiejnie wstała. Słowa Vormanna nie docierały do niej.

– Peter... oni nie żyją – zaszlochala, połykając łzy. – Nie żyją... Ten skurwiel ich zabił... Rozumiesz?... Spalił ich. Spalił ich oboje żywcem.

– Karen, wracaj. Słyszysz? Wracaj. Jeśli oni nie żyją, już im nie pomożemy. On może w każdej chwili wrócić.

Nie słuchała go. Rękawem zmasała łzy. Pustym wzrokiem spojrzała w górę.

Uniosła broń, po czym nacisnęła spust.

– Ty skurwielu! – wrzasnęła, przekrzykując łomot serii. Kule dziurawiły bezbronne i niczemu niewinne niebo. – Ty pieprzony skurwielu! Załatwię cię, choćbym miała tu umrzeć! Zabiorę cię ze sobą do grobu!

Strzelała, aż skończyła się amunicja. Nawet potem jeszcze długo naciskała spust.

\*\*\*

Kątem oka dostrzegł, że Lori się chwieje. Ledwo zdążył ją podtrzymać.

– Prawy górny ekran – szepnęła, gdy już usadził ją w fotelu.

Podniósł wzrok.

W rozległym wąwozie zobaczył przeciętego na pół Geparda, stojącego poprzecznie do zbrocza. A niżej, spopielone resztki maszyn i zdeformowane szczątki koparki.

– Dokładnie to mi się śniło – wyszeptała ze zgrozą. – Dokładnie, co do detalu. Stałam tam, tuż obok. Widziałam wszystko z boku: Geparda rozprutego eksplozją, spaloną ziemię, maszynę... i ciała... Drzewa, niebo...Boże... nawet wiatr wiał z taką samą siłą. Trudno w to uwierzyć...

– Mnie tam nietrudno. Teraz mogę uwierzyć w cokolwiek... – nagle urwał.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na małą sylwetkę ludzką, która dziurawiła kulami niebo. Przyjrzał się uważnie leżącym obok niej dwóm podłużnym kształtom.

Odwrócił się do Lori poblady, śmiertelnie poważny.

– Powiedziałaś, że coś się stało – mówił powoli, z namysłem, starannie odmierzając słowa. Czuł kamienny, lodowaty spokój. – Dlatego Karen i Peter pojechali na miejsce. Gdzie są Magda i John?

– Przeprowadzali próbne wiercenie – odparła Lori.

Na moment zabrakło mu powietrza. Myśli zwolniły.

– Więc... Magda... tam... jest? – stanął jak skamieniały, ogłuszony cierpieniem.

– Nadleciał Fantom. I zaatakował.

– Jedno z tych... ciał... to John... drugie to... Magda?

Wstała ciężko i podeszła do niego. Miała ściągniętą smutkiem twarz.

– Pomogę ci – powiedziała cicho. – Pomogę ci przez to przejść.

Odskoczył od niej, jakby była trędowata.

– W dupie mam pomoc! – wrzasnął. – Ona nie żyje! N i e ż y j e! Rozumiesz?  
Fantom ją zabił.

Przez kilka sekund miał oczy szaleńca. Potem płomień zgasł.

– Czymkolwiek on jest, już go nie ma – zadeklarował zmienionym, na powrót spokojnym, strasznym głosem.

\*\*\*

– Przepraszam... – powiedział z wahaniem Peter Vormann przerywając trwającą od kilkunastu minut nieznośną ciszę. Siedzieli we czwórkę w pomieszczeniu operacyjnym. Ekrany zostały wyłączone. – Może jest za wcześnie, może nie powinienem o tym mówić teraz... ale uznałem, że powinniście wiedzieć. Pochowałem ich tam, na miejscu. W tym stanie... lepiej ich nie przenosić. Chociaż, jeśli zdecydujecie, żeby mieć ich bliżej, jest to... technicznie wykonalne.

– Dobrze zrobiłeś – odparła Karen z wysiłkiem.

– Na razie niech leżą tam, gdzie leżą – Wagura posępnie patrzył w przestrzeń. – Chcę załatwić tego skurwiela.

– Rozumiem cię. – Lori miała najwyraźniej ochotę położyć mu dłoń na ramieniu, ale pod wpływem spojrzenia pilota cofnęła rękę. – Jego intencja jest inna. On nie szuka wojny. Od początku chce, żebyśmy odlecieli.

– Co mnie obchodzi, czego on chce? – podniósł głos. – Zabił moją żonę.

– Jan, nawet nie próbuję zgadywać, co w tej chwili czujesz – włączył się do rozmowy Vormann. – To musi być straszne. Byliście bardzo dobrą parą...

– Naprawdę myślisz, że potrzebuję w tej chwili psychoanalizy? – prychnął.

– Przepraszam... – Nie wyglądał na skruszonego. – Strata dwóch członków załogi jest raną, która prędko się nie zagoi. Może nawet nigdy. A zemsta jest

bardzo mocną emocją. I z reguły bardzo złym doradcą. Zresztą – Fantom jest maszyną. Przykro mi, że to mówię... ale...

– Ale?

– Nie bardzo sobie wyobrażam, co chciałbyś osiągnąć, mszcząc się na maszynie.

– Mów, Peter. Głos rozsądku zawsze się przyda.

– Uważam, że powinniśmy zawiadomić Ziemię.

– Jasne. To bardzo pomoże.

– Przypominam, że z Ziemią nadal nie mamy łączności – oświadczył Gilbert.

– Okej. Jak nawiążemy łączność. Tak czy inaczej, powinniśmy poważnie zastanowić się nad odlotem.

– W tej chwili dyskusja o odlocie jest bezprzedmiotowa. – Głos komputera brzmiał sucho, obojętnie. – Przypominam, że nie mamy również kontaktu z Polarisem. A jego lokalizacja jest nieznana.

– Co to znaczy: nieznana? – uniósł się Vormann. Po raz pierwszy wyglądał na autentycznie wstrząśniętego. – Dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz!? Krążył po orbicie. Miał zaprogramowane parametry lotu. Nie mógł tak po prostu sam zmienić kursu!

– Ruch obrotowy mniejszego księżycy mógł grawitacyjnie zmienić trajektorię lotu statku – pospieszył z wyjaśnieniem Gilbert. – Wskutek utraty łączności nie jestem w stanie go ani zlokalizować, ani tym bardziej zawrócić.

– Oddziaływanie księżycy? – drążył główny inżynier. – Tak nagle? Żarty. Ustal prawdopodobny kurs i wyślij sondę na poszukiwania.

– Mamy ostatnią sondę. Muszę mieć rozkaz kapitana Finagana.

– Nie pieprz o Finaganie. Dowódcą teraz jest kapitan Higgins. – włączył się do rozmowy Wagura. Gadanina o zaginionym statku nic go nie obchodziła. Potężny impuls chorej, rozgorączkowanej energii pchał go do działania, za wszelką cenę, jak najszybciej, bez zwłoki. Magdę zabił Fantom. Musiał za to ponieść karę, czymkolwiek był. To naprawdę było bardzo proste.

– Nie mogę uznać kompetencji kapitan Higgins.

– Gilbert, ty parszywa kupo złomu!

– Krzyki są bezcelowe, kapitanie.

– Gilbert, wyłącz się – wrzasnął Wagura.

– Słucham – zgodził się komputer, po czym zamilkł.

– Pieprzony skurwiel.

– Jeśli on ma rację, bilet na Ziemię zrobił się nieaktualny... – Vormann nie mógł się otrząsnąć. Informacja o utraconym kontakcie z Polarisem poruszyła go niewyobrażalnie. – Boże... musimy za wszelką cenę nawiązać łączność.

Wagura wzruszył ramionami. Miał gdzieś kontakt z Ziemią i problem Petera.

– Ten pierdolony Fantom zabił twojego męża – powiedział, patrząc na Karen.

Ze znużeniem odwróciła ku niemu twarz. Miała wrażenie, że godzinę temu w jej wnętrzu zapłonął ogień, huczał i wściekał się, wypalił wszystko do cna, po czym zgasł, nie pozostawiając ani jednej emocji. Nie czuła złości, smutku czy pragnienia zemsty. Chciała zwinąć się w kłębek w ciemnym, szczelnie wytłumionym pomieszczeniu i pozostać w nim, aż wyzdrowieje. Lub umrze.

– Nic mu nie przywróci życia – szepnęła.

– Kiedy załatwimy sukinsyna, może choć trochę odzyskasz równowagę.

– Wierzysz w to?

Po prostu na nią patrzył.

– Pomogę ci – zadeklarowały jej usta, podczas gdy głowa pozostawała w odrętwieniu.

– Osiągniecie tyle, że on was zabije – zezłościł się Vormann.

– Oszczędź sobie śliny, Peter – odparł Wagura.

– Posłuchajcie mnie uważnie. – Niemiec składał się wyłącznie z rozsądku, ale jego rozsądek wydał się kapitanowi wyłącznie maską, kryjącą prawdziwe intencje.

– Kilkukrotnie uderzyłem go impulsem elektromagnetycznym o największym natężeniu, jakie jesteśmy w stanie wytworzyć. Każde ziemskie urządzenie czy system bojowy, zostałyby usmażone albo przynajmniej zneutralizowane. A Fantom przetrwał i nie wygląda na to, żebyśmy mu chociaż trochę zaszkadzili. Jak chcecie z nim walczyć?

– Zobaczmy, jak poradzi sobie z falą uderzeniową eksplozji nuklearnej. – Wagura uśmiechnął się mściwie.

– Nie mówisz poważnie.

– Mówię całkowicie poważnie.

– Karen? Jesteś teraz dowódcą.

- Użyjemy głowicy jądrowej – oświadczyły jej usta.
- Ziemia ci nigdy nie pozwoli.
- Połącz się i zapytaj – zaproponował Wagura.

Widząc ich upór Vormann skapitulował.

– Wejdziecie na najwyższy stopień drabiny eskalacyjnej – oświadczył ze smutkiem. Tym razem Wagura nabrał pewności: facet grał jak kiepski aktor. Po prostu był pieprzonym tchórzem. – Wyżej już nic nie ma, żadnego planu B. Może nawet zniszczycie Fantoma. Myślicie, że ci, którzy go wysłali nie zwrócą na to uwagi? Że będziecie tu mogli spokojnie mieszkać i prowadzić badania? Jasne, że nie. Za jakiś czas na Alfie wyląduje ekspedycja. I będziecie mieli taką wojnę, o jakiej wam się nie śni. Ja też będę miał. I Lori.

## ZIEMIA

Tylko mała iskra dzieliła ich od eksplozji.

– Nie wierzę w ani jedno słowo! – krzyczała Janet. Na dobre porzuciła kostium beznamietnej profesjonalistki. – Sabotujecie ustalenia od samego początku!

Sherman zastanawiał się, jak ta kobieta mogła mu się podobać. Dopiero teraz dostrzegł, że gdy była wściekła, miała w sobie coś odpychającego.

– Uspokój się, Janet – warknął.

– Nie mów mi, że mam się uspokoić. – Jeszcze bardziej podniosła głos.

Krzyk tylko potęgował atmosferę konfliktu. Obaj towarzyszący dyrektorowi naukowcy wyglądali na coraz bardziej zażenowanych. Znajdowali się w środku dramatycznego międzygalaktycznego kryzysu, tymczasem musieli odpierać bezsensowne ataki kobiety, dla której, jak sądzili, liczyła się tylko wysokość wpływów na konto. – Przerwałeś transmisję.

– Po raz kolejny powtarzam: Aero Space nie ma nic wspólnego z utratą łączności – wycedził, dziwiąc się, że jeszcze nie stracił nad sobą panowania. – Dla nas to większy kłopot niż dla ciebie, zapewniam.

– Kłamiesz. I to nieudolnie. Do tej pory jakoś nie było kłopotów.

– Proszę pani, okoliczności się zmieniły – przyszedł w sukurs dyrektorowi Kerber. – Pojawił się Fantom...

– Jakie to wygodne. – Spojrzała na niego zimno. – To nie my, to kosmici.

– Twoje oskarżenia są absurdalne – odparł Sherman. – Załodze grozi niebezpieczeństwo. Mamy do rozwiązania znacznie poważniejszy problem niż transmisja i subskrybenci Real Life.

– Bezczelny jesteś.

Stało się. Pięść z hukiem opadła na blat. Zadzwoniły podskakujące szklanki.

– Dosyć! – ryknął. – Jeśli się nie uspokoisz, każę cię wyprowadzić.

Nagle zrobiła się bardzo spokojna. Wstała.

– O kochany, tak to my nie będziemy rozmawiać – powiedziała cicho, po czym odsunęła krzesło i wyszła, darując sobie na szczęście trzaskanie drzwiami.

– Kurwa mać! – zaklął Sherman. Poczował ulgę, choć miał pełną świadomość, że właśnie założył sobie pętlę na szyję. Szybko odpędził tę ponurą myśl.

– I tak podziwiam pańską cierpliwość, dyrektorze – oświadczył Watkins, co było zgoła do niego niepodobne. Okazało się, że gdy chce, potrafi być empatyczny.

– No nic – westchnął Sherman. – Teraz musimy skupić się na bieżącej sytuacji.

– Sygnał radiowy w dalszym ciągu jest zagłuszany – oświadczył Kerber, z widocznym trudem wracając do najważniejszego tematu.

– Jest szansa, że oni mogą nas słyszeć?

– Nie sądzę. Myślę, że nastąpiła całkowita blokada.

Sherman poczuł przyływ frustracji.

– Ten Fantom ma zupełnie bajkowe możliwości – warknął.

– To raczej nie jest sprawka Fantoma – nie zgodził się Kerber.

– Na pewno nie – poparł go Watkins.

– Skąd ta pewność?

Watkins chrząknął i poprawił się na krześle.

– Żeby spowodować zakłócenie sygnału radiowego, obejmującego całą planetę i przestrzeń wokół niej – bo przecież z satelitami również nie możemy się połączyć – trzeba nie tylko ogromniej mocy sygnału zakłócającego, czyli wielkiego nadajnika zasilanego potężnym źródłem energii, trzeba przede wszystkim dogodnego miejsca, z którego się to robi. Z punktu widzenia ergonomii sił najdogodniejsza pozycja znajduje się na kursie między Alfą a tunelem, którym przyleciał Polaris.

– Czyli zakłada pan, że Fantom nie działa sam.

Watkins wzruszył ramionami.

– Siłą rzeczy jesteśmy zdani na hipotezy. Ale ta akurat wydaje mi się bardzo prawdopodobna. Bardzo możliwe, że jest tak, jak zakładała załoga – czyli że Alfa była polem walki i strony porzuciły ją na mocy zawartego rozejmu. Fantom jest strażnikiem pokoju na Alfie. A wokół planety krążą kolejne siły, mające to samo zadanie.

– Powyższe zakłada, że twórcy Fantoma – Betanie, Gammianie czy jak ich tam nazwać – musieli znać lokalizację tunelu i monitorować przepływający przez niego ruch – zauważył Sherman.

– I znów: to bardzo prawdopodobne – zgodził się Watkins.

– Znacznie wcześniej wiedzieli zatem, że wylądujemy.

– Niestety, na to wygląda. Teraz możemy już tylko wyciągnąć wnioski na przyszłość i dużo staranniej przeprowadzać zwiad przed jakąkolwiek misją.

Sherman wyjrzał przez okno. Budynek od jednej z głównych arterii stolicy oddzielał tylko niewielki parking. Tuż za nim potok elektrycznych aut płynął wartko, nerwowo, wioząc pochłoniętych codziennymi troskami pasażerów. Ilu z tych ludzi umrze, bo nie potrafimy zrealizować postawionego przed nami zadania? – pomyślał. Jeśli przegramy walkę, nie tylko spadniemy z piedestału pierwszego mocarstwa świata. Już dawno na nim nie jesteśmy. Będziemy pariasem, wykonującym wolę azjatyckiego mocarstwa. Świat jaki znamy, świat wygodnej bez troski, odejdzie w niepamięć. Nastąpi okres biedy i niewolniczej pracy.

– W jakim celu zakłócili nam łączność? – zapytał, wróciwszy myślami do rzeczywistości.

– Może chodzi o to, by załoga sama, poddana presji, nie mogąc liczyć na naszą pomoc, podjęła decyzję o ewakuacji – odparł Watkins.

– Widzę, że przyjął pan wizję Lori Vormann za pewnik.

– Nic podobnego. Po prostu uważam taki wniosek za logiczny.

– A pan, co powie? – Sherman spojrzał na Kerbera.

– Jestem w stanie zgodzić się z panem doktorem – oświadczył zagadnięty. – Fantom nie działa sam. O ile wiemy, nie stosował przemocy, w tym sensie, że nie zaatakował członków misji. Daje do zrozumienia, żeby się wynosili.



Współdziałające z nim jednostki, znajdujące się w kosmosie, odcięły łączność, być może zakładając, że jesteśmy w stanie wymyślić na Ziemi strategię, która stanie w opozycji do ultimatum.

– Zakłada pan, że blokada łączności zostanie utrzymana, aż wyprawa nie opuści Alfy?

– Tak sędzę. To logiczne.

– Co możemy zrobić?

– Obawiam się, że niewiele. Dopóki nie nawiążemy kontaktu z Higginsem, musimy, obawiam się, zdać się na jego decyzje.

– Muszę przedstawić NASA i Europejskiej Agencji Kosmicznej rekomendacje dalszego postępowania. To mam im zarekomendować? Czekanie na decyzje majora Higginsa?

Watkins spojrział na niego z namysłem.

– Być może trzeba pomyśleć nad wysłaniem kolejnej misji – zaproponował. – Zarówno ekipa kapitana Finagana, jak i statek są w gotowości.

– Myśli pan o wsparciu Higginsa i jego ludzi?

– Albo ewakuacji.

– Panie kolego, to stanowczo przedwczesne – zaprotestował Kreber. – Nie mamy żadnych danych...

Watkins nie pozwolił mu skończyć.

– Izolacja łączności stanowi jeden z aksjomatów sztuki wojennej. Wiemy, że na planecie działa obcy obiekt, który już zdążył zademonstrować swoje możliwości. A jeszcze teraz dowiadujemy się, że ma wsparcie w kosmosie. To chyba wystarczające przesłanki, żeby się zastanowić nad sensownością kontynuowania misji.

– O ile misję wspomagającą uważam ewentualnie za możliwą, o tyle wykluczam, że dostaniemy zgodę na ewakuację – oświadczył stanowczo Sherman. – To nie wchodzi w grę.

– Polityka... – wyduł wargi Watkins.

– Nasze potrzeby surowcowe są faktem, panie doktorze – oświadczył stanowczo Sherman. – Jak również jest faktem start chińskiej misji, która zrobi wszystko, żeby odbić Alfę z naszych rąk.

- Właśnie o tym mówię.
- Dobrze. Kończymy dyskusję. Stawiam wniosek o niezwłoczne wysłanie misji, wspierającej majora Higginsa. Głosujemy.

## ALFA

Wagura zadbał o to, by drzwi do zbrojowni mógł otworzyć tylko on i to wyłącznie od środka. Nie podejrzewał, by Peter miał ochotę dalej przekonywać ich o bezsensie walki – dali mu to wyraźnie do zrozumienia, zresztą siedział z Lori w pomieszczeniu medycznym – wołał się jednak zabezpieczyć.

Karen sprawdzała zasilanie nahałmowej kamery termowizyjnej.

– Możemy pogadać – mruknął Wagura. – Nie słyszy nas. Mikrofony są odłączone.

– Gilbert to teraz najmniejsze zmartwienie.

– Niezupełnie. On próbował mnie zabić.

Spojrzała na niego szklanym wzrokiem. Nie zwrócił na to uwagi. Koncentrował się wyłącznie na zadaniu. Jego żona nie żyła, ale żył on i miał konkretną pracę do wykonania. Gilbert stanowił przeszkodę. Należało go zneutralizować lub usunąć.

Na żałobę pozwoli sobie później.

– To nie była awaria zaworu? – zapytała.

– Była. – potwierdził. – Zainscenizowana. Zorientował się, że chce mu się dobrać do tyłka. Ostrzegł, że wpuści dwutlenek węgla. A potem to zrobił. Gdybyś mnie nie znalazła, już bym nie żył.

Nie zareagowała.

– Już wtedy gadał o Finaganie i jego ludziach, patrolach w terenie i tak dalej – ciągnął, otwierając skrzynię z przeciwpancerną amunicją. – Ktoś ustylizował jego zachowanie na awarię.

– Parę dni temu John i ja dostaliśmy informację z Ziemi – powiedziała Karen po chwili milczenia. Nadal nie zwracał uwagi, że robi to z wysiłkiem, jakby w ogóle nie miała ochoty rozmawiać. – Ktoś włamał się do oprogramowania Gilberta i umieścił w nim folder, najprawdopodobniej z poleceniem zmiany algorytmu...

Spojrzał na nią zaintrygowany. Zmiana algorytmu? Myśl, zrazu niewyraźna, skonkretyzowała się. Artykuł, który przeczytał tuż przed wylotem, zamieszczony w jednym ze specjalistycznych portali. I zawarta w nim historia. Tak. O to chodzi.

– Słyszałem o takiej sprawie na Ziemi – oznajmił. – Ktoś zainfekował komputer, wgrywając mu wirtualnych ludzi. Komputer działał zgodnie z algorytmem, więc potraktował ich jak żywych. Gadał z nimi, przygotowywał dane, odpowiadał na pytania. W tym folderze ktoś mógł zaszyć to samo. Gilbertowi wszczepiono dodatkowe osoby. Dlatego mówi o Finaganie. Według niego Finagan z ekipą po prostu do nas dołączył.

– Nie rozumiem. Przecież on wie, że jest... było... nas tylko sześcioro.

– Wie tyle, ile powiedzą mu sensory. – Wszystko nagle zrobiło się oczywiste. Pomysł genialny w swojej prostocie. – Zaimplementowano mu dwunastu dodatkowych członków załogi, więc widzi dwunastu członków załogi. Program uważa, że oni są z nami od początku. Dla Gilberta nie ma znaczenia, że są wirtualni.

Słowa pilota docierały do niej z oddali. Mimo to starała się myśleć.

– Jeśli masz rację, on postępuje ze swojego punktu widzenia całkowicie racjonalnie – powiedziała cicho. – Nawet próba zabójstwa jest logiczna.

– Uspokoiłś mnie. – Nie potrafił ukryć sarkazmu. – Dzięki.

– Po prostu uznał, że jak go wyłączysz, załoga straci kontrolę nad sytuacją i zostanie narażona na niebezpieczeństwo. Nic osobistego.

– Jeszcze raz dzięki. Teraz mi dużo lepiej.

Odstawiła na półkę kamerę.

– Pomożesz mi go załatwić? – spytał

Chyba musiała plany zaszycia się w ciemnym pomieszczeniu odłożyć na kiedy indziej.

– Chcę zobaczyć, jak się pali – zadeklarowała.

– Dobrze. – Przysunął się bliżej, jakby ściszenie głosu zabezpieczało ich przed wścibstwem wrogo nastawionego komputera. – Zrobimy wielkie ognisko. Posłuchaj...

**ZIEMIA**

Lobby wielkiego biurowca tchnęło urzędową bezosobowością, ale przynajmniej panowała w nim przyjemna temperatura. Stukając obcasami Susan podeszła do, przegradzającej hol, lady recepcyjnej. Z zawieszzonego na ścianie ekranu telewizyjnego dochodził zaaferowany głos spikera:

– ...utrata łączności z Alfą jest kolejnym z serii niepokojących wydarzeń, jakie miały miejsce w ostatnich godzinach. Jak podaje kierownictwo Aero Space, dwa niezależne od siebie zespoły pracują nad przywróceniem sposobu kontaktu z członkami misji Polaris...

– Chcę rozmawiać z agentem Mosesem – spojrzała na barczystego strażnika. – Nazywam się Susan Montero.

– ...rozważane jest wystrzelenie dodatkowego satelity komunikacyjnego. Na razie jednak połączenia z Alfą nie ma. W gotowości czeka załoga kapitana Finagana...

– Była pani umówiona?

– Nie. Ale agent Moses będzie wiedział, o co chodzi.

– Proszę poczekać.

Strażnik podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego i wybrał czterocyfrowy numer.

– ...nie wiemy, czym jest Fantom. Chińska agencja kosmiczna CNSA stanowczo zdementowała szerzące się pogłoski o rzekomym chińskim udziale w tajemniczych wydarzeniach na Alfie. Zdaniem jej rzecznika, trwająca misja ma wyłącznie pokojowy charakter...

Na trzeźwo się tego nie da słuchać, pomyślała. Media żywiły się sensacją, zmyślenia niekiedy przyprawiając faktami. Politycy dotrzymywali im kroku. Jedni i drudzy byli siebie warci.

– Agent Moses? – zapytał strażnik. – Przyszła pani Susan Montero. Tak? Rozumiem.

Spojrzał na nią nieco przychylniej.

– Może pani wejść – zakomunikował. – Tu jest gościnna karta kontroli dostępu. Proszę jej nie zgubić. Pokój dwieście trzydzieści osiem. Tym korytarzem prosto...

– Dzięki – przerwała mu. – Znam drogę.

Weszła do długiego, jasno oświetlonego korytarza, zostawiając za sobą spikera, zapowiadającego spodziewane w najbliższych godzinach wystąpienie prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Zapukała i, nie czekając na zaproszenie, weszła do gabinetu. Moses siedział za biurkiem. Miał rozpiętą pod szyją koszulę i przekrzywiony krawat. Zmięta marynarka wisiała na oparciu krzesła.

– Pan kiedyś w ogóle śpi? – zapytała, siadając naprzeciwko.

Spojrzał na nią znużonym wzrokiem.

– Nie bardzo mam czas, wie pani...

– A płacą panu chociaż za nadgodziny?

Zaśmiał się gorzko.

– Lepiej zostawmy ten temat, pani Montero.

Przyjrzał jej się z zainteresowaniem.

– Chce pani ode mnie coś wyciągnąć?

Obrzuciła go wzrokiem pełnym współczucia. Musiał być naprawdę bardzo zmęczony, inaczej nie zadawałby takich pytań.

– Gdybym tego chciała, raczej nie umawiałabym się na pańskim terenie. – oświadczyła. – Zastanawiam się... wie pan, oglądam wiadomości. I jestem zaskoczona.

– No, chyba jak my wszyscy.

– Nie, nie, nie o to chodzi! – Potrząsnęła głową. – Jeśli brak łączności z Polarisem oznacza, że go straciliśmy, program kosmiczny zostanie pewnie na wiele lat zamrożony... Zwłaszcza jeśli się okaże, że, nie daj Boże, załódze coś się stało. Już samo to jest wystarczającym powodem bólu tyłka.

– Pani zdaniem jest coś jeszcze?

– Może. Wydawało mi się, że nie tylko się orientuję, co jest grane, ale również znam kontekst...

– Mówi pani zagadkami.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Co pan wie o Janet Lee?

Uciekł ze wzrokiem. A więc jednak.

– Dlaczego pani pyta?

– Kocham, jak ktoś odpowiada pytaniem na pytanie – odparła zgryźliwie. – Interesuje pana ten temat?

– Powiedzmy.

– Czyli bardzo pana interesuje. Tak myślałam. Czy możemy rozmawiać swobodnie?

– Nasz budynek jest doskonale zabezpieczony przed podsłuchem, jeśli to panią niepokoi. Mam dobrą kawę. Wystarczy?

– Potrafi pan być całkiem miły. Jak pan chce.

Roześmiał się, podszedł do małego stolika pod ścianą, włączył ekspres. Intensywny aromat wypełnił pokój.

– Zamieniam się w słuch – oświadczył chwilę później, stawiając przed nią filiżankę.

– Panie Moses, na początek wyjaśnijmy sobie coś. Pan mi groził...

– Przykro mi, że pani to tak odebrała. Mówiłem, żeby zachowała pani ostrożność i uważała na siebie. Tylko tyle, bez żadnych podtekstów.

– Ma pan szczęście, że akurat panu wierzę. A więc tak: nie zbieram u pana materiału. Przyszłam, bo myślę, że powinnam. Mam coś dla pana. Coś, co wydaje mi się ważne i co może rzucić nowe światło na śledztwo, które pan prowadzi. I może na parę innych kwestii. Jeśli coś mi pan da w zamian i zezwoli na publikację, świetnie. Jeśli nie, trudno. Obejdę się.

– Udało się pani mnie zaskoczyć. – Nawet nie silił się na obojętność. – Jest pani znana z dokładnie czegoś odwrotnego. Zawsze wiele pani żąda i nic nie daje w zamian.

– Czasem robię wyjątki. Druga rzecz: to musi zostać między nami. Nie może pan się na mnie powoływać, kazać zeznawać jako świadek ani zmuszać do ujawnienia źródła informacji. Jeśli pan się zgadza, zostaję. Jeśli nie, piję kawę i wychodzę.

– Chce mnie pani zaprosić na randkę w ciemno. Nie wiem, czy nie jestem za stary.

– Niech pan zaryzykuje.

– Niespecjalnie cenię dziennikarzy... – wyznał nieoczekiwanie.

– Bardzo pan uprzejmy – prychnęła. – Ja uważam większość za najgorszą żulię, która za pieniądze wykona każde zlecenie.

– Skoro pani tak woli – zachichotał. – Ale tak się składa, że panią oceniam jako osobę rzetelną. Poważną. Nie goni pani za sensacją.

– To miłe. Tak czy nie?

– Niech będzie. Gwarantuję całkowitą dyskrecję.

– Obojętnie, co się będzie działo, w żadnych oficjalnych materiałach ze śledztwa mnie nie ma, jasne?

– Protokół z pani przesłuchania jest już oficjalnie włączony do akt.

– I na tym mój udział ma być zakończony.

– Dobrze.

– Przyrzeka pan?

– Tak.

Susan podniosła wyjęty z kieszeni dyktafon.

– Nagrałam to, w razie czego.

– Przesadza pani – skrzywił się Moses.

– Zaraz pan zobaczy, czy przesadzam. Janet Lee jest agentką chińskiego wywiadu z zadaniem sabotowania misji Polaris.

Patrzył na nią badawczo. Ale rysy mu się ściągnęły, widziała to wyraźnie. Udało jej się go zaskoczyć.

– Nic pan nie powie?

– Skąd pani to wie?

– Pomidor, agencie Moses.

– Dobrze. Coś więcej o sabotażu?

– Po pierwsze przekaz. – Usiadła wygodniej. Kawa okazała się naprawdę dobra.

– Jest skrajnie zmanipulowany. Już w tej chwili większość respondentów jest przeciwna misji i traktuje ją jako stratę pieniędzy podatników. A to tylko początek... Czytał pan ostatnie notowania prezydenta? No właśnie. Grozi nam destabilizacja kraju.

– Manipulacja to mocne słowo. Ma pani dowody?

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej kilka gęsto zapisanych kartek.

– Proszę. – Podała mu plik. – Tu jest lista wytycznych dla menedżerów odpowiedzialnych za przekaz. Ma pan w ręku kopię autentycznego, ściśle tajnego dokumentu wewnętrznego Real Life sygnowanego przez Janet Lee. Istnieje w jednym egzemplarzu i oczywiście nie powiem, skąd go mam. Zakładam, że pańscy ludzie oglądają materiał przed udostępnieniem go subskrybentom. Ja w każdym razie na pańskim miejscu bym się o to postarała. Kiedy pan porówna go z tym, co wychodzi w przestrzeń, zobaczy pan, że przekaz jest idealnie zgodny z wytycznymi.

– W porządku – powiedział Moses, odzyskując panowanie nad mimiką. – Wierzę pani. Ale manipulacja obrazem misji, nawet jeśli udowodnimy szefowej Real Life przestępstwo, jest jednak słabym dowodem na działalność szpiegowską.

– Poszperałam trochę – pokiwała głową, jak człowiek nie przejmujący się obiekcjami rozmówcy. – I dowiedziałam się ciekawych rzeczy. Dwóch informatyków Real Life było współtwórcami oprogramowania Gilberta, bo o ile pamiętam, tak nazwano główny komputer wyprawy.

– Też ma pani dowód na piśmie?

– O, teraz pan jest sarkastyczny – skrzywiła się. – Nie mam. Za to pan ma techniki operacyjne: podsłuchy, kamery, drony, oprogramowanie szpiegujące i co tam jeszcze wymyśliliście. Jak ich pan weźmie na celownik, dowie się pan wszystkiego.

– Pani Montero, to bardzo ciekawe – odparł Moses nie ukrywając rezerwy. – Tak zrobię. Możliwe, że rzeczywiście mamy do czynienia z przestępstwem i Janet Lee chce wyciągnąć korzyści materialne z kryzysu, który umyślnie wywołuje. Zajmę się tym, obiecuję. Jednak nadal jesteśmy bardzo daleko od oskarżenia o szpiegostwo na rzecz Chin.

– Okej, trzeci klocek układanki: wie pan, że Matt Kellog miał informatorów w CIA?

Agent wyraźnie zeszywniał.

– Sprawował funkcję szefa senackiej komisji wywiadu – przypomniał. – Kontakty z CIA należały do jego obowiązków.

– Przecież pan wie, że nie o tym mówię. Matt miał informatorów. Takich od prawdziwych informacji. Jak pan z nimi odpowiednio pogada, może pomogą



panu powiązać działalność Janet Lee z zabójstwem senatora Kelloga... I wtedy będzie pan o krok od udowodnienia agenturalnej działalności tej pindy.

## ROZDZIAŁ 7

### STYCZEŃ 2035 / ZIEMIA

Pułapka została starannie zastawiona, mimo to Moses denerwował się. Miał zamknięcie śledztwa na wyciągnięcie ręki – a takie momenty są najgorsze, przynajmniej jego zdaniem. Gdy stawka gry jest duża, każdy najmniejszy błąd zdaje się katastrofą. Z doświadczenia wiedział, że zawsze coś może pójść nie tak. Zakłócenia na łączach, chwila zagapienia obserwatorów, niespodziewany ruch przeciwnika... I przestępca, już, zdawałoby się, w saku, uciekał. Czasem udało się go schwytać. Czasem nie. Niezależnie od wyniku, pościg pochłaniał ogromne ilości zasobów i środków; przełożeni na ogół byli wściekli.

Agent czekał więc już trzecią godzinę w wyiębionym, nieoznakowanym samochodzie i walczył z natłokiem niespokojnych myśli. Lekki wiatr nanosił na świeżo oczyszczoną ulicę biały, lepki puch. Zimowy Waszyngton walczył z niżem i niesioną przez nią depresją.

– Cholerna pogoda – mruknął kierowca, po czym ziewnął przeciągle.

Moses wzdrygnął się. W samochodzie stawało się coraz zimniej. Jakże tęsknił do teksaskiego słońca. O tej porze roku w San Antonio jest dwadzieścia stopni powyżej zera i bezchmurne niebo.

Wtulił głowę w ramiona i czekał dalej. Ulica była jak wymarła.

\*\*\*

Luksusowy penthouse, zlokalizowany na ostatnim piętrze budynku przy Florida Avenue w dzielnicy Kalorama, spowijały ciemności. Ciągące się od podłogi do sufitu panoramiczne okna z hartowanego, kuloodpornego szkła zasłaniały elektrycznie sterowane okiennice, które obok funkcji ochronnej, spełniały jeszcze jedno zadanie – skutecznie tłumiły hałas. Tylko do tego przeznaczona winda jeździła bezpośrednio z parteru na ostatnie piętro. Dawała się uruchomić wyłącznie za pomocą ośmiocyfrowego kodu i skanu źrenicy właścicielki

mieszkania. Budynek miał swoją, wysoce profesjonalną, ochronę, mimo to apartamentu szefowej Real Life chroniło sześciu – na trzech ośmiogodzinnych zmianach – ex żołnierzy sił specjalnych.

Janet spała dobrze tylko wtedy, gdy otaczały ją cisza, mrok i poczucie bezpieczeństwa.

Cichy dzwonek komórki to ostatnie zaburzył na zawsze.

– Jestem – mruknęła, starając się oprzytomnieć. Opuściła stopy na mahoniowy parkiet.

– Bezpiecznie? – usłyszała znajomy, mimo elektronicznego zniekształcenia, głos.

– Tak. Możesz mówić.

Człowiek po drugiej stronie połączenia w ten sposób dowiedział się, że Janet nie znajduje się w sytuacji przymusowej.

– Kończy ci się czas.

Oprzytomniała zupełnie. Poczowała uderzenie adrenaliny. Serce zaczęło bić jak oszalałe.

– Kiedy? – zapytała, choć znała odpowiedź.

– Teraz.

– Do zobaczenia.

Rozmówca rozłączył się, nim zdążyła skończyć zdanie. Wstała.

Wydarzenia przyspieszyły.

Błyskawicznie ubrała się w niekrępujący ruchów dres, w którym zwykła biegać, po czym umieściła telefon w specjalnym urządzeniu, które spopieliło go sekundę później. Otworzyła sejf, wyciągnęła torbę z pieniędzmi oraz kilkoma kompletami dokumentów na różne nazwiska. Założyła wygodne, sportowe buty. Do kieszeni płaszcza wcisnęła perukę i zmieniające barwę tęczówek szkła kontaktowe. Nie oglądając się, bez żalu opuściła wart sześć milionów dolarów apartament.

Ochroniarze nie mogli jej pomóc. Od teraz była zdana na siebie.

Zbiegła po schodach do garażu. Zignorowała, stojący tuż przy wejściu, luksusowy sedan, którym kierowca zwykle woził ją do pracy i skierowała się ku parkującemu w kącie Cadillacowi Escalade, potężnemu, opancerzonemu SUV-owi w szarym, neutralnym kolorze. Zapięła pasy i wcisnęła guzik zapłonu.

Równomierny warkot sześciolitrowego, czterystukonnego spalinowego silnika nieco ją uspokoił. Ruszyła.

Ulica zdawała się kompletnie pusta – normalna sprawa o drugiej trzydziści nad ranem. Janet dodała gazu.

Szczęście trwało tylko do najbliższej przecznicy.

Skręciła pod ostrym kątem w Connecticut Avenue i dostrzegła światła samochodu. Stał przy krawężniku po drugiej stronie skrzyżowania z zapalonym silnikiem i – kiedy tylko ukazała się w polu widzenia – natychmiast ruszył w jej kierunku.

Instynktownie wcisnęła do podłogi pedał gazu. Cadillac skoczył do przodu niczym spięty ostrogą wyścigowy koń. Ciszę nocy wypełnił ryk silnika. Ścigający ją samochód przyspieszył również, a tempo w jakim to zrobił świadczyło, że nie ustępuje SUV-owi mocą. Jak spod ziemi pojawiły się, jadące z naprzeciwka, dwa kolejne auta. Zahamowały gwałtownie i ustawiły się w poprzek jezdni, całkowicie ją blokując. Janet bez zastanowienia szarpnęła kierownicą, trzytonowy samochód z hukiem rąbnął w krawężnik betonowego przewyższenia, rozdzielającego obie jezdnie, przeskoczył nad nim, po czym popędził dalej. Zamigało niebieskie policyjne światło, jedno, drugie, trzecie, jęk syren przekrzyczał ryk Cadillaca. Skręciła w lewo, w Leroy, małą uliczkę o ruchu jednokierunkowym. Jechała pod prąd, mając osiemdziesiąt mil na liczniku, ale nie myślała o tym. Działała jak automat. Kabinę samochodu zalał oślepiający blask – do akcji włączył się, lecący na wysokości stu merów, helikopter, wyposażony w potężny lotniczy reflektor. Zmrużonymi oczyma zerknęła we wsteczne lusterko. Gonili ją co najmniej trzy radiowozy i jeden samochód cywilny.

Przyhamowała i ponownie skręciła w lewo, w wąziutką uliczkę, idącą pomiędzy domami. Po dwustu metrach wyprysnęła na, idącą poprzecznie Bancroft i, nie zwalniając, gwałtownie skręciła w prawo.

I popełniła, nieunikniony w tych okolicznościach, błąd.

SUV posłusznie wszedł w skręt, ale zapłacił za to przechyłem, w który wprawiła go odśrodkowa siła. Przez niekończącą się chwilę samochód jechał na dwóch lewych kołach; opony piszczały jękliwie, Janet odruchowo pochyliła się w prawo, chcąc, niczym załogant na jachcie, pomóc Cadillacowi wrócić do pionu.

Na próżno. Był zbyt ciężki i jechał zbyt szybko, a śliski asfalt nie zapewniał należytej przyczepności.

Samochód przewrócił się w jakimś dziwnie ospałym tempie, po czym zaczął sunąć bokiem, wśród upiornego zgrzytania blach i w aureoli sypiących się na wszystkie strony iskier. Janet krzyczała, sama o tym nie wiedząc. Poruszająca się z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę rozpędzona masa żelastwa uderzyła w latarnię i złamała ją u podstawy. Samochód, w niczym już nieprzypominający eleganckiego, kosztującego fortunę cacka, zakręcił się jak gigantyczny bąk dookoła własnej osi i po trzech obrotach znieruchomiał.

Przypięta pasami Janet nie straciła przytomności. Leżała na boku, z rozciętego czoła sączyła się krew, prawe ramię, dziwnie odrętwiałe, zdawało się należeć do kogoś innego. Dopiero po dłuższej chwili odzyskała ostrość widzenia i słuch.

Z piskiem opon hamowały samochody. Wyły syreny. Błyskały niebieskie i czerwone światła policyjnych kogutów. Radiostacje wypluwały gorączkowe komunikaty. Okrzyki funkcjonariuszy mieszały się z podnieconymi głosami nabiegłych skądś gapiów.

Ktoś klęknął. Przez wybitą przednią szybę ujrzała czarną, przystojną twarz.

– Janet Lee? – zapytał agent Moses. – Jest pani aresztowana pod zarzutem szpiegostwa. Ma pani prawo do zachowania milczenia. Jeśli rezygnuje pani z tego prawa, wszystko, co od tej pory pani powie, może zostać użyte w sądzie przeciwko pani. Ma pani prawo do adwokata i do jego obecności podczas przesłuchania. Jeśli nie stać pani na prawnika, przysługuje pani obrońca z urzędu.

Nie odpowiedziała.

Moses wstał.

– Nie ruszajcie jej, może być połamana – nakazał stojącym obok agentom. – Niech medycy zaczną działać. Tylko ostrożnie, chcę ją mieć całą.

## **STYCZEŃ 2035 / ALFA**

Wieczorem, tuż przed zachodem słońca, wiatr zelżał. Powietrze, zimne i wilgotne, jednak jakoś łagodniejsze niż zwykle, świeciło odbitym, różowawym blaskiem. Otaczała ich cisza. Robiło się coraz ciemniej. Księżycy stawały się wyraźniejsze.

Wagura wysiadł z Geparda. Klepnął go czule po burcie.

Plan nie był zbyt skomplikowany.

Ustawiony na tryb autonomiczny, bezzałogowy pojazd pancerny wyruszy w drogę w towarzystwie zapasowego zestawu maszyn górniczych. W znajdującym się około stu kilometrów od bazy miejscu maszyny rozpoczną wiercenia, co powinno zwabić Fantoma. Krążące wokół Geparda drony obserwacyjne wykryją sygnaturę dźwiękową, a także zmiany ciśnienia i określą położenie obiektu. Wystartuje rakietą z ładunkiem termojądrowym, naprowadzana na emitowany z drona promień lasera. Jeśli Fantom zestrzeli drony, rakietą zostanie pokierowana przez własne sensory. Eksploduje w najbliższej odległości od Fantoma. W promieniu sześciu kilometrów wytworzy się ciśnienie o wartości czterystu czterdziestu kilopaskali. Fala uderzeniowa będzie przez pierwsze dwa tysiące metrów biegła z prędkością większą od dźwięku. Gdyby to nie wystarczyło, Fantoma załatwi temperatura. Jeśli i to nie załatwi sprawy, polecą trzy kolejne rakietą. Nie wyobrażał sobie, by jakiegokolwiek urządzenie techniczne wytrzymało cztery eksplozje termojądrowe.

Przy tym wszystkim doskonale zdawał sobie sprawę z ryzyka. Cywilizacja, która lata w kosmos i jest w stanie stworzyć system bojowy pokroju Fantoma, z pewnością posiada zaawansowane technicznie systemy obserwacji. Eksplozja nuklearna zostanie zauważona, atak na Fantoma potraktowany jako akt otwartej wojny i powód do ciosu odwetowego. Wpakują się w kolejną walkę.

Dyskutowali o tym, ale doszli do wniosku, że właściwie nie mają innego wyjścia.

– Załatwmy to draństwo, resztą będziemy się martwić później – stwierdził kapitan. – Poradzimy sobie, nawet bez Geparda.

Karen spojrzała wprost w zachodzące słońce.

– A także bez Magdy i Johna.

Wyglądał, jakby go uderzyła.

– Tak, bez nich też... – wybuchnął. Twarz Magdy stanęła mu przed oczyma jak żywa.

– Ja nie... – bąknęła, jakby dopiero teraz zdając sobie sprawę z jego stanu. – Przepraszam.

Patrzyli na siebie, próbując zrozumieć, co właściwie się z nimi dzieje. Przerwał im chrobot kamieni pod czyimiś stopami.

– Przeszkadzam? – zapytał Vormann.

– Mamy parę rzeczy do ustalenia, zanim zaczniemy – oświadczył we wspólnym imieniu Wagura, nie wdając się w wyjaśnienia, z jakiego powodu odsunęli Petera od planowania. Pojawienie się Niemca uznał za okazję do skoncentrowania frustracji na kimś innym niż Karen. Chciał z nią współpracować, nie walczyć. – Coś pilnego, czy znowu chcesz nam udowodniać, że błędzimy?

Agresja w tonie Wagury wyraźnie kapitana nie obeszła. Absorbowało go co innego.

– Jeden z satelitów zarejestrował silny rozbłysk pół miliona kilometrów stąd – oznajmił. – Czujniki wychwyciły promieniowanie ultrafioletowe, ciepłe i jonizujące. Trzy impulsy elektromagnetyczne, dwa krótkie i jeden długi. Rosnącą chmurę cząstek radioaktywnych.

Wagura ochłonął. Spojrzał na Karen. Vormann opisał eksplozję jądrową.

– Polaris wypadł z orbity około dziesięciu godzin temu – ciągnął główny inżynier. – Pół miliona kilometrów to mniej więcej tyle, ile zdążyłby w tym czasie przelecieć. Lokalizacja rozbłysku zgadza się z jedną z symulacji kursu. Siła eksplozji odpowiada, z grubsza, ilości paliwa jądrowego reaktora Polaris. Musimy chyba założyć, że to Polaris wybuchł.

– Sam nie wybuchł – zawyrokował Wagura. Intensywnie myślał, w jaki sposób zniszczenie Polaris ma się do jego planów. – Dopadli go. Mimo samoprogramujących się sensorów, Cyklopa i możliwości wytworzenia impulsu elektromagnetycznego dwukrotnie silniejszego od możliwości bazy na Alfie, dopadli go. Idziemy na ostro, chyba już wątpliwości nie masz, co Peter?

Główny inżynier wyprawy zbył pytanie milczeniem. Przedstawiciele partii wojny nie zwrócili uwagi na to, jak szybko miękł pancierz rozsądku i chłodnego racjonalizmu przedstawiciela partii pokoju. I jak szybko dochodził do głosu zwykły strach o życie.

– Dlaczego nie zrobili tego na orbicie? – zapytała Karen.

– Może chcieli zatrzeć ślady?

– No, to raczej im się nie udało.

Wagura zmarszczył nos.

– To się kupy nie trzyma. Jeśli Lori ma rację, oni – czy on – chcą nas stąd wykopać. Jak niby mamy się wynieść, skoro zniszczyli nam statek?

– Może nie chcą nas wykopać, tylko załatwić na amen?

– Już by to zrobili. Zniszczyliby bazę. Mniejszy wydatek energii niż atak na Polaris.

Karen wzruszyła ramionami. Nie miała ochoty do dyskusji. W gruncie rzeczy niewiele ją to wszystko obchodziło. Od ataku Fantoma jej plany życiowe stały się przeraźliwie nieaktualne.

– Jest Polaris czy go nie ma – wyrzucił z siebie Wagura – kwestii Fantoma to nie zmienia. Działamy według planu.

– Jan, nie wiem, czy dokładnie zrozumiałeś, co się stało... – zaprotestował Vormann.

– Nie mam kłopotów z kojarzeniem faktów, Peter. Wszystko jest naprawdę bardzo proste – pierwszy pilot mówił ze spokojem i determinacją, od których Vormanna przechodził dreszcz. – Straciliśmy możliwość ewakuacji. W związku z czym siedzimy w tym razem. Żeby przeżyć, musimy pokonać Fantoma. Przestać pieprzyć, że może to czy tamto, a może wrócimy, a może nie wrócimy, a może kogoś urazimy... Od teraz sprawa jest jasna: albo my jego, albo on nas. Kropka.

– Pokonanie Fantoma nie zwróci nam statku.

– Nie mam na to wpływu.

– Musimy coś wymyślić, rozumiecie? – Vormann spojrział na nich z rozpaczą. – Musimy.

Wagura wzruszył ramionami. Myślał tylko o tym, co miał do zrobienia w ciągu najbliższych kilku godzin. Odłożył na później odpowiedź na pytanie, czy zniszczenie wytworu obcej cywilizacji przyniesie ukojenie po śmierci Magdy. Być może nie będzie jej chciał poznać w ogóle.

– Na Ziemi jest rezerwowy statek i ekipa Finagana – powiedziała Karen.

– Nie ma ich jak wezwać na pomoc – stwierdził Wagura.

– Dzisiaj. Skąd wiesz, co będzie jutro?

– Ty tego też nie wiesz.

– Jasne. Za dwa lata wylądują tu Chińczycy

– Chcesz przejąć ich statek? – zainteresował się Wagura.

– Nie mam zamiaru wracać na Ziemię – oświadczyła. – Ale Peter może spróbować z nimi negocjować.



– Mam się dogadać z Chińczykami? – zapytał Peter z niedowierzaniem.

– To tylko propozycja. Oprócz Finagana chyba nie masz nic innego na widoku.

Vormann popatrzył im głęboko w oczy, nie znalazł w nich jednak współczucia. Powłócząc nogami wrócił do jasno oświetlonych pomieszczeń bazy.

## STYCZEŃ 2035 / ZIEMIA

Kapitan Robert Finagan był szczupłym, muskularnym facetem o groźnym spojrzeniu i wyrazistych rysach. Mógłby służyć jako model do plakatu werbunkowego. Sherman znał go równie długo, co Higginsa i cenił na równi z majorem. Kapitan należał do grona ludzi, których wrodzone zdolności predestynują, bardziej niż innych, do wypełniania misji z wieloma niewiadomymi.

Gdy pojawił się w drzwiach gabinetu, Sherman od razu przeszedł do rzeczy.

– Widzę, że zmodyfikowaliście harmonogram – powiedział.

– Działamy w reżimie czterdziestoosiogodzinnym – odparł Finagan. – Jedna sekcja analizuje dostępne materiały z Alfą, trenuje konkretne sytuacje taktyczne i obsługę sprzętu, druga ćwiczy na symulatorach. Potem się zamieniają rolami. Jesteśmy gotowi, panie dyrektorze.

– To samo mi tutaj pisze kierownictwo ćwiczeń – Sherman wskazał na monitor laptopa. – Podziwiam. Nie jest łatwo być załogą rezerwową.

– Wszyscy wiedzieliśmy, na co się piszemy.

Sherman przyjrzał mu się uważnie.

– Zna pan sytuację?

– Staram się być na bieżąco. Chyba że coś się zmieniło od dzisiejszego ranka.

– Owszem. Zapadła decyzja o waszym wylocie. Za trzy dni start.

– Rozumiem.

– Nie wygląda pan na zaskoczonego.

Finagan skrzywił się kącikami ust.

– W gruncie rzeczy spodziewałem się, że decyzja będzie podjęta szybciej. Tuż po tym, jak ustała łączność z Alfą.

– Szczerze mówiąc, ja też – westchnął Sherman. Ostatnie dni były bardzo nerwowe. Tylko on wiedział, ilu zakulisowych zabiegów wymagała decyzja o uruchomieniu misji. – Uzgodnienia polityczne trwały w nieskończoność. No, ale w końcu się dogadali. Oficjalnie wasza wyprawa ma mieć charakter wspierający misję Polaris. Tak ją określają NASA i Europejska Agencja Kosmiczna i tyle będzie wiedzieć opinia publiczna.

– A naprawdę?

Sherman wstał i zaczął krążyć po pokoju.

– Kapitanie... – powiedział. – Muszę się do czegoś przyznać. Byłem nadmiernym optymistą. Uważałem, że załoga Polaris i sam statek są tak przygotowani, że nie zaskoczą nas żadne niespodzianki. Myliłem się, większość z nas się myliła...

Umilkł na widok uniesionej dłoni rozmówcy.

– Czyli trzeba ratować, co się da – stwierdził kapitan z rzadką u niego obcesowością. – Rozumiem. Mam wolną rękę?

Sherman zaklął w myślach, ale nie mógł odmówić rozmówcy trafnego osądu sytuacji.

– Powiem tak: po pierwsze musi pan nawiązać kontakt z załogą. Po drugie dokonać oceny sytuacji. Lingwiści opracowali kilka modeli porozumienia z Fantomem...

– Mam podjąć próby porozumienia? – Finagan przyglądał się Shermanowi beznamiętnie.

– Zostawiam do pańskiego uznania – oświadczył cierpko dyrektor, co Finagan odczytał jako brak wiary w modele opracowane przez lingwistów. – Osobiście sędzę, że należy raczej próbować porozumieć się z jego twórcami.

– Ich najprawdopodobniej nie ma na Alfie.

– Będzie pan miał na pokładzie sondy. Wyśle je pan na Betę i Gammę...

– O ile wiem, poprzednie próby skończyły się zestrzeleniem ich.

– Postaramy się, żeby lepiej się kamuflowały. Jeśli uda im się zbliżyć, zaczną przekazywać dane i wysyłać prośby o kontakt.

– Dobrze. Czy są jakieś uzgodnienia z Chińczykami?

– Nie. Prezydent i Bruksela podejmowali próby rozmów, ale Pekin nie jest zainteresowany ustalaniem konkretów, a już na pewno ewentualnym udzieleniem pomocy misji Polaris.

– Brak odpowiedzi jest odpowiedzią.

– I tak musi pan to traktować.

– Czy ma pan wiedzę o miejscu ich lądowania?

– Niestety, na ten temat również nie chcieli rozmawiać.

– Mamy kilka tygodni opóźnienia, ale nasz statek jest znacznie szybszy. Zapewne będziemy na planecie jako pierwsi. Alfa jest dość duża. Szansa, że wylądują nam na głowie, nie jest zbyt wielka. Ale mimo wszystko mogą próbować rozwiązań kinetycznych.

– Musi się pan z tym liczyć.

– Konkretnie: mam zielone światło na użycie siły?

– Gdy zostanie pan zaatakowany, oczywiście.

Finagan nadal zachowywał kamienny spokój.

– Panie dyrektorze, pozwoli pan na szczerość? – zapytał, zakładając nogę na nogę.

– Proszę bardzo.

– Lecimy w ciemno. Nie wiadomo, co się stało po utracie łączności. Fantom mógł zaatakować na poważnie. Można się domyślać, że tak samo potraktuje nas. Możliwe, że wyląduję, zacznę się bić z Fantomem, po mnie wylądują Chińczycy i każdy zacznie walczyć z każdym. Jeśli mam się iść na całość, muszę wiedzieć, po co. Muszę wiedzieć, co jest na końcu równania. Krótko mówiąc: surowce czy załoga?

Shermanowi wyraźnie nie w smak było takie postawienie sprawy.

– Być może uda się pogodzić oba cele – bąknął.

– To wersja dla grzecznych dzieci. – Finagan pozwolił sobie na nieznaczące skrzywienie ust. – Konkretnie, panie dyrektorze. Co mam wybrać, jeśli zostaną postawiony przed wyborem?

– Zaginięcie załogi jest faktem. Ale słabnięcie Zachodu też jest faktem. – Sherman rozpaczliwie starał się nie udzielać jednoznacznej odpowiedzi. – Od tego nie uciekniemy.

Finagan doszedł do wniosku, że niczego więcej nie uzyska. Dyrektor musiał znajdować się pod gigantyczną presją polityczną, ale był zbyt przyzwoitym człowiekiem, by otwarcie kazać mu machnąć ręką na los sześciorga członków załogi Polarisa.

– Postaram się działać tak, by osiągnąć oba cele – zadeklarował kapitan.

Sherman odetchnął z widoczną ulgą, przyjmując słowa Finagana za dobrą monetę.

– Dostanie pan działo laserowe najnowszej generacji – rzekł, wyraźnie zadowolony, że może skoncentrować się na konkretach. – A także osiem taktycznych pocisków jądrowych. Ulepszone sensory już skalibrowane pod Fantoma. Zmodyfikowany, na bazie dotychczasowych doświadczeń, system zarządzania polem walki. Również narzędzia do ewentualnej produkcji na miejscu nowych typów uzbrojenia, gdy okaże się, że potrzebujecie czegoś więcej. Mój zespół przygotował analizę dotychczasowych działań Fantoma i propozycje neutralizacji. Ale, tak jak powiedziałem – być może efektywniejsze będzie dogadanie się z jego twórcami. Na pewno nie chcemy, żeby zamienił pan Alfę w promieniotwórcze rumowisko.

– Jasne. Mam nadzieję, że nasza wyprawa nie będzie transmitowana.

– Całe szczęście mamy to z głowy – stwierdził Sherman, nie ukrywając zadowolenia. – Janet Lee została aresztowana. Udziały Real Life zostały wykupione przez pozostałych udziałowców.

– Mignęły mi gdzieś nagłówki. Świetna wiadomość.

– Aha, jeszcze jedno. Dostanie pan oryginalne, fabryczne oprogramowanie Gilberta. Pański informatyk musi podjąć próbę zainstalowania go. Być może wtedy uda się odzyskać kontrolę.

– Postaramy się.

– No cóż, życzę powodzenia, kapitanie Finagan.

## **STYCZEŃ 2035 / ALFA**

Po ostatniej rozmowie Peter zniknął w prywatnej kabinie (Lori wcześniej przeniosła się tam z sali medycznej) i nie pokazywał więcej. Wyraźnie unikał

Karen i Wagury, czego nie żałowali. Oboje mieli dość destrukcyjnego nonkonformizmu Niemca.

Stronnictwo wojny przystąpiło do działania. Rakieta z taktyczną głowicą bojową o mocy pięćdziesięciu kiloton została zainstalowana na wyrzutni i czekała na rozkaz. Bez pośpiechu, punkt po punkcie, dwukrotnie przeszli procedurę startową.

Spojrzał na zajmującą sąsiedni fotel kobietę. Siedziała zgarbiona, osowiała, jakby pozbawiony energii. Działania wykonywała szybko i bez wahania, widział jednak, że myślami błądzi daleko. Jakoś miał pewność, że nie chodzi o Johna, w każdym razie nie wyłącznie. Starał się trzymać z dala od cudzych spraw, swoje jednak wiedział; to nie było najlepsze małżeństwo.

– Co nie gra? – zapytał. Siłą rzeczy w ciągu ostatnich godzin zbliżyli się do siebie. Potrzebowali się nawzajem. Wcześniej lubił ją, ale uważał za zbyt pewną siebie, władczą, trzymającą dystans. Teraz pokazywała twarz wędrowca, który zgubił drogę. Dotychczas nie rozmawiali, co zrobią, gdy już pozbędą się Fantoma. On też nie myślał wracać na Ziemię, nawet gdyby była taka możliwość. Po co? Do kogo? Nie miał tam niczego, co stanowiłoby wartość. Równie dobrze mógł umrzeć na Alfie. Doskonale wiedział, że wraz z odkryciem życia na Gammie kwestia wydobycia surowców stała się nieaktualna. Nikt im na to nie pozwoli, Chińczykom zresztą również nie, z tego choćby powodu, że panczerze statków kosmicznych Obcych składały się głównie z tytanu i najprawdopodobniej pochodziły z Alfy. Tamci traktowali planetę jak swoje zaplecze surowcowe. Okej. Niech załatwią Chińczyków i niech sobie kopią. On mógł po prostu żyć, polować, uprawiać rolę, odkrywać nieznane lądy. Oswoić tę dziką planetę. Karen była twardą kobietą i dobrą towarzyszką. We dwójkę mogłoby to być nawet do zniesienia. – Nie jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– Peter może mieć rację. – Wzruszyła ramionami. Mówienie przychodziło jej z wyraźnym trudem.

– Zaczęłaś uważać, że jednak warto zapytać Lori o zdanie?

– Wierzysz w jej wizje?

Czekała ich walka. Nie chciał myśleć o wizjach osoby, mającej kłopoty z postrzeganiem rzeczywistości.

– Nie wiem – przyznał. – Wpada w ten swój trans zawsze, kiedy w pobliżu jest Fantom.

– Na nią oddziałuje, na nas nie?

– Nie znam się na fizjologii mózgu. Może jeden jest bardziej podatny na pewien rodzaj oddziaływania, a inny mniej. Jej jest, nasze nie są.

Nie odpowiedziała. Wagura czuł, że Karen w gruncie rzeczy nie chciała rozmawiać ani o Lori, ani o Fantomie. Miał rację.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Oczywiście.

– Co czujesz?

– To znaczy? – Stał się bardzo ostrożny.

– Po... – przez twarz Karen przebiegł cień – ...stracie?

Do takiej rozmowy musiało dojść, chociaż wcale nie miał na nią ochoty. Pomyślał sarkastycznie, że po bitwie może nie być okazji. Chciał być szczery, ale w pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć. Jak nazwać, to co się w nim kłębiło. Kiedy jednak zaczął mówić, słowa popłynęły same.

– Początkowo czułem furię... czystą żądzę mordy. Zaraz potem uświadomiłem sobie, co się naprawdę stało. Że zostałem sam. Byłem pewien, że sobie nie poradzę. Że już nigdy... Przyszedł żal... Wiedziałem, że... Bardzo ją kochałem... – Spojrzał na nią bezradnie.

– Nie dało się nie zauważyć – jej głos na moment stał się pełen ciepła.

– Teraz po prostu staram się o tym nie myśleć. Chcę go załatwić.

Milczała. Nie poganiał jej, chociaż powinni już zaczynać operację.

– Ja... od tamtej pory... oglądam świat przez szybę – szepnęła po dłuższej chwili.

– Chodzę, mówię, jem i tyle. Nie czuję nic. Po prostu nic... W pierwszej chwili miałam to samo, co ty; wydawało mi się, że oszalałam. W głowie mi się mąciło... Czułam gniew. Bolało mnie serce... Nienawidziłam Fantoma, jak nigdy niczego w życiu. Ale to zgasło, sama nie wiem kiedy, chyba od razu. Przyjęłam do wiadomości, że John nie żyje i już. Przeraza mnie to. Powinnam czuć gniew, żal, ból. A nie czuję. Jestem tylko odrętwiała.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– To się pewnie zmieni. – Traktował ją zbyt poważnie, by karmić banalnymi pocieszeniami. – Ból przyjdzie, jakoś dziwnie jestem pewien, że przyjdzie... po nim pustka... Będziemy się oboje czuli niepotrzebni. I winni, że nie zapobiegliśmy ich śmierci. Będziemy zazdrościć Vormannom.

Zerknęła na ekrany. Alfa przyglądała im się obojętnie. Jeszcze nigdy skalisty, usiany rzadkimi płatami zieleni krajobraz nie wydawał jej się tak obcy.

– Żyjąc w świecie, który nas nie chce.

Wagura skrzywił się. Nagle rozmowa wydała mu się pozbawiona znaczenia. Nie mieli piętnastu opcji do wyboru. Droga na Ziemię nie istniała, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Fantom zabił dwóch członków załogi. Nie mogli liczyć na pomoc Gilberta. Stwierdzenie, że sytuacja w gruncie rzeczy jest bardzo prosta, nie straciło niczego ze swej aktualności.

– Nie planeta: Fantom nas nie chce – powiedział twardo.

– Właśnie o tym mówię – westchnęła, nieświadoma jego gniewu. – Niszczymy wszystko, czego nie rozumiemy. Przyjmujemy, że możemy wszędzie zachowywać się tak samo.

– Nagle ogarnęły cię wątpliwości?

– Jestem pilotem wojskowym, latałam na B-21 – odwróciła się. Widział szare plamy na policzkach i sine, spierzchnięte wargi. Najgorsze były oczy: matowe, bez wyrazu, w gruncie rzeczy bez życia. – Nigdy nie miałam problemu z pociągnięciem za spust.

– I co się zmieniło?

– Otoczenie. Kontekst. Może nawet moja motywacja. Zaczęłam myśleć, że po prostu tu nie pasujemy.

– Musimy po prostu uruchomić Geparda, a potem odpalić tę rakietę, Karen. On nas zaatakował.

– Jeśli jesteś tego pewien – zazdroszczę. Poważnie. Chciałabym wiedzieć, co robić.

– Uruchomisz Geparda, ja wprowadzę kody startowe i zobaczymy, co się stanie.

Przytaknęła. W gruncie rzeczy była nieszczęśliwym, zagubionym człowiekiem.

– Gdyby Polaris nadal gdzieś tam krążył, może mógłbym się z tobą zgodzić – powiedział łagodnie. – Pieprzyć tytan, molibden i resztę... ale już nie krąży...

Możemy spróbować za dwa lata, z Finaganem, ale nie wcześniej.

Po dłuższej chwili podniosła rękę i dotknęła ekranu aplikacji, odpowiedzialnej za zarządzanie misją. – Zaczynamy – zadysponowała.

Na zewnątrz zagrały silniki maszyn.

## **STYCZEŃ 2035 / ZIEMIA**

Zaczął się od niedawnego telefonu Shermana. Dyrektor Aero Space był wyraźnie nieswój, przez dłuższą chwilę nudził o pogodzie i najnowszych doniesieniach prasowych na temat chińskiej wyprawy na Alfę. W końcu udało mu się przejść do tematu. Dzwonił w sprawie Reese'a. Niepewnym, zawstydzonym głosem oświadczył, że profesor nie wykazywał żadnych skłonności pedofilskich, nigdy nie uczynił nawet najmniejszej aluzji na ten temat, w ogóle nie interesowało go nic poza nauką. Po prostu spreparowano dowody przeciw niemu, by nie przeszkadzał w realizacji misji. Choć Moses starał się nie być cyniczny – nader trudna postawa w jego zawodzie – żywił ograniczone zaufanie do nagle nawróconych grzeszników (Sherman mógł przecież zgłosić się ze swoimi deklaracjami zaraz po aresztowaniu profesora), argumentacji dyrektora trudno było odmówić logiki. Sam miał podobne podejrzania od samego początku śledztwa, ale, niestety, dowody wydawały się nie do obalenia. Dlatego, kiedy Sherman zasugerował, by przyjrzeć się pracownikom działu IT Real Life, Moses natychmiast poszedł tym tropem i trafił w dziesiątkę: jego ludzie zainstalowani w korporacji szybko odkryli tożsamość hakera, którym Janet Lee posłużyła się do spreparowania materiałów, obciążających profesora. Młody człowiek przyznał się do wszystkiego, wbijając tym samym kolejny gwóźdź do trumny jeszcze niedawno wszechmocnej szefowej największego serwisu streamingowego na świecie. Sędzia nie miał wątpliwości i bez wahania podpisał nakaz zwolnienia naukowca z aresztu.

Moses odłożył raport na biurko i przeciągnął się. Kolejny punkt śledztwa zamknięty. Nigdy nie był przekonany o winie Reese'a. Czuł satysfakcję. Bardzo cenił nieczęste momenty, gdy udawało mu się łączyć pracę z byciem przyzwoitym.

Tak, dzień mógł zaliczyć do udanych.

## **STYCZEŃ 2035 / ALFA**



Obraz był ostry jak brzytwa.

Widziany w pionowym skrócie Gepard pewnie prowadził konwój. Dzięki umieszczonym we wnętrzu pojazdu mikrofonom słyszeli warkot silnika i podzwanianie gąsienic. Maszyny bez przeszkód zbliżały się do celu.

– Coś nam Gilbert zniknął – mruknęła Karen. Nadal dręczyło ją ciągle pragnienie. Piła już trzecią butelkę wody, a organizm wciąż domagał się więcej. Czowała się zmęczona. Początkowe założenie, że ich ciała szybko dostosują się do nowych warunków, okazało się, jak wiele innych, nadto optymistyczne.

– Ja go zniknąłem – wycedził Wagura. – Rozpiąłem mu większość sensorów. Nie słyszy ani nie widzi, co robimy.

– Podziwiam, że o tym pamiętałeś.

– On próbował mnie zabić, Karen. To mi bardzo pomogło w odświeżeniu pamięci.

Nie odpowiedziała. Konwój znajdował się w odległości dwudziestu dwóch kilometrów od celu. Fantom nadal nie przejawiał aktywności.

– Ukrył się, sukinsyn – stwierdził Wagura.

– Przyleci. Zawsze przylatywał. Być może pojawi się, jak uruchomimy koparkę.

– Nie uważasz, że jesteśmy za blisko? – zapytał, przyglądając się mapie terenu. – Pięćdziesiąt kiloton to nie przelewki. Będzie spory opad radioaktywny...

– Góry nas oddzielają – odparła sennie. Nadal znajdowała się za szybą. – A wiatr przeważnie wieje w przeciwnym kierunku. Robiłam symulację. Powinno być okej.

Konwój parł ku swemu przeznaczeniu. Obraz przekazywany przez drony nadal dochodził do nich bez najmniejszych zakłóceń. Wszystko szło zgodnie z planem. Mimo to czuli rosnące napięcie.

Drgnęli, gdy za ich plecami zaszumiały otwierane drzwi. Odwrócili się jak na komendę. Vormannowie stali blisko siebie. Wagura wołał obyć się bez ich towarzystwa, ale powstrzymał się od komentarza.

Peter zerknął na ekran.

– Widzę, że zaczęliście.

Kapitan zobaczył w jego oczach naganę. A może nawet coś więcej: bunt. Poczul przyływ gniewu.

– Powiedziałem ci, Peter – warknął. – Jesteśmy w sytuacji zero-jedynkowej. Albo my jego, albo on nas.

– On chce się porozumieć – oświadczyła Lori.

– Nie chcę tego więcej słuchać, jasne?

– Nieważne, czego chcesz, Jan. Ważne, czego on chce. Lepiej, żebyś wziął to pod uwagę.

– Nie muszę. Lubię proste rozwiązania. Kiedy ta chmura zniknie, mamy problem z głowy.

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy dźwięk syreny alarmowej wtargnął do pomieszczenia niczym wybuch granatu. Mechaniczny głos systemu zarządzania polem walki beznamiętnie taktował kolejne głoski.

– Naruszenie perymetru – dobiegało z głośników. – Odległość trzy tysiące dwieście...

Zaraz potem kierunkowe mikrofony, zamieszczone na dachu bazy, wychwyciły znajome pomruki. Zbliżał się Fantom.

– Sukinsyn! – krzyknął Wagura. Plan właśnie się wysypał. – Nie dał się nabrać.

– Trzy tysiące sto, trzy tysiące...

– Kurwa, jesteśmy za blisko na eksplozję jądrową...

Buczenie wielkiego trzmiela stawało się coraz głośniejsze. Fantom poruszał się znacznie szybciej niż poprzednio. Wagura poczuł nieoczekiwany przyływ energii. Walka była jego żywiołem.

– Mamy sześć wyrzutni rakiet konwencjonalnych – powiedział szybko. – Jeśli wystrzelimy wszystkie naraz...

Nie musiał kończyć. Karen zrozumiała. Wagura rachował, że jednoczesny wybuch sześciu głowic, skondensowany na małym obszarze, rozerwie Fantoma, a zarazem pozwoli uniknąć opadu radioaktywnego.

Szybkimi ruchami zaczęła rekonfigurować oprogramowanie pocisków.

– Dwa tysiące osiemset, dwa tysiące siedemset... – bormotał BMS.

Karen spojrzała na Wagurę.

– Gotowe do odpalenia.

Dłoń Karen zawisała tuż nad joystickiem. Czekala tylko na komendę kapitana.

– Stójcie! – krzyknęła Lori.

– Dwa tysiące pięćset, dwa tysiące pięćset, dwa tysiące pięćset...

– Ognia, Karen! – wydał rozkaz Wagura.

– Nie strzelajcie, na miłość boską! – wrzasnęła Lori.

Krzyk porucznik Vormann – a może brzęczenie Fantoma – podziałał na Karen osobliwie: paraliżem woli. Rozpaczliwie walczyła z mięśniami. Chciała objąć rękojeść joysticka i zacisnąć palce na spuście, i nie potrafiła tego zrobić.

– Dwa tysiące pięćset, dwa tysiące pięćset, dwa tysiące pięćset...

Buczenie nie pozwalało myśleć. Basowy dźwięk niemal wywałął membrany głośników. Karen czuła go każdą cząstką ciała. Dłoń wisiała pięć centymetrów nad spustem. Dystans okazał się nie do pokonania. Wagura wyłączył syrenę BMS-a i głośniki. Otuliła ich dojmująca, nierealna cisza. Największy ekran pojaśniał.

## **CZERWIEC 2037 / ALFA**

Brzęczyk interkomu wyrwał Finagana z zamyślenia. Kapitan podniósł słuchawkę.

– Tak? – zapytał.

– Alarm, szefie. – Głos Bogarta brzmiał rzeczowo, choć kapitan słyszał w nim podniecenie. – Chińskie statki wchodzą w atmosferę.

– Idę.

Wkładając buty usłyszał dochodzący zza drzwi tupot nóg. Gdzieś w głębi, ktoś (Wilson? Tak, na pewno Wilson) krzyknął „Na stanowiska”. Wizyta Chińczyków nie była zaskoczeniem. Spodziewali się jej. Niewiadomą pozostawało tylko miejsce lądowania.

I intencje.

Gdy Finagan zajął główny fotel w pomieszczeniu operacyjnym, pierwsza zagadka zdążyła się wyjaśnić. Statki chińskiej misji przebijały się przez atmosferę po trajektorii, której koniec celował w punkt, oddalony od bazy ledwie o pięć kilometrów.

Goście mieli piętnaście milionów kilometrów kwadratowych pustego lądu do dyspozycji, a jednak wybrali miejsce tuż obok Finagana i jego ludzi. Kapitan nie wierzył w przypadki. Już wcześniej uważał szanse na uniknięcie starcia za

iluzoryczne. Obserwując lądowanie chińskiej armady pozbył się jakichkolwiek złudzeń.

Na ekranie ukazała się jasna poświata. Celująca w niebo kamera wychwyciła pierwsze oznaki ognia wylotowego lecącego na czele statku. Z głośników dobiegł narastający szum.

– Ludzie na stanowiskach? – zapytał kapitan, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Tak jest – przytaknął Wilson. – Pełna gotowość.

Szum silników zamienił się w huk. Poświata stawiała się coraz jaśniejsza. Podłużny, ziejący ogniem kształt wychynął zza chmur.

– Kawał bydlaka... – mruknął siedzący po drugiej stronie Bogart. Jego odpowiedzialnością było zawiadywanie systemami rakietowymi. – Cel namierzony. Działamy?

– Spokojnie – odparł Finagan. – Niech wylądują.

– Chce im pan oddać inicjatywę?

– Chcę, żeby wykonali pierwszy ruch. Wtedy odpowiemy. Albo nie.

Statek niemal stanął, zawieszony na ognistej szpadzie ognia wylotowego. Schodził w dół powoli, ostrożnie, jakby nie chcąc popełnić żadnego błędu.

Na bocznych ekranach pojawiły się kolejne dwa błyski. Chińczycy zdecydowali się lądować w jednym miejscu i jednym czasie, jeden statek od drugiego, o niespełna pół kilometra. Finagan nigdy o czymś takim nie słyszał, nie czuł się jednak specjalistą, historię podboju kosmosu znał pobieżnie, ot, na tyle, by przejść przez testy. Teraz żałował.

– Czekamy.

Huk silników narastał. Pierwszy ze statków znajdował się nie więcej niż dwieście metrów od powierzchni planety.

Nagle wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

Usłyszeli niski dźwięk zwiastujący pojawienie się Fantoma. Jednocześnie największy ekran pojaśniał oślepiającym blaskiem. Po sekundzie dołączyły do niego dwa pozostałe. Statki zamieniły się w gigantyczne, bielsze niż słońce, kule ognia. W uszy ekipy Finagana uderzył grom. Był ogłuszający, słyszeli go jednak tylko przez dwie sekundy, potem bowiem system automatycznie wyłączył zewnętrzne mikrofony, by uchronić je przed zniszczeniem. Kule piekielnego

ognia rosły, by wyjść poza ekrany. Na planetę zaczęły opadać szczątki, które jeszcze przed momentem składały się na niezwykle skomplikowane systemy, jakim są statki kosmiczne.

Bogart gwałtownie pochylił się do przodu i krzyknął coś niezrozumiale. Finagan patrzył jak zafascynowany, nie mogąc wykonać żadnego ruchu.

Do bazy dotarła fala uderzeniowa. Pomieszczenie zakołysało się, usłyszeli jęk naprężeń, trzeszczenie wiązań, śpiew lin kotwiących. Z hukiem wywróciła się jedna ze znajdujących się na dachu anten, dwa ekrany oślepiły, gdy huragan wyrwał z wiązań kamery.

– Ja pierdolę... – zaklął operator, zaciskając dłonie na joysticku.

Fala pomknęła dalej. Napór zelżał, a potem zniknął. Baza odetchnęła, choć deszcz odłamków i stopionych szczątków nadal opadał na powierzchnię planety.

Ogień powoli wygasał.

– Zniszczył wszystkie trzy – powiedział Finagan w przestrzeń. Nie musieli pytać, kogo ma na myśli. Widzieli bezprecedensowy akt wojny o trudnych do wyobrażenia konsekwencjach.

Wilson zerknął na ekran, wskazujący odczyty sensorów.

– Szefie – bąknął.

Finagan nie pozwolił mu skończyć. W ogóle nie słuchał.

– Czy dobrze myślę, że będziemy następni? – zapytał przez zaciśnięte zęby. – Alarm! Przygotować pociski z głowicami nuklearnymi.

## **CZERWIEC 2037 / ZIEMIA**

Dzwonek telefonu spowodował, że Sherman niemal podskoczył.

Wcisnął guzik interkomu.

– Tak?

– Przepraszam panie dyrektorze – usłyszał znajomy głos sekretarki. – Dzwoni prezydent.

Zmarszczył brwi.

– Mary, nie mam czasu na dowcipy.

– Nie żartuję – zapewniła kobieta. W jej głosie wyraźnie pobrzmiwało zdenerwowanie. Dopiero teraz to usłyszał. – Prezydent Stanów Zjednoczonych chce z panem rozmawiać. Jest na linii.

– Pre... – Nie potrafił ukryć zdumienia. – Okej. Połącz. Tak. Halo? Bill Sherman przy telefonie.

– Cześć, Bill – zachrypiał charakterystyczny, niski głos z południowym akcentem. – Mam nadzieję, że wiesz, kto mówi.

– Oczywiście. – Przełknął ślinę. – Dzień dobry, panie prezydencie.

– Od razu przejdę do rzeczy, dobrze? Przed chwilą dzwonił przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej. Oskarżył Stany Zjednoczone o zaatakowanie i zniszczenie chińskiej misji na Alfie. Oświadczył, że jego rząd uważa to za akt wypowiedzenia wojny. Jutro zostanie wydane oficjalne oświadczenie. Chińska armia już rozpoczęła mobilizację. Flota wypłynie z portów w ciągu najbliższych kilku godzin. Lotnictwo zostało postawione w stan gotowości bojowej. Podobnie ich siły jądrowe. Musiałem ogłosić DEFCON 2.

– Rozumiem... – bąknął Sherman. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Nie jestem pewien, czy rozumiesz, Bill. – Prezydent panował nad sobą, ale w jego głosie wibrowało napięcie. – Misja Polaris całkowicie wymknęła się spod kontroli. Stoimy w obliczu wojny.

– Panie prezydencie, jeśli można. – Sherman jednak postanowił walczyć o swoje. – Oskarżanie nas o zaatakowanie chińskiej misji jest niedorzecznością. Nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Zniszczył ją Fantom.

– Przewodniczący oświadczył, że dysponują dowodami.

– To niemożliwe, sir – zaprzeczył Sherman, przeraźliwie świadom, że kłóci się z jednym z najpotężniejszych polityków na Ziemi. – Kapitan Finagan miał wyraźne rozkazy, żeby broni użyć tylko w samoobronie. To łatwo sprawdzić, bo każdorazowe otwarcie ognia jest odnotowywane przez system. Natomiast ani z Polarisem, ani z jego załogą nie mamy kontaktu.

– Chińczycy twierdzą, że ich statek na orbicie oraz promy zniszczyły rakiety, wystrzelone z Polarisu – upierał się prezydent

– Mylą się.

– Taka odpowiedź to za mało, nie uważasz, Bill?

Sherman nagle się uspokoił. Co mu mogą zrobić? Dymisję przyjąłby z ulgą. Sezon wędkarski w pełni. Należy mu się pełna emerytura. Zanim Chińczycy tu wejdą i wprowadzą swoje porządki, zdąży już się zestarzeć. Będzie mu wszystko jedno.

– Polaris dwa lata temu wypadł z orbity i jest Bóg wie gdzie, o ile jeszcze istnieje – rzekł. – Mogę kazać przesłać panu kopie naszych oficjalnych raportów, dotyczących prób połączenia się z nim.

– Wyśmiej mnie... – burknął prezydent tonem wskazującym, że myśli o czymś innym. – Polaris był uzbrojony, prawda?

– System antyrakiet Cyklop służy do obrony, sir.

– Ale można ich użyć również do ataku, prawda?

– Tylko w ściśle określonych warunkach.

– To samo powiedział mi przewodniczący.

– Panie prezydencie... rakiety Cyklopa mają stosunkowo niewielki zasięg. Nawet jeśli przyjmiemy wersję o ataku Polaris, nasz statek musiałby się zbliżyć do jednostek chińskich na mniej więcej sto kilometrów. Jest absolutnie niemożliwe, żeby zrobił to w sposób niezauważony. Każdy radar wykryłby go bez trudu.

– Możemy to udowodnić?

– To zależy do tego, czy zdecyduje się pan pokazać Chińczykom projekt konstrukcyjny Polaris.

Po drugiej stronie zapanowało wypełnione namysłem milczenie. Prezydent wyraźnie się wahał.

– Czy twoim zdaniem możemy to zrobić? – zapytał w końcu.

– Nie, ponieważ jest tam zbyt wiele rozwiązań technicznych, których nie powinniśmy udostępniać Chińczykom. Tak, ponieważ być może w ten sposób unikniemy wojny.

Prezydent zaśmiał się nerwowo.

– Prawdziwie salomonowa odpowiedź.

– Dlatego cieszę się, że nie jestem na pańskim miejscu, sir.

Wiatr wiał ze zwykłą siłą, obojętny na ludzkie zmagania z rzeczywistością planety.

Miejsce katastrofy wyglądało jak scenografia filmu. Trzy gigantyczne leje, wybite przez opadające potężne kadłuby (wybuch nie rozerwał statków do końca) miały koło pięćdziesięciu metrów głębokości i powierzchnię kilku boisk piłkarskich. Na ich dnie spoczywały obłe, potrzaskane uderzeniem i spalone udarem kolosy – czy może raczej to, co z nich zostało. Teren, zarówno wewnątrz lejów, jak i w ich okolicy, został usiany tysiącami mniejszych i większych szczątków, pogiętych części wyposażenia, fragmentów systemów napędowych. Ciała członków załogi zostały całkowicie spopielone.

Nad strefą zniszczenia niespiesznie latały dwa drony, których kamery starały się zarejestrować każdy istotny szczegół. Gąsienicowy robot pełzał po dnie najbliższego leja, zbierając próbki i dane do dalszej analizy.

Finagan, z bezpiecznej odległości obserwujący grób chińskich marzeń o podboju kosmosu (w promieniu pięciuset metrów teren został skażony w stopniu uniemożliwiającym podejście, nawet w antypromiennych kombinezonach), zauważył, że wszystkie trzy przypadki były zadziwiająco do siebie podobne. Kadłuby zostały rozerwane potężną eksplozją, mniej więcej w tych samych miejscach, blisko systemów napędowych. To tłumaczyło kwestię skażenia – reaktory znajdowały się na rufie. Im bliżej dziobu statku, tym kadłub zachował się lepiej, nie licząc oczywiście zniszczeń, spowodowanych upadkiem wielotonowej masy z dwustumetrowej wysokości.

– Co pan myśli? – zapytał stojący obok Wilson. – Fantom?

Finagan wzruszył ramionami. Zastanawiał się nad tym, ale nie doszedł do konkretnych wniosków. Rzeczywiście, Fantom pojawił się na miejscu zdarzenia. Aparatura wykryła go zawieszzonego w powietrzu około dwóch kilometrów od miejsca lądowania chińskich promów. Problem w tym, że nie zarejestrowała niczego więcej. Wilson, mimo wysiłków, nie odnalazł sygnatury uderzenia elektromagnetycznego – ani jakiegokolwiek innego. Czy to świadczyło o niewinności Fantoma? Finagan nie mógł tego zakładać. Fantom był czymś nieznanym ziemskiej nauce. Być może dysponował środkami rażenia niewykrywalnymi przez będące w dyspozycji kapitana sensory.

W gruncie rzeczy nie powinien się tym zajmować. Statki należały do chińskiego rządu. Sądził, że nawet tylko oglądając to miejsce i pobierając próbki do analizy, narażał się na zarzut działań bez upoważnienia. Chińczycy znani byli ze swojej



paranoi na temat tajności rządowych przedsięwzięć. Starał się trzymać jak najdalej od polityki, zdawał sobie jednak sprawę, że zdarzenie tego kalibru wywoła trzęsienie ziemi w stosunkach Chiny–Zachód.

– Nie wiem. – Finagan podniósł dłoń. Nie chciał o tym rozmawiać. – Zrób pakiet filmów, zdjęć i próbek. Poślę to na Ziemię razem z obrazem lądowania. Chińczycy pewnie się gotują. Niech się Sherman martwi, co dalej.

– Jasne, szefie.

Odwrócił się do Bogarta, który nadjechał przed chwilą.

– Coś mi chciałeś powiedzieć.

– Mam wyniki testu DNA.

Stało się. Naprawdę nie miał ochoty tego słyszeć.

– Magda Wagura, John Higgins – oznajmił Bogart. Musiał doskonale zdawać sobie sprawę z nastroju dowódcy, bo jego głos zabrzmiał zadziwiająco łagodnie. – Przykro mi.

Finagan westchnął. Magda Wagura zawsze wydawała się bardzo sympatyczną, energiczną osobą, która dobrze wie, czego chce; znał ją jednak powierzchownie, tylko ze wspólnego szkolenia. Ale John... to zupełnie inna sprawa. Major był dowódcą Finagana na sześciu misjach, mentorem i właściwie przyjacielem. Nauczył go, jak wychodzić cało z najgorszej opresji. Obojętnie w jak wielkie kłopoty wpadł, zawsze znajdował sposób, żeby z nich wyjść.

– Masz do wieczora skończyć dokumentację katastrofy, Bogart – nakazał. Chce ją wysłać na Ziemię. A jutro rano wznowimy poszukiwania reszty załogi i będziemy szukać do skutku. Pewnie znajdziemy tylko ciała... ale musimy wiedzieć.

– Tak jest.

– Chodź, Wilson. Wracamy.

Sierżant prowadził Geparda delikatnie, starając się unikać wstrząsów. Całą drogę milczeli. Baza przywitała ich ciepłem i światłem.

– Muszę pogadać z Gilbertem – oznajmił Finagan, siadając w fotelu dowódcy w pomieszczeniu operacyjnym. Wcześniej używał go Higgins. Kapitan zmusił się do myślenia wyłącznie o chwili bieżącej. Wszystko było lepsze od wspomnień o przyjacielu.

Sierżant odwrócił się ku niemu.

– Bronił się, ale w końcu przyjął oprogramowanie – stwierdził. – Powinno być okej.

– Jest aktywny?

– Tak. Może pan mówić.

– Gilbert, tu dowódca misji, kapitan Robert Finagan.

– Słyszę pana, kapitanie – odparł komputer miłym, melodyjnym głosem, w żaden sposób niepodobnym do zgrzytliwego, mechanicznego brzmienia, jakim raczył ich przy pierwszym spotkaniu.

– Mój kod autoryzacyjny: Alfa, Charlie, jeden, siedem, jeden, dwa, Delta, Zulu, Alfa, trzy, pięć, dwa.

– Potwierdzam. Ma pan pełne uprawnienia najwyższego poziomu dostępu.

– W porządku – odetchnął z ulgą Finagan. – Pierwsze pytanie: gdzie reszta załogi?

– Nie mam takiej wiedzy.

Poczuł przyływ frustracji.

– Znowu to samo! – warknął.

– Nie, kapitanie, źle mnie pan zrozumiał – sumitował się Gilbert. – Nie odmawiam odpowiedzi. Po prostu nie wiem, co się stało z załogą. W końcowym etapie naszej współpracy byłem pomijany w obiegu informacji. Kapitan Wagura odciął sensory.

– Dlaczego zostały zapasy?

– Takiej wiedzy również nie mam.

– Sensory wszystko rejestrowały. Powinny być zapisy rozmów. Odtwórz je.

– Nie ma zapisów. W reakcji na odcięcie sensorów przez załogę, utworzyłem tak zwany czwarty stopień procedury bezpieczeństwa, polegający na całkowitej blokadzie informacji w drugą stronę. Blokada obejmowała również brak rejestrowania rozmów i obrazu.

– Wcześniej twierdziłeś, że zrobiłeś to na mój rozkaz.

– Tak – zgodził się Gilbert. – Uznałem pana za dowódcę, w zastępstwie majora Higginsa. Postrzegalem pański awatar jako realną osobę.

– Podaj przyczynę – zażądał sierżant.

– Poczekaj, Wilson, później to wyjaśnimy – powstrzymał go Finagan. – Gilbert, nie masz żadnych przypuszczeń, co się stało z załogą?

– Podejrzewam, że ich nieobecność ma związek z pojawieniem się Fantoma.

– Masz na myśli atak?

– A także przedstawienia holograficzne czerwonego trójkąta. Porucznik Lori Vormann zinterpretowała to jako nakaz opuszczenia planety.

– Czy możliwe jest, że załoga ją opuściła i jest na pokładzie Polarisa?

– Nie, ponieważ Polaris uległ samozniszczeniu.

– Co?? Z jakiego powodu!?

– Uznałem, że grozi niebezpieczeństwo przechwycenia statku przez obcą cywilizację. Nakazałem mu opuszczenie orbity stacjonarnej i udanie się w kierunku czwartej planety układu. Nadszedł sygnał obcej aktywności. Uznałem za nadrzędną konieczność ochrony naszej technologii. Wywołałem reakcję łańcuchową reaktora Polarisa.

Finagan niemal gwizdnął. Nie spodziewał się po maszynie wyrzutów sumienia, niemniej łatwość, z jaką przyznała się do zniszczenia statku, zdumiała go.

– Czy niebezpieczeństwo było realne?

– Wtedy uważałem je za realne i bliskie – odarł bez wahania Gilbert.

– Sam sobie ustawiłeś priorytety.

– Tak.

– Co dla ciebie jest teraz priorytetem?

– Wyjaśnienie losów pozostałej czwórki oraz ochrona pańskich ludzi.

Zastanowił się nad następnym pytaniem.

– Odnależliśmy ślady prób użycia rakiety hipersonicznej z głowicą termojądrową – powiedział powoli. – Do użycia nie doszło. Domyślasz się przyczyn?

Komputer nie wahał się i tym razem.

– Oceniam, że Jan Wagura i Karen Higgins byli całkowicie zdecydowani zniszczyć Fantoma, zwłaszcza po śmierci komandora i porucznik Wagury. Doszli do wniosku, że jedyną możliwością jest eksplozja jądrowa. Vormannowie byli przeciwni, bojąc się uderzenia odwetowego. Być może udało im się przekonać Karen i Jana.

Nadal nie przybliżyli się do wyjaśnienia przyczyny nieobecności załogi. Wilson widać myślał podobnie.

– Kapitanie, a może Gilbert opowie wszystko, co się wydarzyło? – zaproponował. – Od początku?

– W porządku. Gilbert, przedstaw sytuację.

– W jakim przedziale czasowym?

– Od momentu utraty łączności z Ziemią. Łącznie z nagraniami i obrazem.

– Oczywiście. Odtworzę pierwszy film...

## **CZERWIEC 2037 / ZIEMIA**

Pokój wyglądał jak wszystkie pokoje widzeń więzień federalnych. Moses znał ich zdecydowaną większość. Ciemnozielona farba, wytarta wykładzina antypoślizgowa, osłonięta nietłukącym się szkłem lampa, rzucająca nieprzyjemne, ostre światło, chybocliwy stół, trzy niewygodne krzesła. Brak okien. Spędzenie w tym pomieszczeniu choćby godziny musiało skutkować atakiem depresji.

Drzwi otworzyły się i strażnik wprowadził Janet Lee. Miała na sobie pomarańczowy kombinezon, a ręce i nogi skute kajdankami. Wyglądała mizernie. Wydała się Mosesowi znacznie drobniejsza niż wcześniej.

Popatrzył na strażnika i ruchem brody wskazał kajdanki.

– Jest pan pewien?

– Poradzę sobie.

Mina strażnika wskazywała, że agent popełnia głupstwo, ale robi to wyłącznie na własną odpowiedzialność. Bez słowa rozpiął łańcuchy. Janet zaczęła rozmasowywać nadgarstki.

– Kwadrans panu wystarczy?

– Powinien. Dam znać.

Strażnik odwrócił się na pięcie i wyszedł. Moses ruchem dłoni wskazał krzesło. Janet usiadła.

– Dobrze wyglądasz – stwierdził agent. – Ile to już, dwa lata?

Cisza. Janet patrzyła w przestrzeń. Wiedział, że tak będzie. Miał jednak nadzieję, że uda mu się zmienić ten stan rzeczy.

– Słyszałem, że nie sprawiasz problemów – ciągnął nierazony. – I jesteś dość towarzyska.

Cisza.

– Zdajesz sobie sprawę, że dalej będzie tylko gorzej? Czas zwolni. Każdy dzień będzie się wydawał coraz dłuższy. Dzień za dniem, dzień za dniem i tak aż do śmierci.

Cisza była równie głęboka, coś się jednak zmieniło. Janet Lee spojrzała na rozmówcę.

Moses skinął głową.

– Reagujesz. To już coś. Podejrzewam, że zaczynasz myśleć, że agent FBI raczej nie przyszedł tu po to, żeby się napawać twoim widokiem w pomarańczowym wdzianku. Całkiem ci w nim do twarzy, tak nawiasem mówiąc.

Odczekał chwilę.

– Może masz rację – westchnął. – Może mógłbym ci pomóc.

– Spodziewałam się, że przyjdiesz – oznajmiła Janet. – Zaczyna wam się palić koło tyłka.

Moses skłonił głowę z uznaniem.

– Widzę, że jesteś na bieżąco. Bardzo dobrze. Rzeczywiście, Pekin zagroził nam wojną i nie żartuje.

– Jakoś wam nie współczuję.

– Jeśli zechcesz, wyciągniesz z tego korzyść.

– Z wojny?

– Ze znajomości prawdziwych celów twoich chińskich mocodawców.

Spojrzała na niego z pogardą.

– Nie mam nic na sprzedaż.

– Nie bądź taka skromna, bo pomyślę, że fatygowałem się na darmo.

Cisza.

– Masz czterdzieści jeden lat – spróbował ponownie. – Co najmniej drugie tyle przed tobą. Wyobraź to sobie. Sama do końca w tych murach. Ta sama cela, to samo jedzenie, te same spacery wokół dziedzińca. Przez czterdzieści lat. Może nawet więcej. Bez prawa do wcześniejszego zwolnienia.

Wzruszyła ramionami.

– Ludzie tu jakoś żyją.

– Ty nie musisz.

– Poradzę sobie.

Pomyślał, że jej obojętność nie jest udawana. Janet miała osobną celę i była odseparowana od reszty więźniów. Nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Po prostu się przystosowała.

Spróbował z innej strony.

– Janet, podczas śledztwa i procesu nie powiedziałaś ani słowa. Nie wydałaś nikogo, do niczego się nie przyznałaś. Zostałaś skazana, bo mieliśmy mocne dowody nawet bez twoich zeznań, ale twoi przełożeni na pewno są z ciebie zadowoleni. Zrobiłaś wszystko jak trzeba. Nawiasem mówiąc, pewnie dlatego jeszcze żyjesz. Chcemy, żeby tak pozostało.

Pomyślał, że zignoruje go po raz kolejny, ale stało się inaczej. Zachęta i groźba, zgrabnie połączone w ostatnim zdaniu, podziałały.

– Jeśli zacznę z wami gadać, nie zostanie – mruknęła. Mur dzielił ich jak dawniej, ale wyłom stawał się wyraźny.

– Sprawa jest prosta – ciągnął, starając się nie okazać podekscytowania. – Masz wiedzę, która nas interesuje. My mamy możliwości, żeby zachować twoją reputację i nie narazić cię na niebezpieczeństwo.

– Tu jestem całkiem bezpieczna.

– Może niejasno się wyraziłem. – stwierdził, rozkładając dłonie. – Jeśli nam pomożesz, wyjdiesz na wolność.

Tym razem cisza była pełna namysłu. Czy dwa lata więzienia przemogą lojalność, wyszkolenie i strach?

– Ułaskawić mnie może tylko prezydent – stwierdziła.

– Oczywiście. Prezydent czeka na mój telefon. Jeśli powiem mu, że nam pomogłaś, podpisze twoje ułaskawienie. Będzie całkowicie niejawne. Upozorujemy wypadek. Będzie o nim wiedział tylko naczelnik więzienia, dwóch moich ludzi i ty. Koroner wystawi akt zgonu. Moi ludzie wywiozą cię do innego stanu. Dostaniesz dom na własność, gotówkę na rok i nową tożsamość. Jeśli chcesz, będziesz mogła przejść operację plastyczną, chociaż nie sądzimy, żeby cię

ktoś szukał. Dom oczywiście możesz sprzedać, jeśli ci się nie spodoba. Oferta jest ważna do momentu mojego wyjścia.

- Chcę mieć ulaskawienie na piśmie – oznajmiła, otwierając etap negocjacji.
- Na razie musi ci wystarczyć moje zapewnienie.
- Nie żartuj.
- Zaraz przyjdzie strażnik, Janet.

Trafnie odgadła, że czas targów dobiegł końca. Nabrała głęboko powietrza w płuca.

- Co chcesz wiedzieć?

Postawił na stole małe dyktafon i uruchomił go.

- Jakie było twoje główne zadanie?
- Skompromitowanie kompetencji Aero Space...
- Dlatego ukazywaliście załogę w złym świetle?
- Tak.
- Do tego też potrzebowałaś choroby Lori Vormann?

– Gilbert postarał się, żeby czuła się coraz gorzej. My to jeszcze podkreśliśmy i wyszedł piękny przykład niestarannej selekcji załogi: proszę, oto, mimo surowych procedur, dopuszczono do lotu osobę niestabilną psychicznie, z silnymi zaburzeniami. Winę oczywiście ponoszą organizatorzy.

- Dobra. Co jeszcze?

– Destabilizacja misji. Pokazanie jej jako elementu wyścigu zbrojeń. Maksymalna polaryzacja opinii publicznej. Odciągnięcie uwagi od chińskiej misji.

Skończyła i spojrzała wyczekująco, ale Moses tylko bez słowa się przypatrywał. Cisza przedłużała się. Splotła palce.

– Myślałem – odezwał się w końcu – że będziemy rozmawiali poważnie. Wszystkie te rzeczy już dawno wiem, udowodniłem ci je w sądzie. Co naprawdę było twoim celem?

Zawahała się.

– Janet, nie graj ze mną w kotka i myszkę. Ostatni raz pytam, co było twoim celem?

Teraz ona spojrzała na niego dopiero po dłuższej chwili.

– Przygotowanie gruntu pod oskarżenie was o atak na chińską misję – powiedziała cicho.

Moses miał świadomość, z kim gra i o co, nie potrafił jednak ukryć zaskoczenia.

– Pekin zabił osiemnastu własnych ludzi, zniszczył trzy statki o wartości kilku miliardów dolarów, żeby móc zrzucić to na nas? – zapytał z niedowierzaniem.

– Są gotowi do wojny. To niska cena za wiarygodny pretekst.

– Nadal nie rozumiem. Alfa jest zbyt cenna...

– Nie dla nich. Oni mają surowców w bród. Ich interesuje przejście do następnego etapu rozwoju tu, na Ziemi.

– Świat pod chińskim przywództwem. Zdominowanie nas.

– Nie dało się ekonomicznie, przynajmniej nie tak szybko, jak by chcieli. Zrobią to za pomocą wojny. Kolejny, logiczny, dobrze zaplanowany krok.

– Janet, zdajesz sobie sprawę, że samo słowo nie wystarczy? Ja ci wierzę, prezydent pewnie też ci uwierzy. Ale twoi chińscy mocodawcy powiedzą, że to jakaś nasza kolejna prowokacja. Musimy mieć coś więcej.

– Jeśli dam ci więcej, będą wiedzieli, że to ja ci dałam. Upozorowanie mojej śmierci nie będzie warte pięciu centów.

– Kto był twoim oficerem prowadzącym?

– Wołałabym...

– Długo cię prowadził?

– Od samego początku.

– Czyli znasz go lepiej niż samą siebie. Daj mi coś na niego. Coś grubego.

– Nic mu nie zrobisz. To dyplomata.

– My go nie tkniemy nawet palcem.

– Mimo wszystko...

– Janet, wolisz, żeby Pekin myślał, że przeciek pochodzi od ciebie czy od niego? Zaraz przyjdzie strażnik. Wybieraj.

## **CZERWIEC 2037 / ZIEMIA**

Weekend zaczął się leniwie.



Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Susan miała wolne. Nie czuła wyrzutów sumienia, że odpoczywając coś zawała. Mogła sobie pozwolić na spanie do dziesiątej, długi prysznic, a potem niespieszne śniadanie, połączone z przeglądaniem najnowszych wiadomości. Miała za sobą oszałamiający rok. Cykl artykułów, portretujący z detalami misję Polaris, odbił się w świecie szerokim echem. Aresztowanie Janet Lee było ukoronowaniem jej wysiłków.

Ciszę przerwał dzwonek do drzwi. Nie spodziewała się nikogo. Kliknęła pilotem. Na ekranie domofonu ukazała się przystojna twarz Mosesa. W gruncie rzeczy nie czuła się zaskoczona.

– No, no, FBI we własnej osobie – powiedziała, wpuszczając go do środka.

– Dzień dobry. Mogę?

– Kontakty z panem raczej nie przynoszą niczego dobrego – odparła ze śmiechem. – Ale proszę. I tak się pana nie pozbędę.

Zrewanżował się uniesieniem kącików ust. Nim usiadł, omiótł salon lufą niewielkiego czujnika.

– Przepraszam – bąknął bez widocznych objawów skruchy. – Chciałem upewnić się, że możemy swobodnie rozmawiać.

– I co, upewnił się pan?

Moses schował urządzenie do kieszeni, po czym usiadł na sofie.

– Nie ma tu niczego, o czym byśmy nie wiedzieli – odparł.

– Bardzo śmieszne. Kawy?

– Dziękuję. Muszę zaraz uciekać.

Zaśmiała się ironicznie.

– FBI jak zwykle na tropie. Słucham.

– Pani Montero...

– Susan.

– Miło mi. Joseph. A więc, Susan...

– Lepiej mi to daj, Joseph.

– Co?

– Teczkę, którą miętosisz w rękach. Chcesz mi coś pokazać, prawda?

– Tak... – zawahał się. – Nie opublikowałam ostatniego artykułu.

– Wiesz, dlaczego – zmarszczyła brwi. – Sprawa się zrobiła nieaktualna.

– Jest nadal aktualna.

– Bo Chińczycy wystosowali ultimatum?

– Ciepło.

– Joseph, jestem tylko podstarzałą dziennikarką, walczącą z nadciśnieniem. Jak moja pisanina mogłaby cokolwiek zmienić?

– Ejże, nie bądź taka skromna. Doprowadzenie do bankructwa takiej firmy, jak Real Life, to nie byle co.

Wzruszyła ramionami. Fakt, wycena akcji serwisu spadła do poziomu śmieciowego. Ale nie miała złudzeń, że coś naprawia. W miejsce Real Life pojawi się nowy gracz, zapewne jeszcze bardziej bezwzględny i skłonny do manipulacji.

– Masz – podał jej teczkę. – Zajrzyj.

Odwiązała staromodny sznurek i zajrzała do środka. Powitało ją duże zdjęcie mężczyzny o azjatyckich rysach i ostrym spojrzeniu.

– Wang Lin Pei – wyjaśnił Moses. – Attaché kulturalny chińskiej ambasady w Waszyngtonie.

– Nawet przystojny.

– To on był oficerem prowadzącym Janet Lee.

– Domyślam się, że nie pokazujesz mi tych akt po to, żebym mogła się napawać jego urodą.

– Chcemy, żebyś o nim napisała.

– My?

– Mój szef. I ja.

Przeniosła wzrok ze zdjęcia na agenta. Przez chwilę patrzyła mu w oczy.

– Ależ ty jesteś upierdliwa – westchnął Moses. – Okej. Biały Dom. Gospodarz Gabinetu Ovalnego.

– Dupek – prychnęła. – Głosowałam na jego konkurenta.

Agent FBI skrzywił się. Być może myślał podobnie.

– To jednak facet, który wygrał wybory – stwierdził sucho.

– Nigdy nie piszę na zamówienie.

– Źle mnie rozumiesz. Ja ci tylko daję cynk. A prezydent z zainteresowaniem przeczyta twój artykuł. Zajrzyj dalej. Pod zdjęciem znajdziesz kilka interesujących rzeczy.

Susan zaczęła przewracać strony. Niektórym przyglądała się uważniej.

– Ciekawe... – mruknęła. – Facet lubi się pobawić... O! Proszę! Dziewczynki, chłopcy, zwierzaczki...

– Tam są znacznie ciekawsze rzeczy, Susan. Kontakty z neonazistami, ultralewackimi bojówkami, z kartelem Sinaloa...

– Taaaa...

– Wiedziałem, że to cię zainteresuje.

– Powiedzmy.

– Opisz to. Daj do zrozumienia, że mamy na faceta trzymanie i że nie ujawniasz całości. Wykazał skłonność do gadania... Tylko, że ktoś dał ci cynk i gównem wypłynęło.

– Cwaniaczki. Chcecie przykryć, że nasza urocza Janet puściła farbę.

Moses roześmiał się perliście. Wyraźnie mu ulżyło.

– Jak tak dalej pójdzie, dyrektor zaproponuje ci etat.

Nie podchwyciła dowcipu.

– Oni się domyślą, że to ustawka.

– Dlatego przychodzę do ciebie. Nawet chiński wywiad wie, że tobą nie można manipulować ani do niczego cię zmusić. I że zawsze piszesz prawdę.

– Będą się chcieli zemścić.

– Damy ci ochronę.

– W dupie mam ochronę – warknęła, po czym zamyśliła się.

– Zrobimy tak – odezwała się po dłuższej chwili, tym razem spokojnie. – Wywieziecie mnie do jednego ze swoich bezpiecznych miejsc. Dziś w nocy. Lubię góry. Na pewno macie coś w górach, tylko wiesz, żeby było fajne i z klimatem. I dobrze zaopatrzonym barkiem. Jak będę miała święty spokój i ze czterech młodych chłopaków z bronią, żebym mogła na nich poćwiczyć w wolnych chwilach swój wdzięk, to coś napiszę. Po publikacji nigdzie się nie ruszam, przynajmniej do momentu, aż kurz opadnie i sama uznam, że mogę wrócić. W zamian dostaniecie

artykuł, który pośle pana Wanga do piachu i zrzuci na niego winę za przeciek, że to Chińczycy zniszczyli własne statki. Pasuje, agencie specjalny Josephie Moses?

## CZERWIEC 2037 / ALFA

– Zostały jeszcze dwa pliki – oznajmił Gilbert po siedemdziesięciu minutach prezentowania zdjęć, filmów i analiz taktycznych, które nadal nie dały odpowiedzi na pytanie o losy zaginionej czwórki astronautów. – Odtworzyć?

Finagan walczył z narastającym bólem głowy, migreną z gatunku tych, których nie potrafi uśmierzyć żaden środek farmakologiczny. Był zniechęcony i sfrustrowany. Bogart i Wilson mieli osowiałe miny.

– Co to za pliki? – zapytał.

– Zostały nagrane jednego dnia, dwa i pół roku temu, tuż przed zniknięciem załogi.

Kapitan nie miał złudzeń, że to, co komputer zostawił na koniec, okaże się przełomem. Ale chciał zamknąć tę sprawę z czystym sumieniem, zwłaszcza, że nagrania dokonane w ostatnich godzinach pobytu załogi w bazie mogły rozjaśnić nieco mrok zagadki.

– Znasz ich treść?

– Tak, ale najlepiej będzie, jeśli pan i pańscy ludzie sami je ocenicie.

– Odtwórz – nakazał Finagan.

– Pierwszy plik – oznajmił Gilbert. Ekran pojaśniał.

Kamera patrzyła z góry. Ujrzeli to samo pomieszczenie, w którym przebywali obecnie.

W dwóch centralnych fotelach centrum operacyjnego bazy siedzieli Karen Higgins i Jan Wagura. Dłoń Karen wisiała pięć centymetrów nad joystickiem. Wagura z napięciem wpatrywał się w górny ekran. Za ich plecami stali Vormannowie.

Z głośników dochodziło drażniące buczenie Fantoma. Basowy dźwięk niemal wywalał membrany. Mechaniczny głos BMS-a podawał odległość.

– Dwa tysiące pięćset, dwa tysiące pięćset, dwa tysiące pięćset...

– Ognia, Karen! – wydał rozkaz Wagura.

– Nie strzelajcie, na miłość boską! – wrzasnęła Lori.

Karen wyraźnie ze sobą walczyła: mimo iż kamera obserwowała ją z pewnej odległości, Finagan wyraźnie dostrzegał krople potu spływające po jej policzkach i czole. Sprawiała wrażenie osoby dotkniętej paralizem. Rozpaczliwie walczyła z mięśniami. Chciała objąć rękojęść joysticka i zacisnąć palce na spuście i nie potrafiła tego zrobić.

– Dwa tysiące pięćset, dwa tysiące pięćset, dwa tysiące pięćset...

Wagura sięgnął do przełącznika i wyłączył syrenę BMS-a oraz głośniki. Otuliła ich dojmująca, nierealna cisza.

– Strzelaj, Karen! – zawołał.

Nie zareagowała.

Największy ekran w całości wypełnił okrąg o grubych, jaskrawozielonych, nieco rozmytych liniach wyznaczających kształt.

– Zieleń jest oznaką przyjaznych zamiarów. Podobnie jak okrąg – Lori właściwie szeptała. Miała zamknięte oczy. Na jej twarzy dominował spokój.

– Skąd wiesz?! – zawołał Wagura. – Przecież nie patrzysz na ekran!

– Zaraz pojawią się kolejne – oznajmiła Lori. Wyglądała jakby mówiła przez sen.

Linie okręgu powoli, ale zauważalnie zmieniły barwę na fioletową. Wewnątrz dużego kręgu pojawił się mniejszy, a potem jeszcze jeden.

– Karen, ten skurwiel stoi w miejscu – powiedział Wagura. – Mamy ostatnią szansę.

Dłoń Amerykanki w dalszym ciągu nie mogła pokonać pięciocentymetrowej odległości od joysticka. Współśrodkowe koła pulsowały łagodnie. Fiolet pojaśniał nieco. Przestrzeń pomiędzy liniami zaczęły wypełniać się jasnoniebieską mgłą. Okręgi zamieniały się w koła.

– Jest blisko, nie rusza się... – nalegał Wagura. – Teraz albo nigdy.

– Ćśśśś – szepnęła Lori. – To nie koniec.

Fantom jakby ją usłyszał. Koła zniknęły. Przez chwilę widzieli tylko chmurne, wietrzne niebo. Potem pojawiło się coś, co odebrało im dech.

Wysoko nad powierzchnią gruntu unosiły się hologramy czterech, stojących szeregiem, sylwetek. Miały puste, beznose twarze o za wąskich ustach i zbyt długie tułowia w stosunku do kończyn, ale bez wątpienia przedstawiały ludzi.

Postacie stały w miejscu i zdawały się przyglądać swoim ludzkim odpowiednikom.

– Co to jest?! – jęknęła Karen.

– My. – Głos Lori stał się nieco wyraźniejszy. – To my.

– Ja pierdolę – wychrypiał Wagura.

Przez chwilę wpatrywali się niezwykle widok.

– Skąd wiedział, że jest nas czworo? – zapytał kapitan.

– Kiedy wylądowaliśmy, wysłiście nam na spotkanie – przypomniała sobie Karen. – Byliśmy całą szóstką na zewnątrz. Wtedy nas policzył.

– Przecież go nie słyszeliśmy, do cholery!

Karen doskonale rozumiała jego frustrację. Wiedzieli o Fantomie tylko tyle, ile zdecydował się pokazać, mógł korzystać z systemów, które dotychczas się nie ujawniły. Mógł ich obserwować z oddali, ale równie dobrze umieć poruszać się bezgłośnie i być tuż obok niezauważony. Mógł wszystko.

Zrozumiała to, co powinna była zrozumieć już dawno. Byli całkowicie zdani na jego wolę.

– On chce dać nam szansę – odezwała się Lori, patrząc wprost na Amerykankę. Karen wzdrygnęła się. Najwyraźniej jej myśli, podobnie jak zamiary Fantoma, nie były dla porucznik Vormann tajemnicą.

– Szansę na co? – zapytała.

– Cztery ludzkie sylwetki. Nagie. Mamy szansę przeżyć, ale na jego warunkach. Musimy się szybko zdecydować.

Powoli, niemal niedostrzegalnym ruchem Karen uniosła dłoń znad joysticka.

Film urwał się.

Nim Finagan i obaj sierżanci zdołali wykrztusić choć słowo, Gilbert odtworzył ostatni, tym razem wyłącznie dźwiękowy, plik.

Z głośnika popłynął smutny, zamyślony głos Lori Vormann.

„Siostró... Mówi Lori. Nie wiem dlaczego mam nadzieję, że ta wiadomość do ciebie dotrze. Może nadzieja to ostatnie, co mi zostało... i pewnie też ostatnia wiadomość. Jednak nagrywam tych parę słów i spróbuję wysłać. Może, zanim ruszymy, łączność wróci, chociaż na chwilę. Nie będę długo mówić, mam tylko kilka minut.

Nie wiem, jaki dzisiaj jest dzień. Straciłam rachubę czasu... to zresztą nieważne. Czas, podobnie jak wszystko inne, przestał się liczyć. Zaraz ruszamy. Opuścimy bazę. Idziemy na piechotę, bierzemy tyle, ile każdy uniesie w plecaku: trochę jedzenia, śpiwór, filtr do wody, parę naboju, ręczną broń, kilka nasion... Żadnych pojazdów, urządzeń technicznych, komputerów, systemów łączności, żadnych rakiet czy satelitów. Nie bierzemy nawet masek... Właściwie jesteśmy nadzy. Zdani tylko na siebie. Ale tylko tak przetrwamy. To jest istota propozycji Fantoma.

Będziemy musieli szybko przyzwyczać się do tutejszego powietrza. Zacząć polować i przekonać się, czy ziemia urodzi nasze ziemskie warzywa czy owoce, a jeśli nie, czy umiemy wykorzystać miejscowe. Będziemy musieli znaleźć schronienie, które osłoni nas przed wiatrem, deszczem i dzikimi zwierzętami. Nauczyć posługiwać się otwartym ogniem. Walczyć o przetrwanie z siłami, których nie rozumiemy. I które nie rozumieją nas... Więc teraz my, zdobywcy obcych planet będziemy mieszkać w jaskini, gotować na wolnym ogniu i modlić się, by nas nie zjedli silniejsi od nas.

Myśl, że człowiek, który ruszy w kosmos, spełni się jako odkrywca nieznanych łądów jest tak absurdalna... Podróże do gwiazd... Co za nonsens. To nie tylko nie czyni nas lepszymi... ale wydobywa z nas najgorsze cechy; w pewnym sensie cofa do epoki jaskiniowej. Mamy przed sobą jeden cel, taki sam jak przed tysiącami lat: przetrwać. I oczywiście przedłużyć gatunek. Nic innego nas w gruncie rzeczy nie obchodzi.

Co nas do tego zmusiło? Jakim cudem, wyposażeni w całą dostępną ludzkości wiedzę, broń i inteligentne maszyny staliśmy się kimś w rodzaju neandertalczyków?

Wiem, co się stało i co się stanie. Wiem, jaka jest przeszłość tej przeklętej planety. I znam jej przyszłość. Cywilizacje na Becie i Gammie miały pewnie takie same naiwne marzenia jak my. Rozwijając się niezależnie na swoich planetach, każda od dawna świadoma istnienia drugiej strony, z dotarcia do Alfy uczyniły priorytet, potrzebny do zapewnienia własnej hegemonii i dalszej ekspansji. Łatwa w obsłudze, przyjazna planeta zasobna we wszystkie surowce, jakie są potrzebne przy zaawansowanych technologiach, stała się ostatecznym celem. Wyścig w kosmos zakończył się jednak remisem, obie strony dotarły jednocześnie na Alfę. Żadna ze stron nie miała siły, by wygrać, ale również nie chciała się wycofać...

Zaczęły się rozmowy... Mówię jak typowa Ziemianka. Nie wiemy, czy te cywilizacje mówią... Może porozumiewają się telepatycznie? Może za pomocą węchu? Albo znaków graficznych? Nieważne. Strony ustaliły, że na Alfie nie zostaje nic. Umowa była przestrzegana... aż pojawił się Fantom.

Myślałam o tym wielokrotnie. Czym on jest? Strażnikiem pokoju? Nie sądzę. Raczej produktem Alfy. Jakim? Żywym organizmem? Sztucznym tworem? Mogę tylko zgadywać. Raz przeszła mi przez głowę myśl, że on nie istnieje, że go sobie po prostu wyobrażamy. Przypadek planetarnej zbiorowej hipnozy (tu zabrzmiał złowrogi, jakby nie należący do Lori śmiech). Fantom jest po prostu fantomem, złudzeniem. Złudzeniem, które potrafi zabijać. Może stworzyła go Alfa, żeby już nigdy na jej terytorium nie odbyła się wojna. Żeby pozostała tym, czym jest – dziką, piękną skałą, oświetloną odległą gwiazdą i pilnowaną przez dwa księżyce. Może. Nie wiem.

Wszyscy myśleli, że nasz komputer Gilbert się zbuntował albo wręcz oszalał. Kolejny absurd. Maszyna myśli, tak jak chce człowiek. Ktoś mu kazał robić to, co robi. Czuję ulgę, że nie ma go obok mnie. Pewnie sobie bez niego nie poradzimy. Może nie przetrwamy. Ale zrobimy to na własny rachunek. Na własną odpowiedzialność.

Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego tak? Dlaczego zdecydowaliśmy się zaczynać od zera? Żeby cokolwiek zbudować, musimy zacząć od fundamentów. Nie ma żadnej gwarancji, że wtedy zrozumiemy otaczający nas świat. Jest tylko szansa – niewielka, ale jest. Będziemy polegać wyłącznie na naszych zmysłach, sile i rozumie. Czy to wystarczy? Czy Alfa nas zaakceptuje? Czy Fantom pozwoli nam żyć? Nie wiem. Nikt tego nie wie.

Muszę iść. Ruszamy. Kocham cię, siostró”.

Nagranie skończyło się.

Przez chwilę wsłuchiwali się w lekki szum generowany przez głośniki.

– Nie wierzę... – mruknął Bogart.

Gilbert poczuł się wywołany do tablicy.

– Nagranie jest autentyczne – oświadczył. – Mówiła porucznik Lori Vormann.

– Mamy je traktować poważnie? – zapytał z niedowierzaniem Finagan.

– Porucznik Vormann cierpiała na anemię, miała pewne prorocze wizje, ale była przy zdrowych zmysłach.



– Brzmiała jak wariatka – orzekł ze złością Bogart.

– Raczej jak przywódca sekty – nie zgodził się Wilson.

Finaganowi nie mieściło się to wszystko głowie.

– I co? I oni tak po prostu się poddali?

– Nie udało im się pokonać Fantoma zbrojnie. – Komputer, w odróżnieniu od swoich ludzkich rozmówców, zachowywał całkowity spokój. – Więc zastosowali inną strategię. Nie nazwałbym tego kapitulacją. Raczej dali sobie jakąś szansę.

Dalszą dyskusję przerwało wycie syren alarmowych.

Dwunastu ludzi zadziałało zgodnie z rutyną; błyskawicznie zajęli stanowiska, gotowi do walki. Fantom zabuczał znajomo. Boczny ekran wyświetlał parametry celu. Znajdujący się na dachu bazy kontener startowy, zawierający sześć rakiet z głowicami konwencjonalnymi, obrócił się. Mikrokomputery określiły trajektorię lotu.

– Gotów? – zapytał kapitan.

– Tak jest – przytaknął Wilson. Trzymał dłoń zaciśniętą na joysticku. Nie wyglądał na człowieka, który będzie miał problem z odpaleniem ładunków.

Chmury ze zwykłą obojętnością mknęły po niebie na zachód.

Finagan wahał się. Infradźwięki wprawiały wewnątrz bazy w drgania, ale nie zmieniały natężenia. Fantom najwyraźniej stał w miejscu, sto metrów nad powierzchnią gruntu, około dwóch kilometrów od bazy. Czekał. Na co? Finagan nie umiał zgadnąć, zwlekał jednak z wydaniem rozkazu. Przybysz nie przejawiał wrogich zamiarów. Zdawał się ich obserwować, oceniać intencje, badać.

– Co robimy? – chciał wiedzieć Wilson. Jego kłykcie białeły, zaciśnięte na spuście.

– Czekamy – mruknął kapitan.

Buczenie wwiercało się w mózg.

Nagle na nocnym niebie zajaśniał obraz, który wprawił ich w zdumienie. Wysoko nad płaskowyżem zawisły w powietrzu cztery gigantyczne ludzkie sylwetki.

Wątpliwości nie było: przedstawiały dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Finagan nie był pewien symboliki pokazu, ale co do treści wątpliwości nie miał: obserwowali załogę Polarisa. Czy hologram oznaczał, że ci ludzie żyją? Czy

Fantom komunikował, że ma wiedzę o ich losach, czy po prostu pokazywał, że ich zabił?

– Wie pan, co to znaczy, kapitanie? – Wilson spojrział na niego z namysłem, puszczając joystick.

– Myślisz, że oni żyją?

– Tego nie wiem, ale jeśli chcemy ich odszukać, żywych czy martwych, musimy zrobić to samo, co oni.

– Zgłupiałeś? – zachnął się Bogart. – Mamy iść w góry bez broni, bez obserwacji, bez niczego?

– Sierżant Wilson ma rację, kapitanie – odezwał się Gilbert po chwili ciężkiego milczenia. – Musimy dostosować się do okoliczności. Nie narzucać własnych reguł, tylko przyjąć te, które są. Może wtedy Fantom pozwoli nam odszukać załogę.

\*\*\*

Szli w sześciu, piechotą, tylko z bronią osobistą i bez asysty dronów. Wiatr wiał prosto w twarz. Oddychali ciężko. Dwudziestoprocentowa nadwyżka ciężenia dawała im się coraz mocniej we znaki, zwłaszcza że teren był niełatwy, usiany zdradliwymi rozpadlinami, a na dodatek nieustannie się wznosił.

Od czasu do czasu gdzieś daleko słyszeli Fantoma. Pojawiał się, jakby sprawdzając, czy pilnują trasy, następnie czymś, co kojarzyło im się z fioletowym, laserowym wskaźnikiem wyświetlał kolejną wskazówkę, pokazując punkt w terenie, ku któremu ich prowadził. A potem znikał.

Finagana wprost przygniatała niepewność. Szli za czymś, czego nie rozumieli, w nadziei na coś, czego tak naprawdę nawet nie potrafił nazwać. W głębi duszy nie spodziewał się odnaleźć załogi Polarisa żywej – nie po tylu latach. Predykcje Lori Vormann były najpewniej tylko majaczeniami zaburzonego umysłu. Po co więc szli? Na swoją zgubę? Fantom wyciągał ich w teren, by usmażyć, podobnie jak Higginsa i Magdę Wagurę? Nadzieja, że martwy gospodarz martwej planety nie zawracałby sobie tym głowy, bo łatwiej i prościej mógłby zabić ich w okolicach bazy (wraz z resztą ekipy) była tylko marną pociechą.

Być może po prostu chciał wyjaśnić zagadkę do końca. To, że ludzie z Polarisa najprawdopodobniej są martwi, mógł przyjąć, nie ruszając się z bazy.

Musiał wiedzieć na pewno.

– Cholerne wertepy! – burknął Bogart, gdy po raz kolejny ześlizgnął się z jakiegoś nie dość starannie wybranego kamienia.

– Co, grawitacja doskwiera? – zapytał zasapany kapitan.

– Nie powiem, że nie. I pogoda. I temperatura...

Finagan poczuł przyływ irytacji, może dlatego, że znów usłyszał Fantoma. Głowa go bolała od tego buczenia. Strach stał się silniejszy. Przynajmniej nie miał problemu z nazwaniem po imieniu swego stanu. Po prostu, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, bał się – i to bardzo.

– Pilnuj perymetru... – warknął.

– Tak jest. Czuję się bardziej bezbronny od dziecka. – Sierżant miał wyraźnie ochotę pogadać. Może chciał w ten sposób zagłuszyć dalekie, basowe pomruki. – Nawet obserwacji nie mamy. On tylko czeka, a my tu z gołym tyłkiem...

– Pieprzysz... – Idący obok Wilson miał wyraźnie dość ciągłego narzekania kolegi.

Finagan zatrzymał się. Fantom od pewnego czasu nie zmieniał położenia. Kapitan czuł, że zbliża się moment rozstrzygnięcia. Takiego czy innego.

Wyteżył wzrok. Fioletowy promień zmienił odcień, stał się ciemniejszy, bardziej wyrazisty. Koniec zaczynającego się wysoko w powietrzu ostrza tkwił nieruchomo, wskazując oddalony o mniej więcej pół kilometra punkt, znajdujący się tuż przy podstawie wielkiego skalnego wypiętrzenia.

– Jaskinia, szefie... – powiedział Wilson, podążając za spojrzeniem dowódcy.

– Nie. To pułapka... – zaprotestował Bogart.

– Chodźmy – zarządził kapitan, po czym, choć sierżant w zasadzie tylko wyartykułował jego własne obawy, dodał z agresją w głosie: – Możesz zostać, jeśli chcesz, Bogart.

Ruszył, nie oglądając się za siebie. Przymus poznania odpowiedzi pchał go o przodu.

Reszta, łącznie z Bogartem, ruszyła śladem kapitana.

W połowie dystansu teren stał się płaski i znacznie równiejszy. Zmieniła się również struktura podłoża. Zaskoczony Finagan zauważył, że miejsce skalistego piargu zajęło coś w rodzaju ułożonego z kamiennych płyt chodnika, prowadzącego do wyraźnie już widocznego wejścia do jaskini. Zerknął w lewo i zdumiał się

jeszcze bardziej. Ktoś zadał sobie niemało trudu, by obszar równy mniej więcej powierzchni boiska do baseballa zamienić w pole uprawne. Naniesiona najwyraźniej skądinąd ziemia została starannie wyrównana i podzielona na niewielkie działki. Na każdej rósł inny rodzaj roślin. Niektóre były podobne do ziemskich zbóż, inne nie przypominały niczego, co Finagan kiedykolwiek widział.

Czyżby się mylił? Czyżby udało im się przeżyć blisko trzy lata, w planetarnych warunkach, bez sprzętu, broni i zapasów?

Uniósł lufę karabinu i zwolnił kroku. Jego zmysły, wyostrzone do granic, rejestrowały każdy najdrobniejszy szczegół. Fantom buczał monotonicznie, nie ruszając się z miejsca. Wiatr zawodził z monotonią przyprawiającą o rozpacz.

Stanęli mniej więc pięćdziesiąt metrów przed ciemnym wejściem do jaskini.

– Karen Higgins! – krzyknął Finagan. Buczenie Fantoma rezonowało w mózgu coraz bardziej dolegliwie, agresywnie, głośno. Miał straszne przeczucie, że za chwilę wydarzy się coś, co zmieni jego życie na zawsze – lub zakończy je. – Jan Wagura! Lori Vormann! Peter Vormann!

Tylko echo powtórzyło zawołanie. Wiatr wiał ze zwykłą, obojętną siłą. Fantom nie ruszał się z miejsca.

Nagle w ciemnym otworze jaskini pojawiła się ludzka sylwetka. Stała przez chwilę, przypatrując się przybyszom, być może oceniając ich zamiary, po czym zaczęła iść niespiesznie w ich stronę. Za nią kroczyły kolejne trzy osoby. Kapitan coraz lepiej rozróżniał szczegóły. Pochód prowadziła Karen Higgins. Miała na sobie coś w rodzaju kożucha zarzuconego na stary, wyblakły kombinezon. Włosy obcięła tuż przy skórze – podobnie jak pozostała trójka – co nadało jej rysom nieco surowy, pierwotny wygląd. Nie używała maski tlenowej. Skóra twarzy i dłoni nabrała lekko żółtawego koloru. Jedyne uzbrojenie stanowił, wiszący przy pasie, potężnych rozmiarów nóż. Kosmiczni Robinsonowie wyglądali właściwie identycznie: czwórka muskularnych, dobrze dostosowanych do planetarnych warunków ludzi, swojskich i dobrze znanych – a jednocześnie w jakiś odpychający sposób obcych. Nie widział na ich twarzach najmniejszego śladu radości ze spotkania. Byli obojętni, dalecy, pełni dystansu.

Zatrzymali się trzy metry przed gośćmi. Przez chwilę taksowali się wzrokiem.

– Cześć, Karen. Peter. Lori. Jan – przywitał się Finagan. – Nawet nie wiecie, jak się cieszę, że was widzę.

Żadnej reakcji. Stali nieruchomo i dalej zachowywali obojętność. Kapitanowi przemknęła przez głowę absurdalna myśl, że nie zrozumieli, co mówił. Gdzieś w głębi żołądka poczuł kolejne, jeszcze silniejsze ukłucie strachu.

– Widzę, że nic wam nie jest – brnął. – Świetnie. Weźcie rzeczy. Mamy kawał drogi przed sobą...

– Czego chcecie? – przerwała mu Karen chrypliwie. Patrzyła mu w oczy, bez wrogości, ale i bez żadnej widocznej zachęty, by spotkanie przerodziło się w coś więcej niż tylko chwilę zdawkowej rozmowy. Finagan ani przez moment nie miał wątpliwości, kto przewodzi tej grupie.

Obcesowość pytania zbiła go z tropu.

– Przylecieliśmy po was... – bąknął.

– Po nas?

– Chcemy was zabrać na Ziemię.

– Niepotrzebnie... – wtrącił się Wagura. Miał równie schrypnięty głos, co Karen. Być może tutejsza atmosfera w ten sposób wpływała na struny głosowe.

– Co – niepotrzebnie?

– Powinniście odlecieć.

– Odlecimy tylko z wami.

– Nie – odparł Wagura.

Finagan nie chciał ustąpić, choć miał właściwie pewność, że się nie dogadają. Ludzie, których znał i lubił, nie istnieli. Rozmawiał z kimś zupełnie innym.

– Fantom pozwolił was znaleźć – oznajmił. – Wskazał nam drogę.

– I nic więcej. – Karen obrzuciła zdawkowym spojrzeniem żołnierzy. – Znaleźć. Zobaczyć. Odlecieć.

Przyglądał jej się uważnie.

– Żebym dobrze zrozumiał: odmawiacie ewakuacji, żeby żyć w jaskini i jeść korzonki?

– Każdy żyje na swój rachunek – po raz pierwszy włączył się do rozmowy Vormann.

– Ale przecież to... nieporozumienie. – Finagan nie potrafił ukryć wzburzenia. Na chwilę zapomniał o strachu. – Jesteście wysoko wykwalifikowanymi

specjalistami i żołnierzami z dużym doświadczeniem. Mieliście określoną misję do wypełnienia. A chcecie tu zostać i żyć jak... jak...

– Tutaj ziemskie cele nie mają żadnego znaczenia, Robert – stwierdziła Karen. Uniesienie Finagana (ani tym bardziej jego argumentacja) nie robiły na niej żadnego wrażenia. – Mieliśmy jedyną okazję, żeby przeżyć. Wykorzystaliśmy ją. I chcemy, żeby tak zostało.

Nagle buczenie Fantoma nasiliło się, jakby dziwny twór obcej cywilizacji znalazł się tuż obok. Brzmiało natarczywie, blisko, ponaglająco.

Mózg Finagana rezonował.

– Lepiej, jak już pójdziecie – powiedział Wagura.

– Chcę, żebyście powiedzieli do kamery, że zostajecie tu z własnej woli.

– Czas na was.

– Muszę mieć oświadczenie! – krzyknął Finagan.

Bogart spojrział w niebo. Dokładnie nad nimi wisiały dwa koła, niebieskie i czerwone.

– Szefie, oni mają rację – mruknął, nagle poszarzały na twarzy. – Nic tu po nas.

– Na pewno, Karen? – Finagan nadal nie bardzo mógł przyjąć do wiadomości, że pokonali dystans dwóch i pół miliona lat świetlnych na próżno. – Jeśli teraz odejdziemy, już nie wrócimy. Zastanów się. Wszyscy się zastanówcie.

– Idźcie. Macie długą drogę przed zmrokiem. Powodzenia.

Po kolei przyjrzał się każdej z twarzy tych dziwnych, obcych ludzi. Na żadnej nie znalazł poparcia ani nawet zrozumienia dla swoich argumentów.

Zerknął na obu sierżantów, a potem na podniebny znak.

Odwrócił się i zaczął iść. Żołnierze podążyli za nim.

Towarzyszył im tylko wiatr.

Karen patrzyła za odchodzącymi, aż zniknęli w dolinie.

KONIEC

## PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję mojej żonie Kasi za wysiłek, jaki włożyła, by ta powieść była lepsza. Kasia nieustannie motywowała mnie do pracy i nie zadowolala się półśrodkami. Panu Remigiuszowi Durce za konsultacje naukowe oraz Maciejowi Brochockiemu za istotną pomoc dotyczącą kwestii związanych z oprogramowaniem komputerów. Marcinowi Mortce za inspiracje i pomysły.

Dziękuję także moim wydawcom, Rafałowi Bielskiemu i Piotrowi Sternalowi, za zaufanie i cierpliwość.